



Jason Foxe



*BŁĘKITNA WSTĘGA
HAMPTON*

*Zanim znajdzie się właściwe słowa,
niemal zawsze jest za późno*

Gloria Vanderbilt

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Kiedy po raz pierwszy ujrzałem Harry'ego Boetchnera, wyładowywał właśnie mięso z furgonetki swego ojca za domem mojej ciotki Prune. Kiedy widziałem go po raz ostatni, leżał martwy u moich stóp.

Słońce stało już wysoko nad Hampton Club, kiedy odwróciłem się i zobaczyłem wychodzącego ze stodoły Kaleba. Kaleb podciągnął pasek na swym imponującym brzuchu, który wyglądał jak nawis obsuwającej się ziemi, i powiedział:

- Szybko dotarłeś na miejsce.

- Uprzedzono mnie - odparłem. W oddali, pod kępą kilkusetletnich kasztanów, dostrzegłem szary kabriolet marki Mercedes, będący własnością Harry'ego.

Kaleb skrzywił się, przesuając równocześnie pas od swego munduru w taki sposób, żeby pistolet wisiał w dogodniejszym miejscu.

- Chłopak stajenny, co?

- Owszem - przyznałem.

- Chryste panie - mruknął Kaleb. - Każdy z mieszkańców tego miasta chce być teraz znakomitością.

Żaden z nas nie chciał oglądać ciała Harry'ego. Leżał tuż za drzwiami stodoły. Nie miał tylnej połowy czaszki. Wiatr zmienił kierunek i poczułem zapach nawozu oraz woń, jaka unosiła się w ten sierpniowy poranek nad torem treningowym.

- Co się stało? - spytałem Kaleba.

- Załatwił go ten cholerny koń - odparł. - Zmiażdżył mu kopnięciem głowę.

Odwróciłem się, żeby spojrzeć na zwłoki. Harry wyglądał po śmierci młodziej.

Młodziej, niż wyglądał od dobrych kilku lat. Ale nie był już chłopakiem, który wyładowywał mięso z furgonetki rzeźnika.

- Kochał tego konia - powiedziałem.

- Tak - przyznał Kaleb. Zerknął w kierunku budynku klubowego, którego stylową fasadę złociło poranne słońce. - Harry miał zwyczaj kochać nie to, co powinien.

ROZDZIAŁ DRUGI

- Mama będzie już pijana - powiedziała z satysfakcją moja kuzynka Daffy, kiedy wysiadłem z pociągu na stacji Easthampton. Owego lata, przed ćwierćwieczem, Daffy miała czternaście lat. Była niską, tęgą dziewczynką o ciemnych włosach, które poskręcały się pod wpływem wieczornej wilgoci, nabierając faktury metalowych sprężynek. Wiele lat później, kiedy wkraczała do sali sądowej, by zeznawać przeciwko mnie, była wysoka i szczupła, niemal wynędzniała, a włosy miała jasne, proste i długie.

- Pociąg miał długi postój na Manhattanie - oznajmiłem. Skończyłem tego roku siedemnaście lat. Rodzice pozwolili mi spędzić to lato u siostry ojca, ze względu na pewne konflikty w naszej rodzinie.

Daffy odwróciła się i pokazała mi czarną limuzynę, stojącą na położonym poniżej peronu parkingu, tuż obok szarego samochodu jej matki.

- To przez McNamarę - powiedziała z młodzieńczą pogardą. - Odkąd został ministrem obrony, dodali do składu wagon z barem i zatrzymują pociąg specjalnie dla niego. To naprawdę jest uciążliwe.

Zerknąłem w kierunku wysokiego ministra obrony, który musiał się mocno schylić przy wsiadaniu do oczekującego na niego samochodu. W owych czasach Southampton było siedzibą bardziej dbającego o swą anonimowość grona ludzi zamożnych i wpływowych. Łańcuch pięciu miast, rozciągający się na cyplu Long Island, był już od stulecia letnim schronieniem bogaczy, ale dopiero od niedawna zaczął przyciągać elitę teatru, literatury i polityki.

Rządowa limuzyna ruszyła spod stacji, gdy tylko zamknięto drzwi. W pewnej odległości za nią jechał nie oznakowany Buick.

- Prune lubi ten wagon z barem - rzuciła Daffy.

Moja ciotka Prune była kiedyś żoną Vincenta Duke'a, jednego z najbogatszych ludzi w Ameryce. Mimo swego przezwiska - nadanego jej w przedszkolu - była niegdyś zachwycająco piękną kobietą. Wyszła za Vincenta Duke'a w wieku szesnastu lat, odbyła z nim długą podróż poślubną dookoła świata, a po powrocie zamieszkała na rogu Piątej Alei i Tuxedo Park. Vincent Duke miał wtedy czterdzieści lat. Jego zainteresowanie szesnastoletnią dziewczyną z wolna zanikło, a Prune zaczęła pić.

Kiedy była żoną Vincenta Duke'a, którego majątek znacznie przewyższał majątek naszej rodziny - choć i my byliśmy bogaci - wybaczyliśmy jej picie. Rodzina twierdziła, że ma jakiś „kłopot z uszami”.

- To zaburzenia błędnika - mawiała moja matka zerkając znacząco na ojca, kiedy Prune zdarzyło się przewrócić stół na jakimś przyjęciu lub spokojnie zsunąć się po ścianie na podłogę wśród tłumu gości.

Ale kiedy Vincent Duke znalazł inny obiekt zainteresowania i rozwiódł się z Prune, rodzina oświadczyła po prostu, że jest pijaczką. To samo mówiła teraz jej córka.

- Zostawiłam ją w klubie. Poprosiła mnie, żebym wyjechała po ciebie na stację. Wiesz, co to znaczy - dodała z naciskiem.

W owych czasach można było spojrzeć z peronu ponad rozłożystymi koronami okalających parking kasztanów, których szerokie liście wydawały się w letnim świetle księżyca bladoszare, i dostrzec w oddali niewielkie skupisko świateł miasta. Później przedsiębiorcy budowlani wykupili puste pola, napełniające nocne powietrze zapachem ziemi, i pokryli je okropnymi, małymi domkami. Ale kiedy schodziłem w ślad za Daffy po sześciu stopniach z peronu, kierując się w stronę długiego, szarego Lincolna, którego szofer stał już obok otwartego bagażnika, myślałem tylko o tym, jak bardzo cieszy mnie perspektywa spędzenia tutaj całego lata. Mój ojciec przechodził jeden ze swych okresów trudności finansowych i nasza farma w Wirginii była polem bitwy, na którym ścierały się najróżniejsze zarzuty.

- Czy miałaś dobry rok? - spytałem.

Szofer zamknął bagażnik, w którym umieścił uprzednio moje dwie walizki i obszedł samochód, by zasiąść za kierownicą. Daffy i ja usiedliśmy możliwie jak najdalej od siebie na tylnym siedzeniu, obciążonym pluszowym pokrowcem. Nasze wzajemne kontakty obrastała podobna do mchu wrogość, choć nie istniał żaden konkretny powód tego stanu rzeczy. Daffy odwróciła się ode mnie i wyglądała przez okno na zaciemnioną główną ulicę, na której stały obok siebie duże, drewniane letnie domy.

- Nienawidzę szkoły - powiedziała. - Nie wiem, po co muszę do niej chodzić. Przecież będę kiedyś bogata.

Istotnie miała być bogata. Bardzo bogata. Mogła liczyć nie tylko na pieniądze ojca, lecz również na sumy, jakie uzyskała Prune w wyniku rozwodu.

- Chcesz chyba również coś wiedzieć, prawda? - przemówiłem do jej gniewnego profilu.

- Ja już sporo wiem - powiedziała nie odwracając się. Był czerwiec i w mieście panował zupełny spokój. Było to przed epoką, w której za wynajęcie domu w Hampton na cały sezon płacono się dwadzieścia tysięcy dolarów, a Dzień Pamięci obchodzony w ostatni poniedziałek maja oznaczał wystrzał startera w wyścigu tych, którzy chcieli jak najlepiej wykorzystać lato... - Wiem już za dużo.

Gdybym był wtedy mądrzejszy, zrozumiałbym, że Daffy, trawiona złością na matkę, obsadza się już w roli tragicznej bohaterki swego własnego życia. Prune, mimo że dużo piła, by stłumić ból, była nadal piękna. Daffy, w wyniku przewrotnego zrzędzenia losu, była nadal tęga, niezgrabna i brzydka.

Jechaliśmy w milczeniu spokojnymi alejkami w kierunku Hampton Club. Tego roku bardzo chciałem zakosztować „życia”, a lato spędzone u Prune w jej wielkim domu przy końcu Maiden Lane zdawało się obfitować w nieskończone możliwości. Wiedziałem, że kupiła z myślą o mnie czerwony kabriolet marki Pontiac. Rozumiałem dezorientację Daffy, gdyż przeżywałem podobne stany na naszej farmie w Wirginii, kiedy mój ojciec, z nachmurzoną miną, wycofywał się co rano o dziesiątej do swego gabinetu, by podjąć batalię ze złymi duchami Wall Street. Mój dziadek przeobraził plantację kukurydzy w Kansas w imperium płatków kukurydzianych, ale był ostatnim członkiem naszej rodziny, który przejawiał inicjatywę w zakresie robienia pieniędzy.

To znaczy do chwili, kiedy Prune... Ale to miało dopiero nastąpić. Samochód skręcił w bramę Hampton Club, a jego reflektory oświetliły obramowany białym, drewnianym płotem długi podjazd, wiodący w kierunku rezydencji w stylu Tudorów stojącej na wzgórzu, z którego rozciągał się widok na pole golfowe. Prune, chcąc zachować prywatność, kupiła już szesnaście hektarów pól ziemniaczanych otaczających jej dom. Kiedy dwadzieścia pięć lat później przyjechałem jako bankrut do Hampton, by schronić się przed włóczęgą mnie po sądach Daffy, wartość tych szesnastu hektarów przekraczała dziesięć milionów dolarów i stanowiła miły dodatek do sum, jakie zapisał jej pan Duke.

- Co to jest? - spytałem, kiedy samochód omijał drewniane szlabany, stojące na szosie jak groźne pająki. W dole, tam gdzie rozciągały się dawniej podmokłe łąki, stał jakiś nowy, biało-czerwony budynek.

- To stajnia - odparła Daffy, którą myśl o koniach wyrwała na chwilę z afektowanej irytacji.

- Tu? - spytałem ze zdziwieniem. Wygiąłem szyję, by spojrzeć w dół, ale stajnia zniknęła już za kępami pokrytych szkarłatnym kwieciem rododendronów.

- Ma się też odbyć pokaz koni - oznajmiła z podnieceniem Daffy. - Hampton Classic. Przywożą je z najróżniejszych miejsc. Nawet z Europy.

Dotarliśmy już do budynku klubowego. Szofer zwolnił, a Daffy znów opadła na siedzenie samochodu, krzyżując nogi w juchtowych butach, z których wystawały białe skarpetki, by pokazać, że nie zamierza się ruszyć, dopóki ktoś nie otworzy jej drzwi. Szoferem był tego lata jakiś miejscowy człowiek, którego nigdy dotąd nie widziałem. Wysiadłem w ślad za Daffy, unikając jego wzroku. Byłem przyzwyczajony do bogactwa, ale mój ojciec, choć upierał się przy pewnych przywilejach, prowadził samochód sam i nigdy nie pozwoliłby ani mnie, ani moim dwu siostram, na traktowanie służby w taki sposób, w jaki traktowała ją Daffy.

Obserwując jej niezgrabną figurę, wszedłem w ślad za nią do budynku klubowego. Głosy dochodzące z baru, który znajdował się po prawej stronie długiego centralnego holu, osiągnęły już poziom pijackiej intensywności; każdy, kto chciał coś powiedzieć, mówił

głośniej niż jego poprzednik. Hol, podobnie jak teraz, był do połowy wyłożony boazerią. Nad nią wisiał długi rząd fotografii przedstawiających grę w golfa; były one mniej lub bardziej wyblakłe, w zależności od tego, kiedy zostały zrobione. Idąc po niebiesko-zielonym perskim chodniku w stronę jadalni, zerkalem na zdjęcia pochodzące sprzed sześćdziesięciu lat, czyli z okresu założenia klubu. Mijałem utrzymane w kolorze sepii fotografie, na których stali w sztywnych pozach mężczyźni w ciemnych garniturach oraz kobiety w długich, grubych spódnicach i męskich koszulach, a potem zdjęcia pochodzące z epoki zakładania pola golfowego i mody na pumpy. W latach dwudziestych mężczyźni zaczęli nosić pasiaste marynarki, a kobiety - krótkie spódnice i obcisłe bluzki. Lata trzydzieste przewaliły się nad klubem nie zostawiając wyraźniejszych śladów, ale ci, którzy przeżyli Wielki Kryzys, zaczęli się ubierać nieco skromniej: mężczyźni nosili teraz gładkie, niebieskie marynarki, a kobiety nie były już tak hojnie obwieszane klejnotami. Potem minąłem fotografie z lat czterdziestych - niektórzy mężczyźni mieli na sobie mundury - i z okresu powojennego boomu lat pięćdziesiątych, na których uśmiechy były nieco szersze, a stroje znów trochę bardziej ekstrawaganckie.

Prune czekała na nas w jadalni, przy stoliku pod oknem. Kiedy pojawiliśmy się w drzwiach, spojrzała w naszą stronę i pomachała ręką. Przebyliśmy morze różowych obrusów, ozdobionych ciężkimi srebrnymi sztucami i wazonami pełnymi kwiatów. Daffy przez całą drogę miała nachmurzony wyraz twarzy.

Prune uniosła głowę, bym mógł ją pocałować w policzek.

- Cześć, Ben - mruknęła i przytuliła mnie lekko. Poczulem ostry zapach dżinu zmieszany z wonią fiołków, których bukiet był przypięty do jej szarej, kaszmirowej sukni.

- Cześć, Prune - odparłem, kiedy wypuściła mnie z objęć.

W jej uścisku była pewna doza desperacji, która powinna mnie uprzedzić, że czeka ją trudne lato. Była nadal piękna. Szczupła i jasnowłosa, miała cerę, która kojarzyła mi się ze szlachetną porcelaną. Wrażenie to potęgowały ledwie widoczne, drobne jak pęknięcia na porcelanie zmarszczki wokół jej chabrowych oczu.

- Mielicie jakieś kłopoty? - spytała Prune, biorąc mnie za rękę i przyciągając do siebie tak stanowczo, że musiałem usiąść przy niej. Dla Daffy zostało krzesło stojące po drugiej stronie stołu. Odwróciła się od nas i omiotła salę jadalną baczym spojrzeniem, szukając znajomych twarzy. Wiedziałem już wtedy, że Prune boi się córki. Czowała, że zawiodła jej oczekiwania.

Daffy osunęła się na wolne krzesło. Chwyciła oburącz za swe kędzierzawe włosy, jakby zamierzała wyrwać je sobie z głowy.

- Pociąg się spóźnił - powiedziała.

- Ach, tak - mruknęła z roztargnieniem Prune, skupiając wzrok na ręcznie wypisanej karcie dań, którą podał jej kelner. - Ten pociąg jakoś zawsze się spóźnia, prawda?

- To wszystko przez tych okropnych ludzi, którzy tu przyjeżdżają - stwierdziła z niechęcią Daffy.

- Jakich ludzi? - spytała Prune, patrząc na wypełnioną w połowie salę takim wzrokiem, jakby spodziewała się ujrzeć osoby, które przyjechały w ślad za nami ze stacji.

- Och, mamó - zawołała Daffy z teatralną irytacją, typową dla osoby bardzo młodej - ty nigdy nie wiesz, co się wokół ciebie dzieje.

Oczy Prune wypełniły się łzami. Nadal trzymała moją rękę, jakby zapomniała, że mi ją podała. Uścisnąłem lekko jej dłoń, a ona spojrzała na mnie z wdzięcznością.

- Kłopoty mijają, Ben - powiedziała usiłując powstrzymać łzy. - Zawsze mijają.

Oboje w to wierzyliśmy - Prune i ja - i to było miarą naszej naiwności. Wszystkie wiszące w holu obrazy i setki innych drobnych doświadczeń utwierdzały nas w przekonaniu, że jesteśmy uodpornieni na klęskę. Świat się zmieniał, wybuchały wojny, rynek przeżywał hossy i bessy, ale my - bogaci wybrańcy - trwaliśmy na swoich pozycjach.

Prune puściła moją rękę, by sięgnąć po szklanekę.

- Czy nie sądzisz, że masz już dość, mamó? - spytała aroganckim tonem Daffy.

Prune zrobiła się tak purpurowa, jak kwiaty rosnących obok podjazdu rododendronów; miałem wrażenie, że wzdłuż eleganckiej kolumny jej szyi wzniosła się fontanna krwi. Kelner, nauczony przez lata doświadczeń, że w takich chwilach ma być po prostu niezauważalny, zastygł w bezruchu.

- Nie pozwolę, żebyś mówiła do mnie w ten sposób, Daphne - powiedziała Prune, kiedy odzyskała głos.

Daphne odwróciła twarz, jakby czekając na policzek. Prune nigdy jej nie uderzyła, ale Daphne wykonała ten teatralny gest na użytek sali, która ucichła nieco, jakby instynktownie oczekując na mającą się rozegrać scenę.

- Oczekuję przeprosin, Daphne - powiedziała Prune całkowicie trzeźwym głosem.

- To nie ja powinnam przeproszać - odparła głośno Daphne.

Siedzieliśmy w trójkę przy stole, a stojący obok nas kelner przypominał nieruchomy posąg. Z zażenowaniem wpatrywałem się w czerwono-złote maki wypełniające srebrny wazon.

- Pozwalam ci odejść, Daphne - powiedziała Prune. - Możesz jechać do domu. Samochód wróci po Bena i po mnie.

Daphne siedziała bez ruchu. Teraz ona zaczerwieniła się z zażenowania. Wiedziała, że całą scenę obserwują jej przyjaciele, siedzący tu i ówdzie ze swymi rodzicami. Chwila przedłużała się w nieskończoność.

- Prune... - mruknąłem w końcu. - Nie rób tego.

Prune niepewnie zamrugała oczami; jej dezorientacja przytłumiła gniew. Zanim jednak zdążyła coś powiedzieć, Daphne zerwała się na równe nogi i omijając stoliki oraz kelnerów niezgrabnie pobiegła w stronę drzwi.

Na sali panowała kompletna cisza. Potem kelnerzy, pragnąc zatuszować całe zajście, zaczęli pochylać się nad gośćmi i głośno do nich mówić.

- Idź za nią, Ben - szepnęła do mnie Prune. - Proszę cię. Znajdziesz ją w stajni. Zawsze tam jest. Wezwę samochód i zabiorę was stamtąd.

Wstałem i ruszyłem tropem Daffy przez pole minowe zażenowanych spojrzeń. Przebyłem perski dywan i wyszedłem na wieczorny chłód. Okrążyłem budynek klubowy i znalazłem ścieżkę wiodącą w kierunku łąki, na której widziałem nową stajnię. Ścieżka była błotnista po niedawnym deszczu. W powietrzu unosiły się typowe dla późnej wiosny zapachy świeżo skoszonej trawy i letnich kwiatów.

W stajni siedział na stołku jakiś chłopak stajenny, polerując siodło. Spojrzał na mnie obojętnie, kiedy wkraczałem do wnętrza przesyconego wonią koni, nawozu, siana i skóry. Daffy przytulała czoło do pyska jakiegoś kasztana z białą strzałką na nozdrzach. Przesuwała uspokajająco dłonią po jego głowie, jakby to on, a nie ona, został upokorzony w jadalni.

- Daffy - zawołałem zbliżając się do niej.

- Nie nazywam się Daffy - parsknęła gniewnie, nie odwracając głowy. - Nazywam się Daphne, Daphne! Dlaczego wszyscy mamy takie głupie przezwiska?

- Bo ludzie zapominają, że robimy się coraz starsi - odparłem czując się człowiekiem bardzo dojrzałym, dla którego tak mądre wyjaśnienia są chlebem powszednim.

- Mama ma czterdzieści lat! - powiedziała ze złością i odwróciła się do mnie. - Czterdzieści! A ty nadal mówisz do niej Prune! Nie jest już dzieckiem. Nie jest małym dzieckiem, wyglądającym jak śliweczka!

- Istotnie, nie jest - przyznałem. Koń zerknął w kierunku przeciwległego końca stajni, przy którym kątem oka dostrzegłem jakiś ruch.

- Prune... twoja matka... wezwała samochód. Zaraz tu po nas przyjedzie, Daphne. - Jej imię brzmiało sztucznie i niezręcznie. Odwróciłem się, by zebrać myśli i zobaczyłem to, co dostrzegłem poprzednio kątem oka. Jakaś dziewczyna wyprowadzała z ostatniego boksu najpiękniejszego konia, jakiego widziałem w życiu. Był izabelowaty, wysoki na jakieś metr osiemdziesiąt w kłębie i stąpał dumnie jak księżę.

Ale to nie koń sprawił, że zapomniałem o kłopotach Daphne. Sprawiała to ta dziewczyna. Była równie wysoka jak ja, a jej krótko obcięte włosy, nie sięgające do ramion, błyszczały różnymi odcieniami starego złota i lśniły tak, jakby każdy kosmyk został oddzielnie wypolerowany. Przemawiając do konia odwróciła się w naszą stronę, wyprowadziła go ostrożnie z boksu i ruszyła w naszym kierunku z wysoko uniesioną głową, równie dumna i wyprostowana jak jej wierzchowiec. Jej twarz wydała mi się nieskończenie

piękna; kości policzkowe były wyraźne, ale nie tak przerysowane jak u modelek, oczy z żywego srebra wyglądały jak jakieś niedawno odkryte kamienie półszlachetne oprawne w nieskazitelną biel, a nieduże usta, umieszczone dokładnie we właściwym punkcie twarzy, były półotwarte jak płatki kwiatu i odsłaniały równe, białe zęby.

Zapomniałem o Daffy. Dziewczyna zrównała się z nami, zerknęła na mnie przelotnie, ale otwarcie, a potem lekko pochyliła głowę. Jasne włosy zasłoniły jej profil.

Nie byłem w stanie wydobyć głosu. Wróciłem na łono rzeczywistości dopiero wtedy, kiedy koń Daffy niecierpliwie poruszył się w boksie. Spojrzałem w oczy kuzynki i dostrzegłem w nich świadomość mojej zdrady. Poczula się zdradzona po raz drugi w ciągu tego wieczora.

- Ona nie jest dla ciebie - powiedziała ze złośliwą satysfakcją. - Należy do floty rybackiej.

„Flotę rybacką” nazywaliśmy matki, które przywoziły latem na tutejsze plaże swoje dojrzałe do małżeństwa córki, wystawiając je jako przynętę dla bogatych kandydatów na męża. Zimą rozpoczynały od Palm Beach, a potem, gdy robiło się coraz cieplej, przenosiły się na Sea Island, do Hampton i Newport - „zaliczając” kolejno wszystkie miejscowości, w których zbierała się elita finansowa.

- Kto to jest? - spytałem. Znów byłem siedemnastolatkiem i nie miałem więcej czasu na problemy Daffy.

- Nazywa się Tracy Egan - powiedziała spokojnym tonem. - A ty jesteś dla niej za biedny, Ben, i zawsze będziesz za biedny.

W tym momencie przy bramie stajni zatrzymał się samochód Prune, który nadjechał boczną drogą od strony klubu, więc problemy Daffy i jej matki ponownie wysunęły się na plan pierwszy, a ja straciłem szansę dowiedzenia się czegoś więcej o najpiękniejszej dziewczynie, jaką kiedykolwiek widziałem.

- Czy zawieziesz mnie do klubu? - spytała mnie Daffy podczas śniadania. Siedziała tyłem do okna jadalni. Za jej plecami widziałem długi trawnik obrzeżony wysokimi kępami angielskich pnących kwiatów, które lubiła Prune.

- Jasne, ale dlaczego? - W domu Prune panował miły porządek. Zaprowadzony został przez jej czarnoskórego lokaja, Charleya, który służył u niej najpierw w jej pierwszym domu przy Piątej Alei, potem w Tuxedo Park i Oyster Harbour, a w końcu przyjechał z nią do Hampton. Młoda pokojówka w granatowym uniformie i białym fartuszką stawiała przede mną śniadanie.

- Mama dała szoferowi wolne przedpołudnie - z gniewem odparła Daffy, układając na grzance sadzone jajka. Słowo szofer brzmiało w jej ustach jak słowo niewolnik. A hojność Prune wydawała się w nich czystym szaleństwem. Prune często dawała swym kierowcom wolne przedpołudnia, jeśli zatrzymywała ich długo w pracy poprzedniego wieczora. Kiedy

była żoną Vincenta Duke'a, mieli dwóch szoferów, pracujących na dwie ośmiogodzinne zmiany.

Jadalnia zajmowała całą węższą ścianę wielkiej, zbudowanej z szarego piaskowca rezydencji Prune. Promienie porannego słońca padały cętkami na antyczne dywany leżące pod stołem z sosnowego drewna. W oknach wisały firanki, ale nie było zasłon; chodziło o to, by zapewnić dostęp jak największej ilości światła. Jasny pokój o bladokremowych ścianach, rozjaśniony dodatkowo przez wazy z białymi stokrotkami stojące na środku stołu, zdawał się pulsować słonecznym blaskiem.

- Dobrze - zgodziłem się.

- Ona tam będzie - powiedziała Daffy. Jej drobne oczka lśniły nad talerzem jak ślepka wychylającego się z kryjówki zwierzęcia. Kiedyś miała się przedzierzgnąć w atrakcyjną kobietę, nie różniącą się niczym szczególnym od innych dziewcząt z jej sfery, ale w pewien sposób piękną. Teraz jednak miała zwyczaj garbienia się i wysuwania głowy, co upodobało ją do wyzierającego ze skorupy żółwia i nadawało jej wygląd osoby skrytej i niegodnej zaufania.

- Kto? - spytałem z udaną obojętnością. Moja matka prowadziła w Wirginii dość elegancki dom, ale życiu na farmie towarzyszył chaos, którego nie spotykało się w domu Prune.

- Przecież wiesz - odparła spokojnie Daffy. - Ona.

Wiedziałem. Od chwili, kiedy spojrzała na mnie szarymi oczami, prowadząc obok nas swego konia, nie myślałem o niczym innym. Przypominałem sobie, jak jej włosy lśniły w świetle stojennych latarni i jak w ostatniej chwili pochyliła głowę, by zasłonić włosami twarz przed moim badawczym wzrokiem.

- Wszyscy o niej marzą - powiedziała Daffy, kładąc serwetkę na plamie od żółtka, które wyciekło jej na stół.

- A o czym ona marzy?

- O pieniądzach - powiedziała Daffy i roześmiała się głośno. Jej modulowany śmiech był przedsmakiem gardłowego głosu, jakim miała przemawiać jako dorosła kobieta. Potem zamilkła i znów stała się dzieckiem. - To prostytutka - powiedziała w wybuchu dziecięcego gniewu. - Naprawdę. Uważam, że to obrzydliwe.

Zerwała się z krzesła i szybkim krokiem wyszła z domu, pozwalając mi dokończyć w spokoju śniadanie. Czuję się bardzo szczęśliwy siedząc w zalanej słońcem jadalni i obserwując ogrodnika z pomocnikiem, którzy wbijali kołki w trawnik i łączyli je równoległymi odcinkami sznura. Kiedy skończyli, trawnik wyglądał jak poszycie materaca. Pomocnik ogrodnika zaczął na czworakach posuwać się tyłem w kierunku widocznych w oddali wydm, wrywając po drodze chwasty.

Pomyślałem sobie, że Prune wyszła za mąż dla pieniędzy, wielkich pieniędzy. Wiedziałem, że być może zrobi to również Daffy. Nie miałem wówczas pojęcia, co się z nią w końcu stanie. Różnica polegała na tym, że Prune nie musiała wychodzić za mąż dla pieniędzy. To, co otrzymała od mojego dziadka, wystarczyłoby jej do końca szczęśliwego życia. A Daffy miała dostać pieniądze zarówno od Prune, jak i od swego ojca, choć ożenił się już ponownie i założył nową rodzinę. Jeśli ktoś miał możliwość wyboru i postanowił pomnożyć rodzinną fortunę za pomocą dynastycznego małżeństwa, nazywało się to rozsądkiem. Natomiast jeśli ktoś miał jedynie urodę i niewiele pieniędzy, wtedy...

Ale nie potrafiłem myśleć w takich kategoriach o dziewczynie, której twarz ujrzałem w półmroku stajni. Nic, co dotąd widziałem, nie przygotowało mnie do reakcji na jej wygląd, pod wpływem którego zweryfikowałem wszystkie swoje poglądy na kobiecą urodę. Nie mogłem sobie wyobrazić, bym mógł kiedykolwiek zobaczyć kogoś piękniejszego niż ona.

Młoda pokojówka uchyliła drzwi wiodące do kuchni chcąc sprawdzić, czy skończyłem jeść śniadanie. Wstałem i wyszedłem z jadalni, by mogła sprzątnąć ze stołu i zabrać się do innych prac domowych.

Daffy czekała na mnie obok czerwonego kabrioletu.

- Jak możesz spędzać tyle czasu na jedzeniu? - spytała z gniewem. Miała na sobie buty do konnej jazdy, džinsy i białą, męską koszulę. Nie mogła wybrać mniej korzystnego stroju. Wyglądała jak chłopak - i to niezbyt atrakcyjny. Spod jej czarnego, aksamitnego toczka wystawały niesforne kosmyki włosów.

Zignorowałem jej pretensje z nonszalancją doświadczonego starszego mężczyzny - starszego aż o trzy lata. Pontiac był niemal nowy.

- Wsiadaj - powiedziałem. - Opóźniasz moje spotkanie z przeznaczeniem.

- Opóźnim twoje spotkanie z zawodem miłosnym - odparła Daffy wskakując do samochodu tak nieostrożnie, że jej ostrogi podrapały lakier karoserii.

Za domem Prune znajdowało się podwórko przylegające z jednej strony do ściany budynku, z drugiej zaś do garażu na cztery samochody, w którym stały niegdyś powozy poprzednich właścicieli posiadłości. Przez otwarte drzwi dostrzegłem szofera, który mimo wolnego przedpołudnia mył właśnie szary samochód Prune. Mieszkał w małym pokoju nad garażem.

Trzeci bok podwórka zamykał ceglany mur. Ciemnozielone liście rosnących wzdłuż niego drzew brzoskwiniowych były zwrócone ku słońcu. Niedojrzałe jeszcze owoce były okryte woreczkami mającymi je chronić przed nocnym chłodem.

Wyjechałem przez bramę i szybko przemknąłem przez podjazd wychodzący na nie utwardzoną drogę, biegnącą wśród należących do Prune pól kartofli. Czułem się niezwykle szczęśliwy. Byłem młody i atrakcyjny, a poza tym wiedziałem, że pewnego dnia wejdę w posiadanie własnego majątku. Nie było powodu do przypuszczeń, że kiedyś będę musiał

zrezygnować z tak wygodnego trybu życia. Oto jak nieświadomość zasadniczych słabości własnego charakteru prowadzi nas do katastrofy.

Daffy przerzuciła pulchną rękę nad oparciem fotela.

- Czy masz zamiar zrobić z siebie durnia i zalecać się do niej? - spytała z bezpośredniością antropologa społecznego.

- Być może nie będzie w stanie mi się oprzeć - odparłem. W tych czasach można było jechać przez opuszczone pola, wdychać zapach rosnących w rowach dzikich kwiatów i obserwować stadka siedzących na obwisłych drutach telefonicznych kłótliwych jaskółek, nie bojąc się spotkania z innym samochodem.

- Wszyscy starsi mężczyźni robią z siebie durni - oznajmiła Daffy. Spodziewała się wyraźnie, że będzie świadkiem mojej porażki w walce o tę dziewczynę, ale jej radość z tego powodu tłumiała po części świadomość wpływu, jaki Tracy Egan wywierała na członków klubu.

Dotarliśmy do bramy klubu. Wjechałem w wysadzaną drzewami aleję, a potem skręciłem w nową dróżkę prowadzącą do stajni. Daffy wysiadła z samochodu, zanim zgasilem silnik. Stajnia wydawała mi się nieco nie na miejscu, ale uznałem, że po prostu nie jestem przyzwyczajony do jej widoku. Żyłem w świecie, w którym niewiele się zmieniło.

Siedząc w samochodzie obserwowałem dwóch chłopców stajennych, którzy próbowali uspokoić nerwowego, kręcącego się w kółko konia. Jeden z nich trzymał go za uzdę, drugi zaś usiłował narzucić mu na grzbiet siodło. W tym momencie ze stajni wyszła Tracy Egan prowadząc swego przepięknego wierzchowca.

Przeszła tuż obok mego samochodu, obchodząc niesfornego rumaka i tym razem, zamiast zasłaniać przede mną twarz, zatrzymała się i utkwiała we mnie swe szare oczy.

- Cześć - powiedziała, i słowo to zawisło między nami w powietrzu jak ciężki aromat rosnącego na łące kapryfolium.

Nie mogąc wydobyć głosu, patrzyłem na nią i na olbrzymiego konia, którego prowadziła z całkowitą pewnością siebie. Widać było, że ogier darzy ją miłością i zaufaniem. Podczas gdy jego kuzyn niecierpliwie stukał kopytami nie pozwalając się osiodłać, on był całkowicie spokojny.

- Czy lubisz konie? - spytała.

Umierałem z zażenowania. Nie potrafiłem wydobyć z siebie głosu. Miałem wrażenie, że jeśli się nie odezwę, wszystko, czym może stać się moje życie, całe szczęście, wszystkie nadzieje na przyszłość, zostaną bezpowrotnie stracone.

- Tak - wykrztusiłem nienaturalnie głośno.

Jej koń cofnął się o krok. Z uśmiechem przytrzymała go za uzdę.

- To dobrze - powiedziała. - Będziesz dziś jeździł?

- Owszem - odparłem. Prune trzymała w tej stajni dwa konie. Tego poranka nie miałem zamiaru jeździć konno, ale teraz wysiadałem już nerwowo z samochodu.

Stanąłem naprzeciw niej i poczułem na tle aromatu kapryfolium delikatny powiew zapachu jej perfum.

- Jestem Benjamin Harriman - oznajmiłem.

- Wiem - odparła, potęgując moje zażenowanie. Jej spojrzenie wydawało mi się nienaturalne. Była zbyt młoda, by patrzeć z takim spokojem, z taką pewnością siebie.

- Wiesz? - wyjąkałem nie będąc pewien, czy powinienem uznać to za komplement.

- Oczywiście - stwierdziła. - Wszyscy znają panią Duke.

Poczułem chłodny dreszcz. Prune była bardzo bogata. Przypomniałem sobie plotki o związkach tej dziewczyny z „flotą rybacką”. Nie byłem ani w przybliżeniu tak bogaty jak Prune, podobnie zresztą jak mój ojciec. Pewnego dnia miałem wejść w posiadanie funduszu wynoszącego czterysta tysięcy dolarów, ale choć suma ta wydawała mi się wysoka, w porównaniu z majątkiem Prune była niczym.

Dziewczyna zdawała się rozumieć przyczyny mojej dezorientacji, a ja zdałem sobie sprawę, że musiała już słyszeć krążące plotki. Jej matka bynajmniej nie była osobą subtelną. Tracy chciała po prostu unieszkodliwić węża podejrzliwości, zanim obudzi się on w moim umyśle na dobre.

- Nie martw się - powiedziała. - Nie jesteś na liście. Sprawdziłam to.

- Na jakiej liście?

- Na liście mojej matki - odparła. Nadal gładziła pysk konia. Przyłgnęła do niego twarzą i rzuciła mi na wpeł żartobliwe spojrzenie. - Czy mimo to możemy zostać przyjaciółmi?

- Oczywiście - powiedziałem. - To przecież nie moja lista. A poza tym ja też jestem dosyć bogaty.

- Ale nie wystarczająco bogaty - powiedziała ze smutkiem. - Nie jesteś wystarczająco bogaty, żeby znaleźć się na tej liście.

I tak zostaliśmy w pewnym sensie przyjaciółmi. Zbliżyło nas wspólne zainteresowanie końmi. Tracy miała tego lata do dyspozycji nieskończoną liczbę koni. W miarę rozbudowy stajni, przyprawiano do niej coraz to nowych czworonożnych lokatorów. A Tracy Egan mogła jeździć na większości tych koni, zwłaszcza wtedy, kiedy ich właścicielami byli mężczyźni.

Ja jeździłem na jednym z koni Prune. Nie był nadzwyczajny, ale kochałem go. Nawet teraz, patrząc wstecz, nie jestem pewien, czy nie kochałem go dlatego, że pozwalał mi być blisko Tracy. Dowiedziałem się wszystkiego o jej matce, częściowo od Prune, która nadal spotykała się regularnie z grupką starych przyjaciół i miała dostęp do najnowszych plotek, lecz również od znajomych z klubu. Tracy pojawiała się w nim jako główna osoba orszaku

królewskiego, zostawiając za sobą smugę ciszy - pustkę, którą szybko wypełniały wypowiedziane szeptem, przeważnie przychylnie komentarze. Kiedy jednak zjawiała się tam jej matka, komentarze te były pełne złośliwości. Teraz już wiem, że źródłem tej uszczypliwości była rozpaczliwa frustracja wielu mężczyzn, którzy zdawali sobie sprawę, że nigdy nie będą mogli stać się pretendentami do ręki Tracy Egan.

Tego lata odbywał się pierwszy Hampton Classic. Wystawa koni, wyznaczona na weekend poprzedzający Święto Pracy, przypadające w pierwszy poniedziałek września, była początkowo skromną imprezą. Ale w trakcie budowy stajni przerodziła się nieoczekiwanie w poważny konkurs. Z innych regionów kraju przywożono coraz lepsze konie. A perspektywy małżeńskie Tracy związały się nierozzerwalnie z losami tego pokazu.

Codziennie bywała w stajni. Ja również. I kiedy czerwiec przeszedł w lipiec, a lipiec zmierzał ku sierpniowi, wzrastające zainteresowanie wynikiem zawodów jeździeckich uczyniło z pokazu rytualny obrządek, towarzyszący końcowi lata.

Wszyscy wiedzieli, że matka Tracy przywiozła córkę do Hampton, by wydać ją za mąż. Tracy miała zaledwie piętnaście lat. Ale jesienią miała skończyć szesnaście, a jej rodzina znajdowała się w bardzo trudnej sytuacji materialnej. Wiedziałem już wtedy, że pani Egan pochodziła ze wschodniego wybrzeża Stanów i że - jak dyskretnie mówiono w klubie - poślubiła „podejrzanego” człowieka. Wiedziałem też, że jej małżeństwo się rozpadło, że mąż gdzieś zniknął i że pani Egan miała trochę własnych pieniędzy, ale zdecydowanie za mało, by mieszkać - jak tego lata - w wynajętym domu na Dune Road.

Nie było w tym nic wstydliwego. W owych czasach - zanim kariera zawodowa stała się dla kobiet godną szacunku alternatywą małżeństwa - każda wolna dziewczyna była potencjalną kandydatką na żonę. I z pewnością nie było w Hampton ani jednego mężczyzny, który nie zastanawiał się, co by było, gdyby mógł sobie pozwolić na małżeństwo z Tracy Egan. Tracy obracała się w kręgu ludzi znacznie starszych niż ja. Byłem na tyle dorosły, by jadać przy stole Prune w towarzystwie osób starszych ode mnie o pokolenie. Ale rzadko zapraszano mnie do innych domów, w których bywała Prune. Natomiast Tracy dość często zapraszali najbogatsi mieszkańcy Hampton. Teraz widzę, że większość spośród nich stanowili ludzie młodzi. Ale kiedy miałem siedemnaście lat, każdy mężczyzna dwudziestosześcioletni-, dwudziestosiedmioletni-, czy dwudziestoosmioletni wydawał mi się nieznośnie stary.

- Jak ty możesz się z nimi zadawać? - spytałem ją z przekąsem pewnego popołudnia, podczas czyszczenia koni.

Rzuciła mi spod grzywy lśniących włosów to samo spojrzenie, które opisałem poprzednio.

- To łatwe - odparła. - Oni niczego ode mnie nie oczekują.

- Czy próbują cię całować? - spytałem.

- Nie. - Odwróciła się, więc nie widziałem jej twarzy. - W każdym razie nie wszyscy. -
Potem spojrzała na mnie wyzywająco. - A nawet gdyby próbowali, potrafię ich powstrzymać.
Kiedy nie odzywałem się przez kilka minut, powiedziała zza moich pleców:

- Proszę cię, przynajmniej ty nie zadawaj mi takich pytań.

Byłem w niej zakochany. Musiała o tym wiedzieć. Ale zawarliśmy z sobą pewną milczącą umowę - że nie będziemy się umawiać na randki. Miałem chyba nadzieję, że warunki tej umowy ulegną w ciągu tego lata zmianie, ale teraz, kiedy lipiec dobiegał końca, widziałem już, że tak się nie stanie.

- Myślałem po prostu...

- Co myślałeś? - spytała cicho.

- Myślę, że jesteś na to za dobra - odparłem.

Wypuściła z ręki zgrzebło i wyszła z ciemnej stajni w jasność lipcowego dnia.

Czekałem przez kilka minut, zastanawiając się, czy wróci, a kiedy tego nie zrobiła, ruszyłem jej śladem. Stała oparta o barierę. Przystanąłem za nią.

- Przepraszam - powiedziałem.

- Ja też przepraszam - odparła nie odwracając się. Potem spojrzała mi w twarz i spytała: - Nie rozumiesz tego, prawda?

- Ale chciałbym.

Jej oczy wypełniły się łzami.

- Nie jestem inteligentna - zaczęła odwracając się do mnie plecami, bym nie widział, że płacze. Podeszedłem bliżej i położyłem dłoń na jej ramieniu. Odruchowo cofnęła się, ale potem jej napięcie wyraźnie zelżało. Odwróciła się do mnie i zbliżyła twarz do mojej. Jej załzawione oczy wydały mi się większe niż kiedykolwiek przedtem. - Nie jestem inteligentna, Ben - powtórzyła. Wciągnęła powietrze, przełknęła ślinę i powiedziała jeszcze ciszej: - A człowiek, który nie jest inteligentny, musi robić to, co mu każą.

Staliśmy naprzeciw siebie, bardzo blisko. W końcu Tracy przerwała milczenie.

- Jeśli mamy być przyjaciółmi, Ben, musisz pozwolić mi robić to, co muszę.

Tego popołudnia zrozumiałem, co mają na myśli autorzy książek, którzy piszą, że komuś pękło serce. Poczułem, że przeszywa mnie prawdziwy ból. Ale myśl o jej utracie była gorsza niż obawa, że nigdy więcej jej nie zobaczę.

- W porządku - powiedziałem w końcu. Położyła mi dłoń na ramieniu.

- Bądź moim przyjacielem, Ben - powiedziała. - Proszę.

Pozostaliśmy więc przyjaciółmi, a ja nadal musiałem żyć w świadomości, że moje uczucia nieustannie odbijają się na mojej twarzy. Widywałem Tracy wieczorami, kiedy w niebieskawym zmroku lata przejeżdżała obok mnie w kabrioletach starszych chłopców. Ale chyba żaden z nich nie osiągnął wiele, gdyż wszystko odbywało się według rytuału, który w końcu rozszyfrowałem. Na początku byli zachwyceni, że Tracy zgadza się z nimi spotykać,

więc ich zachowanie było bardziej nienaganne niż wtedy, kiedy się do niej zalecali. Potem znikali nagle na kilka dni, a kiedy pojawiali się ponownie, nie chcieli mówić o tym, co między nimi zaszło. Tracy zyskała opinię księżniczki z krainy lodu, a wszystkie dotyczące jej rozmowy przy barze zabarwiły się z czasem odrobiną goryczy.

Nabrałem więc pewności siebie. Nie liczyłem na to, że pewnego dnia połączy nas coś więcej niż przyjaźń, lecz na to, że nie będę miał poważnych konkurentów. Pomyliłem się jednak. Wiedziałem już bowiem to i owo na temat pieniędzy i powinienem był wiedzieć, że matka Tracy nie po to zainwestowała tego lata tak duże sumy, by wrócić do Baltimore z pustymi rękami.

Na dziesięć dni przed pokazem koni wyszedłem z domu Prune i zobaczyłem na podwórku Harry'ego Boetchnera, który wyładowywał towar z ciężarówki swego ojca. Wydał mi się najprzystojniejszym facetem, jakiego kiedykolwiek widziałem. Tego lata dostrzegałem w każdym młodym człowieku swego konkurenta. Kiedy Harry odwrócił się, podnosząc skrzynkę z zamówionym na ten dzień mięsem, zauważyłem, że jest bardzo wysoki, ma szerokie ramiona, jasne włosy i wielkie, błyszczące oczy. Nie grzeszył urodą. Ale właśnie dzięki temu był tak przystojny, że nawet ludzie znacznie od niego starsi przystawali na ulicy i oglądali się za nim.

Nie miałem pojęcia, że Harry jest miejscową legendą. Gwiazdą lokalnej drużyny futbolowej. W owych czasach ludzie spędzający lato w Hampton dzielili się na dwie klasy. Pierwszą stanowiliśmy my - ludzie bogaci, a drugą - wszyscy inni. Należeliśmy do dwóch różnych światów.

- Dokąd mam to zanieść? - spytał Harry.

- Tam - mruknąłem wskazując tylne wejście do domu.

Minął mnie, nie zerknąwszy w moją stronę.

Wsiadłem do czerwonego kabrioletu i dopiero wtedy stwierdziłem, że ciężarówka Harry'ego zablokowała mi wyjazd. Nacisnąłem klakson. Harry wyszedł dopiero po dłuższej chwili.

- Nie mogę wyjechać - powiedziałem.

Spojrzał na mnie bez słowa, przeszedł przed maską Pontiaca, wsiadł do ciężarówki i bez pośpiechu włączył silnik. W końcu ciężarówka zaczęła się toczyć ryłem po długim podjeździe.

- Błazen - mruknąłem.

Kiedy dotarłem do stajni, Tracy była już na padoku. Znowu dosiadała swojego Championa. Pomachała mi ręką.

- Czy nie wyglądamy pięknie? - krzyknęła do mnie i wszyscy odwrócili głowy, by na nią spojrzeć. Istotnie, wyglądali pięknie. Koń i Tracy. Champion był izabelowatym półkrwi anglikiem. Pasowali do siebie idealnie: jasnowłosa, lekko opalona dziewczyna i olbrzymi,

złocisty ogier. Wsiadłem z samochodu, podszedłem do padoku i oparłem się o barierę.

Tracy podjechała do mnie, zasłaniając mi słońce.

- Wygramy ten konkurs, Champion i ja. Wiesz o tym, prawda?

- Ja w każdym razie stawiam na ciebie - odparłem.

Nagle utkwiała spojrzenie w jakimś odległym punkcie, a ja dostrzegłem na jej twarzy wyraz, którego przez lata nie potrafiłem rozszyfrować. Obserwowała coś, co działo się za moimi plecami, więc odwróciłem głowę, by zobaczyć, co przyciągnęło jej uwagę. I zobaczyłem, że ścieżką wiodącą od klubu nadchodzi Harry Boetchner. Patrzył wprost na Tracy i na jej konia. Ich spojrzenia zetknęły się w jakimś punkcie, a ja miałem wrażenie, że zniknąłem z ich pola widzenia, podobnie jak stajnia i odległe pole golfowe, i że dla nich dwojga istnieje tylko ta jedna chwila.

Tym, co malowało się w tym momencie na jej twarzy, było oczywiście pożądanie. Albo miłość, jeśli ktoś woli to określenie. Problem polegał jednak na tym, że Tracy Egan zobaczyła w końcu mężczyznę, który zainteresował ją tak bardzo, jak ona interesowała wszystkich innych.

Powoli wróciła do otaczającego ją świata. Harry zatrzymał się. Poczulem taki gniew, jakbym wpadł w pułapkę na drodze, która wydawała mi się bezpieczna. Champion poruszył się lekko, przywracając jej poczucie czasu. Zamrugła oczami, jakby budząc się z długiego snu.

- Kto to jest? - spytała głosem, jakiego nigdy dotąd nie słyszałem.

- Nikt - odparłem. - Syn tutejszego rzeźnika.

Teraz już wiem, że istnieją uczucia, nad którymi nie można zapanować. Przeznaczenie chciało, żeby Harry i Tracy przespali się z sobą. Ich ciała porozumiały się w ciągu tej krótkiej chwili, choć stali po przeciwnych stronach stajennego dziedzińca. Ale ja oczywiście jeszcze o tym wtedy nie wiedziałem.

Harry dostrzegł to, co dostrzegali wszyscy inni, ze mną włącznie: jej niezwykłą urodę. Zaczął pojawiać się wszędzie tam, gdzie była, ale zawsze zachowywał dystans. Jak duch stał na krawędzi wydm, kiedy spacerowaliśmy po klubowej plaży. Dostarczał mięso do klubu akurat wtedy, kiedy Tracy była w stajni lub jeździła konno. Kiedy wiozłem ją samochodem Prune do jedynego kina w mieście, zerkałem ponad jej ramieniem i dostrzegałem Harry'ego, który stał na trotuarze i wpatrywał się w nią bez słowa.

Inna dziewczyna mogłaby z tego drwić. Ale Tracy zapadała w milczenie, gdy tylko Harry pojawił się na horyzoncie. Jej życie rodzinne stawało się coraz trudniejsze. Lato dobiegało końca. Tracy posłusznie spotykała się z wszystkimi chłopcami i mężczyznami, jakich gromadziła wokół niej matka. Ale nie dokonała żadnego wyboru i stopniowo rozluźniała kontakty z wszystkimi adoratorami.

Był już ostatni tydzień sierpnia, ostatni tydzień przed konkursem, kiedy wychodząc pewnego popołudnia ze stajni odwróciła się do mnie i powiedziała:

- Lato się kończy.

- Istotnie - przyznałem, gdyż wydawało mi się to oczywiste. Potem dodałem: - A do konkursu już tylko tydzień.

Tracy w nietypowy dla siebie sposób przesunęła dłonią po włosach i spojrzała na mnie stanowczo.

- Nie chcę, żeby to lato się skończyło - powiedziała. Nie bardzo wiedząc, jak zareagować, oznajmiłem:

- Na plaży jest przyjęcie. Czy chcesz tam pójść?

Do tej pory trzymaliśmy się z reguły z dala od naszych rówieśników. Byliśmy przyjaciółmi, których łączyła tego lata łagodna melancholia.

- Zgoda - powiedziała Tracy.

Obeszliśmy budynek klubowy, nie wchodząc do wnętrza. Za bramą skrociliśmy w prawo i pojechaliśmy długą, wysadzaną rozłożystymi kasztanami aleją w kierunku plaży, na której już z daleka dostrzegliśmy dwa ogniska. Na prawo, tam gdzie aleja przechodziła w plażę, odbywało się przyjęcie, o którym mówiłem. Na lewo, o wiele dalej, kręcił się wokół drugiego ogniska znacznie większy tłum ludzi; tam bawili się mieszkańcy miasteczka. Zaparkowałem samochód i podeszliśmy do naszych przyjaciół. Pojawienie się Tracy było wydarzeniem na tyle niezwykłym, że zostaliśmy owacyjnie powitani. Ogniska paliły się do późnej nocy. Wypiłem kilka piw i siedziałem spokojnie przy ogniu, szczęśliwy, że tu jestem. Ale Tracy podeszła do brzegu morza, a kiedy odwróciła się w naszą stronę, zobaczyliśmy w oddali wyraźną sylwetkę Harry'ego Boetchnera. Gdy wróciła do ogniska, ktoś z naszego grona zawołał:

- Hej, Tracy, tam stoi twój cień.

Był to ważny dla niej moment i chyba wszyscy zdawaliśmy sobie z tego sprawę. Stała nieruchomo, patrząc w kierunku wyraźnie widocznej na tle drugiego ogniska sylwetki Harry'ego, który nie spuszczał z niej wzroku. A potem nastąpiło to, co, jak chyba wszyscy wiedzieliśmy, było nieuniknione: Tracy powoli zaczęła się od nas oddalać.

Poczułem atak lęku, jakiego nie zaznałem nigdy przedtem ani potem. Miałem ochotę zerwać się i pobiec za nią. Ale w obawie przed upokorzeniem pozostałem na swoim miejscu. Tracy przebyła już jedną trzecią odległości dzielącej nas od drugiego ogniska, kiedy Harry zorientował się, że idzie do niego. Opuścił swoje towarzystwo i kiedy spotkali się w połowie drogi, rozmawiali ze sobą najwyżej dwie lub trzy sekundy, a potem odwrócili się, ruszyli w stronę łądu i po chwili zniknęli w ciemnościach.

ROZDZIAŁ TRZECI

Zostawiłem Kaleba, który miał zająć się usunięciem ciała Harry'ego, i wróciłem do redakcji. W ciągu minionych dwudziestu pięciu lat wydarzyło się w moim życiu - podobnie jak w życiu innych - wiele ważnych spraw, ale dla niniejszej opowieści istotne jest to, że zbankrutowałem. Okazało się, że czterysta tysięcy dolarów to nie jest suma, która mogłaby wystarczyć na całe życie. Historia jest zbyt długa, by ją tu opowiadać, ale wydałem te pieniądze na kobiety i alkohol, podróże i narkotyki, dobrą zabawę i złych przyjaciół. Kiedy moje środki wyczerpały się, przyjąłem posadę w miejscowej gazecie.

Jej właścicielką była Prune. Nikt nie wiedział, kiedy i jak ją kupiła. Zawsze tak postępowała ze swoimi pieniędzmi. Miała doradców w nowojorskim banku, ale często bywało tak, że wysłuchiwała ich rad, a potem kupowała to, na co miała akurat ochotę. Ku rozdrażnieniu wszystkich zainteresowanych zarobiła w ten sposób niewiarygodnie wysokie sumy. Kiedy jej doradcy oświadczyli, że kupowanie szesnastu hektarów pól kartoflanych przylegających do jej domu tylko po to, aby nikt nie mógł zasłonić jej widoku, jest wyrzucaniem pieniędzy w błoto, Prune i tak je kupiła. W ciągu dwudziestu pięciu lat miasteczko bardzo się zmieniło. W Hampton zaczęli stopniowo osiedlać się przybysze z Nowego Jorku nie należący do naszego towarzystwa, lecz reprezentujący sferę nazywaną przez nas delikatnie „sferą świata mody”, czyli po prostu Żydzi. Pola kartoflane, za które Prune zapłaciła sto tysięcy dolarów, warte były obecnie - według powściągliwych szacunków - dziesięć lub dwanaście milionów.

Tak więc Prune kupiła miejscową gazetę. Kiedy pytano ją, w jaki sposób wydawnictwo to wpadło w jej ręce, udzielała mglistych i tajemniczych odpowiedzi. Ale w dniu, w którym przyjechałem tu z Nowego Jorku, zdumiony, że kuzynka Daphne wytoczyła mi sprawę z powodu czeku bez pokrycia, to właśnie Prune, siedząc w ciemnym salonie i patrząc przez okno na deszcz, który zdawał się odbijać mój nastrój, powiedziała:

- Kochanie, w takim razie musisz iść do pracy.

- Chyba tak - odparłem. Myślałem o tym przez chwilę, przyglądając się ulewie. - Ale co ja mógłbym robić? - spytałem.

- Będziesz musiał pracować u mnie.

- Gdzie?

- W gazecie - odparła i w ten sposób dowiedzieliśmy się, że Prune kupiła gazetę.

Gazeta ta, podobnie jak pola kartoflane, zapowiadała się na kolejną wspaniałą inwestycję. Czterostronicowe pisemko, wychodzące raz w tygodniu, przeobraziło się wraz z napływem letnich gości w dwunastostronicowy dziennik, wypełniony reklamami kosztownych sklepów z antykami, delikatesów, restauracji, hoteli i firm pośredniczących w handlu nieruchomościami.

Część informacyjna ograniczona była do absolutnego minimum. Nie mieliśmy też kroniki towarzyskiej. Zlikwidowała ją Prune.

- Któż chciałby czytać o tych wszystkich starych nudziarzach? - spytała. Ci starzy nudziarze byli przeważnie ludźmi, których znała przez całe życie. Zamiast kroniki towarzyskiej drukowaliśmy pełny i dokładny wykaz wszystkich wydarzeń kulturalnych, organizowanych w pięciu miasteczkach leżących wzdłuż wybrzeża oceanu, i będących przedmiotem naszego zainteresowania.

Gazeta, podobnie jak owe miasteczka, miała dość schizofreniczną osobowość. W zimie, wobec braku wydarzeń kulturalnych, drukowaliśmy informacje. Największą sensacją tej zimy był wyczyn miejscowego bohatera, który wszedł do baru, by zaatakować swego konkurenta do ręki pewnej damy. Konkurent czmychnął, przebiegł na drugą stronę ulicy i zaczął się dobijać do drzwi posterunku policji, którego szefem był Kaleb. Niestety, posterunek był zamknięty, bo Kaleb wyszedł na kolację. Miejscowy bohater wykastrował swego rywala na stopniach komendy.

Natomiast w lecie ograniczaliśmy informacje do minimum z tego prostego powodu, że większość naszych prenumeratorów czytywała stale takie gazety jak „New York Times”, „Washington Post” i „Wall Street Journal”. Ci ludzie kupowali nasze pismo nie po to, by czytać zawarte w nim informacje.

Nie mogliśmy jednak uniknąć zamieszczenia na pierwszej stronie wiadomości o śmierci Harry'ego.

Kiedy wszedłem do redakcji, Magda siedziała przy komputerze. Ona i jej mąż byli właścicielami gazety, zanim kupiła ją Prune.

- Gdzie ty do diabła byłeś? - spytała. Zapaliła Lucky Strike'a, wetknęła go w kącik ust, przemieściła nieco swe obfite ciało na małym biurowym krześle i spojrzała na mnie, przesuwając dłonią po jaskraworudych włosach.

- Na miejscu przestępstwa - odparłem.

- Podobno masz tu pracować - przypomniała mi. Magda zastosowała się do polecenia Prune, ale zatrudniła mnie w redakcji nader niechętnie.

- Harry Boetchner nie żyje - oznajmiłem siadając przy swoim biurku.

Magda dwukrotnie zmrużyła swe mocno umalowane oczy.

- Niemożliwe - powiedziała.

- Został śmiertelnie kopnięty przez własnego konia. Nie gasząc papierosa mrugnęła jeszcze kilka razy.

- Biedny facet - powiedziała w końcu. - Kochał tego konia.

- Owszem - przyznałem. - Jak mam o tym napisać?

- Co stanie się z tym koniem? - spytała Magda.

- Nic.

- To mógłby być ciekawy sposób przedstawienia sprawy.
- Posłuchaj - powiedziałem z gniewem. - Harry Boetchner nie żyje.
- Dla mnie był nieżywy już od wielu lat - oznajmiła Magda i odwróciła się. - Napisz o tym jak chcesz - dodała przez ramię.

- Czy nikt nie przejmuję się śmiercią Harry'ego?

Odwróciła się z krzesłem i spojrzała mi prosto w oczy.

- Harry od cholernie dawna nie przejmował się nikim oprócz siebie - powiedziała. - Przemysł to sobie dokładnie.

Rozwiązałem krawat, rozsiadłem się wygodnie i utkwilem wzrok w ekranie komputera. Zastanawiałem się nad sposobem opisanego wypadku. Miejscowy chłopak robi karierę. Miejscowy chłopak wyjeżdża z miasteczka i wraca jako człowiek bogaty. Miejscowy chłopak zostaje zabity przez konia.

Nic z tego nie wychodziło. Próbowałem opisać całe wydarzenie jako dzieje sukcesu. Próbowałem napisać artykuł o powrocie na stare śmieci. Kiedy w końcu udało mi się spłodzić krótką notatkę, wydrukowałem ją i wręczyłem Magdzie.

- Czy to wszystko? - spytała zerknąwszy na tekst, a potem na mnie.

- Powiedziałaś, że mogę to napisać jak chcę.

- Rany boskie, przecież poświęcamy więcej miejsca plonom pomidorów. - Oddała mi tekst. - Idź i dowiedz się czegoś więcej. Jeśli będziesz musiał, napisz to z punktu widzenia tego konia. - Zanim zdążyłem wyjść, krzyknęła: - I weź aparat! - Reporterzy „Clarion” sami robili zdjęcia. - Sfotografuj jego dom. Sfotografuj konia. Jeśli nie potrafisz nic napisać, wypełnimy szpalty zdjęciami.

Wsiadając do Austina Healeya, którego kupiła mi na urodziny Prune, stwierdziłem, że zrobiło się ciepło.

O północy zamykaliśmy numer, musiałem więc zrobić zdjęcia dla Magdy w ciągu popołudnia i kazać je szybko wywołać. Pojechałem autostradą Montauk w stronę Southampton, gdzie Harry po powrocie kupił swój wspaniały dom. O wiele później dowiedziałem się, że po wyjeździe Tracy przeżył załamanie. Cokolwiek się zdarzyło w czasie tych kilku krótkich dni, zmieniło go nie do poznania. Nie był już zadowolony z pracy u ojca. Nie był zadowolony z pobytu w naszym miasteczku.

I pewnego jesiennego dnia tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego roku wstąpił do piechoty morskiej. Niebawem znalazł się w Azji. I właśnie w Azji odkrył swe prawdziwe powołanie.

Harry był kupcem. Po prostu. Harry kupował tanio, a sprzedawał drogo. Jeszcze jako sierżant piechoty morskiej odkrył, że łatwo postarać się o to, by nie każdy transport docierał do miejsca swego przeznaczenia. Zarabiał kilka dolarów tu, kilka tam. Zaczął doceniać wartość gotówki.

Jeszcze zanim wrócił do Stanów, był człowiekiem stosunkowo zamożnym. I bardzo twardym. Osiadł najpierw na Florydzie, gdzie podobno przerzucił się z handlu bronią na handel narkotykami. Nikt nigdy tego nie dowiedział. Ale w ciągu lat spędzonych w Miami niewątpliwie stał się bogatszy niż kiedykolwiek przedtem. Kiedy ponownie przeniósł się na Północ, miał już pieniądze, do których ciągnął inne pieniądze. Jego nazwisko zaczęło pojawiać się na stronach nowojorskich gazet. Kupił sobie ogromne mieszkanie na Central Park South, skąd mógł oglądać najcenniejsze nowojorskie nieruchomości. Może właśnie ten widok podsunął mu koncepcję dalszego działania. Tak czy owak wrócił w końcu do Hampton. W międzyczasie wszystko się tam zmieniło. Jego ojciec zmarł, a matka sprzedała zakład rzeźniczy. Być może Harry zorientował się, że nastały inne czasy, w których trzeba robić inne interesy. Zaczął kupować ziemię; początkowo bardzo powoli. Odległe farmy, skrawki gospodarstw, każdy kawałek nie zabudowanej ziemi, jaki można było nabyć po umiarkowanej cenie. Jeszcze wtedy, przed pięciu laty, uważano powszechnie, że ktoś, kto mieszka po niewłaściwej stronie autostrady, to znaczy po stronie północnej, mógłby równie dobrze mieszkać w innym kraju. Ale wszyscy przeoczyli to, że obszar ziem leżących po stronie południowej jest ograniczony. A kiedy tereny te zaczęły się kończyć, inne tereny, które wydawały się nieużytkami, tańsze parcele, parcele dostępne dla ludzi miejscowych, były już w rękach Harry'ego Boetchnera.

Rada miejska, której członkowie sami odnosili kolosalne zyski, próbowała różnych sposobów, by zablokować działalność Harry'ego. Groziła, że zmieni przepisy dotyczące gospodarki ziemią. Ale kiedy to zrobiła, przekonała się, że nie można zmienić przeznaczenia działek Harry'ego, nie zmieniając przeznaczenia drobnych skrawków ziemi należących do farmerów, którzy tę radę wybrali. Tak więc Harry stopniowo stał się potentatem na rynku nieruchomości. Potem zaczęły krążyć pogłoski, że Harry nie jest w stanie uruchomić kredytów, że ma różnego rodzaju kłopoty i że jego ziemie znajdą się z powrotem na rynku. Harry zdobył jednak kredyty gdzie indziej - podobno na Florydzie. I zaczął budować domy, które, jak musieliby przyznać nawet jego najbardziej zagorzali zwolennicy, były najmniej atrakcyjnymi domami, jakie ktokolwiek gdziekolwiek zbudował.

Były małe, stały na tysiącmetrowych działkach i miały konstrukcję, która nie pozwalała na ich całoroczne użytkowanie. Ale to zdawało się nie mieć znaczenia. Sprzedawały się jak ciepłe bułeczki, a Harry został zapewne jednym z najbogatszych ludzi w okolicy.

Wszystko to działo się na północ od autostrady. Kiedy jednak nadszedł moment, w którym Harry postanowił kupić dom dla siebie, dom ten stał oczywiście po stronie południowej. W istocie kupił starą, rozległą posiadłość Vanderbiltów, która przylegała do nadmorskich wydm Southampton. Dom, uważany powszechnie za monstrum i dający się porównać do brzydkiego starego wujka, był przeznaczony do rozbiórki. Zbudowany przed stu

laty, kiedy służba była jeszcze dostępna i tania, przeżył swój schyłek już w latach dwudziestych. Nawet Vanderbiltowie uznali, że stanowi on nadmierne obciążenie dla ich finansów i powoli, jak wycofująca się armia, opuszczali stopniowo wielkie pokoje, ograniczając się w końcu do jednego skrzydła, w którym znajdowały się dawniej pomieszczenia dla służby i mniej ważnych gości.

Od czasu do czasu w miejscowej gazecie i na zebraniach rady miejskiej podnosiły się głosy oburzenia, wywołane przez fatalny stan budynku. Widoczne z plaży okna były stale zasłonięte okiennicami. Zaniedbane trawniki przedstawiały opłakany widok. Dach hangaru na łodzie, mieszczącego niegdyś okazały jacht, tak piękny, że każde jego wypłynięcie z przystani ściągało tłumy gapiów, zapadł się kompletnie, a sam hangar wyglądał jak ruina. Ludzie mówili, że dom powinien zostać zburzony. Ale oczywiście nieuchronnym skutkiem jego rozbiórki byłoby pojawienie się na tym ekskluzywnym kawałku plaży szeregu nowych, tandetnych domków.

Więc kiedy Harry kupił tę rezydencję, nikt nie miał w gruncie rzeczy wiele do powiedzenia. Jej renowacja zajęła mu dwa lata. Wielka kupa granitowych bloków wyglądała przez pewien czas jeszcze gorzej niż dawniej, gdyż całe wnętrze zostało dokładnie wypatroszone. Potem powoli, z tygodnia na tydzień, z miesiąca na miesiąc, zaczęło się dziać coś wspaniałego. Dom, jak stary pijak, którego wysłano do kliniki odwykowej i który wraca po operacji plastycznej całkowicie odmieniony, nabrał nowego charakteru. Był piękny. Co więcej, reprezentował wszystko to, z czym mieszkańcy tych stron lubili się utożsamiać. Przerobiony z nienagannym gustem na francuski *château*, dominował nad najdroższym na wybrzeżu skrawkiem plaży.

Tam właśnie zmierzałem, stosownie do polecenia Magdy. Autostrada Montauk była pełna letnich gości, którzy jadąc zderzak w zderzak mijali przydrożne kramy z warzywami, stoiska z kwiatami, przekupniów sprzedających miód i plody oraz nieopisanie brzydkie wyroby ceramiczne, będące dziełem nowej fali artystów. Zjechałem z niej jak najszybciej, to znaczy w Bridgehampton, i podążając wzdłuż wybrzeża mijalem osiedla okropnych domków Harry'ego, a potem skręciłem w Dune Road. Na prawo rozciągały się bagna, które uniemożliwiały w praktyce dalszą zabudowę tych terenów, na lewo zaś, oddalone od siebie jak feudalne zamki, stały ostatnie wielkie rezydencje.

Przy bramie posiadłości Harry'ego zgromadził się już spory tłum. Mocno nacisnąłem klakson i kiedy gapie rozstąpili się niechętnie, ruszyłem długim podjazdem w stronę domu. Od powrotu Harry'ego byłem tu już kilkadziesiąt razy. Staliśmy się bowiem, w pewnym sensie, przyjaciółmi. Kiedy minąłem drugą bramę i byłem już na dziedzińcu, piękny, odnowiony przez Harry'ego dom znalazł się tuż przede mną. Był tak rozległy i szeroki, że przez chwilę zdawał się zasłaniać niebo. Nagle zrobiło mi się bardzo przykro z powodu tego, co zaszło. Biedny Harry, pomyślałem, przypominając sobie komentarz Kaleba. Zawsze

kochał nie to, co powinien. Dom zdawał się wiedzieć już o śmierci swego właściciela. Choć Harry miał nadzieję przywrócić mu dawną świetność, musiał ograniczyć liczbę służby do sześciu osób. Żadna z nich nie była widoczna.

Kiedy znalazłem się na dziedzińcu, wysiadłem z samochodu czując wielki smutek. Cicho zatrzasnąłem drzwi i ruszyłem w stronę wejścia. Mocno zastukałem wielką, majestatyczną kołatką, którą Harry tak bardzo lubił. Uderzenie rozbrzmiało echem na całym dziedzińcu i odbiło się od zasłoniętych okien, które miałem tuż przed sobą. Kiedy byłem tu ostatnim razem, nad dziedzińcem rozciągnięty był różowo-niebieski płócienny dach, pod którym przy dwunastu stołach ucztowała setka gości. Stałem dość długo i zacząłem się już zastanawiać, czy nie obejść domu i nie zajrzeć do pomieszczeń dla służby, kiedy drzwi zostały nagle otwarte.

Mogłoby to być złudzenie wywołane przez światło słoneczne, ale dziedziniec był nieco osłonięty. Tak czy owak przez chwilę nie miałem wątpliwości, że stoi przede mną Tracy Egan.

Moje zaskoczenie musiało być widoczne, bo kobieta powiedziała:

- Cześć. - A potem pochyliła głowę gestem tak przypominającym zachowanie Tracy, że wychyliłem się do przodu i oparłem dłoń o drzwi, by zatrzymać całą scenę, nie dopuścić do jej nieuchronnego zniknięcia. Ta kobieta była duchem. Na pewno.

- Kim pani jest? - spytałem.

Uniosła głowę i spojrzała mi prosto w oczy, a potem odrzuciła włosy do tyłu, przez ramię, dokładnie tak, jak robiła to Tracy.

- A kim pan jest? - spytała. - Ja mam prawo tu być. Jestem żoną Harry'ego Boetchnera.

Zdumienie odebrało mi głos. Stałem i patrzyłem na nią, przekonany, że zjawa zniknie za chwilę z moich oczu.

- Jeśli przyjechał pan tu, żeby zobaczyć się z Harrym... - zaczęła.

Moje serce chyba przestało bić. Dokładnie pamiętam tę chwilę. Odległe krzyki mew, dziwne wrażenie ciszy, która zapadła na dziedzińcu, patrząca mi prosto w oczy kobieta.

- Kim pani jest? - spytałem ponownie.

Cofnęła się w głąb mrocznego korytarza i zaczynała już zamykać mi drzwi przed nosem, kiedy wysunąłem nogę i zablokowałem je. Miałem wrażenie, że przelewa się przeze mnie olbrzymia fala gniewu. Biedny Harry nie żyje. Już po wszystkim. Kim jest ta oszustka? Na widok mojej wściekłości cofnęła się do holu.

- Wezwę policję - powiedziała.

- To powinno być interesujące - odparłem. - Policja zabiera właśnie ciało Harry'ego z miejsca wypadku.

Chciałem ją zaskoczyć. Tymczasem ona wyraźnie się zachwiała. Różnobarwne plamy światła przenikającego przez wysokie, ozdobione witrażami okna, zmąciły jasność mojego widzenia. Kiedy jej kolana ugięły się i upadła na kamienną posadzkę, miałem wrażenie, że oglądam całą scenę w kolorowym kalejdoskopie. Usłyszałem, jak jej głowa uderza głucho o podłogę. Potem znów ogarnęła mnie cisza.

Stałem nieruchomo chyba przez całą minutę. Teraz widziałem już, że leżąca na podłodze kobieta jest młodą dziewczyną. Podobieństwo było wprost niesamowite. Kiedy patrzyłem na skuloną u moich stóp postać, zacząłem dostrzegać inny obraz. Ale nie był to obraz Tracy Egan; był to obraz leżących na stajennej podłodze zwłok Harry'ego. Drżąc na całym ciele, przyklęknałem i wyciągnąłem rękę, nadal chyba wierząc, że obraz ten lada chwila zniknie i że pozostanę w holu zupełnie sam.

Ale moje palce dotknęły ciała. Ciepłego i miękkiego ciała. Kiedy położyłem dłoń na jej policzku, zatrzepotała nagle powiekami i w jej szeroko otwartych oczach dostrzegłem wyraz przerażenia.

- Jeśli zostawi mnie pan w spokoju... - wyszeptała. Jej głos był tak delikatny jak szmer letniego wiatru, wdzierającego się do holu przez przeciwległe drzwi, drzwi wychodzące na taras i na wielki, biegnący ku morzu trawnik. - ...oddam panu wszystkie pieniądze, jakie mam.

Nadal klęczałem przy niej. Moja dłoń zdawała się być zawieszona między nami; nie dotykała już jej policzka, ale jakby nie chciała powrócić do mnie.

- Gdzie jest służba? - spytałem.

Dwukrotnie mrugnęła oczami, jakby nie wiedząc, czy mi odpowiedzieć.

Wstałem i cofnąłem się. Dziewczyna nadal leżała na kamiennej posadzce, na której igrały różnobarwne plamy światła.

- Harry zawsze miał w pobliżu liczną służbę - powiedziałem. - W każdym razie liczniejszą niż ktokolwiek inny.

Dziewczyna odsunęła się ode mnie o jakiś metr.

- Kim pan jest? - spytała ponownie. Ale teraz jej głos był silniejszy i wyczułem w nim południowy akcent. Akcent, który znowu przypomniiał mi Tracy. Ale w gruncie rzeczy przez całe życie nie mogłem zapomnieć o Tracy, no i kiedy dziewczyna wysunęła głowę do przodu i wstała, zerkając na mnie spod oka, mógłbym przysiąc, że mam przed sobą Tracy Egan.

- Jestem Benjamin Harriman - oświadczyłem. - Jeszcze raz pytam, kim jest pani.

Zignorowała moje pytanie. Wyprostowała się i z jej szczupłej sylwetki - sylwetki Tracy - nagle zaczęła emanować pewność siebie. Spojrzała na mnie wyniośle.

- Harry nigdy mi o panu nie wspominał.

- W takim razie oboje jesteśmy w takiej samej sytuacji. Bo mnie nigdy nie wspominał o pani.

Zaczęła się ode mnie oddalać. Jej szczupłe, długie nogi były wyraźnie widoczne pod czarnymi, jedwabnymi spodniami, a krótkie, jasne włosy ledwie dotykały kołnierza beżowej bluzki z szerokimi ramionami.

- Nie zadała mi pani jednego ważnego pytania - zawołałem, kiedy dochodziła już do drugiego końca holu.

Zatrzymała się i spojrzała w moją stronę.

- Bo nie chcę znać odpowiedzi - odparła, również podniesionym głosem.

- Zabił go jego koń - oznajmiłem. I byłem zaszokowany, słysząc w swym głosie niemal odcień satysfakcji.

Stała na przeciwległym końcu holu, przy wychodzących na taras drzwiach, i przyglądała mi się uważnie. Miałem wrażenie, że wydała jakiś stłumiony okrzyk, ale nie byłem tego pewien, gdyż odwróciła się nagle i wybiegła na dwór.

Zostałem sam. Widmo zniknęło. Podeszedłem wolno do drzwi, które zostawiła otwarte na oścież, nadal mając chyba nadzieję, że kiedy wyjdę na taras, nie zobaczę nic niezwykłego. Najwyżej gromadkę zebranej na trawniku służby. Ale kiedy byłem w połowie drogi, usłyszałem nagle jej łkanie. Potem, stopniowo, płacz stawał się coraz głośniejszy, a kiedy dotarłem do drzwi, jej głos rozbrzmiewał już w całym, wysokim na dwa piętra holu.

Znalazłem ją na tarasie. Siedziała na długiej, przylegającej do trawnika balustradzie, a jej przygiętymi ramionami wstrząsało suche łkanie. Coś musiało się wydarzyć między jej zniknięciem za drzwiami, a moim wyjściem na taras. Nie potrafię opisać tego w żaden inny sposób, powiem więc tylko, że poczułem się tak, jakbyśmy znali się oboje od dawna. Przeszedłem przez taras, objąłem jej ramiona i przytuliłem ją łagodnie do siebie. Zawahała się. Nadal wstrząsało nią łkanie, więc z trudem chwyciła oddech. W końcu osunęła się ku mnie, a ja, trzymając ją mocno, poczułem dziwny dreszcz, w którym było trochę pożądania, trochę utraconych marzeń i trochę szacunku dla tego, co - jak widziałem teraz - osiągnął Harry Boetchner.

Kiedy szloch ucichł, nadal trzymałem ją w ramionach. Na ogromnym tarasie zapanowała nienaturalna cisza. Widoczny przed nami trawnik był całkiem pusty, podobnie jak ogrody, jak długie pasmo złotych wydm, przypominających z tej odległości szańce, i jak rozciągający się za plażą nieruchomy, rozległy ocean. Nie myślałem o niczym. Ale wiedziałem już, kim musi być. Nie wypuszczałem jej z objęć. W końcu podniosła głowę i spojrzała na mnie. W świetle słońca odkryłem, że w gruncie rzeczy jest jeszcze niemal dzieckiem.

- Jest pani córką Tracy Egan, prawda? - spytałem.

- Tracy Lyle - szepnęła. - Tak. Nazywałam się Helen Lyle. Skąd pan wie? Czy zna pan moją matkę?

- Znałem ją - odparłem. - Kiedyś, bardzo dawno temu.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Pogoda zawsze była lustrzanym odbiciem moich nastrojów. Tego wieczora, kiedy Tracy Egan odeszła od naszego ogniska i ruszyła przez plażę w kierunku Harry'ego, poczułem lęk, którego przez wiele lat nie potrafiłem pojąć. Moi przyjaciele patrzyli na mnie ze współczuciem. Siedziałem pogrążony w swym nieszczęściu przy ognisku, próbując zrozumieć, dlaczego czuję się tak okropnie, choć w gruncie rzeczy nie straciłem niczego, co naprawdę należałoby do mnie. Wkrótce znad morza napływać zaczęły chmury. Zapadł wieczorny chłód. Członkowie naszej paczki włożyli swetry i kurtki, a bawiący się dalej mieszkańcy miasteczka poszli wkrótce za ich przykładem. Kiedy spadły pierwsze krople deszczu, pędziliśmy już jak lemingi w stronę naszych samochodów.

Deszcz był z początku lekki; potem, gdy chmury zasłoniły gwiazdy i księżyc, stał się bardziej ulewny. Kiedy podjechałem pod rezydencję Prune, cały dom - łącznie z sypialnią Daffy - tonął w ciemnościach. Światło paliło się tylko w małej sali balowej, na samym końcu budynku. Wiedziałem, co to oznacza: Prune pije.

Po wejściu do domu przeszedłem kolejno wiele pokoi. Ich umeblowanie wydało mi się tak ponure, że zrozumiałem, dlaczego właścicielka rezydencji wpadła w nałóg. Zbliżając się do sali balowej usłyszałem płynącą z archaicznego patefonu smutną, romantyczną piosenkę, nagraną na jedną ze starych, zgrzytliwych płyt, które zbierała Prune. Był to jeden z interesujących aspektów jej życia; potrafiła wkładać zniszczony płaszcz i chodzić godzinami po sklepach Greenwich Village, szukając swych ukochanych starych płyt. Dziś trzymała ją w uścisku swego własnego smutku Bessie Smith.

„You're nobody till somebody”, śpiewała rzewnie, kiedy wchodziłem do sali balowej. W tym małym, pięknym pokoju, otoczonym z trzech stron oknami, odbywały się niegdyś tańce. Zastałem to, co spodziewałem się zastać. Pod wielkim kandelabrem tańczyła samotnie Prune.

Przyglądałem się przez chwilę drobnej kobiecie, tańczącej bardzo wolno w pustej sali, ze szklanką w ręku. „Till somebody loves you”, oznajmiła Bessie Smith. Prune tańczyła dalej.

Potem zobaczyła mnie. Zatrzymała się w miejscu i patrzyła w moją stronę przez chwilę, usiłując skupić na mnie spojrzenie swych szklistych od dzinu oczu. W oddali błysnął piorun, a potem rozległ się huk grzmotu.

- Ciężkie czasy, co? - spytałem powtarzając jej własne słowa, które wypowiedziała na powitanie, zaraz po moim przyjeździe.

- Nie powiesz o tym nikomu, prawda? - spytała.

Wiedziałem, co ma na myśli. Chodziło o moją kuzynkę Daphne. Można było na wiele sposobów usprawiedliwić jej gniew i oburzenie na matkę. Matka-alkoholiczka nigdy nie jest dla dziecka pociechą.

- Nie, Prune. Nie powiem nikomu.

W tym momencie nad polami kartoflanymi rozszalała się burza. Słuchaliśmy w milczeniu. Prune nadal chwiała się lekko w takt muzyki z zamierającej płyty, a Bessie Smith śpiewała coraz wolniej, jakby wyczerpywała się jakaś niewidzialna, zainstalowana w niej bateria. W końcu gdzieś w oddali przeleciała błyskawica i tonący w delikatnym świetle pokój rozjarzyła na chwilę biała poświata, w blasku której odkryliśmy wzajemnie swe wnętrza.

Być może w świetle tego błysku, który trwał ułamek sekundy, Prune dostrzegła mój smutek. Gdyż w typowym dla alkoholików nagłym przypływie energii wyprostowała się, podeszła do patefonu i zdjęła ramię z płyty, a potem odstawiła szklanę. Spojrzała na mnie z przeciwległego końca pokoju. Za kolistym szeregiem okien padał hałaśliwie deszcz.

- Nie sądzę, żebym mogła ci dziś wieczorem wiele pomóc, kochanie - powiedziała.

- Nie sądzę, żeby dziś wieczorem ktokolwiek mógł mi pomóc - odparłem.

Przez kilka sekund staliśmy w złotej sali balowej, patrząc na siebie i słuchając padającego za oknami deszczu. Potem powiedziałem:

- Do diabła, jakie znaczenie ma jeszcze jedno złamane serce, prawda?

Miałem wrażenie, że stała się nagle jakby mniejsza. Splotła ramiona i odwróciła się, by spojrzeć na deszcz.

- Nie ma nic ważniejszego niż miłość - powiedziała. Musiała usłyszeć samą siebie, bo wybuchnęła perlistym śmiechem. - Jeszcze jeden pijacki aforyzm.

- Nie mów tak, Prune. Przecież wiesz, że nie powinnaś tak mówić.

Nadal stała do mnie tyłem. Potem odwróciła się i spojrzała na mnie uważnie.

- Okropnie mi wstyd za siebie, Ben, ale chyba się rozpłaczę.

Miałem wtedy siedemnaście lat. Nie wiem, co bym począł, gdyby Prune zaczęła płakać. Zrobiłem więc jedyną rzecz, jaka przyszła mi do głowy.

- Do diabła, Prune - powiedziałem. - Napijmy się i zatańczmy.

Kolejna błyskawica, której towarzyszył ogłuszający grzmot, zamieniła na chwilę salę balową w biało-czarny negatyw. Potem znów znaleźliśmy się w ciepłym świetle kandelabru.

- Powinnam być w stanie powiedzieć coś mądrego, prawda? - spytała Prune. - Powinnam zachować się jak dojrzała kobieta, powiedzieć ci, że to nie boli, powiedzieć ci, że to nie ma znaczenia. Ale nie potrafię.

- Więc zrób to, co potrafisz, Prune. - Przeszedłem przez pokój i zacząłem nakręcać patefon. - Zatańcz ze mną.

Tańczyliśmy więc w pustej sali balowej, przy dźwiękach padającego za oknami deszczu, przy huku grzmotów i świetle błyskawic. Tańczyliśmy długo, robiąc przerwy tylko

wtedy, kiedy Prune chciała się napić. Burza oddalała się powoli, zabierając ze sobą najpierw błyskawice i grzmoty, a potem również deszcz. A Prune i ja nadal tańczyliśmy. W końcu poczuła się zmęczona. Kiedy zaczęła zwisać w moich ramionach, uznałem, że czas położyć ją do łóżka. Dziwna, blada, matowa szarość nieba dowodziła, że zbliża się świt.

- Chodź - powiedziałem do Prune. - Położę cię spać. Prune zachichotała.

- I nigdy nikomu o tym nie powiemy.

- Nie, Prune - obiecałem. - Nigdy nikomu nie powiemy.

Pomogłem jej wejść po szerokich schodach i zaprowadziłem do sypialni, gdzie położyłem ją w ubraniu na łóżku i przykryłem różową narzutą. Potem poszedłem do swego pokoju i obserwując wschodzący nad polami kartoflanymi świt doszedłem do wniosku, że są w życiu gorsze rzeczy niż pijaństwo. Gorzej jest na przykład rozmyślać na trzeźwo o czekającym nas życiu, o wszystkich jego troskach i bolesnych niepowodzeniach, które - jak zacząłem dopiero zdawać sobie sprawę - są nieodłączną częścią ludzkiego bytu.

Nie mogłem spać. Więc pojechałem do stajni, mając chyba nadzieję, że zjawi się tam Tracy. Champion stał w swym boksie, czekając na nią. Podszedłem do niego i pogłaskałem go po pysku.

- Przykro mi, staruszk - powiedziałem. - Chyba obaj zostaliśmy wystawieni do wiatru.

Potem zjawił się masztalerz, który zabrał Championa na trening, a ja wyprowadziłem swojego konia i galopowałem na nim najszybciej jak mogłem najpierw wokół padoku, a potem po długiej ścieżce, którą wyjeżdżało się poza tereny klubowe.

Coś się skończyło - i nie była to moja przyjaźń z Tracy Egan. Nie było to nawet lato, które miało niebawem ustąpić miejsca jesieni. To było coś, co było we mnie, a ja, zmęczony i niewyspany, zacząłem z pewną satysfakcją przyglądać się swemu smutnemu i melancholijnemu wizerunkowi. Kiedy wróciłem z przejażdżki, byłem wyczerpany. W północy dojechałem do nienaturalnie cichego domu, w którym służba chodziła na palcach, by nie zakłócić pijackiego snu swej pani, wszedłem na górę do swego pokoju, padłem na łóżko i natychmiast straciłem przytomność.

Kiedy się obudziłem, znowu było ciemno. W domu nadal panowała cisza. Wywlokłem się z pokoju, dotarłem po długim wschodnim dywanie do klatki schodowej, zszedłem na dół i zajrzałem do salonu, w którym siedziała przy kominku roztrzęsiona Prune. Uniosła ku mnie zmęczoną twarz.

- Bardzo mi przykro - wymamrotała.

Nie byłem pewien, czy przeprasza mnie za swoje zachowanie, czy wyraża żal z powodu tego, co mi się przydarzyło. Położyłem palec na ustach.

- Nie złam naszej tajemnej przysięgi - powiedziałem - bo będę musiał wyrzucić cię ze stowarzyszenia.

- Kocham cię - odparła z bladym uśmiechem. - Wiesz, że bardzo cię kocham, prawda?

- Owszem, Prune, wiem o tym.

- Nie wiem, czy jest to coś, z czego powinieneś być zadowolony - powiedziała sięgając po filiżankę wypełnioną ciemnym płynem, który, nie miałem wątpliwości, był po prostu amerykańską whisky. - Być może jesteśmy do siebie zbyt podobni.

- Mogę to znieść - odparłem.

Pociągnęła łyk bourbona, uniosła swą szczupłą twarz i spojrzała na mnie szeroko otwartymi oczami.

- Nigdy nie wiadomo, ile człowiek może znieść, Ben. Dopóki nie musi tego znieść.

Zdałem sobie sprawę, że po nerwowej popołudniowej drzemce nie zdążyłem jeszcze się wykapać i nadal unosi się wokół mnie odór końskiego potu.

- Czy pozwolisz, że ja też się napiję, Prune? Filiżanka zadrżała lekko.

- Czy jesteś pewien, że masz na to ochotę?

- Nie martw się o mnie, Prune.

- Och, ja już dawno przestałam się martwić - powiedziała podnosząc do ust filiżankę i patrząc w ogień.

- Odkryłam, że wszystko, co mnie martwiło, okazało się niezbyt ważne. A sprawy, o które nie martwiłam się nigdy, wróciły, by mnie nękać.

Nalałem sobie drinka i usiadłem obok niej przy kominku. Przez kilka minut wpatrywałem się w swoją szklanę.

- Tracy Egan odeszła wczoraj z Harrym Boetchnerem - wykrztusiłem w końcu.

Ogień zatrzeszczał i Prune wzdrygnęła się. Nie wiem, czego się po niej spodziewałem. Chyba tego, że mnie pocieszy. Albo okaże niezadowolenie. Ale ona powiedziała tylko:

- Biedna dziewczyna.

Poczułem, jak zaskrzył się we mnie gniew, przypominający wczorajsze pioruny. Prune musiała to odczytać z mojej twarzy.

- Oczywiście, ty też byłeś w niej zakochany - powiedziała.

- Tak - odparłem. - Chyba byłem.

- Nie zrozumiesz tego, co ci powiem, ale masz szczęście. Ta dziewczyna to wisząca w powietrzu katastrofa.

Wypiłem łyk i spojrzałem w ogień.

- Proszę cię, Prune, nie dawaj mi dorosłych rad - powiedziałem.

Mimo osłabienia, zdobyła się na blady uśmiech.

- W porządku. Zawrzemy umowę. Ja nie będę ci dawać dorosłych rad, a ty nie będziesz mi dawał rozsądnych rad, jakich lubią udzielać ludzie młodzi.

W tym momencie pojawiła się pokojówka, by oznajmić, że podano kolację, ale Prune Wstała niepewnie i powiedziała:

- Myślę, że położę się dziś trochę wcześniej.

Daphne mieszkała chyba u przyjaciół czekając, aż jej matka przestanie pić, więc siedziałem samotnie w jadalni, czując zapach mego własnego ciała i alkoholu. Mimo całej litości nad sobą samym miałem zaskakująco dobry apetyt. Byłem odświeżony popołudniową drzemką i rozgrzany szklaneczką bourbona, więc niebawem wróciłem do swego pokoju, wziąłem prysznic, przebrałem się, a potem wyszedłem z domu, by wyruszyć na kolejną długą, bezcelową przejażdżkę po okolicy.

Po deszczu, który spadł poprzedniego dnia, wieczór był chłodny. Nad polami unosił się zapach wilgoci - w powietrzu wisiała jesień. Pojechałem bez celu autostradą, a potem skręciłem na północ. Krążąc po bocznych szosach wśród stojących samotnie na pustych polach farm dotarłem do drogi, po której jechałem kiedyś konno z Tracy Egan. Tego dnia droga była śliska od błota, więc zastanawiałem się przez chwilę, czy Pontiac pokona wzgórze. Potem uznałem, że ryzyko jest zbyt wielkie, więc zatrzymałem samochód, wysiadłem, i z rękami w kieszeniach szybko ruszyłem naprzód, wdychając chłodne powietrze wieczoru.

Nadal nękała mnie litość nad sobą, ale poza tym czułem się dobrze, więc mijając kępy laurowych drzewek szybko dotarłem po mokrej trawie na szczyt wzniesienia, z którego wraz z Tracy oglądałem z końskiego grzbietu całą okolicę. Znad morza wiała lekka bryza. Kiedy dochodziłem do wierzchołka, stojące na nim drzewa zaczęły się poruszać, wydając cichy szelest. Na niebie błyszczały jasno liczne gwiazdy. Małe osady, które miały w przyszłości przeżyć burzliwy rozwój i uczynić Harry'ego człowiekiem bogatym, ciągnęły się w oddali jak ozdoby bransoletki. Nagle poczułem chłód, więc minąłem szczyt wzniesienia i zszedłem nieco w dół, by ukryć się przed wiatrem. Stałem tam podziwiając widok i myśląc o tym, że lato się kończy, a ja będę musiał wkrótce wrócić do Wirginii, by stawić czoło wszystkiemu, co może mnie tam oczekiwać.

Usłyszałem ich, zanim ich dostrzegłem. Wiatr zagłuszył moje kroki. Patrząc na ciemną równinę zdawałem sobie stopniowo sprawę, że oprócz szelestu drzew słyszę jakieś inne odgłosy.

Mój umysł odmówił początkowo przyjęcia do wiadomości tego, co usłyszałem. Był to głos Tracy, szept, którego nie zdołałbym rozpoznać, gdybym nie był do niego przyzwyczajony. Błagalny szept.

- Proszę cię, proszę.

Zastygła we mnie krew. Jeśli można powiedzieć, że czyjeś serce przestało bić, moje z pewnością to zrobiło.

Potem dotarł do mnie głos Harry'ego, który słyszałem tylko raz, kiedy pytał mnie o drogę do kuchni Prune.

- Kocham cię. Kocham cię, maleńka. Kocham cię. Kocham cię. Kocham cię.

Brzmiało to w nocnej ciszy jak litania. Jak modlitwa wypowiedziana przy akompaniamencie szelestu drzew pod rozgwieżdżonym niebem. Ale ja wiedziałem, że słyszę głos namiętności.

Nie mogłem się ruszyć z miejsca. Gdybym to zrobił, musieliby mnie dostrzec. Przyznaję ze wstydem, że kiedy odzyskałem zmysły, wyrwałem się z bezruchu i podszedłem bliżej. Zobaczyłem ich. Przypominali jakieś niezwykle, mityczne stworzenie, złożone w połowie z mężczyzny, a w połowie z kobiety. Leżeli spleceni w uścisku, wijąc się w miłosnym uniesieniu. Widziałem jej opalone ciało i jego szerokie plecy. Tracy leżała pod nim, oplatając go namiętnie rękami i nogami, a on rzucał się na nią z pasją, która miała w sobie coś nieludzkiego.

- Kocham cię. Kocham cię. Kocham cię - zapewniał ją nadal.

Ona zaś szeptała w dalszym ciągu:

- Proszę cię. Proszę. Proszę. - Szeptała z taką determinacją, że jej słowa również brzmiały jak modlitwa.

Wiatr nagle ucichł. Zapadła kompletna cisza. Słyszałem tylko odgłosy wydawane przez odległe ode mnie o kilka metrów mityczne stworzenie. Musiałem chyba podejść zbyt blisko, lecz Harry mnie nie zauważył. Ale kiedy on przeżywał szczyt uniesienia, Tracy otworzyła nagle oczy i spojrzała ponad jego muskularnym ramieniem wprost na mnie.

Próbowała się opanować. Ale Harry dobiegał już do mety.

- Kocham cię. Kocham cię. Kocham cię - powtarzał ciągle, a choć Tracy przestała mu odpowiadać, jej ciało nagle wzięło nad nią górę. Najwyraźniej i ona zbliżała się do szczytu: odrzuciła głowę w tył, przymknęła oczy i przylegając do niego całym ciałem wydała z siebie najbardziej nieziemski krzyk, jaki słyszałem w życiu.

Uciekłem. Zanim dotarłem do Pontiac, drżałem na całym ciele. Siedziałem w samochodzie myśląc o tym, że muszę odjechać, włączyć silnik i natychmiast opuścić to miejsce. Nie tylko z obawy, że Harry, dowiedziawszy się o mojej obecności, zbiegnie ze wzgórza i stłucze mnie na kwaśne jabłko - choć chyba i to brałem pod uwagę - ale dlatego, że poczułem nagle porażający lęk. Lęk przed tym, co widziałem. Ten dziki i prymitywny akt płciowy nie miał w sobie nic z seksualizmu przygód moich kolegów czy nawet z moimi najbardziej romantycznymi marzeniami o współżyciu z kobietą.

Drżącą ręką przekręciłem kluczyk i zapaliłem silnik. Włączyłem światła dopiero wtedy, kiedy byłem oddalony od nich co najmniej o ćwierć kilometra. Do tej pory odzyskałem panowanie nad sobą, więc skierowałem się w stronę autostrady. Choć był to kabriolet, udało mi się zapalić papierosa. Zaciągając się dymem myślałem już spokojniej o tym, co widziałem. Miałem nadzieję, że nigdy już nie zobaczę Tracy Egan. Nie mógłbym stanąć z nią twarzą w twarz. Podejrzywałem, że ona również nie będzie w stanie spojrzeć mi w oczy. Wiedziałem, że to, co zaszło na tym wzgórzu między mną a nią - w chwili, kiedy

otworzyła oczy i stwierdziła, że ich obserwuję, a właściwie szpieguję - oddała mnie - podobnie jak wszystkie inne wydarzenia, do jakich doszło w ciągu minionych dwudziestu czterech godzin - od świata mego dzieciństwa.

Wróciłem do domu Prune. Ponownie wziąłem prysznic, szorując się tak starannie, jakbym to ja tarzał się po ziemi. Potem położyłem się w czystej pościeli i natychmiast zasnąłem jak dziecko. Miałem liczne sny. Śnili mi się niemal wszyscy ludzie, których znałem. Moja pierwsza niania, Nanny Neble, moja pierwsza miłość, mała puciołowata Lynn Brown, którą spotkałem w szkole tańca, moja matka, mój ojciec, Prune, Daffy, i oczywiście Tracy Egan. Ale w moim śnie twarze znajomych mi osób zmieniały się natychmiast, gdy odwracałem głowę, by do nich przemówić. Na niektórych z nich malowała się przebiegłość, na innych rozbawienie, na jeszcze innych rozsądek lub zmieszanie, ale żadna z nich nie była twarzą osoby, z którą chciałem porozmawiać.

Kiedy zszedłem na śniadanie, Prune - jak liczni alkoholicy pragnący nadrobić stracony czas - pracowała już w małym gabinecie, który urządziła sobie we wnęce sali jadalnej. Podniosła oczy znad biurka, przy którym siedziała nad kolumnami cyfr.

- Dzień dobry - powiedziała głosem, który, jak dobrze wiedziałem, miał zniechęcić mnie do wspomnienia o wydarzeniach ostatnich dwóch dni.

- Dzień dobry, Prune - odparłem. Wszedłem do gabinetu i pocałowałem ją w policzek, zerkając ponad jej ramieniem na długą listę akcji, spisaną na arkuszu żółtego papieru. - Robisz się coraz bogatsza, co?

Prune spojrzała na mnie z wdzięcznością.

- Z moich doświadczeń wynika - zaczęła, a ja dostrzegłem w jej oczach dowcipną przewrotność dawnej

Prune - że jedynymi rzeczami, jakie warto posiadać, są miłość i pieniądze.

- I zdrowie - dodałem.

Zerknęła na mnie takim wzrokiem, jakby myślała przez chwilę, że ją zdradziłem.

- Tak, zdrowie również - przyznała i wróciła do swych liczb. Przeszedłem do jadalni i zacząłem jeść śniadanie, czytając gazetę, która miała w przyszłości stać się własnością Prune.

Po chwili Prune weszła do jadalni.

- Wychodziłeś gdzieś wczoraj wieczorem - powiedziała. - Słyszałam samochód.

Było to niezwykle stwierdzenie jak na Prune, która nigdy nic mi nie zarzucała i nigdy nie sprawdzała, gdzie byłem.

- Owszem - przyznałem zerkając na nią znad gazety.

Nalała sobie filiżankę kawy i usiadła obok mnie.

- Niepokoiłam się o ciebie - oznajmiła, a ja wiedziałem, że nie posunie się do żadnych dalszych wyjaśnień.

- Niepotrzebnie się niepokoiłaś - odparłem. - Chciałem się po prostu przejechać po okolicy.

Ale na tym się nie skończyło. Wróciło upalne lato. Ziemia zastygła w bezruchu. Pola wyschły, wyblakły i zamieniły się w pył. Drzewa, zasypywane pyłem z pól, stały nieruchomo na skraju dróg. Codziennie chodziłem do stajni, by pojeździć na moim koniu, przekonany, że nigdy więcej nie zobaczę Tracy Egan. Widząc, że na Championie, którego Tracy miała nadzieję zaprezentować na pokazie, jeździ teraz masztalerz, powoli odzyskiwałem pewność siebie.

Krążyły już plotki - musieli je rozpowszechniać uczestnicy naszego pikniku przy ognisku - że Tracy uciekła z Harrym Boetchnerem. Bez względu na źródło tych plotek, akcje Tracy zaczęły szybko spadać. Wspominano o niej czasem drwiąco w naszym klubie, na kortach i na basenie. Nie znaczy to, że zmniejszyła się liczba mężczyzn, którzy mieli na nią ochotę, pragnęli jej, a nawet pożąдали, ale jej potencjalne możliwości zrobienia dobrej partii gwałtownie zmaleły. Dla ludzi z naszej sfery małżeństwo, podobnie jak pieniądze, było towarem.

Zbliżało się Święto Pracy. Dwa lub trzy dni przed konkursem zaczęto ustawiać przeszkody. Kiedy ujrzałem wylaniające się z suchej, sypkiej ziemi namioty sędziów i wznoszone na trawnikach przez nowojorskie firmy niebiesko-białe markizy, pod którymi miano serwować potrawy i napoje, miejsce ulgi, z jaką stwierdziłem, że Tracy nie pojawia się już w klubie, zaczął zajmować żal. To powinien być moment jej triumfu. Kochała tego konia. Powinna zaprezentować go w konkursie i zdobyć błękitną wstęgę. Ale wiedziałem, że teraz jest to wykluczone.

Wieczór poprzedzający konkurs upłynął w klubie pod znakiem hałaśliwej wesołości. Prune siedziała w rogu sali jadalnej wraz z Daphne. Zostałem przez nie zaproszony na kolację i zjawiłem się na niej, sądząc, że zrobię przyjemność Prune. Ale w połowie posiłku zorientowałem się, że upłynie on pod znakiem jednej z owych zajadłych konfrontacji między matką a córką, podczas których ja musiałem odgrywać rolę kłopotliwego świadka. Więc jeszcze przed deserem pożegnałem się z nimi pod jakimś pretekstem i wyszedłem na chłodne powietrze letniego wieczoru.

Nie było tak jasno jak wtedy, kiedy widziałem Harry'ego i Tracy, ani tak ciemno, jak podczas ich pierwszego spotkania. Zostawiłem za sobą gwar rzęsście oświetlonego klubu i poszedłem powoli bocznym podjazdem w stronę stajni. Wewnątrz paliła się lampa. Kiedy się zbliżałem, wyszedł z niej jakiś chłopiec stajenny z dwoma wiadrami owsa i zniknął za rogiem budynku.

Konie chyba przeczuwały nastrój podniecenia, jakie miały przeżywać następnego dnia, bo zachowywały się nerwowo. Ruszyłem wzdłuż boksów i przemawiałem do wszystkich

znanych mi koni, głaskałem je po pyskach, dodawałem im odwagi, życzyłem powodzenia, jakby były ludźmi. I nagle, instynktownie, wyczułem obecność Tracy.

Kiedy podszedłem do boksu Championa, siedziała skulona na sianie pod tylną ścianą. Koń, jakby zdając sobie sprawę z jej kruchości, stał zupełnie nieruchomo. Ale przebywając w jego boksie narażała się na niebezpieczeństwo. Mógł w każdej chwili ją kopnąć, a to groziło śmiercią. Podniosła wzrok i spojrzała na mnie tak samo jak wtedy, nad ramieniem Harry'ego. Ale w jej oczach dostrzegłem inny wyraz, nie będący skutkiem alkoholu, narkotyków czy pożądania. Zrozumiałem jego znaczenie dopiero po latach, kiedy goląc się spojrzałem w lustro. Był to wyraz klęski.

Przez długą chwilę milczeliśmy. Było to tak, jakbyśmy wspólnie przeżyli coś okropnego. W końcu Tracy, nadal skulona przy ścianie boksu, powiedziała:

- Pokochaj się ze mną, Ben. Proszę cię. Pokochaj się ze mną.

Znów zapadła cisza. Nie byłem zaszokowany. Po prostu stałem i patrzyłem na nią. Ona przymknęła na chwilę oczy i dopiero teraz ujrzałem na jej twarzy wyraz bólu.

- Nie gardź mną - poprosiła. - Ty nie możesz mną gardzić. Nie zniósłabym tego.

- Wyjdź stamtąd, Tracy - powiedziałem nie rozpoznając własnego głosu.

Otworzyła oczy, spojrzała na mnie, wstała i bez słowa wyszła z boksu, ostrożnie przechodząc obok nieruchomego konia.

Zdawała się już wiedzieć, że nigdy tu nie wróci.

- Żegnaj, Champion - szepnęła całując go w nozdrza. Potem wziąłem ją za rękę, wyprowadziłem w nocną ciemność i muszę przyznać z wielkim wstydem, że spełniłem jej życzenie. Tam, na polu golfowym, przy akompaniamencie dochodzących z klubu wybuchów śmiechu, posiadałem ją na ziemi, tak jak Harry Boetchner posiadał ją na wzgórzu. Potem, kiedy poprawialiśmy ubrania, odwróciła się do mnie plecami i poczułem, że płacze. Próbowałem objąć ją ramieniem, ale odtrąciła je.

- Nie jestem taka, Ben - powiedziała. - Wcale taka nie jestem.

- Wiem - odparłem, a potem objąłem ją i przytuliłem do siebie tak mocno, że nie mogła się wyrwać. Zacząłem całować jej włosy, które pachniały dokładnie tak, jak się spodziewałem.

- Wiem - powtórzyłem.

- Wychodzę za męża, Ben - szepnęła, nadal nie patrząc mi w oczy.

Mój umysł przeżył coś w rodzaju szoku. Byłem na tyle snobem, że nie mieściło mi się w głowie, by Tracy mogła wyjść za Harry'ego Boetchnera.

- Za niego? - spytałem, a mój głos musiał odzwierciedlać moje zaskoczenie.

Szybko podniosła na mnie oczy, ale teraz dostrzegłem w nich pogardę.

- Nie - odparła. - Nie za Harry'ego. Potem wstała i odeszła z mojego życia.

W tydzień po konkursie zatelefonowałem do domu jej matki. Po nie kończącym się oczekiwaniu usłyszałem w słuchawce jakiś obcy głos.

- Czy mogę mówić z Tracy? - spytałem. - Tu Benjamin Harriman.

- Wyjechały - oznajmił głos.

- Wyjechały...

- Tak. Wczoraj. Ja tu tylko po nich sprzątam. Potem nie słyszałem o niej nic, aż u schyłku jesieni natrafiłem w dzienniku „New York Times” na małą wzmiankę, z której wynikało, że panna Tracy Egan, w wieku szesnastu lat, wyszła za mąż. Ślub odbył się w Baltimore.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Teraz, w dwadzieścia pięć lat później, córka Tracy drżała w moich ramionach. Ponownie poruszyła głową w taki sam sposób, w jaki robiła to jej matka. Trzymałem ją, dopóki nie zaczęła spokojnie oddychać. Spojrzała ponad trawnikami w kierunku wydm i rozległej pustej przestrzeni oceanu, na którym daleko, pod horyzontem, kołysała się jakaś żaglówka.

- Powinam była wiedzieć, że wszystko układało się zbyt dobrze - powiedziała. Nie słuchałem jej uważnie. Ale po raz pierwszy od wielu lat dostrzegłem reakcję swego ciała. Gdybym trzymał ją w ramionach dłużej, zdałaby sobie sprawę, co się ze mną dzieje. Wpuściłem ją z objęć i postąpiłem krok do tyłu.

Byłem całkowicie zdezorientowany. Miałem wrażenie, że cofam się w czasie o wiele lat, aż do tego wieczora, podczas którego kochałem się z Tracy. Stanałem do jej córki plecami, by zebrać myśli i ochłonać.

Kiedy się odwróciłem, była już całkowicie opanowana. Teraz, kiedy siedziała na tarasie w promieniach zmierzającego ku horyzontowi słońca, podobieństwo było uderzające. Była córką swojej matki. Była niemal jej kopią.

- Gdzie jest służba? - spytałem.

- Harry zwolnił wszystkich - odparła zerkając w kierunku zasłoniętych okien rezydencji. - My też mieliśmy wyjechać - dodała.

W mojej pamięci obudziło się mgliste wspomnienie.

Jakaś plotka, jakiś strzęp rozmowy, z którego wynikało, że Harry Boetchner zamierza wystawić swój dom na sprzedaż.

- Kiedy się pobraliście? - spytałem.

- Wczoraj - oznajmiła rzucając mi nieufne spojrzenie.

- Gdzie?

- W Marylandzie. - Zacząłem się nad tym zastanawiać. Słońce opadło już nieco niżej.

Wszystkie okna domu Harry'ego płonęły krwawą łuną, odbijając blask zachodzącego słońca.

- A potem przyjechaliście tutaj? - spytałem.

- Tak. - Słońce rzucało już ostatnie promienie. Zapadał nad nami ciężki, letni zmierzch. Nie widziałem Harry'ego od co najmniej dwóch tygodni. Nie było w tym nic niezwykłego. Choć od jego powrotu byliśmy jakby przyjaciółmi, on stale szedł w górę, a ja spadałem w dół. Łączyła nas jednak nie tylko dawna miłość do Tracy Egan; obaj patrzyliśmy z dystansem na miejsce, w którym mieszkaliśmy i na ludzi, wśród których spędziliśmy młodość.

- Wiem, że to brzmi dziwnie - powiedziała stojąc po drugiej stronie tarasu. - Ale, widzi pan, Harry już taki był. Impulsywny.

Gdybym miał określić Harry'ego Boetchnera jednym słowem, z pewnością nie użyłbym słowa „impulsywny”. Nagle ujrzałem Harry'ego sprzed wielu lat; Harry'ego, który stał na skraju drogi patrząc, jak oboje z Tracy przejeżdżamy samochodem, Harry'ego, który pojawiał się na horyzoncie, by podziwiać ukochaną kobietę. Słowo „impulsywny” nie pasowało do niego. Może był czarujący, może silny, może nawet przebiegły... Wiedziałem, że wykazywał przebiegłość, kupując ziemię i sprzedając ją z tak wielkim zyskiem, czym zresztą naraził się wielu mieszkańcom tych okolic.

Mój sceptycyzm musiał odbijać się na mojej twarzy, bo dziewczyna ponownie odrzuciła włosy do tyłu, ruchem swojej matki, i powiedziała:

- Ja zresztą nic o tym wszystkim nie wiem. Wiem tylko, że Harry nie chciał tu dłużej mieszkać.

Zacząłem się zastanawiać, co robi Kaleb. Jeśli ta kobieta jest istotnie wdową po Harrym, to należy się jej wyjaśnienie dotyczące jego losu.

- Czy ktoś panią tu odwiedził? - spytałem.

- Dzwonił telefon - odparła. - Nie odbierałam go. Tak kazał mi Harry.

- Kiedy?

- Kiedy stąd wyjeżdżał.

Skoro Harry zginął przed świtem, myślałem patrząc na nią w zanikającym świetle, to musiał wyjechać stąd w środku nocy. To dość dziwne jak na człowieka, który wziął ślub zaledwie poprzedniego dnia. Dziewczyna podążała chyba za tokiem mojego rozumowania, bo powiedziała:

- Wiem, co pan myśli. Ale to nie było tak. Musi pan to zrozumieć: w naszym związku nie było nic fizycznego.

- Co pani chce przez to powiedzieć? Przecież pani za niego wyszła.

Znów wykonała ten sam gest, a potem odwróciła się tyłem do domu Harry'ego.

- Owszem - odparła.

- Dlaczego?

- Bo mnie o to poprosił - odparła patrząc na mnie wyzywająco.

Zapadła długa cisza, którą zakłócały jedynie dochodzące z plaży krzyki mew. Z wnętrza domu dobiegł dzwonek telefonu. Widząc, że dziewczyna nie zamierza go odebrać, minąłem ją, wszedłem do holu i idąc za głosem dzwonka odnalazłem telefon. Podniosłem słuchawkę.

- Halo - powiedziałem.

- Co się tam do cholery dzieje? - Był to głos Magdy. Nie odkładając słuchawki odwróciłem się i zerknąłem przez okno gabinetu Harry'ego na młodą wdowę.

- Mnóstwo się dzieje - odparłem.

- Co masz na myśli?

- Jeszcze nie wiem. Być może będziemy mieli wspaniały artykuł.

- Jakim cudem?

Wdowa po Harrym odwróciła się i patrzyła na mnie przez szyby okien gabinetu z takim wyrazem twarzy, jakby mnie słyszała.

- Nie mogę teraz rozmawiać - odparłem. - Porozumiem się z tobą później.

- Porozmawiaj ze służbą! Porozmawiaj ze służbą! Zbierz wszystkie zakulisowe informacje! - wrzasnęła Magda, zanim zdążyłem odłożyć słuchawkę.

Dziewczyna zniknęła mi z oczu. Stałem z ręką na telefonie, próbując odtworzyć przebieg wydarzeń. Wczoraj, w Marylandzie, Harry wziął ślub, wrócił do domu z młodą żoną, odesłał całą służbę, a potem... Ale nie miałem pojęcia, co zdarzyło się potem. Wiedziałem tylko, że w środku nocy Harry pojechał zajrzeć do Championa, swojego ukochanego konia.

Dziewczyna pojawiła się w drzwiach.

- Kto to był? - spytała.

- Redaktorka z mojej gazety - odparłem. Zaplotła ręce na ramionach i zadrżała gwałtownie.

- Myślę, że to będzie sensacyjny artykuł - oznajmiła.

Coś mi się w tym wszystkim nie podobało, ale sam nie wiedziałem co. Kiedy jej powiedziałem o śmierci Harry'ego, zademonstrowała odpowiednio silny szok; opłakiwała go, siedząc na tarasie... ale teraz, stojąc w drzwiach i drżąc na całym ciele, nie objawiała chęci dowiedzenia się czegoś więcej o szczegółach jego śmierci. Nie chciała też obejrzeć jego ciała. Sięgnąłem po słuchawkę telefonu.

- Co pan robi? - spytała stanowczo.

- Dzwonię po policję.

- Dlaczego? - krzyknęła.

- Dlatego, że oni muszą o tym wiedzieć.

- O czym? - spytała nadal podnieconym tonem.

- O pani istnieniu - powiedziałem. Kiedy wykręcałem numer posterunku, nie odzywała się już.

Telefon odebrał młody siostrzeniec Kaleba, pełniący tego lata funkcję jego zastępcy. Powiedziałem mu, że chcę rozmawiać z wujem. Zapadła długa cisza, a potem rozległ się głos Kaleba.

- Do diabła, wygląda na to, że dowiadujesz się o wszystkim wcześniej niż ja.

Myślałem, że mówi o dziewczynie. Ale spytałem:

- O czym?

- O Harrym - odparł Kaleb.

- Ale o czym?

Znów zapadła cisza, tym razem jeszcze dłuższa. W końcu Kaleb powiedział z rezygnacją w głosie:

- Do diabła, nie wiedziałeś o niczym, co?

- Powiedz mi, Kaleb.

- Nie zrobił tego koń - odparł Kaleb, ale jeszcze zanim odpowiedział, wiedziałem - sam nie wiem dlaczego - co zamierza mi oznajmić.

- Więc w jaki sposób zginął? - spytałem.

- Został zabity przysłowiowym tępym narzędziem. - Kaleb zaśmiał się krótko, ale w jego śmiechu było coś nieprzyjemnego. - A jak by mogło być inaczej?

Usłyszałem, że żona Harry'ego porusza się za moimi plecami. Odwróciłem się i spojrzałem na nią przez ramię. Była blada jak płótno, choć nie mogła słyszeć naszej rozmowy.

- Jesteś tam? - spytał Kaleb.

- Tak - odparłem patrząc na wdowę po Harrym. - Jestem tutaj.

- No dobrze, jeśli chcecie o tym pisać, to postarajcie się choć raz podać ściśle wszystkie fakty.

- Jest kilka faktów, których chyba nawet ty jeszcze nie znasz, Kaleb - powiedziałem do słuchawki, nadal patrząc na dziewczynę.

- Na przykład?

- Harry zostawił po sobie żonę - powiedziałem nie odrywając wzroku od jej twarzy.

Zamrugała oczami, ponownie odwróciła głowę i zaczęła wyglądać przez okno.

Kaleb milczał przez dłuższą chwilę.

- Czy mówisz prawdę? - spytał w końcu.

- Skąd do cholery mogę wiedzieć - odparłem obserwując dziewczynę. - To ty jesteś policjantem.

- Znalazłeś ją? - spytał stłumionym głosem.

- Jasne. Jestem tu teraz z nią. - Dziewczyna spojrzała na mnie ostro.

- To znaczy gdzie?

- A gdzie spodziewałbyś się ją znaleźć? - odparłem nie przejmując się jej gniewnym spojrzeniem. - W domu Harry'ego.

- Zostań na miejscu - polecił mi Kaleb. - Zaraz tam jadę. - I odłożył słuchawkę.

W jej ustach cała historia wydawała się bardzo prosta. Kiedy czekaliśmy na Kaleba, opowiedziała mi, jak poznała Harry'ego. Zmierzch przeszedł w wieczorną ciemność, ale nie zapaliliśmy świateł. Zaprowadziła mnie do luksusowo urządzonego salonu, z którego Harry był tak dumny. Potem, choć nie wyglądała na osobę wystarczająco dorosłą, by pić alkohol, naląła nam po drinku. Usiadła na jednej z zielonych, obitych aksamitem sof, które okalały kominek.

- Harry był przyjacielem mojego ojca. Czy wiedział pan o tym?

- Nie - odparłem. - Nie znałem pani ojca.

- Ale znał pan moją matkę.

- Owszem - przyznałem. - Znałem pani matkę. - Odwróciłem głowę, by charakter tej znajomości nie odbił się na mojej twarzy.

- Moja matka i mój ojciec...

- Pani matka - przerwałem.

- Tak. Moja matka. Ona żyje. Nie wiedział pan o tym?

- Nie - odparłem. - Straciłem z nią kontakt już przed wielu laty.

- Tak jak Harry - powiedziała, a ja przez kilka minut nie byłem pewien, co miała na myśli, mówiąc dalej: - Harry, moja matka i mój ojciec również stracili ze sobą kontakt. Spotkali się przypadkowo. W jakiejś waszyngtońskiej restauracji. Mój ojciec jest lobbystą. Ma tam swoją firmę. A Harry przyjechał chyba w jakichś własnych interesach. I spotkali się przypadkiem w Georgetown, w tej restauracji.

Próbowałem wyobrazić sobie tę scenę. Harry załatwia w Waszyngtonie jakieś podejrzane interesy. Być może dotyczące jego tutejszych inwestycji, które wiązały się nie tylko z ziemią i handlem nieruchomościami, lecz również z finansami. Restauracja w waszyngtońskiej dzielnicy Georgetown; kominek, przytulna atmosfera, dobre koktajle. Nagle wchodzi Harry i widzi, że kobieta, która porzuciła go przed dwudziestu pięciu laty, siedzi po drugiej stronie sali. Zerknąłem na jej córkę, zastanawiając się, czy Tracy Egan jest nadal tak piękna jak kiedyś. I kim jest jej mąż? Trudno mi było uwierzyć, że Harry naprawdę znał ojca tej dziewczyny. Ale tym razem stłumiłem niedowierzanie, bo sprawy dotyczące Harry'ego zawsze miały w sobie pewną dozę niezwykłości.

- Tak czy owak - mówiła - Harry i moi rodzice spotkali się w tej restauracji, a ponieważ nie widzieli się od tylu lat, zaprosili go po kolacji do naszego domu. Mieszkamy w Wirginii, tuż za Waszyngtonem. Czy zna pan Wirginię? - spytała.

- Owszem. Wychowywałem się tam.

- W takim razie wie pan, że w Wirginii goście często zostają na noc.

- Owszem - odparłem. - Wiem o tym. - Szczególnie jeśli są pijani, pomyślałem i ujrzałem całą scenę w nieco innym wymiarze. A więc Tracy i jej mąż, być może trochę podpić, zaprosili Harry'ego pod wpływem odruchu do swego domu w Wirginii. Co myślała Tracy, patrząc na Harry'ego po tylu latach? Nie był już wielkim blondynem, jak wtedy, kiedy go kochała. Ale był pociągający. I bogaty, dodałem w myślach.

- Mój ojciec jest już starszym panem - ciągnęła dziewczyna. A ja dodałem do obrazu rzeczywistości nowy szczegół. Tracy i jej stary mąż. Harry po tylu latach. - Łatwo się męczy. Więc kiedy dotarli do domu, wypili chyba jeszcze po drinku. Potem mój ojciec poszedł spać, a Harry i matka rozmawiali przez chwilę o dawnych czasach. - Mogłem sobie to wyobrazić. Zastanawiałem się, które z nich rzuciło drugiemu w twarz pierwsze oskarżenie. - A ponieważ zrobiło się późno, matka poprosiła go, żeby został na noc.

W pokoju było już tak ciemno, że prawie nie widziałem siedzącej na sofie dziewczyny. Podszedłem do ściany, by zapalić światło, ale ona powiedziała:

- Proszę, niech pan tego nie robi. - Pozostaliśmy więc w ciemności.

- Harry spędził noc w pokoju gościnnym, a rano, kiedy zeszłam na dół, spotkałam go przy śniadaniu.

To musiał być niezły widok, pomyślałem. Byłem ciekaw, czy Tracy powiedziała Harry'emu, że ma córkę. Kiedy Harry ujrzał tę dziewczynę przy stole, jego reakcja musiała być z dziesięć lub dwanaście razy silniejsza niż moja.

- Oto jak poznałam Harry'ego - powiedziała. - Od tej pory bywał dość regularnie w Waszyngtonie i za każdym razem do nas wpadał. Przyjeżdżał zawsze na obiad lub kolację, a czasem na cały weekend. Widywałam go więc często i poznałam bliżej.

Czekałam aż powie: „I zakochałam się w nim”, ale nie zrobiła tego.

- Kiedy to było? - spytałem.

- Mniej więcej trzy miesiące temu.

Sam nie wiem, czego się spodziewałem - roku, sześciu miesięcy. Ale trzy miesiące, co oznaczało początek tego lata, stawiały Harry'ego w zupełnie nowym świetle. Zacząłem się zastanawiać, czy dostrzegłem w nim jakąś znaczącą zmianę i musiałem przyznać z żalem, że choć widywałem go często, wydawał mi się taki sam jak dawniej. Harry zawsze przyjeżdżał i wyjeżdżał w interesach, ale nie odkryłem w jego zachowaniu nic, co sugerowałoby, że mógł się zakochać. Potem uderzyła mnie inna myśl: Harry nie wspomniał mi ani słowem o tym, że przed trzema miesiącami spotkał Tracy Egan, której nie widział od dwudziestu pięciu lat.

Myślałem, że znam Harry'ego. Od czasu jego powrotu, czyli od dwóch lat, niemal co tydzień jadał z nami kolację lub wypijaliśmy drinka. Teraz nagle stwierdziłem, że istniał również inny Harry, którego wcale nie znałem. Sam byłem zaskoczony, że tak mnie to złości.

Gniew przebiegł przede mną jak płomień. Ale słuchając dalszego ciągu opowieści tej dziewczyny zdałem sobie sprawę, że tylko raz rozmawiałem z nim o Tracy.

- Szybko wam to poszło - rzuciłem brutalnie w ciemność. Usłyszałem z drugiej strony pokoju głęboki wdech i grzechot kostek lodu.

- To nie było tak - powiedziała. - Mówiłam już. To nie miało w sobie nic fizycznego. On po prostu... - zawahała się, a kiedy zaczęła mówić dalej, jej głos był bardzo delikatny, pełen namysłu - ...on po prostu poprosił, żebym za niego wyszła.

- Kiedy?

- W zeszłym tygodniu.

O mało nie wybuchnąłem śmiechem. Z trudem powstrzymałem się od komentarza.

- Wiem, co pan myśli - powiedziała. - Że wyszłam za niego, choć...

- ...choć go pani nie kochała - dokończyłem za nią.

Zamiast mi odpowiedzieć, wstała, przeszła przez ciemny, ponury salon i zbliżyła się do baru. Poczulem zapach jej perfum i moje zmysły ożyły. Dopiero po kilku sekundach zrozumiałem dlaczego. Były to te same perfumy, jakich używała niegdyś jej matka. Zapewne te same, jakich używała nadal.

- Powody, dla których za niego wyszłam, to sprawa między mną a nim. Nikogo innego nie powinny obchodzić - powiedziała nalewając sobie drinka.

- Tak, chyba ma pani rację - przyznałem.

Znow poczułem zapach jej perfum. Obrzuciła mnie spojrzeniem, które było równocześnie krytyczne i taksujące.

- Tak czy owak, wyszłam za niego - oznajmiła zupełnie innym tonem.

- Wczoraj.

- Tak.

- Potem przybyliście tutaj, a Harry pojechał do swojego konia - stwierdziłem z sarkazmem.

- Nie. - W jej głosie zabrzmiało oburzenie. - Ktoś do niego zadzwonił. Powiedział mi, że musi jechać do miasta w sprawach zawodowych. Nie mogłem nic na to poradzić.

- Więc zostawił panią samą. - Pomyślałem sobie, że nie chciałbym zostawać sam wśród tej kupy kamieni. - W noc poślubną.

- Nie boję się samotności - powiedziała. Potem siedzieliśmy w milczeniu chyba przez dłuższą chwilę. Skończyłem swego drinka i podszedłem do baru, żeby nalać sobie następnego. Zachowywałem się tak jak zawsze, kiedy odwiedzałem Harry'ego. Wdowa po nim siedziała na sofie, sącząc płyn ze swej szklanki. Przez jakieś piętnaście minut każde z nas było pogrążone we własnych myślach. Potem usłyszeliśmy z oddali dźwięk syreny.

Miałem właśnie wstać i wyjść na spotkanie Kaleba, kiedy jej szklanka z głośnym trzaskiem uderzyła o podłogę. Alkohol i lód spadły na wschodni dywan. Dziewczyna,

wyraźnie zmieszana, uklęknęła, by pozbierać kawałki szkła, a ja, patrząc na nią, zdałem sobie nagle sprawę, że jest bardzo wystraszona. Po kilku sekundach podszedłem do niej, chwyciłem ją za ramiona i delikatnie podniosłem z podłogi.

Po raz drugi poczułem pożądanie. Patrząc na tę szczupłą twarz, tę piękną twarz, która prześladowała mnie w snach, z trudem powstrzymałem się od przyciągnięcia dziewczyny do siebie. Ale zobaczyłem, że jest również dzieckiem, przestraszonym dzieckiem o szeroko otwartych oczach.

- Musi pani po prostu powiedzieć prawdę - oznajmiłem.

Jej reakcja nie mogłaby być bardziej gwałtowna, gdybym wymierzył jej policzek. Jej twarz stała się zupełnie pozbawiona wyrazu. Potem, uwalniając się z moich objęć, powiedziała:

- Sądzę, że jedno z nas powinno otworzyć drzwi. Kiedy podszedłem do nich, Kaleb stał już na progu.

Noc była ciemna, a księżyc zasłaniały co chwile szare, upiorne chmury.

- To zmienia sytuację - powiedział Kaleb, poprawiając swój pas i wchodząc do domu takim krokiem, jakby był jego właścicielem.

- Niewiele jeszcze wiesz - oznajmiłem zamykając drzwi.

Zatrzymał się w rozległym holu i spojrzał na mnie.

- Chcesz mi teraz coś powiedzieć? - spytał.

- Nie. Niech ci o tym powie wdowa.

W moim głosie musiał zabrzmieć ton sarkazmu, bo Kaleb stwierdził:

- To rzeczywiście interesująca historia.

- Możesz to tak nazwać.

Kaleb rozglądał się po obszernym holu.

- Harry nieźle się urządził - powiedział.

A więc Kaleb nigdy tu nie był. Wydało mi się to zastanawiające, bo Harry powiedział mi po powrocie, że przyjaźnili się od dzieciństwa.

- Zarobił dużo pieniędzy - przypomniałem mu. Szliśmy w kierunku salonu i widzieliśmy już wdowę po Harrym, pochyloną nad nowym drinkiem. - Za pieniądze można kupić sporo rzeczy - dodałem i sam byłem zaskoczony rozbrzmiewającą w moim głosie goryczą.

- Tak mi mówiono - odparł Kaleb.

Usłyszała nas, kiedy podchodziliśmy do drzwi, uniosła głowę i odrzuciła włosy do tyłu owym dziwnym gestem, tak charakterystycznym dla jej matki. Kaleb, w odróżnieniu od Harry'ego i mnie, nigdy nie kochał się w Tracy Egan, ale musiał ją widywać. Może nawet ją zapamiętał. Z pewnością wiedział, jaki wpływ miała na Harry'ego Boetchnera. Zatrzymał się w drzwiach i usłyszałem jego szept:

- Jezu Chryste!

- To robi wrażenie, prawda? - szepnąłem.

Potem zobaczyłem, jak Kaleb przechodzi interesującą przemianę. Zmiany w Hampton następowały stopniowo i Kaleb przyzwyczał się do niezwykłego bogactwa, z jakim musiał się stykać w trakcie swej działalności zawodowej. Ale teraz, kiedy podchodził do wdowy po Harrym - córki Tracy Egan - zdawał się zachowywać niemal usłużnie. Był wyraźnie onieśmielony. Zdjął czapkę, wyciągnął rękę i oznajmił:

- Nie potrafię pani powiedzieć, pani Boetchner, jak bardzo mi przykro.

Dziewczyna odstawiła szklankę na dywan, otarła nerwowo rękę o czarne, jedwabne spodnie i wstała.

- Pan Harriman podał mi już większość szczegółów - oznajmiła.

Kaleb popatrzył na mnie z wyrzutem. Wzruszyłem ramionami i powiedziałem:

- Cóż tu było do ukrycia? - Ale mówiąc to zerknąłem na nią. Patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami, na wpół oskarżycielskim, na wpół rozbawionym wzrokiem swej matki.

- Obawiam się, że w związku z rozwojem sytuacji muszę pani zadać kilka pytań - powiedział Kaleb tym samym usłużnym tonem.

Nalewałem sobie akurat przy barze następnego drinka.

- Jeśli chcecie rozmawiać w cztery oczy... - zacząłem. Każde z nich zareagowało inaczej.

- Owszem, jeśli nie masz nic przeciw temu - powiedział Kaleb.

- Nie, nie. Proszę, żeby pan został - odezwała się niemal równie szybko dziewczyna.

W oczach Kaleba dojrzałem błysk podejrzliwości. Spojrzał na mnie, potem na nią, potem znów na mnie i powiedział w końcu:

- W porządku. Będę musiał zadać pani kilka pytań tutaj, a potem poproszę, żeby pojechała pani ze mną do miasta.

Znów zaczęła drżeć i usiadła na sofie. Kaleb podszedł bliżej, podniósł z podłogi drinka i podał jej go usłużnie.

- Bardzo mi przykro - powiedział. - Taka jest procedura.

Ze szklanką w rękę usiadłem na drugiej sofie, przodem do nich. Dziewczyna siedziała spokojnie i popijała drinka, który musiał składać się już wyłącznie z lodu. Kaleb stał przyciskając czapkę do brzucha, niczym podwładny wezwany przed oblicze szefa.

- Nie bardzo wiem, od czego zacząć - powiedział.

Roześmiałem się. Może to był wpływ alkoholu, może dziwnego poczucia nierzeczywistości, w jakim żyłem od chwili, gdy ujrzałem w otwartych drzwiach zjawę: powtórne wcielenie Tracy Egan. Kaleb spojrział na mnie z wściekłością. A dziewczyna - tak jakbym ją zdradził.

- Wybaczcie mi - powiedziałem. - To był długi dzień, a w dodatku pełen niespodzianek. - Od tej pory sączyłem drinka nie odzywając się.

Przez chwilę panowała cisza, a my słuchaliśmy szalejącego wokół domu wiatru.

- Prawda wygląda tak - powiedział w końcu Kaleb, przerywając panujące w salonie złowrogie milczenie - że pani mąż nie żyje, pani Boetchner.

Patrzyła na niego takim wzrokiem, jak gdyby nie rozumiała, co mówi. Dopiero po sekundzie lub dwóch zorientowałem się, że nikt nigdy nie mówił do niej: „pani Boetchner”; może zrobił to raz lub dwa urzędnik stanu cywilnego, który udzielił ślubu jej i Harry'emu.

- Harry nie żyje - powiedziałem w nadziei, że to łatwiej do niej dotrze.

Kiwnęła jedynie głową, nadal wpatrując się w swą wodnistą whisky, a mnie w końcu zrobiło się jej żal. Wstałem, wyjąłem z jej ręki szklanekę, nalałem alkoholu i podałem jej go. Podniosła na mnie wzrok, w którym była dziecinna wdzięczność, a ja nagle poczułem wyrzuty sumienia z powodu swego nie umotywowanego cynizmu.

- Byliśmy małżeństwem od niedawna - powiedziała do Kaleba. Wydawała się o wiele bardziej bezbronna niż wtedy, kiedy byliśmy sami. - Pobraliśmy się dopiero wczoraj.

Kaleb z niedowierzaniem potrząsnął głową.

- Bardzo mi przykro - oznajmił. - Naprawdę bardzo mi przykro. - A ja ujrzałem nowy rys charakteru Kaleba, ponieważ jego głos brzmiał tak, jakby naprawdę było mu przykro. Zaczynałem rozumieć, dlaczego właśnie jego wybierano co rok na szeryfa. Miał w sobie życzliwość, której nigdy dotąd nie dostrzegłem. Sącząc whisky pomyślałem, że byłby dobrym przedsiębiorcą pogrzebowym. - Może najlepiej będzie, jeśli opowie mi pani kilka szczegółów - dodał Kaleb.

- Czy zechciałby pan usiąść? - spytała wykonując ręką imponująco wytworny gest. Był to gest starej damy lub kobiety bogatej.

- Dziękuję. - Kaleb podszedł bliżej i usiadł na krawędzi innej sofy, opierając brzuch na złączonych kolanach i trzymając czapkę tuż nad podłogą.

Opowiedziała nam dokładnie tę samą historię, którą słyszałem wcześniej. Trwało to krócej niż za pierwszym razem. Ale opuściła jeden istotny szczegół. Nie powiedziała Kalebowi o tym, że ona i Harry nigdy ze sobą nie spali. A kiedy kończyła, spojrzała na mnie swymi wielkimi oczami, jakby błagając, żebym nic o tym nie mówił.

Żyłem wystarczająco długo wśród ludzi bogatych, by pojmować znaczenie tego pominiętego faktu. Harry, o ile wiedziałem, miał tylko jednego żyjącego członka rodziny, matkę, która wyjechała z naszego miasta przed wielu laty. Ale gdyby spadkobiercy Harry'ego - o ile ich miał - dowiedzieli się, że to małżeństwo nie zostało skonsumowane, mogliby wszcząć zażartą walkę o spadek.

Kiedy skończyła, Kaleb raz jeszcze ze smutkiem potrząsnął głową i powiedział:

- No cóż, on nie żyje, pani Boetchner. - Tym razem dźwięk nazwiska Harry'ego chyba dodał jej pewności siebie, bo wyprostowała się lekko, uniosła głowę i cofnęła ramiona. Wyobraziłem sobie, jak będzie wyglądała stojąc nad grobem męża: pełna godności, smutna, młoda, osamotniona, i tak dalej. Wspaniale odegra swą rolę. Byłem już na tyle pijany, by zdawać sobie sprawę, że jestem niesprawiedliwy. Ale piłem już od dość dawna, by wiedzieć, że powinienem ufać swym instynktom. Pijacy mogą być kłopotliwymi głupcami, ale po wielu rozmowach z Prune i własnych przykrych doświadczeniach wiedziałem, że zdarzają im się przebłyski przenikliwości, na jakie nie zdobyliby się na trzeźwo. Miałem wrażenie, że oglądam spektakl i zacząłem się zastanawiać dlaczego.

Wtedy Kaleb znów mnie zaskoczył. To był wieczór niespodzianek.

- Został zamordowany - powiedział głośno, oskarżycielskim tonem. Byłem zdumiony, że zamierza rozmawiać o tej sprawie z dziewczyną.

Szklanka, którą trzymała w ręku, wyraźnie zadrżała.

- Musiała zajść jakaś pomyłka - powiedziała.

Ale Kaleb potrząsnął przecząco głową, zanim jeszcze skończyła zdanie.

- Nie ma żadnej pomyłki, pani Boetchner. - Mówił teraz zupełnie innym głosem: nie jak usłużny lokaj, lecz jak funkcjonariusz państwowy. - Pani mąż został zamordowany. Wczoraj wieczorem, kiedy przebywał w boksie swojego konia.

- To nie byłoby łatwe - powiedziałem do niego. Odwrócił się i spojrzał na mnie z uwagą.

- Dlaczego? - spytał.

- To cholernie duży koń, Kaleb - przypomniałem mu czując, że unoszę się na fali alkoholu. - Widziałeś go chyba dzisiaj.

- Owszem, widziałem.

- Poza tym Harry też nie był taki mały - powiedziałem. I zauważyłem, że dziewczyna znowu drży. Kaleb przyglądał jej się uważnie. - Czy myślisz, że łatwo byłoby zabić Harry'ego tępym narzędziem? - spytałem, a ona ponownie upuściła szklankę. - Kiedy ten koń był w boksie? - dokończyłem bezlitośnie.

Kaleb spojrzał na rozlany płyn. Myślałem, że wstanie i posprząta, tak jak ja wcześniej. Tymczasem nawet nie drgnął. Siedział i patrzył na dziewczynę, która z kolei wpatrywała się w rozlaną whisky. Potem rzuciła w naszym kierunku krótkie spojrzenie i zaczęła płakać. To było dobre zagranie. Upuściła szklankę właśnie w tym momencie, by przerwać rozmowę. Liczyła na to, że jeden z nas rzuci się z pomocą, a kiedy żaden tego nie zrobił, natychmiast zmieniła taktykę. Obaj przyglądaliśmy się jej w milczeniu, a ona, stwierdziwszy, że jej płacz nie wywiera żadnego wrażenia, szybko się opanowała. Spojrzała na Kaleba ignorując mnie tak wyraźnie, jakbym popełnił jakąś gafę towarzyską, po której nasza przyjaźń nigdy się nie odrodzi.

- Jeśli muszę jechać z panem, żeby... żeby...

- Zidentyfikować zwłoki - podpowiedział jej Kaleb.

- Tak, tak. - Znów potrząsnęła głową. - Zrobię wszystko, co pan każe. Czy moglibyśmy pojechać tam od razu? Nie wiem, jak długo jeszcze to wytrzymam.

Kaleb wstał.

- Tak, oczywiście, pani Boetchner - oznajmił bardzo oficjalnym tonem. Dziewczyna wstała, wycierając oczy grzbietem dłoni. Przeszła obok mnie bez słowa.

- Chyba dzisiaj popłyniesz - powiedział do mnie Kaleb.

- Możliwe.

- W takim razie lepiej jedź ze mną. Nie chcę, żebyś w tym stanie prowadził samochód.

- Tak jest, panie władzo - powiedziałem wstając.

- Mógłbyś okazać mi trochę szacunku. Jego wymówka nieco mnie zawstydziła.

- Owszem, chyba mógłbym.

- Och, co za ludzie - mruknął potrząsając głową.

- Słuchaj - oświadczyłem wybuchając śmiechem. - Nie stawiaj mnie na równi z tymi wszystkimi facetami.

- Byłeś przyjacielem Harry'ego - stwierdził patrząc na mnie z uwagą.

- Ty też - przypomniałem mu, a on znów potrząsnął głową.

- To prawda - przyznał - ale to było dawno temu. Harry i ja... - Nie powiedział mi, co zaszło między nim a Harrym. - Do diabła. Jedźmy i zakończmy tę sprawę. Mam na dziś wieczór dosyć Harry'ego Boetchnera, żywego czy umarłego.

W jego głosie pobrzmiwała gorycz. Może jej przyczyną był widok tego domu. Bo dom, nawet przy zgaszonych światłach, wydawał się ogromny, a meble - choć oglądałem je wiele razy i wiedziałem, że Harry zatrudnił nowojorskiego projektanta wnętrz, każąc mu urządzić wszystko tak, jakby mieszkał tu od stu lat i był bardzo bogaty - były meblami nuworysza. Zasiedziały rodziny miały podniszczone meble, nie zawsze do siebie pasujące i zbierane z biegiem lat. Nie wszystkie pokoje w ich domach miały charakter reprezentacyjny, gdyż odnawiano je w różnych odstępach czasu. Tylko domy nuworyszów były urządzone perfekcyjnie.

- Mogę jechać sam - powiedziałem do Kaleba, idąc przez hol w kierunku drzwi wejściowych. Dziewczyna schodziła właśnie po schodach. Narzuciła na siebie jedwabny trencz, który kosztował z tysiąc dolarów. Wydało mi się to interesujące. Jej matka musiała - po nagłej ucieczce do Baltimore - poślubić bardzo zamożnego człowieka. Dziewczyna nie zdążyła jeszcze skorzystać z pieniędzy Harry'ego.

- Bzdury - mruknął za moimi plecami Kaleb.

- Kaleb, naprawdę mogę jechać sam. Prowadziłem już samochód w znacznie gorszym stanie.

Dziewczyna była już niemal na dole. Wyglądała imponująco w tym jedwabnym płaszczu, a jej jasne włosy obwiązane były czarno-złotym szalem firmy Hermes.

- Nie lubisz jej - powiedział cicho Kaleb, patrząc na dziewczynę.

- Nie.

- Dlaczego?

- Bo wszystko za bardzo do siebie pasuje - odparłem. - W prawdziwym życiu nic nie układa się aż tak ładnie.

- To nie jest prawdziwe życie - powiedział Kaleb i podszedł do wdowy, która stała w pustym holu wielkiego domu, stanowiącego teraz jej własność. - Ten człowiek nie żyje.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Patrząc na tylne światła wozu policyjnego znikające na długim podejździe, poczułem na sobie ciężar wielkiego, pustego domu stojącego za moimi plecami. Dziewczyna, idąc z Kalebem w stronę wyjścia, minęła mnie bez słowa. Nie zadała sobie nawet trudu, by zamknąć dom, zatrzasnęła tylko drzwi. Powiedziałem, że spotkam się z nimi na posterunku policji. Wieczór wydał mi się bardzo chłodny. Wiatr pędził znad morza jasne chmury. Mimo woli pomyślałem o tamtym wieczorze, kiedy to Tracy porzuciła nasze ognisko, by szukać ciepła w ramionach Harry'ego.

Nadal byłem trochę pijany. Być może dlatego właśnie odwróciłem się i ruszyłem z powrotem w stronę ciężkich, dębowych drzwi. Otworzyłem je. Dziewczyna zostawiła w salonie zapalone światło. Ale ja stałem w holu, wsłuchując się w odgłosy pustego domu. Pamiętałem dzień, w którym Harry przywiózł mnie tu po raz pierwszy. Wtedy okna miały potłuczone szyby lub były zabite deskami. Czarno-biała posadzka holu, lśniąca nawet w ciemności, była poplamiona i popękana; dopiero później Harry sprowadził nie wiadomo skąd rzemieślników, którzy przywrócili jej wygląd szachownicy.

- Cholerna buda - powiedział Harry wtedy, przed dwoma laty. Stał z rękami w kieszeniach swych ulubionych jasnych spodni pośrodku domu, który wyglądał już wówczas jak jeden wielki plac budowy. Sportowe spodnie, granatowa marynarka, biała koszula z firmy Brooks Brothers, mokasyny bez skarpetek. Harry był modelowym wzorcem starzejącego się ucznia ekskluzywnej szkoły średniej. Jak wynikało z instrukcji, których udzielił dekoratorowi wewnątrz, chciał wyglądać tak, jakby był tu na swoim miejscu.

Już wtedy nie mogłem zrozumieć, dlaczego ten dom tak go zachwyca. Mnie wydawał się pusty i niesamowity. Był to dom z innej epoki. Nawet Prune, która z pewnością miała więcej pieniędzy niż Harry, zmniejszyła liczebność służby i zamknęła część swej posiadłości na Maiden Lane.

- Masz ogromny dom, Harry - powiedziałem, ale nie posunąłem się dalej.

- Czy wiesz, że kiedyś mieszkali tu Vanderbilcie? - spytał takim tonem, jakbyśmy mówili o jakiejś historycznej rodzinie w rodzaju Borgiów, a nie o żyjącej rodzinie amerykańskiej, której dzieje sięgały niespełna stu lat.

- Owszem - odparłem idąc wśród rumowiska w kierunku tylnych okien, w których dwaj robotnicy montowali szybki ze szlifowanego szkła. - Bywałem tu jako dziecko.

- Ach, tak - powiedział Harry nieco stłumionym głosem. Wydawał się zawiedziony, że nie pokazuje mi tego domu jako pierwszy. - Czasem zapominam, że należałeś kiedyś do tej sfery.

Odwróciłem się i chcąc obrócić całą sprawę w żart, spytałem:

- Czy po to mnie potrzebujesz, Harry? Żeby korzystać z moich wspomnień?

Trafiłem w sedno i wprowadziłem go w zakłopotanie, czego zresztą wcale nie miałem zamiaru robić. Speszony, zaczął dreptać w miejscu, nie zważając na pokrywający jego mokasyny kurz.

- Nie, stary - odparł w końcu. - Potrzebuję cię ze względu na ciebie. Przecież jesteśmy przyjaciółmi, zgadza się?

- Zgadza się, Harry - zapewniłem go.

Teraz, stojąc w holu tego pustego domu, wcale nie miałem pewności, czy byłem przyjacielem Harry'ego. Powrót do Hampton nie był dla mnie łatwy. Było to ostateczne przyznanie się do klęski, która nadchodziła powoli, zanim jeszcze zdałem sobie z tego sprawę, a potem nagle mnie przytłoczyła. Ktoś gdzieś napisał, że można zbankrutować na dwa sposoby: powoli albo szybko. To przypomina raka. Kiedy się zaczyna, człowiek w ogóle o tym nie wie. Zanim postawiona zostanie diagnoza, jest przeważnie zbyt późno. Diagnoza dotycząca mego bankructwa postawiona została przez bank, do którego wszedłem, by zapytać, dlaczego moje czeki są bez pokrycia. Pierwsze telefony, jakie w tej sprawie otrzymałem, dotknęły mnie bardziej niż cokolwiek dotąd. Brakowało mi pieniędzy, ale przecież, do diabła, zawsze miałem pieniądze. Byłem pewien, że z tego samego źródła, z którego pochodziła pierwsza partia, napłyną wkrótce dalsze. Tłumaczyłem to wszystko dyrektorowi banku, który zawsze wydawał się moim najlepszym przyjacielem. Ale teraz ledwie na mnie spojrział i powiedział:

- Ma pan na koncie debet.

- Zawsze mam debet - przypomniałem mu. - Bankers Trust przelewa mi pieniądze na początku każdego miesiąca.

- W tym miesiącu nie przelał.

Byłem zrujnowany. Potem zaczął się zjazd po równi pochyłej. Ludzie traktują nas inaczej, kiedy jesteśmy im winni pieniądze. To była pierwsza lekcja biedy, jakiej się nauczyłem. Wypisałem mnóstwo czeków ludziom, którzy dzwonili i pytali: „Słuchaj, czy

możesz mi pożyczyć kilka dolarów?", więc nigdy nie przyszło mi do głowy, że ktoś może odmówić, kiedy ja go o to poproszę.

Dziś wieczorem stara budowla zdawała się wiedzieć, że jej druga młodość minęła. Dom trzeszczał i wzdychał w rytm szalejącego za oknami wiatru. Miałem poczucie obcowania ze śmiercią. Nie tylko ze śmiercią Harry'ego. Miałem poczucie, że coś się skończyło. I silne poczucie obecności kogoś innego, może właśnie Harry'ego. Pod wpływem tego poczucia wszedłem do salonu, w którym dziewczyna zostawiła zapalone światło. Stałem tam, rozglądając się po pokoju i wkrótce zrozumiałem, czego szukam. Szukałem jej. Czulem nadal unoszący się w powietrzu zapach jej perfum, perfum Tracy. Na dywanie, w miejscu, w którym rozlała whisky, widniała duża, mokra plama. Pochyliłem się nad nią, jak gdybym mógł coś w tej sprawie zrobić. Potem pomyślałem, że teraz nie będzie to już miało większego znaczenia. Nawet Harry miał dość tego domu. Zwolnił służbę i zamierzał wyjechać. Teraz, kiedy się nad tym zastanowiłem, wydało mi się to dziwaczne. Może ta dziewczyna nie chciała tu mieszkać. Harry byłby cholernie dumny z siebie, gdyby zamieszkał tutaj, w największym domu na całej plaży, z córką Tracy Egan.

Boże, jakich durniów robi z nas seks, pomyślałem odwracając głowę, by rozejrzeć się po pokoju. Nigdy nie liczyłem własnych pieniędzy wydanych na kobiety, bo obawiałem się, że jeśli kiedykolwiek zobaczę w świetle dnia tę sumę, będzie mi wstyd. Bieda nie wydawała mi się zabawna. Początkowo nie wierzyłem, że jestem biedny, ale kiedy zażądano, bym wyprowadził się z mojego mieszkania, kiedy musiałem obliczać, czy wystarczy mi tego dnia na jedzenie - choć miałem na sobie garnitur z firmy Dunhill, za który zapłaciłem tysiąc dwieście dolarów - zacząłem doceniać to, co straciłem. Ale wtedy - jak bywa z większością rzeczy, które warto mieć - było już za późno.

Odrzucałem od siebie tego rodzaju myśli. Nawiedzały mnie one w środku nocy. Wściekałem się, że nie zostałem lepiej przygotowany do życia, albo że, skoro już tak było, nie zadbałem o to sam. Gniew wywołany odrzuceniem moich czeków przez bank skłonił mnie do ostatniego aktu rozrzutności. Wyprawilem się cholernie daleko; aż do Palm Beach, aż na wyspy, nawet aż do Rio i przez cały czas wypisywałem po drodze чеки. Gniew mijał stopniowo i nachodził mnie teraz tylko w nocy. Zanim Harry i ja spotkaliśmy się na głównej ulicy Southampton, miejsce gniewu zajęła przekora, a potem akceptacja.

Od dnia, w którym spotkaliśmy się przy tylnym wejściu do domu Prune - ja miałem wtedy siedemnaście lat, a on dziewiętnaście - nie zamieniliśmy z sobą nigdy ani słowa. Ale on podszedł wprost do mnie, wyciągnął rękę i powiedział z typowym dla siebie szerokim uśmiechem:

- Słyszałem, że wróciłeś.

Połowa moich przyjaciół nie chciała mnie już wtedy znać, a ja byłem tak zaskoczony widząc, że stoi przede mną Harry Boetchner w granatowej marynarce, koszuli z firmy Brooks Brothers, sportowych spodniach i mokasynach, że też wyciągnąłem rękę i powiedziałem:

- Tak, cieszę się, że cię widzę.

Harry rozejrzał się i zerknął w kierunku jadących główną ulicą samochodów. Zastanawiałem się, o czym myśli. Przed laty przejeżdżały tędy przede wszystkim Chevrolety, Buicki i Pontiaki, takie, jaki kupiła dla mnie Prune. Teraz widywało się najczęściej Mercedesy, włoskie wozy sportowe, a od czasu do czasu Rollsa Corniche.

- Ja sam wróciłem dopiero dwa miesiące temu - powiedział nie patrząc na mnie.

- Słyszałem o tym.

Zerknął na mnie, by przekonać się, czy mam na myśli coś więcej niż powiedziałem. Patrzyliśmy na siebie, dwie ofiary dawnej wojny, i nagle obaj wybuchnęliśmy śmiechem.

- Do diabła - powiedział Harry. - Sytuacja się zmienia. Nadchodzą lepsze czasy. Sam zobaczysz.

- Lepsze niż co? - spytałem. - Mnie za pierwszym razem nie było najgorzej.

- No tak - przyznał patrząc na mnie tak, jakby dopiero teraz sobie to przypomniał. - Tobie wiodło się naprawdę dobrze. - I po chwili spytał: - Chcesz zobaczyć mój dom?

Zachowywał się jak człowiek, który dopiero niedawno doszedł do pieniędzy. Pytał, czy chcę zobaczyć jego dom, jakby była to jakaś nowa zabawka. Nowy rower, nowa łódka, nowa piłka do koszykówki.

- Dlaczego nie? - odparłem.

Oto więc byłem w domu Harry'ego, Harry nie żył, a wdowa po nim jechała z Kalebem policyjnym radiowozem, by zidentyfikować zwłoki. Na końcu pokoju, obok wychodzących na trawniki oszklonych drzwi, stało majestatyczne stare biurko. Dwaj ogrodnicy pielęgowali te trawniki przez pięć dni w tygodniu. Harry lubił siadywać przy tym biurku i oglądać swą posiadłość, załatwiając równocześnie korespondencję. Podświadomie oddaliłem się od plamy na dywanie i podszedłem do biurka. Na zewnątrz panował dotkliwy chłód, a niebo było już niemal kompletnie zachmurzone. Poczułem powiew przeciągu. Kiedy podchodziłem do biurka, długie, ciężkie, zielone kotary poruszyły się lekko.

Wyciągnąłem rękę i zapaliłem zieloną lampę z matowego szkła. Oświetliła ona gładki blat. To nie było w stylu Harry'ego. Jego biurko zawsze pokrywały sterty papierów. Było to jedno z niewielu miejsc w domu dowodzących, że ktoś naprawdę tu mieszka. Ale, jak powiedziała wdowa, Harry zamierzał stąd wyjechać. Otworzyłem prawą szufladę biurka. Była pełna różnych zbieranych z biegiem czasu rupieci: stare pióra, ołówki, spinacze, kilka kartek papieru. Kartek, jakich nie chce się wpinać do akt, ale nie można ich wrzucić do kosza. Podniosłem jedną z nich. Był to rachunek na siedemset dolarów za naprawę Mercedesa Harry'ego. Nie przypominałem sobie, by ten Mercedes kiedykolwiek wymagał naprawy, ale

rachunek nosił całkiem świeżą datę. Pochodził sprzed niecałych trzech tygodni i został wystawiony gdzieś w Wirginii. Ktoś napisał na nim odręcznym pismem: „Zapłacono czekiem, zob. Lyle”.

A więc dziewczyna mówiła prawdę. Usiadłem w wysokim fotelu Harry'ego i zacząłem metodycznie przeszukiwać biurko. Siedziałem tam przez godzinę, przeglądając świstki papieru, które Harry wrzucał do górnej szuflady. Były to przeważnie rachunki, których nie mógł potracić od podatku, paragony z restauracji w Wirginii, Nowym Jorku, Baltimore, a także z miejscowych knajp, położonych wzdłuż wybrzeża. Była tam też gwarancja na magnetofon. Ona również pochodziła sprzed niecałych trzech tygodni. I rachunek z firmy Brooks Brothers na sześć tysięcy dolarów, za części garderoby, które kazał wpisać na swoje konto przed tygodniem. Wyglądało to na jego wyprawę ślubną. Musiał wybierać się w cholernie daleką podróż. Żeby wydać sześć tysięcy dolarów w sklepie tej firmy, w którym robią zakupy ludzie bogaci, bo jakość towarów jest dobra, a ceny nadal stosunkowo niskie, trzeba kupić mnóstwo rzeczy.

Dolna szuflada była pełna teczek z aktami. Harry prowadził rozległe interesy. Była tu obszerna korespondencja z jakimś bankiem z Miami. O ile mogłem się zorientować, Harry „prał” pieniądze za pośrednictwem tego banku. To było logiczne. Jeżeli istotnie handlował bronią czy narkotykami przed powrotem do Hampton, to musiał dbać o to, żeby nikt nie zakwestionował źródła pochodzenia jego zasobów finansowych. A te banki z Miami chętnie podejmowały się prania pieniędzy. Inna teczka pękała od rachunków za prace nadal toczące się w tym domu. Poczulem lekki żal, myśląc o wszystkich zamówionych przez Harry'ego krzewach ozdobnych, o ławkach tarasowych z burmańskiego drewna tekowego, płynących już w tym kierunku - o ile rachunek był wiarygodny - z Anglii, na pokładzie „Queen Elizabeth II”. Oraz o zastawie stołowej z Hongkongu, która według firmy transportowej Yung Luc wypłynęła już z tamtejszego portu wraz z pojemnikiem giętych mebli. Ze zdziwieniem doszedłem do wniosku, że Harry postanowił nagle opuścić ten dom i wyjechać z nową żoną. Znalazłem tam też dokumenty dotyczące handlu ziemią. Przejrzałem je pobieżnie, ale była to przeważnie korespondencja między Harrym, jego prawnikami i pośrednikami od handlu nieruchomościami. Potem moją uwagę przyciągnął jakiś list. Był to długi, pełen gwałtownej nienawiści list od kogoś, kto sprzedał Harry'emu swą ziemię, a potem stwierdził, że Harry zarobił na niej stukrotnie w ciągu osiemnastu miesięcy. Przejrzałem wszystkie te czki z aktami od początku do końca, ale nie znalazłem dalszych okazów tego typu korespondencji.

A więc Harry'emu ktoś groził. Byłem ciekaw, czy Kaleb o tym wie. Nie znałem autora, którym - jak wynikało z podpisu - był niejaki Samuel Cunningham.

List został wysłany z jakiejś zapadłej dziury na Florydzie. Domyślałem się, że facet zgarnął swoje pieniądze i wyjechał na Florydę, czując się bogaty i szczęśliwy. Potem

dowiedział się - zapewne od jakiegoś przyjaciela, który nader chętnie poinformował go o przebiegu wydarzeń - że Harry go wykiwał. Pomyślałem, że jeśli Kaleb ma rację, jeśli Harry istotnie został zamordowany, ten list może mieć jakieś znaczenie. Wyjąłem go z teczki, złożyłem i schowałem do wewnętrznej kieszeni marynarki. W biurku nie było innych tego rodzaju dokumentów. Ten pojedynczy list z pogrózkami, przechowywany w aktach razem z korespondencją służbową, wzbudził moją ciekawość. Zastanawiałem się, dlaczego Harry zachował właśnie ten jeden list.

Dźwięk był bardzo cichy. Mógł to być wiejący za oknami wiatr. Mogło to być trzeszczenie starej rezydencji, oplakującej śmierć swego pana. A jednak nie. Poczucie czyjejs obecności stawało się coraz silniejsze i nie miało nic wspólnego z zapachem perfum tej dziewczyny.

Spojrzałem w kierunku drzwi. Nic. Tylko ten wielki, pusty, mroczny hol. Potem usłyszałem to znowu. Ciche kroki gdzieś na górze. Prune i jej przyjaciółki opowiadały mi dużo o tych wielkich, starych domach, więc wiedziałem, że może to być kot albo szczur, ale ja byłem pewien, że jest to mężczyzna lub kobieta. Ciągłe nadśluchując, zgasilem stojącą na biurku lampę. Nadal paliła się druga, ustawiona obok sofy. Cofnąłem jak najciszej fotel, wstałem, podszedłem do sofy i zgasilem tę drugą lampę. W pokoju było teraz bardzo ciemno. Moje oczy przystosowały się dopiero po kilku minutach. Znałem ten pokój wystarczająco dobrze, by wiedzieć, gdzie stoją meble i jak dostać się do drzwi holu.

Ponownie usłyszałem ten dźwięk. Teraz nie miałem już wątpliwości; ktoś chodził po pokoju znajdującym się tuż nad moją głową. Przyznaję, że ogarnęło mnie przerażenie. Może dlatego, że jak wiedziałem już od Kaleba, Harry został zamordowany. Miałem wrażenie, że wszystkie włosy na moim ciele nagle się prostują. Co ja tu do cholery robię? - pomyślałem. Dlaczego, do diabła, wtrącam się do śmierci Harry'ego? Byłem na niego wściekły. Uważałem go za przyjaciela. Teraz zaczynałem się zastanawiać, czy w ogóle go znałem. Dźwięki dochodzące z pokoju na górze przemieściły się do innego pomieszczenia; kroki robiły się coraz cichsze. Nie chciałem udawać bohatera. Chciałem tylko sprawdzić, co się tam do diabła dzieje. Ale przecież przez całe życie chciałem wiedzieć, co się dzieje, i zobaczcie, jak na tym wyszedłem.

W mglistej poświacie padającej od okien dotarłem do drzwi holu. Przesuwając się pod ścianą wyszedłem z salonu i stanąłem u podnóża szerokiej klatki schodowej, prowadzącej na pierwsze piętro. Nadal przyciskałem plecy do ściany.

Na galerii schodów ukazała się jakaś postać. Pomyślałem natychmiast, że może to być jeden ze zwolnionych przez Harry'ego służących, który wrócił po coś do rezydencji. Ale od razu odrzuciłem tę koncepcję. Służący zapaliłby światło. Teraz było już zbyt późno, bym mógł zmienić zdanie. Postać ruszyła w dół; widziałem jej sylwetkę na tle bladego światła rzucanego przez okno klatki schodowej. Słyszałem, jak mija ostatni zakręt schodów i rusza w

moim kierunku. I wtedy zrobiłem najgłupszą rzecz w życiu, życiu pełnym kolejnych głupstw.

Kiedy intruz zrównał się ze mną, spytałem:

- Dokąd się wybierasz?

Jego reakcja była natychmiastowa. Uderzył mnie.

Mocno. Nikt tak mocno nie uderzył mnie w żołądek, odkąd przestałem grywać w rugby, a to było jeszcze w szkole średniej. Nie mogłem złapać oddechu. I przez cały czas myślałem, że dzieje mi się krzycząca niesprawiedliwość. Zgięty w pół, osunąłem się po ścianie. Przybysz uderzył mnie ponownie, tym razem w tył głowy, a ja upadłem, ocierając po drodze policzkiem o klamrę jego buta.

Czułem ból w całym ciele. Kiedy rozpaczliwie chwytałem oddech, napastnik oddalił się bez pośpiechu, przeszedł przez hol i otworzył drzwi na taras. Poczulem powiew chłodnego powietrza. Intruz zniknął.

Odzyskałem przytomność w kilka minut później, czując silny przeciąg. Z trudem wstałem, myśląc, że gdybym miał choć odrobinę oleju w głowie, wyniosłbym się stąd natychmiast. Ale intruz zniknął, a ja przez otwarte drzwi widziałem pierwsze krople deszczu. Nie zapalając światła dowlokłem się z powrotem do salonu i dotarłem do biurka. Z telefonu, który stał obok fotela Harry'ego, dodzwoniłem się do centrali i poprosiłem o połączenie z posterunkiem policji.

Telefon odebrał sam Kaleb.

- Policja - powiedział.

- Kaleb... - wymamrotałem.

Zapadła krótka cisza. Potem Kaleb spytał:

- To ty, Ben?

- Tak - odparłem. - Kaleb, tutaj się coś dzieje.

- Gdzie ty do cholery jesteś?

- W domu Harry'ego - wykrztusiłem z trudem. Miałem wrażenie, że mój żołądek zaraz wybuchnie. Zastanawiałem się, czy coś w nim nie pękło. Upadłem na fotel Harry'ego i oparłem czoło na biurku, nadal trzymając przy uchu słuchawkę.

- Co ty tam do diabła jeszcze robisz? - Głos Kaleba był tak odległy, jakby przemawiał do mnie z innego kontynentu.

- Bawię się w reportera.

Znów zapadła cisza, a potem Kaleb spytał spokojnie, choć jego głos pulsował w moim uchu jak bicie serca:

- Czy coś znalazłeś?

- Ktoś tu był - powiedziałem z trudem. Usiadłem prosto i zrobiłem kilka głębokich wdechów. Kaleb milczał. - Ktoś był przez cały czas w tym domu, Kaleb. - Wiatr wdzierał się teraz przez otwarte drzwi, których nie zamknął za sobą przybysz. Szeleścił wśród zasłon,

unosił pozostawione przeze mnie na biurku kartki papieru i zrzucał je na podłogę. Był na tyle silny, że jeden z dywanów uniósł się z podłogi i wił jak wąż. Znow przeszedł mnie silny dreszcz. Kaleb nadal milczał.

Kiedy wreszcie się odezwał, jego głos brzmiał bardzo poważnie.

- Wybrałeś sobie dziwny moment na zabawę w reportera, Ben.

Czułem się już trochę lepiej. O ile da się tak powiedzieć o człowieku mogącym usiedzieć na krześle bez kurczów żołądka.

- Ja też nie jestem tym zachwycony - powiedziałem.

- Wynoś się stamtąd - polecił mi stanowczo. - Zaraz. Natychmiast. Wyślę tam mojego zastępcę. Wynoś się stamtąd, Ben.

Droga z fotela do drzwi wejściowych, wiodąca przez rozległy salon i ciemny hol, wydawała mi się długa jak trasa maratonu. Nigdy w życiu nie byłem tak przerażony. W końcu dotarło to do mnie: Harry Boetchner został zamordowany. To nie koń zmiażdżył mu tył głowy. To nie był żaden wypadek. Ktoś go zabił.

Czułem w gardle dławiącą kulę. Kaleb mówił coś do mnie, ale ja położyłem słuchawkę na blacie biurka, odchyliłem głowę do tyłu i z trudem przełknąłem ślinę. Wymiotując na biurko Harry'ego okazałbym mu brak szacunku. Kiedy znow wziąłem do ręki słuchawkę, Kaleb mówił:

- Spotkam się z tobą w Whale's Tale.

Nie odpowiedziałem, bo byłem zajęty słuchaniem. Słuchałem tego domu, słuchałem burzy, szalejącej z gwałtownością, która jeszcze przed kilku minutami wydawałaby mi się niemożliwa.

- Czy słyszysz mnie, Ben? - pytał Kaleb. - Czy mnie słyszysz?

- Słyszę cię, Kaleb - odparłem. - Whale's Tale?

- Jak najprędzej.

- Nie pozwól tej dziewczynie tu wracać - powiedziałem patrząc na drzwi, których zarys przypominał w ciemnym holu zarys trumny.

- Nie martw się o to.

- Nie byłaby tu bezpieczna - powiedziałem, nadal obserwując drzwi, przez które mógł wrócić napastnik.

- Wprowadziła się do hotelu, Ben - powiedział Kaleb. - A teraz zabieraj się stamtąd.

Natychmiast!

Znow wsłuchiwałem się w odgłosy domu.

- Może powinienem poczekać na tego twojego zastępcę?

- Wynoś się stamtąd, Ben - powiedział Kaleb spokojnie. - Wynoś się natychmiast. To nie twoja sprawa. To sprawa policji.

Nie spierałem się z nim. Byłem śmiertelnie przerażony, a poza tym wyczuwałem zło, które unosiło się w ciemnym domu jak dym z wygasłego już dawno ogniska.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Ujechałem już kilometr lub dwa w kierunku Hampton, zanim moje serce postanowiło służyć mi jeszcze przez jakiś czas. Przedtem biło tak mocno, że można by podejrzewać je o zamiar opuszczenia mnie. Padał piekielnie silny deszcz. We wszystkich małych domkach, rozsianych wzdłuż kartoflanych pól, paliły się światła. Pomyślałem o tłoczących się w nich letnikach. Wynajmowali te domy, płacąc osiemnaście tysięcy za sezon. Był to w dodatku krótki sezon. Od Dnia Pamięci do Święta Pracy. Każdy dzień deszczu to dwieście dolarów wyrzuconych przez okno. Wiedziałem, że jeśli ta burza potrwa dłużej, spotkam jutro wielu bardzo niezadowolonych gości. Jechałem na spotkanie z Kalebem niemal opustoszałymi ulicami. Teraz, kiedy byłem już trochę spokojniejszy, zacząłem się zastanawiać, jak napiszę ten artykuł. Wiedziałem, że Magda będzie na mnie cholernie wściekła. Zapomniałem na śmierć o fotografiach. I wszystko wskazywało na to, że przez to spotkanie z Kalebem nie zdążę przed zamknięciem numeru. Największa sensacja sezonu, być może wszystkich sezonów, a ja rezygnuję z jej opisanie. Jakież ze mnie reporter?

Główna ulica, jak zwykle późnym latem, wyglądała dość przygnębiająco. Dostrzegłem kilka samochodów na parkingu przed kinem; wyświetlano tam film, którego premiera odbyła się przed dwoma laty. Musiały to być samochody starych mieszkańców miasteczka.

Nie widywaliśmy tu wielu filmów. Natomiast nasi letni goście oglądali je zaraz po premierze. Minałem Hotel Federalny; pod tą patriotyczną nazwą krył się nieco zrujnowany stary budynek, wyposażony w meble warte setki tysięcy dolarów i znakomity bar, dzięki czemu jego właściciele mogli brać dwieście dolarów za noc. Potem zatrzymałem się przed miejscową knajpą o nazwie Whale's Tale. Już wysiadając z samochodu słyszałem górujący nad odgłosami burzy hałas.

Kaleb czekał na mnie przy barze. Był nadal w mundurze i miał przed sobą w połowie opróżnioną szklankę piwa. Ale patrzył na barmankę imieniem Lucille takim wzrokiem, jakby wypił już więcej niż jedno czy dwa. Lucille była miejscową legendą. Jako dwudziestokilkuletnia dziewczyna przyjechała tu z jakichś wysp przed trzema laty - już po powrocie Harry'ego, ale przed moim powrotem. Stanowiła jednoosobowe towarzystwo dobroczynne. Obdarzała swymi wdziękami wszystkich - lub prawie wszystkich. Ale nigdy tych, którzy przyjeżdżali tu tylko na lato. To właśnie z powodu Lucille tamtemu facetowi obcięto jaja.

Była wielka, miała jasną cerę i rude włosy, które upodobały ją nieco do Susan Hayward. Zwróciła się ku mnie pokazując mi swój imponujący biust, a potem wzięła szklankę Kaleba, dopełniła ją i postawiła z powrotem przed nim. Nawet zimą nosiła coś w rodzaju obcisłej bluzki, kryjącej jej dość obfita talię. Nosiła też spodnie uwydatniające biodra

i choć była wysoka, lubiła buty na wysokich obcasach. Była postawną kobietą i trudno było jej nie zauważyć.

- Jak leci, Ben? - spytała mnie głosem kobiety, której nie zaskoczy żadna odpowiedź. - Wyglądasz koszmarnie. Czego chcesz?

- Jestem w pracy - odparłem zerkając spod oka na

Kaleba, który jednym haustem wypił właśnie połowę szklanki piwa.

- Wypij dużego drinka, Ben - powiedział nie odwracając się do mnie.

- Martini z wódką - poprosiłem Lucille.

- No i słusznie - stwierdziła odchodząc od kontuaru, żeby przyrządzić mój koktajl. - I tak nie wydarzy się w tym miasteczku nic, o czym chcielibyśmy przeczytać.

- Nie powiedziałaś jej chyba, że Harry został zamordowany? - spytałem Kaleba, kiedy poszła po czystą szklankę. Kaleb i Lucille byli z sobą blisko zaprzyjaźnieni. Połowa mieszkańców Hampton czekała na moment, w którym dowie się o tym jego żona.

Kiedy spojrzał na mnie, zauważyłem, że ma zamglony wzrok. Byłem ciekaw, czy posterunek znów będzie tej nocy zamknięty.

- O tym właśnie chcę porozmawiać - oznajmił.

- Nie ma mowy, Kaleb. Żyjemy z tego, że publikujemy informacje.

- Żyjecie z ogłoszeń na meble ogrodowe.

- Dopóki nie ma żadnych ważnych wiadomości - powiedziałem. Lucille wracała z moim drinkiem. Nie odzywałem się, dopóki nie ustawiła go starannie na małej serwetce i nie odeszła na drugi koniec baru, z którego dochodziły wybuchy śmiechu. Dzisiejszy wieczór był zapowiedzią tego, co będzie się tu działo w jesieni. Wokół baru siedzieli liczni mieszkańcy miasteczka we flanelowych koszulach i starych, postrzępionych kurtkach. Kaleb westchnął.

- Posłuchaj - powiedział do mnie. - Jeśli wydrukujecie to dziś wieczorem, znajdę się pod taką presją, że nie będę wiedział, jak sobie z tym poradzić. Poczekajcie przynajmniej na wynik sekcji.

Sączyłem swoje martini. Trzeba oddać sprawiedliwość temu, kto wynalazł alkohol. Kiedy pija się go regularnie, już pierwszy łyk poprawia samopoczucie. Zastanawiałem się nad prośbą Kaleba. Do tej pory nie zdawałem sobie sprawy, że posiadam jakiegokolwiek zasady. Ale na myśl, że mógłbym wstrzymać tę informację, czułem wyrzuty sumienia. Kaleb powiedział cicho:

- Zrób to dla Harry'ego.

- Harry'emu już na tym nie zależy - przypomniałem mu. - Czy chcesz podać mi jakieś nowe szczegóły?

Ale on wpatrywał się w swoje piwo.

- Powiedz mi, co zaszło w tym domu - zażądał. - Wróciłem do środka... - zacząłem.

- Jak chłopiec bawiący się w reportera.

- Czy chcesz posłuchać, co mam do powiedzenia, czy wolisz robić głupie dowcipy? - spytałem.

Jego oczy zwęziły się, ale nie oderwał wzroku od piwa.

- A więc wróciłeś do środka... - przynaglił mnie.

- No właśnie. Sam nie wiem dlaczego. Po prostu wróciłem. Wróciłem tam.

- I zacząłeś węszyć.

- Nie od razu. Nie po to wracałem do tego domu. Wróciłem tam... ze względu na Harry'ego - powiedziałem.

- Myślałem, że Harry'emu już na tym nie zależy - przypomniał mi moje słowa.

- No dobrze, więc może nie wszedłem tam ze względu na Harry'ego - przyznałem.

- Zrobiłeś to z powodu tej dziewczyny - stwierdził oskarżycielskim tonem.

- Nie, nie z jej powodu.

- Ach tak - powiedział Kaleb i znów głęboko westchnął. Zaczął kręcić stojącą na blacie szklanką.

- Jezu, po tylu latach. Można by pomyśleć, że Harry już o tym wszystkim zapomniał, no nie? - Podniósł wzrok i zerknął w stronę Lucille, która pokazywała co najmniej dziesięć centymetrów ciała pomiędzy spodniami a bluzką.

Choć w barze śmierdziało dymem i potem, przez sekundę wydawało mi się, że czuję perfumy tej dziewczyny. Perfumy jej matki.

- O niej niełatwo byłoby zapomnieć - powiedziałem. Kaleb nadal wpatrywał się w Lucille.

- Te kobiety chwytają nas za jaja i nie puszczają.

Zrobiło mi się go żal. Lucille nie była kobietą, w której jakkolwiek mężczyzna powinien się zakochać. W każdym razie nie oficer policji. Gdyby na dworze tak cholernie nie padało, zaproponowałbym, żebyśmy wyszli z tego baru.

- Czy widziałeś kiedyś jej matkę? - spytałem.

- Oczywiście - odparł zerkając na mnie spod oka. - A jak myślisz, co ja robiłem dwadzieścia lat temu? Ale byłem na tyle mądry, żeby wiedzieć, że to nie mój świat. - Znów zerknął w kierunku Lucille. - Można by pomyśleć, że faceci robią się z wiekiem mądrzejsi.

- Nie ma na to dowodów - powiedziałem podnosząc szklankę i wypijając z niej spory łyk. - Po prostu uczą się nowych rzeczy, ale kiedy już się ich nauczą, ta umiejętność jest im niepotrzebna.

Kaleb nie odzywał się, więc opowiedziałem mu, co zaszło w domu. Zastanowił się nad tym, ale nie był chyba bardzo przejęty.

- Więc nie sądzisz, żeby był to któryś ze służących, co? - spytał w końcu.

- Możesz chyba to sprawdzić. Skrzywił się.

- Wysłałem Rona, żeby zabezpieczył dom - powiedział mając na myśli swego dziewiętnastoletniego zastępcę, a zarazem siostrzeńca, który nie potrafiłby znaleźć nawet słońca. - Jutro będziemy tu mieli cały tłum ekspertów kryminalnych z Nowego Jorku. To wielki dom. Po tym remoncie, który przeprowadził Harry, musi tam być mnóstwo odcisków palców. Nic nie znajdziemy.

- Czy nie może być żadnej pomyłki co do przyczyny zgonu Harry'ego? - spytałem. Potrząsnął przecząco głową.

- Nie. Lekarz był pewien. Obejrzał zwłoki, a potem kopyta tego konia. Kopyta mają ostre krawędzie. Na czaszce nie znaleziono żadnych otwartych ran.

- Co z tym boksem, w którym stał koń?

- Odgradzono go linami - odparł Kaleb i spojrzał na mnie z urazą. - Uczą nas tego w specjalnych szkołach, chyba o tym wiesz. Jesteśmy teraz ważni. To nie jest już małe miasteczko.

- Nie miej o to do mnie pretensji, Kaleb - powiedziałem ostro. - Miej pretensje do Harry'ego. To Harry sprzedał te wszystkie domy, pamiętasz?

- Jasne, że pamiętam - odparł kiwając głową. Potem, z nadzieją w głosie, dodał: - Może to wszystko nie ma nic wspólnego z nami. Może jest związane z tym, co Harry robił przed powrotem do Hampton.

Lucille chodziła wzdłuż baru rozmawiając przyjaźnie z mieszkańcami miasteczka, od czasu do czasu dotykając czyjś rękawa lub ręki. W sposobie, w jaki to robiła, było coś, co sugerowało, że łączy ją z tymi facetami bliższa zażyłość. Kaleb z każdym jej ruchem wydawał się coraz bardziej przygnębiony. W końcu stanęła przed nami i spytała:

- Powtórzyć?

Skończyłem drinka już przed kilku minutami. Moja głowa unosiła się w powietrzu i pulsowała. Podsunąłem Lucille swoją szklankę.

- Jasne - powiedziałem. - Skoro nalegasz. - Kaleb spojrzał na mnie ostro, jakbym zamierzał coś dodać. Ale ja powiedziałem tylko: - Może to mi pomoże napisać ten artykuł.

Lucille roześmiała się.

- Ach, ten słynny artykuł, co? Chłopak wyjeżdża z miasteczka, wraca z forszą, zostaje zabity przez konia. Jego powrót był komuś cholernie nie na rękę, co? - Kaleb patrzył na nią szeroko otwartymi oczami. Złapał oburącz swój pas i podciągnął go do góry, by zamaskować obfity brzuch. Miałem wrażenie, że gdyby nie znalazł zajęcia dla rąk, sięgnąłby przez bar i złapałby ją za piersi, które kołysały się jak dojrzałe owoce, wiszące trochę zbyt wysoko, by można łatwo je zerwać.

Lucille zabrała nasze szklanki.

- Co się stało z dziewczyną? - spytałem Kaleba.

- To twarda sztuka - odparł. - Weszła prosto do tego pokoju, spojrzała na Harry'ego i powiedziała: „Tak, to jest mój mąż”. Dziwnie to brzmiało. Trudno przyzwyczać się do myśli, że Harry był jej mężem. - Znów spojrzał na Lucille. Lucille nie była bardzo młoda. Miała w sobie dojrzałość, która jeszcze dodawała jej lat. Ale Kaleb patrzył na nią w taki sposób, że moim zdaniem powinien był lepiej rozumieć Harry'ego Boetchnera.

- Myślisz, że ona naprawdę jest żoną Harry'ego? - spytałem.

Znów zerknął na mnie z uwagą.

- Dlaczego nie? Harry był bogaty.

Więc powtórzyłem mu to, co powiedziała mi wdowa: że nigdy nie spała z Harrym. Opuściła ten szczegół, opowiadając mu o swoim spotkaniu z Boetchnerem. Kiedy skończyłem, Kaleb potrząsnął głową. Nie powiedział nic, bo Lucille postawiła właśnie przed nami szklanki.

- Wyrzuć mnie stąd, kiedy to wypiję - powiedział do niej.

- Jesteś dorosłym mężczyzną, Kaleb - odparła w taki sposób, jakby chciała dać do zrozumienia, że coś ich z sobą łączy.

Staliśmy tuż obok siebie, sącząc te drinki. W pewnej chwili Kaleb powiedział:

- Przysyłają tu specjalnego oficera śledczego.

- Kto?

- Prokuratura okręgowa. Kiedy dowiedziałem się, że to morderstwo, musiałem do nich zadzwonić. Zareagowali tak, jakby zabito prezydenta.

- Harry był na swój sposób człowiekiem sławnym - przypomniałem mu.

- No właśnie. Można to tak ująć. Wysyłają tu asystenta prokuratora okręgowego, jeszcze dziś wieczorem. Faceta z wielkiego miasta. Chcą się upewnić, że miejscowi frajerzy nie spieprzą dochodzenia.

A więc o to chodzi. Odsunęli Kaleba od wstępnego dochodzenia i skierowali tu jakiegoś ważniaka z prokuratury okręgowej. Podział między mieszkańcami miasteczka a ludźmi z Nowego Jorku był równie wyraźny jak zawsze. Tutejszych funkcjonariuszy oburzała sugestia, że nie są pierwszorzędnymi fachowcami.

Miałem już dość tej zabawy. Odszedłem od baru, mówiąc do Kaleba:

- Muszę napisać ten artykuł. Obrzucił mnie krótkim spojrzeniem.

- Obiecałeś mi.

- Niczego nie obiecywałem, Kaleb - przypomniałem mu. Ale dojrzałem na jego twarzy wyraz smutku i uległości. Zerknął w bok, by przekonać się, czy Lucille słyszy naszą rozmowę. Więc dodałem: - Posłuchaj, mogę ci dać jeden dzień. Pod warunkiem, że Magda nigdy nie dowie się od ciebie o tym, że wiedziałem.

- Dzięki - powiedział. - Doceniam to.

Wyszedłem na spotkanie wiatru wiejącego znad Atlantyku. Przed kinem stały te same trzy samochody. Ale po drugiej stronie ulicy, przed Hotelem Federalnym, było ich ze dwadzieścia. Aby dostrzec różnicę między mieszkańcami miasteczka a przybyszami spędzającymi tu lato, wystarczyło obejrzeć samochody zaparkowane przed kinem. Były to dwie furgonetki i stary, poobijany Chevrolet. Przed hotelem stały trzy Mercedesy, Porsche i Cadillac Seville, liczne BMW, Saaby, Volva i jeden czy dwa wozy, których nie potrafiłem zidentyfikować. Podnosząc kołnierz płaszcza wsiadłem do mojego samochodu i pojechałem przez pustą ulicę. W polu widzenia nie było żywej duszy, jeśli nie liczyć ludzi siedzących w nowym hotelowym barze, widocznym przez koronkowe firanki. Kłębił się tam tłum pogodnych pijaków w zamszowych kurtkach po pięćset dolarów. Zaparkowałem pod redakcją, dobiegłem do drzwi w ulewnym deszczu i stwierdziłem z radością, że Magda poszła już do domu. Przyczepiła do mojego komputera kartkę z wiadomością: „Artykuł, ty durniu. Artykuł.”

Lubiła pokazywać, kto tu rządzi. Prune była właścicielką gazety, ale wydawała ją Magda. Poczuję się trochę pijany. Spojrzałem na zegarek. Dziewiąta. Gdyby udało mi się napisać ten artykuł w ciągu pół godziny, przed jej powrotem, mógłbym wyjść, zanim zostanie on wysłany prosto z komputera do drukarni. Rozwiązałem krawat, zrzuciłem marynarkę i zacząłem pisać. Wiedziałem, że nie ucieszy jej brak fotografii. Ale siedząc i patrząc w ekran doszedłem do wniosku, że będę w stanie dać jej cholernie dobry artykuł. Musiałem tylko napisać prawdę. Mogłem nawet pominąć to, co Kaleb chciał zachować w tajemnicy. Mogłem zacząć od biednego chłopca, który zakochał się, wyjechał, zrobił pieniądze i wrócił w rodzinne strony. Zastanawiałem się, czy wspomnieć o Tracy Egan. Doszedłem do wniosku, że może uda mi się pominąć jej nazwisko.

Gdy tylko zacząłem stukać w klawisze, pochłonęła mnie historia Harry'ego Boetchnera. Pisałem w pierwszej osobie zaczynając od chwili, w której zobaczyłem go pod domem Prune. Wspomniałem o dziewczynie, w której był zakochany. Wiedziałem, że wszyscy zorientują się, o kim piszę. W każdym razie wszyscy mieszkańcy miasteczka. Nowi przybysze... do diabła... na razie nie przejmowałem się nowymi przybyszami. Posłałem Harry'ego w swym artykule do Wietnamu, a potem za pomocą zręcznego zabiegu stylistycznego szybko sprowadziłem go z powrotem, każąc mu wstąpić po drodze do Miami. Opisałem jego triumfalny powrót. Dałem mu duży dom, pozwoliłem mu kupować ziemię, zrobić majątek. A potem go zabiłem.

W ostatnim akapicie zadbałem o własną skórę, pisząc, że znaleziono go nieżywego w boksie jego słynnego konia. To dało nam możliwość uzupełnienia szczegółów w następnym numerze gazety.

Potem siedziałem w pustej redakcji myśląc o tym, że napisałem wspaniały artykuł. I że byłem gotów zrezygnować z napisania go tylko dlatego, że... Nie, nie z powodu Kaleba.

Byłem na tyle pijany, by postawić sprawę uczciwie. Byłem gotów z niego zrezygnować, ponieważ pewna dziewczyna poruszała głową i patrzyła na mnie spod oka w taki sam sposób, w jaki przed dwudziestu pięciu laty robiła to inna dziewczyna.

Wydrukowałem artykuł i zostawiłem go na biurku Magdy bez kartki z wyjaśnieniem dotyczącym braku fotografii. Nie napisałem jej, gdzie może mnie znaleźć.

Gwałtownie trzeźwiałem, a stan ten nie był bynajmniej miły. Światła w redakcji były zbyt jasne. Szalejąca za oknami burza za bardzo odzwierciedlała moje własne uczucia. Niebo oplakiwało Harry'ego. Wsiadłem do samochodu, przejechałem obok kina, przed którym nie było już samochodów, i obok Hotelu Federalnego, którego bar świecił już pustkami. Wiedziałem, że sala restauracyjna jest pełna. Nie znałem żadnej innej miejscowości letniskowej, w której restauracja hotelowa dysponowałaby winami po dwieście pięćdziesiąt dolarów za butelkę. Samochód Kaleba zniknął już sprzed baru Whale's Tale. Wjechałem w boczną uliczkę, na której nad sklepem z antykami mieściło się moje mieszkanie. Wszedłem do domu i idąc po schodach nagle poczułem znany mi lęk. Bałem się, że w mieszkaniu nie ma alkoholu. Znalazłem jednak pełną w jednej trzeciej butelkę dżinu. W jednym z pojemników były jeszcze cztery kostki lodu. Zasiadłem więc w moim dwupokojowym mieszkaniu i patrzyłem na tandetne meble, stare, zapadające się łóżko, zdezelowany trzcinowy fotel i rozłazące się dywany, przez które przeświecała porysowana podłoga. Nie zapalałem światel i dałem się unieść burzy, która wywołała we mnie żal nad sobą i skłoniła do przelania kilku łez nad losem Harry'ego. Dżin na nowo poprawił mi nastrój. Nie było go dość, żeby się porządnie upić. Kiedy więc się skończył, zajrzałem do łazienkowej szafki i zażyłem środek na kaca. Potem wyłączyłem telefon, rzuciłem się w bieliźnie na łóżko i zasnąłem, znów myśląc o oczach tej dziewczyny, w której spojrzeniu malowało się równocześnie zaufanie i niedowierzanie.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Kiedy się obudziłem, świeciło słońce. W pokoju było gorąco i duszno. Czuję w ustach taki smak, jakby mój język chodził przez całą noc własnymi drogami. Zerknąłem na zegarek, który miałem na ręku i stwierdziłem, że jest dopiero piąta trzydzieści. Obudził mnie nagły przypływ niepokoju, a moje serce nadal biło w przyspieszonym tempie.

Wszystko, co wydarzyło się poprzedniego dnia, było tak jasne jak promienie słońca padające teraz na mój stary dywan. Ale cała historia nie wyglądała już tak jak ubiegłego wieczora. Nie wydawała się romantyczna, smutna, ani groteskowa. Wydawała się po prostu ponura.

Odsunąłem zasłonę, za którą znajdowała się mała kuchenka, i zacząłem robić kawę. Potrząsnąwszy dzbankiem odkryłem, że zostało jej trochę z poprzedniego dnia. Postawiłem dzbanek na kuchence, zapaliłem gaz, usiadłem ponownie na łóżku i myślałem o tym, co przytrafiło się Harry'emu. Miałem nadzieję, że Kaleb robi to samo. Wydawało mi się, że śmierć Harry'ego dotknęła go tak samo jak mnie; obaj zagubiliśmy się w labiryncie przeszłości. Ale to nie mogło pomóc Harry'emu. Harry nie żył. Został zamordowany. Istniały pewne reguły postępowania w przypadku morderstwa.

Kiedy kawa zaczęła bulgotać, nalałem ją sobie do kubka. Stojąc przy oknie, obok zlewu, wyglądałem na ulicę. Nad dachem baru Whale's Tale kołysały się maszty żaglówek. Kiedy przyjechałem tu po raz pierwszy, jeszcze jako dziecko, jedynymi masztami, jakie można było zobaczyć, były maszty łodzi rybackich. Zastanawiałem się czasem, dlaczego te łodzie zniknęły. Na końcu wyspy, w Montauk, nadal łowiono ryby. Ale latem nie widziało się już przy końcu głównej ulicy kutrów rybackich, tylko proste amerykańskie jachty. Kosztowały po ćwierć miliona dolarów i pływały tylko podczas weekendów. Te jachty pasowały do samochodów marki Porsche czy Volvo, które widziałem poprzedniego wieczoru pod Hotelem Federalnym. A Mercedesy i BMW pasowały do wielkich domów na wydmach wyposażonych w baseny, żeby ich właściciele nie podrapali się o piasek podczas kąpieli słonecznych.

Kawa smakowała tak, jak można się było spodziewać. Była okropna. Ale to nie miało większego znaczenia, gdyż i tak nie pozostała w moim żołądku zbyt długo. Walczyłem z mdłościami dopóki mogłem, a potem poszedłem do toalety i zwymiotowałem. Przyzwyczaiłem się już do plam na obrzeżu muszli. Układały się we wzór, który pamiętałem z dzieciństwa, gdyż kompozycją przypominał tapety mojego pokoju. Po ataku torsji poczułem się o wiele lepiej. Nie pamiętałem dokładnie snów, które nękały mnie ubiegłej nocy, ale wracała do mnie stale twarz tej dziewczyny, jakby ktoś przewijał stary film i przepuszczał go przez mój umysł. Spojrzenie jej oczu, jej miękkie jasne włosy, sposób, w jaki odwracała wzrok, kiedy nie chciała odpowiedzieć na pytanie i nie odzywała się, ani nawet nie

wyjaśniała przyczyn swego milczenia. Płuczac usta zastanawiałem się, jak teraz może wyglądać Tracy. A potem zacząłem się zastanawiać, jak wyglądałyby dzieci Harry'ego - dzieci, które miałyby ze swoją żoną, gdyby się z nią kiedyś przespał.

Wyplułem płyn do płukania ust do zlewu. Myślałem przez chwilę o tym, że Harry nie odważył się zbliżyć fizycznie do tej dziewczyny. Przypomniałem sobie, co powiedział zaraz po moim powrocie.

- To dziwne, co? Ja mieszkam w takim wielkim domu, a ty nad jakimś sklepem.

To, że nie poczułem się urażony, dobrze świadczyło o jego wdzięku. Wtedy byłem już oczywiście jakby uodporniony na obraźliwe uwagi. Większości członków mojej rodziny, z wyjątkiem Prune, udało się mnie obrazić.

I większości moich przyjaciół, których w jakiś niepojęty dla mnie sposób podniecał widok upadku przedstawiciela ich sfery.

- Kto powiedział, że w życiu Amerykanów nie ma drugiego aktu? - spytałem Harry'ego.

Nie znał źródła mojego cytatu. Nie miało to zresztą znaczenia. Powiedział natomiast:

- Do diabła, stary. Nic nie jest skończone, dopóki się nie skończy. Jak długo stoisz w ringu, zawsze masz jeszcze szanse.

Może myślał o mnie w taki sposób, w jaki ja myślałem o nim, kiedy spotkaliśmy się przed laty po raz pierwszy.

No cóż, ktoś na stałe usunął Harry'ego z ringu. Musiałem pocić się tej nocy, bo mój podkoszulek był jeszcze wilgotny. Zdjąłem bieliznę i rzuciłem ją w kąt łazienki. Potem stałem pod zimnym prysznicem, próbując zmyć z siebie wczorajszy dzień. Ale on nie chciał odejść. Poczulem, że jestem bardzo zły; zły za Harry'ego i szczerze mówiąc chyba i za siebie.

Ogoliłem się, wyjąłem ze starej komody czystą bieliznę i włożyłem na siebie dziwny zestaw części garderoby. Sam nie wiedziałem, że je mam - kolorowe, perkalowe szorty, podarty podkoszulek, białą koszulę, sportowe spodnie (na cześć Harry'ego) i nową, granatową marynarkę, którą kupiła mi Prune na ostatnie urodziny. Potem włączyłem telefon, który natychmiast zaczął dzwonić.

- Cześć, Magda - powiedziałem do słuchawki.

- Co to za numery, żeby wyłączać telefon? - spytała. - Co się stało? Znowu byłeś pijany?

- Zgadza się - odparłem. - Znowu byłem pijany. - W końcu bratanek właścicielki gazety ma jakieś przywileje.

- Co się stało z fotografiami?

- Padał deszcz. Może tego nie zauważyłaś.

- Po co spotkałeś się wczoraj wieczorem w Whale's Tale z Kalebem?

- Żeby wypić drinka - odparłem.

- Można powiedzieć, że nie wyciągnąłeś z niego wiele. Przysyłają tu asystenta prokuratora okręgowego.

Następny numer naszej gazety miał się ukazać dopiero za tydzień. Więc dałem Kalebowi czas, o który mnie prosił. Magda nie mogła wykorzystać informacji o asystencie prokuratora.

- Naprawdę? - spytałem.

- Naprawdę - odparła. - Wiedziałbyś o tym, gdybyś był jako takim reporterem.

Pominałem tę obelgę milczeniem. Nie odezwałem się ani słowem. W telefonie zapadła cisza. Skoro wiedziała o przyjeździe asystenta prokuratora, musiała wiedzieć, że Harry nie umarł naturalną śmiercią.

- Nie zadałeś najważniejszego pytania - oznajmiła w końcu.

- Harry nie umarł śmiercią naturalną - powiedziałem obojętnym tonem.

- Ty durniu. - Pomyślałem, że zbyt często powtarza to słowo. Ktoś powinien korygować jej teksty. - A więc wiedziałeś o tym.

- Znałem nie potwierdzone fakty.

- Już są potwierdzone. Dostarczono właśnie protokół sekcji zwłok.

Był to swojego rodzaju rekord. Harry nie żył zaledwie od dwudziestu czterech godzin, musieli więc pracować całą noc. Ktoś był naprawdę zaniepokojony i moim zdaniem nie był to Kaleb. Harry Boetchner był w naszym mieście człowiekiem wpływowym, niemal potężnym. Ale w porównaniu z ważniakami, którzy przyjeżdżali tu każdego lata, nie liczył się aż tak bardzo. Nie na tyle, żeby pracowano nad jego zwłokami przez całą noc. Wydało mi się to interesujące. Poinformowałem o tym Magdę.

- Tak, tak, ja też o tym myślałam - powiedziała zupełnie innym tonem. Kiedy zapomniała o goryczy, jaką przeżywała od chwili utraty gazety na rzecz Prune, była zupełnie dobrą redaktorką. Jej instynkt dziennikarski brał górę i stawała się całkiem inną osobą. - Czy chcesz śledzić tę sprawę dalej?

- Owszem - odparłem.

- Więc bierz się do tego, Ben. - Zdanie to dowodziło, że ma osobisty stosunek do sprawy. Po raz pierwszy wypowiedziała moje imię.

Teraz, kiedy zachowywała się jak człowiek, poczułem wyrzuty sumienia, że nie powiedziałem jej o tej dziewczynie. Gdybym wspomniał o tym w tej chwili, po drugiej stronie przewodów nastąpiłaby eksplozja, ale byłem zaskoczony, że jeszcze o tym nie wie. Tak czy owak nie ulegało wątpliwości, że jeśli jeszcze nie wie, to dowie się w ciągu najbliższych kilku minut. Podejrzywałem, że nie była w domu od wczorajszego wieczora. Gazeta szła do druku o północy. Ale Magda zostawała często do drugiej lub trzeciej, na wypadek, gdyby w drukarni coś się stało. Tym bardziej było interesujące, że wiedziała już o

protokóle sekcji zwłok. Gotów byłem się założyć, że Kaleb jeszcze o nim nie wie. W każdym razie nie oficjalnie.

- Wezmę się do tego - obiecałem.

W słuchawce zapadła dłuższa cisza i miałem wrażenie, że Magda chce mnie jeszcze o czymś poinformować. Ale kiedy się odezwała, powiedziała tylko:

- Pożegnajmy Harry'ego tak jak trzeba, co? - Potem gwałtownie odłożyła słuchawkę, jakby poczuła się zdemaskowana, okazując Harry'emu aż tyle uczucia.

Nie było jeszcze siódmej trzydzieści, ale panował spory upał. W moim małym, dwupokojowym mieszkaniu, położonym tuż pod dachem, zrobiło się tak gorąco, że z trudem oddychałem. Przyniosłem z sypialni obrotowy wentylator, zwrócony na stałe w kierunku łóżka i włączyłem go, a sam poszedłem zrobić sobie drugi dzbanek kawy. Zauważyłem, że jestem już kompletnie ubrany - spodnie, koszula, krawat, marynarka - ale nie mam na sobie skarpetek ani butów. Tego rodzaju szczegóły umykały ostatnio mojej uwadze. Byłem w trudnej sytuacji, jeszcze trudniejszej niż dawniej, ale nie chciałem o tym teraz myśleć. Zamiast tego wrzuciłem do kubła pustą butelkę po alkoholu, spakowałem torbę ze śmieciami i nie czekając na zaparzenie się kawy, zszedłem na dół i umieściłem ją w ustawionym za budynkiem pojemniku. Niebo było jasne i czyste. Lato wróciło nagle, jakby wczorajsza noc była tylko skutkiem chwilowego załamania pogody. Zza budynków dzielących mnie od centrum dobiegał szum przejeżdżających główną ulicą samochodów. Pomyślałem, że Kaleb będzie miał pełne ręce roboty. W sierpniu panował tu ogromny tłok, a na autostradzie Montauk samochody jechały zderzak w zderzak. Miał dość obowiązków nawet wtedy, kiedy nie musiał zajmować się morderstwem Harry'ego Boetchnera.

Morderstwem. Wracając na górę powiedziałem to słowo na głos. Z dzbanka kipiało. Oba pokoje wypełniał odór przypalonej kawy i mojego własnego potu. Otworzyłem szeroko okna, ale wpadł przez nie jedynie hałas. Potem nalałem sobie następną filiżankę kawy i przysiadłem na brzegu łóżka, myśląc o tym morderstwie. Harry Boetchner został zamordowany.

Aby doszło do morderstwa, musi istnieć motyw. Wlewając sobie do żołądka drugą filiżankę kawy i próbując ją tam zatrzymać zastanawiałem się, jaki mógł być motyw tego morderstwa. Potem przypomniałem sobie o liście, który wyciągnąłem z jego akt, zanim usłyszałem kroki kręcącego się na górze intruza. Wyjąłem ten list z kieszeni mojej drugiej marynarki i przeczytałem go uważnie jeszcze raz. Pieniądze są zawsze dobrym motywem zabójstwa. Przeżyłem nagłą zmianę moich stosunków z krewnymi i przyjaciółmi, którym byłem winien pieniądze, i zrozumiałem, dlaczego Harry naraził się wielu ludziom. Kupił tanio ich ziemie i drogo je sprzedał. Dla jednych mógł to być budujący przykład tradycyjnej amerykańskiej wolnej konkurencji, dla innych - tych, którzy utracili zyski - motyw morderstwa.

Kawa nie chciała pozostać w moim żołądku. Poszedłem do łazienki i ponownie zwymiotowałem, a potem wypłukałem usta i doszedłem do wniosku, że muszę po prostu spróbować jakoś przeżyć najbliższe godziny. Doświadczenie mówiło mi, że jeśli przetrwam poranek, będę żył dalej. Znalazłem na półce łazienkowej cztery rozmiękłe tabletki aspiryny, włożyłem je do ust i rozgryzłem. Ich gorzki smak zabił odór płynu do płukania ust.

Wyłączyłem wentylator, zszedłem na dół i wsiadłem do samochodu. Wiedziałem, że świadomie nie zastanawiam się nad drugim często spotykanym motywem morderstwa. Miłość. Namiętność. Możemy to nazywać jak nam się podoba, ale to, co dzieje się między mężczyznami a kobietami przysparza niemal tylu kłopotów co pieniądze.

Minąłem dwie przecznice i zaparkowałem przed Hotelem Federalnym. W jadalni nie podawano śniadań. Były one w kalkulowane w cenę dwustudolarowego pokoju. Serwowano je do pokoi na srebrnej tacy wraz z pierwszorzędną zastawą, kwiatem, i nawet egzemplarzem „New York Timesa”, o ile przywożono go tego dnia do naszego miasteczka. Siedząca w recepcji młoda Chinka podniosła na mój widok wzrok.

- Cześć - powiedziała. Wyjęła spod lady książkę gości i położyła ją przede mną na blacie. - Nie mamy dziś żadnych znakomitości, Ben - oznajmiła. I otworzyła książkę, żebym mógł spojrzeć na listę nazwisk. Znakomitości przybywające do Hampton często były tematem naszych artykułów wstępnych. Przesunąłem wzrok po liście nazwisk i znalazłem ją: Helen Lyle. Wydało mi się to interesujące. Nie zameldowała się jako Helen Boetchner. Biedny, stary Harry, pomyślałem. Poślubiony zaledwie przed dwoma dniami i tak szybko zapomniany.

- W którym pokoju mieszka pani Lyle? - spytałem.

- Panna Lyle - poprawiła mnie dziewczyna. Była jedną z tych eleganckich Azjatek, które ciągle się ostatnio widywało. Nie ja pierwszy zastanawiałem się, kto wygrał wojnę. Lubilem tę dziewczynę, ale wiedziałem, że w ciągu ostatnich dwóch lat kupiła już w sąsiednich miasteczkach dwa lub trzy domy. Być może, pomyślałem, Harry i tacy jak on stanowili tylko fazę przejściową. Kiedyś miasteczko należało do ludzi z mojej sfery. Potem pojawił się Harry. Ale na horyzoncie czaili się już nowi barbarzyńcy, gotowi nas zalać i wykupić wszystko od początku.

- W osiemnastce - odparła.

- Czy podano jej już śniadanie?

- Wiesz, że nie mogę ci udzielić tej informacji, Ben. Pamiętałem czasy, w których mogłem tu zdobyć każdą informację.

- Posłuchaj - powiedziałem. - To dla mnie bardzo ważne. Czy możesz się tego dowiedzieć? - Zastanawiała się przez chwilę zamykając książkę gości i chowając ją pod ladę, a potem odeszła od kontuaru. Hol tego hotelu zdobił piękny, różowo-turkusowy wschodni dywan. Na środku stał okrągły, antyczny stół, a na nim wysoka waza z kwiatami, które

musiały kogoś kosztować kilkaset dolarów. Wisiało tam też stare lustro z orłem, który oczywiście wyciągał łeb w moim kierunku. I kilka portretów czyichś przodków, którzy się nie znali. Stałem tam i myślałem o tym, jak słuszne było to, co powiedział Harry Boetchner: mając pieniądze można urządzić wszystko tak, jakby mieszkało się w danym miejscu od stu lat.

Młoda Chinka wróciła.

- Właśnie telefonowała po śniadanie.

- Pozwól mi je zanieść na górę.

Zaczęła kręcić głową, zanim jeszcze skończyłem zdanie.

- Nie.

- Gdzie trzymacie tace?

Musiał ją uderzyć ton mojego głosu albo to, że pojawiłem się tak wcześnie.

- Są wystawione w jadalni. Kiedy ktoś dzwoni i prosi o śniadanie, idę tam, biorę tacę i zanoszę ją na górę.

- Więc zniknij stąd na minutę lub dwie - zaproponowałem. - Musi być w tym hotelu coś, czym powinnaś się zająć.

Nie chciała się zgodzić, ale odeszła w stronę baru. Wszedłem do jadalni, w której jeden z kelnerów przygotowywał właśnie tacę ze śniadaniem. Wydawał się zaskoczony moim widokiem, ale nie powiedział ani słowa. Tutejsi kelnerzy uważali się w większości za hollywoodzkie gwiazdy. Byli tu po to, „żeby ich zauważono”, jak sami lubili mówić. Nie udzieliłem mu żadnych wyjaśnień i nie dałem czasu na protesty.

- Czy ta taca jest już gotowa? - spytałem.

- Jasne - odparł wzruszając ramionami.

Wziąłem ze stołu tacę i wyniosłem ją, starając się robić to fachowo. Z jadalni wyszedłem do małego, zagraconego antykami przedpokoju. Hol znajdujący się na górze był inną wersją dolnego: wspaniały dywan, komoda Boulle'a, nad nią cenne lustro, tapeta z reprodukcjami, której metr bieżący musiał kosztować w sklepie ze trzydzieści dolarów, i stojące w równych odstępach krzesła, pozornie przypadkowo dobrane i nadające temu pomieszczeniu właściwą atmosferę. Zapukałem do drzwi pokoju numer osiemnaście i usłyszałem ze środka głos tej dziewczyny.

- Chwileczkę - zawołała.

Po kilku sekundach drzwi otworzyły się. Wszedłem z tacą do pokoju. Odwrócona do mnie plecami wskazała okrągły, dębowy stół stojący przy oknie, które wychodziło na główną ulicę.

- Proszę to postawić tam - powiedziała.

- Oczywiście, proszę pani - odparłem.

Odwróciła się gwałtownie i spojrzała na mnie szeroko otwartymi oczami. Na widok jej podobieństwa do matki znów przeżyłem szok.

- Co pan tu robi? - spytała.

Przeszedłem z tacą obok niej i postawiłem ją na stole.

- Przynoszę pani śniadanie - odparłem. Stała nieruchomo przy otwartych nadal drzwiach. Najwyraźniej nie wiedziała, czy mnie wyrzucić, zrobić scenę, czy po prostu zachować się biernie.

- Muszę z panią porozmawiać - powiedziałem.

- Nie chcę z panem rozmawiać.

- Wczoraj wieczorem nie udało nam się dogadać. Przepraszam. Byłem po prostu zaskoczony.

Miała na sobie różowy szlafrok froté i wyglądała tak, jakby przed chwilą wyszła z wanny. Kosmyki mokrych włosów nadal były przyklejone do jej czoła. Z korytarza doszedł klekot następnej tacy ze śniadaniem, którą ktoś niósł właśnie po schodach. To ją wyraźnie zaniepokoiło. Przymknęła lekko drzwi.

- Nie wiem, co robić - przyznała opuszczając wzrok.

Mimo woli zauważyłem, że nie ma nic pod szlafrokiem. Poczulem taki sam przypływ pożądania jak poprzedniego dnia, kiedy trzymałem ją w ramionach.

- Harry był moim przyjacielem - oświadczyłem. - Może nie powiedziałem tego wyraźnie.

Przymknęła drzwi jeszcze bardziej.

- Myślałam, że jest pan dziennikarzem.

- Jestem - przyznałem. - Ale nie wspomniałem o pani w artykule. - Oparła się plecami o drzwi i spytała dlaczego.

Wyjrzałem na ulicę i dostrzegłem kawalkadę jadących już na rowerach w stronę plaży młodych ludzi.

- Nie jestem pewien. Po części dlatego, że prosił mnie o to Kaleb.

- Harry musiał mieć wielu przyjaciół - powiedziała z zadumą.

Odwrociłem się i spojrzałem na nią.

- Nie - wyznałem jej. - Nie tak wielu.

- Ale wszyscy próbujecie go chronić. - Podeszła do stołu i przyjrzała się tacy. - Tylko jedna filiżanka.

- Chyba nie jestem w stanie nic dzisiaj wypić - oznajmiłem. - Najwyżej kieliszek wódki.

- Mam wódkę - powiedziała podchodząc do komody. Otworzyła szufladę i wyjęła z niej małą piersiówkę, z gatunku tych, które bierze się z sobą na mecze futbolowe. Byłem ciekaw, czy kupiła ją poprzedniego dnia rano czy dopiero wtedy, kiedy dowiedziała się o

śmierci Harry'ego. Jakoś nie mogłem sobie wyobrazić, jak wchodzi do sklepu z alkoholami i kupuje małą butelkę wódki. Podeszła do mnie i podała mi ją z obojętnym wyrazem twarzy. - Proszę. Jeśli pan chce, może pan wypić ten sok pomarańczowy. - Ton, jakim to powiedziała, obudził we mnie przypuszczenie, że kupiła tę wódkę dla kogoś innego i że robiła to już wiele razy.

Ale żebracy nie mogą być wybredni, jak mawiał mój ojciec, kiedy jego finanse podupadały. Pokonałem opór nakrętki, nalałem trochę wódki do soku pomarańczowego, zamieszałem palcem i wypilem spory łyk. Nie zadziałała od razu, ale i tak poczułem się znacznie lepiej, wiedząc, że kawaleria nadchodzi. Dziewczyna nalała sobie kawy, a ja dojrzałem w rozcięciu szlafroka jej nogi. Były zgrabne. Z ulicy dobiegał coraz większy zgiełk. W upalnym powietrzu poranka unosiły się dziecinne głosy. Sączyłem z wdzięcznością ten sok pomarańczowy, a ona piła kawę. W końcu spojrzała na mnie tymi wielkimi, szarymi oczami.

- Dlaczego ktoś mógłby chcieć zabić Harry'ego? - spytałem.

- Nie wiem.

- Przecież jest pani jego żoną.

- Owszem - powiedziała cicho, patrząc w filiżankę. - Byłam. Ale nie wiedziałam nic o jego życiu.

- Dopiero co wyszła pani za niego za mąż, prawda? Jej oczy rozbłysły nagle.

- Nie zapraszałam pana tutaj.

- Nie - przyznałem.

Widziałem, że zbiera się na odwagę, by mnie wyprosić, ale ją też coś najwyraźniej niepokoiło.

- Kiedy ta sprawa się rozejdzie, narobi cholernie dużo szumu - powiedziałem w nadziei, że opóźni to polecenie opuszczenia pokoju. - Niech sobie pani lepiej przygotuje kilka odpowiedzi na pytania. Dziś przyjeżdża z Massapequa asystent prokuratora okręgowego.

Zamknęła oczy i zacisnęła dłonie. Potem, bardzo powoli, po jej policzkach zaczęły spływać łzy. Zachowałem obojętność jak długo mogłem, a potem poprosiłem:

- O Jezu, niech pani tego nie robi.

- Nie potrafię się powstrzymać - wyjąkała płacząc coraz bardziej przejmująco.

Odstawiłem pustą szklankę po soku na srebrną tacę i przykucnąłem przed dziewczyną, patrząc na nią tak, jak patrzy się na chore, zbolące dziecko.

- Niech pani posłucha - powiedziałem. - To nie ma nic wspólnego z panią. To dawna historia.

Łzy spływały potokami po jej dziecięcych policzkach. Usłyszawszy, co powiedziałem, otworzyła szeroko oczy.

- Historia związana z moją matką, prawda?

Poczułem się tak, jakby w mojej obecności zakłęło jakieś dziecko. Ona nie mogła o tym wiedzieć. Nagle cały romans Harry'ego przestał wyglądać jak jego osobisty triumf, a zaczął przedstawiać się bardziej ponuro i podejrzanie.

- To stare dzieje - odparłem.

Pociągając nosem, znów podniosła głowę w tak dobrze znany mi sposób i spojrzała nade mną w kierunku okna, zza którego nadal dobiegały głosy śmiejących się na ulicy dzieci.

- To wszystko nie wygląda tak, jak pan myśli - oznajmiła.

Wyobrażałem sobie, co muszę jej zdaniem myśleć. Nie odezwałem się.

- Wie pan, ja naprawdę go kochałam - powiedziała. - On był dla mnie dobry.

Próbowałem rozważyć tę koncepcję, ale jakoś nie pasowała mi do całości. W końcu zdobyłem się tylko na słowa:

- Jestem pewien, że Harry panią kochał.

Ale ona nie pozwoliła mi tak łatwo się wymknąć. Odwróciła się i zobaczyłem, że jej załzawione oczy błyszczą jak po zażyciu belladony.

- Nie - powiedziała. - To ja go kochałam. Przy nim czułam się bezpieczna.

W tym stwierdzeniu zabrzmiało echo czegoś, co usłyszałem kiedyś od jej matki, ale nie mogłem sobie tego dokładnie przypomnieć. Nie miałem wiele czasu na namysł, bo dziewczyna właśnie w tym momencie pochyliła się ku mnie, objęła mnie za szyję i oparła głowę na moim ramieniu. Wiedziałem, że powinienem ją odsunąć, ale ona szepnęła:

- Niech pan nic nie mówi przez kilka minut. - Czułem dotyk jej ciała, ucisk jej piersi. Czułem też, że drży. Objąłem ją, by ją pocieszyć, tak jak pociesza się dziecko.

Kiedy się uspokoiła, zdjąłem jej ręce ze swojej szyi i bardzo łagodnie popchnąłem ją w kierunku stojącego nie opodal fotela.

- Zachowując się w ten sposób, może pani narazić starego człowieka na atak serca - powiedziałem.

- Harry też mówił takie rzeczy - odparła. - Nie jest pan taki stary.

Pod wpływem tych dwóch słów - taki stary - poczułem się tak wiekowy jak nasi praojcowie, którzy podobno bywali w tym miasteczku w czasach wojny o niepodległość. To był żart, ale tak czy owak zdałem sobie wyraźniej niż dotąd sprawę z dzielącej nas różnicy wieku. Miałem sto lat i kaca, a siedząca przede mną dziewczyna znów stawała się dzieckiem.

- Wkrótce zaczną pani zadawać mnóstwo pytań - przypomniałem jej.

Położyła głowę na oparciu fotela. Jej jasne włosy kontrastowały z ciemnym obiciem.

- Harry chciał, żeby wszystko było doskonale - oznajmiła, jakby podążając za tokiem własnych myśli.

- Biedny Harry.

To samo powiedział Kaleb. To samo powiedziała Magda. A teraz mówiła to żona Harry'ego. Zanim zdobyłem się na komentarz, dodała patrząc na mnie:

- Czy pojedzie pan ze mną do tego domu? Boję się jechać sama. Mam tam całą garderobę.

- Niedługo będę musiał znów stać się dziennikarzem - przypomniałem jej.

- Ja nic nie wiem - odparła.

Nie wierzyłem jej. Chciałem jej wierzyć. Dostrzegłem w niej gwałtowną zmianę. Przeszedłem tam po to, by zadać jej kilka brutalnych pytań, ale kiedy rzuciła mi się w ramiona, zapomniałem o nich. Myślałem o Harrym, który leżał gdzieś martwy, ale pamięć o nim zaczęła już się zacierać. Myślałem, że znam Harry'ego. Teraz pojąłem, że traktował mnie tak samo jak wielu innych ludzi. Wyznał mi część prawdy. Kiedy podchodziłem do okna, by wyjrzeć na ulicę, pomyślałem, że Harry mógłby mi chyba opowiedzieć tę część całej historii. Być może nie chciał, by stanowiła ona dalszy ciąg tego, co wydarzyło się przed dwudziestu pięciu laty. Być może chciał rozpocząć nowe życie.

Wszyscy chcieliśmy rozpocząć nowe życie. Prune. Ja. Byłem jednak przekonany, że gdyby komuś z nas dano nowe życie, spieprzyłoby je tak samo jak stare.

- Lepiej niech się pani ubierze - powiedziałem nie patrząc w jej kierunku. Widziałem, że pod hotelem przejeżdża bardzo powoli wóz policyjny Kaleba. Czekał pewnie na asystenta prokuratora okręgowego. Jeśli wyjechało się z Massapequa wcześniej rano, kiedy nie ma jeszcze wielkiego ruchu, można było dojechać tu w niecałą godzinę. Wiedziałem, że gdy tylko zjawi się prokurator, przyjdą do hotelu, by pogadać z tą dziewczyną. Słyszałem, jak wstaje, wychodzi z pokoju i zamyka za sobą drzwi łazienki. Poklepałem się po wszystkich kieszeniach marynarki szukając papierosa, ale ponieważ była niemal nowa, więc nie znalazłem nic oprócz listu do Harry'ego, który zaszeleścił cicho pod materiałem.

Zanim wyszła z łazienki, ubrana tak samo jak poprzedniego dnia, ulica pod oknami tętniła życiem. Trudno było to określić, ale w powietrzu unosiło się coś dziwnego. Nie dlatego, że po deszczu wstał słoneczny dzień.

- Może zeszłaby pani na dół tylną klatką schodową? - zaproponowałem. - W głębi budynku znajduje się dawne wejście dla służby. Podjadę pod nie samochodem.

Spojrzała na mnie znów tymi cudownymi oczami.

- Jest pan bardzo dobry - powiedziała. Jeśli próbowała takich sztuczek z Harrym, to nic dziwnego, że biedak chciał wymazać z pamięci przeszłość. Zbiegłem na dół i wyszedłem główną bramą, żeby wsiąść do samochodu. Idąc w jego stronę po trotuarze usłyszałem strzęp rozmowy:

- Morderstwo... koń... co za sukinsyn...

Odwróciłem się, żeby zobaczyć, kto powiedział „sukinsyn”, ale na trotuarze odbywała się parada pastelowych koszulek polo, bermudów i sportowych spodni, wśród których przewijały się z rzadka spłowiałe podkoszulki i dzinsy mieszkańców miasteczka. Nie potrzeba było wiele doświadczenia, by wytropić ich w tym tłumie. Letni przybysze ubierali się jak

kolorowe jednoroczne kwiaty, mogące przetrwać tylko jeden sezon, natomiast miejscowi wyglądali jak byliny. Mieli na sobie stroje w spokojnych barwach, tak wyblakłe, jakby wkładano je do pralek już od co najmniej dwóch lat. Ciekaw byłem, kto nazwał Harry'ego sukinsynem.

Kiedy podjechałem pod tylne wejście, stała już na nie pomalowanych schodach. Dyrekcja Hotelu Federalnego nie traciła farby na zaplecze. Choć umeblowanie wnętrza sugerowało, że przechodził on z pokolenia na pokolenie, widok tylnego wejścia dowodził, że chodziło tu tylko o maksymalny zysk. Dziewczyna zeszła po stopniach i wsiadła do samochodu, a ja ruszyłem w stronę jej domu unikając głównych ulic i wybierając polne drogi, które znali tylko miejscowi. Ukrywaliśmy w tajemnicy sieć tych szlaków, aby przemieszczać się w miarę szybko z miejsca na miejsce i unikać tłoku, jaki panował na głównych arteriach. W ciągu sześciu lub siedmiu minut wyjechaliśmy z miasta i znaleźliśmy się na Dune Road. Dzień był upalny, ale wiał silny wiatr. Rosnące na prawo od szosy bagienne krzewy i kepy sitowia pochylały się jak postępujące wojska. Dziewczyna nie odzywała się, dopóki nie ujrzała stada kaczek, które nadleciały nagle znad bagien i pomknęły w szyku w kierunku łądu.

- Bardzo tu pięknie - powiedziała.

Byłem ciekaw, czy zamierza tu zostać. Była właścicielką wielkiego domu.

- Owszem - przyznałem lakonicznie.

- Moja matka często opowiadała mi o tych stronach - oznajmiła, nadal obserwując punkt jaskrawożółtego nieba, w którym zniknęły kaczki. - Mówiła, że przeżyła tu najszcześniejszy okres w życiu.

Wydało mi się to dziwne. O ile wiedziałem, Tracy Egan spędziła w Hampton tylko dziesięć tygodni swego życia.

- Od tej pory sporo się tu zmieniło - oznajmiłem.

- Owszem, tak przypuszczam. Wszystko się zmienia, prawda?

Nie, pomyślałem. Wiele rzeczy nie uległo zmianie. Na przykład Hampton Club, do którego miałem pojechać trochę później. Zmiany miały jedynie charakter kosmetyczny. Przed dwudziestu pięciu laty dopuszczaliśmy do klubu miejscowych, przyznając im tak zwane „ograniczone członkostwo”. Nie miało to nic wspólnego z rasą, kolorem skóry czy wyznaniem. Chodziło tylko o pieniądze. Do klubu mógł się zapisać człowiek, który miał dość pieniędzy i uzyskał poparcie dwóch członków wprowadzających. Ale żyliśmy w demokracji, a demokracja wymaga, żeby mógł do niego wstąpić każdy. Ustanowiliśmy więc członkostwo drugiej klasy dla wybranych mieszkańców miasteczka: burmistrz, kilku członków rady miejskiej, chyba nawet ojciec Kaleba, który był przed nim szefem policji. Mogli u nas grywać w golfa, a po wybudowaniu stajni chyba nawet trzymać w niej konia, o ile było ich na to stać. Ale nie mieli prawa wstępu do budynku klubowego. To nie zmieniło się do tej pory i

właśnie dlatego Harry'emu tak zależało na tym, żeby zostać pełnoprawnym członkiem. Z pewnym niesmakiem stwierdziłem, że Harry wykorzystał również mnie. Zostałem jego członkiem wprowadzającym i postarałem się - za pośrednictwem Prune - o drugiego sponsora. Harry miał więc dodatkowe przywileje: mógł stać przy barze i stawiać drinki ludziom, którzy dwadzieścia pięć lat wcześniej nie wpuściliby go przez główne drzwi. A więc nie zmieniło się wiele.

Nie rozwiewałem jej złudzeń. Wjechałem przez nową bramę i podążyłem w stronę dawnego domu Vanderbiltów. Kiedy wyłączyłem silnik, nie ruszyła się ze swego miejsca na przednim siedzeniu. Patrzyła na dom nowym spojrzeniem. Znałem to spojrzenie. Widziałem je wielokrotnie, obserwując ludzi z mojej sfery. Wyrażało ono świadomość posiadania.

- Jest okropnie duży - powiedziała.

- Zależy, co ma pani na myśli.

- Dla jednej osoby.

- Jest pani młoda - odparłem. Zawstydzony własnym okrucieństwem, otworzyłem drzwi i wysiadłem. - Może nie będzie pani samotna do końca życia.

Gotów byłem się o to założyć. Mając ten dom i pieniądze Harry'ego, stawała się dobrą partią. Wydawało mi się, że przeżywam to wszystko po raz drugi. Nie miałem na myśli jej matki. Jej matka, przybywając tu z „flotą rybacką”, była w innej sytuacji. Zresztą ta dziewczyna złowiła już grubą rybę. W następnym okrażeniu ona sama miała być przynętą. Wydawało mi się, że należy do osób, które dobrze radzą sobie z pieniędzmi. Spojrzałem na liczne okna rezydencji w stylu Tudorów. Ktoś w niej był ubiegłej nocy. Był to ogromny dom. Można by bez wiedzy właściciela ukrywać na strychu całą rodzinę. Dziewczyna wysiadła już z samochodu i szła w kierunku frontowych drzwi.

- Muszę coś pani powiedzieć - zawołałem do niej.

Odwróciła się z ręką na klamce. Wyglądała już na właścicielkę tego domu. Istnieje pewna nieokreślona cecha, którą ludzie z mojej sfery lubią przypisywać dobremu wychowaniu, ale ja w ciągu wielu lat widziałem, jak demonstrowali ją - choć w powierzchowny sposób - żigolacy, tancerki kabaretowe i Bóg wie kto jeszcze. Jest to władcza postawa, sugerująca, że pod milczeniem kryje się siła. Czasem ktoś się nią zarazi, czasem nie. Wiedziałem, że ona się zarazi. Już teraz wyglądała tak, jakby stała za nią cała potęga pieniędzy, które zostawił jej Harry.

- Kiedy pojechała pani wczoraj wieczorem z Kalebem, wróciłem do tego domu.

Teraz rzuciło się to w oczy jeszcze wyraźniej. Nie odezwała się, stosując zasadę dobrze znaną ludziom bogatym. Zasada ta brzmi: Pozwól im mówić. Uspij ich czujność.

- W domu ktoś był - powiedziałem. Na jej twarzy odbił się nagle lęk.

- To niemożliwe - wybuchnęła. - Harry zwolnił służbę.

- To nie był służący.

- Skąd pan wie? - spytała.

- Chyba że Harry miał bardzo źle wyszkoloną służbę. Ten facet huknął mnie w głowę.

Stała w miejscu jeszcze przez kilka sekund, a potem bez słowa nacisnęła klamkę, stanowczym ruchem pchnęła drzwi i weszła do środka. Pomyślałem, że będzie dobrze reprezentować klasę ludzi bogatych. Przypomniałem sobie jedną ze starych przyjaciółek Prune, która goniła kiedyś złodzieja po Maiden Lane, mając na sobie tylko koszulę nocną. Ukradł jej torebkę. W latach dwudziestych była treserką w cyrku. Miała czterech mężów, ale nie zapomniała, co można kupić za dwadzieścia siedem dolarów i sześćdziesiąt dwa centy. Jak dobrze wiedział Jack Benny, nie należy dawać ludziom bogatym wyboru między pieniędzmi a życiem; nie widzieli między nimi różnicy.

- Dziękuję, że mnie tu pan przywiózł.

Mała dziewczynka, która bała się sama wejść do domu, zniknęła gdzieś po drodze między miastem a wybrzeżem.

- I tak się tu wybierałem - mruknąłem okrążając samochód i podchodząc do niej.

Miałem wrażenie, że chce zagrozić mi drogę, ale pchnąłem drzwi i również znalazłem się w środku.

- Jestem pewna, że teraz już nic mi nie grozi... - zaczęła, ale ja przeszedłem obok niej i znalazłem się w holu. Zauważyłem, że przeciwległe drzwi są teraz zamknięte. Musiał je zamknąć Ron, zastępca Kaleba, który miał poprzedniej nocy zabezpieczyć rezydencję. Nie był w stanie zrobić wiele więcej. Kaleb miał rację: przez dom przeszła ostatnio armia robotników. Nie było nadziei na znalezienie żadnych śladów.

Odwróciwszy się spojrzałem na szeroką, ręcznie rzeźbioną klatkę schodową i witraż wysoko na ścianie, który Harry odtworzył z taką pieczołowitością. Jakiś święty, unosząc wzrok ku niebu, opłakiwał rozgrywającą się poniżej scenę. Potem otworzyłem drzwi i wyszedłem na taras. W ciepły, letni poranek rozciągał się stąd imponujący widok. Mogłem sobie wyobrazić któregoś z Vanderbiltów stojącego na wyłożonym ceglami tarasie i podziwiającego wszystko, co było przed nim. Ale Vanderbiltowie czuli się na tym tarasie inaczej niż Harry. Vanderbiltowie - podobnie jak przedstawiciele innych starych i bogatych rodzin - uważali, że mają prawo do wszystkiego, co objęli swym pożądanym wzrokiem; Harry natomiast, stojąc w tym miejscu, musiał zastanawiać się, jak zdołał zdobyć tę posiadłość. Porośnięte mchem cegły tarasu nie dostarczyły mi żadnych wskazówek dotyczących wczorajszego, nieproszonego gościa.

Dziewczyna wyszła na taras w ślad za mną.

- Bierzmy się do roboty - powiedziałem. - Jeśli chce pani zabrać swoje rzeczy, pójdę z panią na górę.

- To nie będzie konieczne - odparła.

- Pójdę tak czy owak - oznajmiłem.

Kiedy wróciłem z zalanego jasnym, porannym słońcem tarasu do mrocznego domu, czułem się przez chwilę oślepiony. Przed moimi oczami tańczyły małe, barwne plamki odbitego światła. Miałem wrażenie, że święty męczennik opuścił na kilka sekund mozaikowy witraż i unosi się nad holem. Było to oczywiście złudzenie, ale złudzenie cholernie sugestywne. Pomyślałem sobie, że nie chciałbym samotnie spędzić nocy w tym domu. Nawet wtedy, gdy służba zajmowała przeznaczone dla niej skrzydło. Ale Harry mieszkał tutaj samotnie. Kiedy prowadziłem dziewczynę na górę, moje kroki odbijały się echem od klatki schodowej. Gdy znaleźliśmy się na korytarzu pierwszego piętra, spytałem:

- Który pokój jest pani?

- Tamten - odparła. - Na samym końcu.

Była to główna sypialnia. Tam właśnie sypiał Harry, kiedy przebywał tu sam. Podszedłem do drzwi i otworzyłem je. W pokoju panował bałagan. Wszystkie części garderoby, wyjęte z dwóch walizek, były porozrzucone na podłodze. Usłyszałem, jak stojąca za moimi plecami dziewczyna wydaje cichy dźwięk, przypominający jęk zranionego zwierzęcia.

- Moje rzeczy... - szepnęła.

- Proszę niczego nie dotykać - poleciłem jej wchodząc do pokoju. Sufit sypialni Harry'ego znajdował się na wysokości siedmiu metrów. Stało w niej łóżko z baldachimem, komoda, mahoniowe biurko z blatem wyłożonym zieloną skórą, krzesło i wysoki sekretarzyk, pochodzący - jak twierdził Harry - z pracowni Hepplewhite'a. Wyfroterowaną podłogę zdobiło kilka małych, jedwabnych, wschodnich dywanów. Rozejrzałem się po pokoju. Okna znajdowały się tu powyżej poziomu oczu; było to drobne oszustwo dawnych projektantów domu. Rzuciły one z góry rozproszone światło, ale w pokoju panował półmrok. Chodziło - jak przypuszczałem - o odtworzenie nastroju dziewiętnastowiecznego romantyzmu. Mnie jednak pokój ten wprawiał w depresyjny nastrój.

Dziewczyna znów była bliska łez. Stała tuż za drzwiami i najwyraźniej powstrzymywała się z trudem od zbierania z podłogi swoich rzeczy. Obie leżące na łóżku walizki były skórzane i zupełnie nowe. Liczne spośród porozrzuconych części garderoby nadal miały przypięte metki. Były to kosztowne rzeczy, utrzymane w stonowanych barwach, a nie krzykliwe szmatki, w jakie stroili się letni przybysze. Nie były to również znoszone i wyblakłe ubrania mieszkańców miasteczka. Prune wiedziałyby wszystko o tych częściach garderoby. Kosztowały one kogoś masę pieniędzy.

- Będziemy musieli wezwać Kaleba - powiedziałem.

- Po co? Przecież to tylko jakiś zwykły złodziej.

Spojrzałem na nią bez słowa. Musiała wiedzieć, na czym polega różnica między morderstwem a normalnym włamaniem. Nie wydawała się wcale głupia.

- To, czego szukali - powiedziałem w końcu - nie było własnością Harry'ego.

- Co pan ma na myśli?

Wskazałem jej komodę, biurko, sekretarzyk.

- Nie tknęli niczego, co należało do niego. Interesowały ich tylko pani rzeczy.

- To nie ma sensu - odparła potrząsając głową. - Wszystko, co mam, jest nowe.

Leżące wokół nas ubrania przypominały jesienne liście.

- Czy oprócz tych nowych części garderoby nie było tu czegoś należącego do pani? - spytałem.

- Nie, nie było niczego. - Znow potrząsnęła głową i po chwili dodała: - Tylko...

- Tylko co?

- Tylko moje świadectwo ślubu.

- Czy było w walizce?

- Tak - odparła. - Nie chciałam go składać, bo zamierzałam je kiedyś... - Urwała.

Przyszedł mi do głowy tak dziwny pomysł, że zawahałem się, zanim przyoblekłem go w słowa.

- Czy zamierzała je pani oprawić? - spytałem.

Musiała wyczuć w moim głosie zaskoczenie, czy nawet ukrywaną niechęć, bo nie przestając przeszukiwać walizek odpowiedziała agresywnym tonem:

- Owszem. Owszem, chciałam je oprawić. A teraz zniknęło.

Miałem ochotę wybuchnąć śmiechem. Nie dlatego, że popełniła gafę czy naruszyła reguły dobrego smaku. Miałem ochotę wybuchnąć śmiechem, gdyż wydała mi się tak młoda. Byłem pewien, że chciała oprawić swe świadectwo ślubu, ponieważ ktoś oprawił kiedyś jej dyplom szkoły średniej, czy nawet college'u - o ile w ogóle chodziła do college'u. Przez chwilę wyobraziłem sobie to świadectwo ślubu wiszące na ścianie obok bibelotów i plakatów z podobiznami gwiazd rocka.

- Biedny Harry. - Nie mówiłem tego dotychczas, ale teraz tak pomyślałem. - Chodźmy - powiedziałem do niej. - Zostawimy ten pokój w takim stanie, w jakim jest, żeby obejrzał go Kaleb. Proszę zejść do salonu - dodałem tonem apodyktycznego ojca - i zadzwonić do Kaleba na numer posterunku. Niech pani mu powie, że tu jesteśmy i co tu zastaliśmy.

- A co pan będzie robił?

- Zamierzam obejrzeć resztę pokoi - odparłem.

Posłusznie ruszyła na dół. Obserwowałem ją, dopóki nie minęła szklanych stóp świętego i nie zniknęła w holu. Potem obszedłem metodycznie wszystkie pokoje pierwszego piętra, kolejno otwierając drzwi i zaglądając do wnętrza. Przypominało to zwiedzanie muzeum, w którym najcenniejsze eksponaty trzymano w salach ekspozycyjnych. Przebyłem epokę wczesnoamerykańską, epokę króla Jerzego i epokę edwardiańską. Im bardziej oddalałem się od klatki schodowej, tym więcej było pomieszczeń umeblowanych przypadkowo, jakby wstawiono do nich to, co pozostało. Pokoje znajdujące się najbliżej

sypialni Harry'ego były w dobrym stanie, odkurzone i wyfroterowane. Ale idąc dalej dostrzegalem w zakamarkach śmieci oraz cienką warstwę szarego kurzu na blatach stołów i parapetach. Prune nigdy by do tego nie dopuściła.

Kiedy stanąłem u szczytu klatki schodowej, usłyszałem z dołu głos dziewczyny, która rozmawiała przez telefon. Zdałem sobie sprawę, że nadal nie potrafię o niej myśleć jako o żonie Harry'ego. Ale skoro małżeństwo nie zostało skonsumowane, to miałem prawo do wątpliwości, czy istotnie nią była, a to prowadziło do następnego pytania: po co ktokolwiek włamywałby się do tego domu, żeby ukraść świadectwo ślubu? Jedyne motyw, jaki przychodził mi do głowy, to chęć unieważnienia małżeństwa. To z kolei rodziło interesujące pytania dotyczące spadku. Pieniądze mogą być korzeniami zła, ale są również korzeniami większości przestępstw.

Słyszając, że nadal rozmawia, poszedłem na drugie piętro. Tu warstwa kurzu była jeszcze grubsza. Próbowałem sobie przypomnieć, ilu służących zatrudniał Harry. Z pewnością nie aż tylu co Vanderbiltowie. Tak czy owak od pewnego czasu nikt nie wchodził na to piętro, bo kurz pokrywał całą podłogę. Nie wiem, co spodziewałem się znaleźć; chyba ślady stóp. Ale wyglądało na to, że nie było tu nikogo od początku lata. Mimo to obszedłem kolejno wszystkie pokoje. Ponownie uderzyła mnie różnica między starymi a nowymi pieniędzmi. Wszystkie pokoje były puste. Ani jednego mebla. Strychy rezydencji starych rodzin zawsze były zagracone różnymi przedmiotami, których nigdy nie wyrzucano. Bogaci nigdy niczego nie wyrzucali. Czasem, z najwyższym wysiłkiem, oddawali coś na cele dobroczynne, by uzyskać ulgę podatkową. Ktoś zwrócił mi kiedyś uwagę, że ludzie zamożni nigdy nie kupują mebli. Człowieka naprawdę bogatego poznać można po tym, że kiedy przerabia swój dom, znajduje na strychu wszystko, co jest mu potrzebne. Bogacze kupują tylko materiały obiciowe.

Kiedy zszedłem na dół, nie było tam ani śladu dziewczyny. Wróciłem na taras i zacząłem się za nią rozglądać, ale nie było jej ani w ogrodzie, ani na trawniku, ani na widocznych w oddali wydmach. Stałem tam próbując zebrać do kupy wszystkie fakty, a ona nagle podeszła do mnie od tyłu i powiedziała:

- Zrobiłam kawę. - Sam nie wiem, dlaczego mnie to zaskoczyło. Każdy potrafi zrobić kawę, nawet ja. Kac, którego przytłumiła na godzinę wódka z sokiem, groził nowym atakiem. Wypiłem łyk kawy. Była znośna.

- Dzięki - powiedziałem.

- To ja powinnam dziękować. Nie okazałam wielkiej wdzięczności, prawda?

- Nie szkodzi. To wszystko nie było dla pani łatwe.

Spojrzała w kierunku ciągnącego się za trawnikami i plażą oceanu.

- Wie pan, tu nie chodzi o śmierć Harry'ego. Nie znałam go aż tak dobrze. -

Pomyślałem, że jest to dziwny sposób mówienia o zmarłym mężu. Ale nie odzywałem się.

Byłem Alicją po drugiej stronie lustra; szedłem przez świat, w którym znałem tylko krajobrazy, a wszystko inne było nowe. - Ale jestem zaszokowana tym wszystkim. Życie będzie teraz wyglądać zupełnie inaczej.

- A jak wyglądało dotychczas? - spytałem sącząc kawę.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, zobaczyłem siostrzeńca Kaleba, który wyszedł zza wydm i zdażał w stronę domu. Miał na sobie ciemnobrązowy mundur. Pomyślałem, że Kaleb musiał wysłać go wcześniej.

- Ma pani gości - powiedziałem do dziewczyny, bo zza wydm wyszli dwaj następni mężczyźni. Nie mieli na sobie mundurów, jak zastępca szeryfa, ale byli to stali mieszkańcy miasteczka. Z tej odległości nie mogłem ich rozpoznać, ale szli inaczej niż goście przyjeżdżający tu tylko na lato. I byli mocniej zbudowani. Letnicy wydawali majątki na zbijanie wagi, natomiast miejscowi wydawali pieniądze na jedzenie i gromadzenie zapasu tłuszczu na długą zimę.

Przeszukiwali plażę. Kaleb lubił udawać prowincjonalnego prostaczka, ale nagle przypomniałem sobie, że był podobno najlepszym studentem w swojej grupie w akademii policyjnej. Zastanawiałem się, kto mi to mówił. Może Magda, redaktorka naszej gazety.

- Dzień dobry, panie Harriman - zawołał Ron, zbliżając się do tarasu i machając na powitanie. - Jak się pan miewa?

- Świetnie, Ron. Znaleźliście coś?

Gapił się na dziewczynę. Musieli być w tym samym wieku, około dwudziestki. Zastanawiałem się, o czym on myśli. Musiał wiedzieć, że była żoną Harry'ego Boetchnera. Ona zaś, odczytując w jego oczach wyraz dezaprobaty, odwróciła głowę i spojrzała na dom.

- Do diabła, nie wiemy nawet, czego mamy szukać - zawołał do mnie z dołu Ron. - Kaleb kazał nam pojechać na plażę i zwracać uwagę na wszystko, co wyda nam się nietypowe. Ale na tej plaży właściwie wszystko jest nietypowe, jeśli rozumie pan, o co mi chodzi.

W tym czasie plaża stawała się po zmroku jednym długim terenem miłosnych przygód. Rano - każdego ranka - można było na niej znaleźć wszystko: środki antykoncepcyjne, podarte majtki, pojedyncze tenisówki i kosztowną bieliznę. Ron wskazał dwóch mężczyzn, którzy nieśli wielkie torby na śmieci.

- Pozbieraliśmy niektóre okazy - powiedział - a resztę oznaczyliśmy i zostawiliśmy na miejscu, żeby Kaleb sam mógł wszystko obejrzeć. Ale moim zdaniem plaża wygląda tak jak zawsze.

Tymczasem na plaży pojawił się długi szereg turystów. Ich głowy były ledwo widoczne znad wydm. Szli dwójkami i trójkami, by popatrzeć na dom Harry'ego. Sprawa nabrała rozgłosu. Ujrzałem jakiś parasol, który najpierw wyglądał jak dzida, a po otwarciu jak biało-czerwony grzyb. Był wetknięty w piasek, tuż za wydmami. Turyści najwyraźniej

rozłożyli tam obóz, by obserwować przebieg dramatu. Z daleka usłyszałem syrenę radiowozu Kaleba, co samo w sobie było niezwykłym wydarzeniem. Kaleb używał jej najwyżej raz lub dwa razy w roku. Teraz włączył ją po raz drugi w ciągu dwóch dni. Jego siostrzeniec odwrócił się, by wydać polecenia swym pomocnikom. Ruszyli przez trawnik, znów szukając czegoś, co wyda im się nietypowe. Całe to miejsce jest dość nietypowe, pomyślałem wsłuchując się w coraz bliższy ryk syreny, mogący służyć za rzeczowy dowód nietypowości.

Kiedy samochód wjechał na niewidoczny stąd podjazd, uporczywe wycie syreny zagłuszyło wszystkie inne odgłosy. Dziewczyna nie zrobiła nic, co mogłoby sugerować, że zamierza opuścić taras. Usiadła na murku i obserwowała poczynania Rona i jego towarzyszy. Doszedłem do wniosku, że obowiązek powitania Kaleba spada na mnie. Wróciłem do domu, zamykając oczy i otwierając je ponownie, by ujrzeć znane mi już zjawisko: świętego z witraża, który unosił się nade mną jak barwna siatkówka oka. Kiedy otworzyłem drzwi frontowe, Kaleb wysiadał już z radiowozu. Obok stał jakiś mężczyzna, znacznie niższy od niego i mający najwyżej metr sześćdziesiąt wzrostu. Wydał mi się znajomy, a kiedy odwrócił się do mnie twarzą, stwierdziłem ze zdziwieniem, że prokuratura nie przysłała jakiegoś młodego ważniaka. Mężczyzna był starszy niż ja. Miał pięćdziesiąt kilka lat. Jego łysina, tak blada, jakby nigdy w życiu nie był na słońcu, okolona była rozczochranym wianuszkiem siwych włosów, które wydawały się od dość dawna nie myte. Kiedy zrobił dwa kroki w stronę domu, zobaczyłem, że jego ciężkie, nieodpowiednie o tej porze roku ubranie jest o wiele za obszerne i zwisa z jego wąskich ramion.

Kaleb okrążył samochód i podszedł do drzwi.

- To jest asystent prokuratora, pan Peretti - powiedział do mnie tonem celowo wypranym z szacunku. - A to jest... - Wyciągnął rękę w moim kierunku.

Ale Peretti nadal szedł w stronę drzwi frontowych.

- Wiem, kto to jest - mruknął.

Zszedłem mu z drogi, żeby na mnie nie wpadł i powiedziałem do Kaleba:

- My się już znamy.

Kaleb oderwał ode mnie wzrok i spojrzał na asystenta prokuratora, który stał już w wielkim holu i rozglądał się po nim jak urzędnik skarbowy mający wycenić wartość domu i obliczyć podatek spadkowy.

- Ach, tak? - spytał, wyraźnie zaskoczony.

Peretti posłał mi jedno z tych złośliwych, obłudnych spojrzeń, którymi obdarzał mnie na sali sądowej.

- Owszem - powiedział. - Znamy się. Oskarżałem pańskiego przyjaciela o wystawianie czeków bez pokrycia.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Kiedy odjeżdżałem spod domu, wydawało mi się, że całe otoczenie - drzewa, niebo, pola - trzęsie się ze śmiechu, widząc moje zmieszanie. Dziewczyna nadeszła akurat w momencie, w którym Peretti wspomniał o mojej przeszłości. Dostrzegłem na jej twarzy wyraz zaskoczenia, którego miejsce szybko zajęło lekceważenie.

Kaleb miał tyle przyzwoitości, by się odwrócić. Nadal budzę się czasem w środku nocy, drżąc na wspomnienie okoliczności mojego bankructwa. Człowiek, który przez całe życie był otoczony pieniędzmi, żyje w szczególnym świecie. Zaczyna wierzyć, że ma do nich prawo. Wydaje mu się nie do pomyślenia, że ktoś odmówi mu pomocy lub że nie ma jakiegoś wyjścia z sytuacji. Mój przypadek wyglądał podobnie. W czasie długiej podróży po kraju, podczas której chciałem zapomnieć o przeszłości, zapomnieć o upokarzającej rozmowie z dyrektorem banku, nadal wystawiałem czeki.

Rozsądek mówił mi, że musi istnieć jakiś koniec. Ale w pewien sposób nadal wierzyłem, że jestem przedstawicielem szczególnego gatunku ludzi i że coś - jakiegoś *deus ex machina* - wkroczy na scenę i uratuje mnie. Ku mojemu zaskoczeniu na scenę wkroczyli nie drobni wierzyciele, po których spodziewałem się donosu na policję, lecz moja kuzynka Daffy, która pożyczyła mi pięć tysięcy dolarów pod zastaw opiewającego na tę sumę czeku.

Jeśli masz zamiar kogoś okradać, okradaj biednych.

Oni się tego spodziewają. Okradanie bogatych jest zajęciem bardzo niebezpiecznym. Daffy zawiadomiła policję, gdy tylko jej bank odrzucił mój czek. Oczywiście jej reakcja była usprawiedliwiona. Ale z zainteresowaniem obserwowałem święte oburzenie, z jakim włóczyła mnie po sądach. W końcu uratowała mnie Prune - matka Daffy. Dowiedziałem się od innych członków rodziny o straszliwej awanturze, jaka wybuchła w domu Prune na Maiden Lane, kiedy Daffy usłyszała, że jej matka postanowiła wkroczyć w ostatniej chwili i ocalić moją skórę. Daffy powoływała się na odpowiedzialność wobec społeczeństwa i wytaczała sto innych argumentów, które musiały brzmieć w jej ustach nieco dziwnie, zważywszy że ona sama w wieku trzydziestu siedmiu lat rozstała się już z dwoma mężami, straciła prawo do opieki nad dzieckiem i spędzała większość czasu na obmyślaniu sposobów uzyskania kontroli nad pieniędzmi matki. Odmówiła kategorycznie wycofania oskarżeń.

Prune posłała po mnie. W tym okresie przenosiłem się już z miejsca na miejsce, nocując u różnych przyjaciół, z których oczu przebijało współczucie. Co gorsza, nie miałem pieniędzy. Przekazywali mnie sobie z rąk do rąk jak jakiś relikw, jak ostrzeżenie przed tym, co może się kiedyś przytrafić któremuś z nich. Kiedy Prune mnie odnalazła, byłem bliski rozpacz. Nie dość, że zbankrutowałem i zostałem aresztowany na polecenie Daffy, to w dodatku odkryłem, że nie mogę liczyć na jakąkolwiek posadę. Nie dlatego, że byłem bankrutem. Po prostu w ciągu wszystkich tych lat nikt nie powiedział mi, że powinienem pracować.

Zakładałem, że zatrudnienie zapewni mi moja pozycja społeczna. Ale teraz, kiedy dzwoniłem do różnych osób pytając, czy mogłyby mi pomóc w znalezieniu posady, zawsze otrzymywałem tę samą odpowiedź. Nie wiedzą o żadnym wolnym stanowisku, ale gdy tylko usłyszą o czymś, co odpowiadałoby moim kwalifikacjom, dadzą mi znać. Na tym się kończyło.

Prune znalazła mnie po trzech dniach poszukiwań. Pojechałem prosto na Penn Station i wsiadłem w popołudniowy pociąg do Hampton. Była to długa, trwająca trzy i pół godziny podróż. Kiedy wysiadłem, na peronie czekała na mnie Prune.

- Nie bój się, Ben - powiedziała, gdy samochód ruszył spod stacji. Sama go prowadziła. Wiodła teraz spokojniejsze życie.

- Narobiłem okropnego zamieszania, Prune - przyznałem.

- No cóż - westchnęła patrząc przez okno na znikający pociąg, unoszący w mrok swoje tylne światła - tak czy owak mamy teraz wspólnego wroga.

- Daffy - odgadłem.

Nawet w półmroku widać było na jej twarzy bolesne znużenie, mające swe źródło w ciągnącym się przez całe życie sporze z własną córką.

- Zdarzało mi się traktować ludzi bardzo źle - wyznała.

- Nieprawda, Prune - powiedziałem z westchnieniem i położyłem dłoń na jej ręce. - Niektórzy ludzie po prostu nie potrafią postępować mądrzej. Nikt im nigdy nie powiedział, że powinni wydorosnąć.

Nadal czekała mnie rozprawa sądowa. Miałem odpowiadać za oszustwo, o które oskarżyła mnie Daffy. Prune wstawiła się za mną u sędziego, proponując, że wyrówna straty i zagwarantuje moje nienagane postępowanie. Powiedziała, że da mi posadę w swojej gazecie. Sędzia uznał mnie winnym, ale ponieważ Prune zadeklarowała zwrot wyłudzonej sumy, dał mi wyrok z zawieszeniem. Przekazał mnie pod nadzór Prune. W momencie ogłaszania wyroku Peretti był ponury jak chmura gradowa. Daphne wyszła z sali sądowej i od tej pory nie odezwała się do matki.

Następnego ranka rozpocząłem pracę w gazecie. Magda protestowała przeciwko nepotyzmowi, ale ja nie miałem żadnego wyboru i odkryłem z zaskoczeniem, że interesuje mnie dziennikarstwo polegające na poszukiwaniu faktów. Nieczęsto miałem okazję je uprawiać. Ale od czasu do czasu pojawiał się temat wymagający śledzenia krok za krokiem różnych wątków i wyciągania wniosków. Zauważyłem, że lubię składać z takich kawałków pełny obraz sprawy. Czułem się tak, jakbym przeżył pierwsze czterdzieści lat we mgle. Jakbym żył w całkowicie fałszywym środowisku i otrzymał drugą szansę odkrycia istoty świata. W każdym artykule, wymagającym dociekliwości reportera, pojawiały się co najmniej dwie wersje, czasem znacznie więcej. Każda z nich mogła być absolutnie przekonująca. Dopiero

oddzieliwszy subiektywizm, egoizm i kontekst społeczny każdej z interpretacji przebiegu wypadków, można było w końcu ujrzeć zamazany obraz tego, co się naprawdę wydarzyło.

Kiedy Harry powrócił, widywałem go na odległość. Myśląc o tym teraz dochodzę do wniosku, że byłem w takiej sytuacji jak niegdyś on, kiedy stojąc na ulicy patrzył na mnie i na Tracy. Przyjechał wielkim, srebrnym kabrioletem marki Mercedes. Rzucił się w oczy. Jego powrót wzbudził powszechne zainteresowanie. Matka Harry'ego wyjechała z Hampton i osiadła gdzieś w głębi wyspy, ale było tu wielu ludzi, którzy pamiętali go z czasów młodości. Początkowo mieszkańcy miasteczka wyrobili mu opinię bohatera. Magda chciała mi zlecić napisanie poświęconego mu artykułu, ale w końcu postanowiła - według jej własnego określenia - „zająć się tym sama”. Artykuł, który w rezultacie powstał, był laurką, pomijającą niemal zupełnie tajemniczą przeszłość Harry'ego po powrocie z Wietnamu, czyli okres, który spędził na Florydzie. Magda zamieściła fotografię Harry'ego na pierwszej stronie, ale w redakcji była zadziwiająco powściągliwa w opiniach na temat powrotu Harry'ego Boetchnera.

- Jaki on jest? - spytałem ją w końcu.

- Inny. - To było wszystko, co udało mi się z niej wyciągnąć.

Dopiero w kilka miesięcy później Harry zatrzymał mnie na głównej ulicy i zaczął ze mną rozmawiać tak, jakbyśmy byli starymi przyjaciółmi. W tym okresie wiadomo już było, na czym polegają jego interesy. Zaczął wykupywać ziemie leżące na północ od autostrady i wszystkim dyskusjom na jego temat towarzyszyła aura podejrzliwości. Nie plotkowano już o nim tak często przy piwie w Whale's Tale.

Kiedy Harry ponownie pojawił się w moim życiu, wszczynając tę rozmowę, poczułem się z nim dziwnie związany. Wtedy, przed laty, myślałem, że stoję na szczycie świata, a teraz widziałem, że żyłem w raju głupców. Natomiast Harry omal nie zdobył w tym chwilowym zamieszaniu ukochanej dziewczyny. Nie wiedział o tym, co zaszło owego wieczora między mną a Tracy, a ja nigdy mu o tym nie powiedziałem.

Kiedy wróciłem z domu Harry'ego do redakcji, czekała tam na mnie Magda. Nadal rozwścieczony słowami asystenta prokuratora okręgowego, minąłem ją bez słowa i ruszyłem szybko w kierunku swojego biurka. Poszła za mną.

- Nic do mnie nie mów - poprosiłem. - To cholernie skomplikowana historia.

- Owszem, takie odniosłam wrażenie. Co się dzieje w tym domu?

- Poczekaj trochę, a sama się dowiesz - odparłem.

W tonie mojego głosu musiało być coś, co ją ostrzegło. Zazwyczaj lubiła mnie poniżać, a ja pozwalałem jej na to. Nie byłem specjalnie dumny ze sposobu, w jaki dostałem tę posadę, ale była to jedyna dostępna dla mnie praca, a poza tym miałem wrażenie, że uczę się wykonywać ją dobrze.

Zasiadłem więc za biurkiem i spisałem wszystko, co wiedziałem... no, nie wszystko. Pomiąłem dzieje znajomości Harry'ego i Tracy. Opisałem wszystko to, co wydarzyło się w

ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. Kiedy skończyłem, nacisnąłem odpowiedni klawisz. Komputer zaczął drukować mój tekst, a ja nalałem sobie kubek kawy. Odczuwałem silną potrzebę zapalenia papierosa, ale wiedziałem, że nie mam go przy sobie. Magda obserwowała mnie siedząc w kącie, przy swoim biurku. Pchnęła po blacie w moją stronę paczkę Lucky Strike'ów, a ja podszedłem i wziąłem ją. Palilem papierosa i stałem bez ruchu, powoli pijąc kawę. Oboje słuchaliśmy warkotu drukarki.

Kiedy artykuł był gotowy, wyjąłem go z drukarki i podałem Magdzie. Wzięła go bez słowa i przeczytała uważnie, a potem odchyliła głowę do tyłu, spojrzała na mnie i powiedziała:

- Ty sukinsynu.

- Istnieją pewne okoliczności łagodzące - oświadczyłem.

- Nie. Jesteś dziennikarzem. Wydaje się, że tego nie rozumiesz.

- Rozumiem - zapewniłem ją. - Ale uważam, że powinniśmy mieć w ręku wszystkie fakty, zanim przedstawimy je czytelnikom.

Magda spojrzała na zegar.

- Może powinniśmy opublikować wydanie specjalne - stwierdziła. Pozwoliłem jej zastanawiać się nad tym przez minutę czy dwie. Kiedy w końcu spytała: - A co ty o tym myślisz? - byłem tak zaskoczony, że można by mnie było znokautować jednym palcem. W ciągu trzech lat mojej pracy w tej redakcji nigdy nie zadała mi takiego pytania.

- Będzie tego więcej - odparłem ostrożnie.

- Masz na myśli tę dziewczynę?

- Ją i morderstwo. Nie powinniśmy zapominać o tym, że Harry nie żyje.

Magda zaczęła przerzucać strony leżącego przed nią tekstu.

- Dlaczego ja się tym tak mało przejmuję? - spytała i spojrzała na mnie. - Harry Boetchner był moją pierwszą miłością. Czy o tym wiedziałeś?

- Nie - odparłem. - Chyba nigdy mi o tym nie mówiłaś.

Tym razem Magda oblała się rumieńcem. Wyglądało to dość dziwnie, gdyż była olbrzymią kobietą. Rysy jej twarzy zdawały się zmieniać niezależnie od siebie. Czasem miała wylupiaсте oczy, czasem zbyt duży nos, a jej podbródek podnosił się i opadał. Jej twarz przypominała kalejdoskop.

- Tak - powiedziała z namysłem. - Harry Boetchner był facetem, za którego chciałam wyjść. Problem polegał na tym, że byłam od niego o cztery lata starsza. W szkole nie mówiło się wówczas o takich rzeczach. Ale powinieneś go wtedy zobaczyć - wyznała mi, i przez chwilę byliśmy niemal przyjaciółmi. - Powinieneś go zobaczyć, kiedy miał trzynaście lat. Był wtedy chyba najpiękniejszym stworzeniem, jakie kiedykolwiek widziałeś.

Pewnego pijackiego wieczora, w barze Hampton Club, Harry posłużył się niemal dokładnie tymi samymi słowami, by opisać Tracy Egan. Mieszając swą szkocką whisky palcem, spojrział na mnie i powiedział:

- Do diabła, musisz zrozumieć, jak to było. Ona była najpiękniejszym stworzeniem, jakie kiedykolwiek widziałem.

Niezsynchronizowana namiętność, pomyślałem. O to właśnie w tym wszystkim chodzi. Magda przerwała moje rozmyślenia.

- A więc nie będzie wydania specjalnego - oznajmiła. - Ale w przyszłym tygodniu chcę mieć wszystko. Całą historię. Zgoda?

Nie była to umowa, której zawarcie mogłoby mnie uszczęśliwić. Miałem niejasne podejrzenia, że za tą śmiercią kryje się wiele brudów.

- To lokalne wydarzenie - powiedziałem. - Powinniśmy zacząć od lokalnego kontekstu. Magda skrzywiła się.

- Jezu! - jęknęła z niechęcią. - Nie wiem, czy jest tu jeszcze wielu ludzi, którzy naprawdę znali Harry'ego w tamtych czasach. Większość sprzedała domy i wyniosła się stąd.

Przypomniałem sobie ukradziony przeze mnie list. Wyjąłem go z kieszeni marynarki i podałem jej bez słowa.

- Może powinniśmy zacząć od tego - rzuciłem.

- Skąd to masz? - spytała, przeczytawszy go od deski do deski.

Powiedziałem jej, a ona uśmiechnęła się.

- Dobra robota, chłopcze - mruknęła, choć byłem zaledwie o kilka lat młodszy od niej.

- Na tym polega dziennikarstwo.

- Jest to również bezprawne ukrywanie przedmiotu pochodzącego z miejsca zbrodni - przypomniałem jej.

- On nie został zabity w domu. Posłuchaj - powiedziała z głębokim namysłem. - Mogę chyba dowiedzieć się o tej sprawie więcej niż ty. Pamiętam Cunninghama. Był chciwym, starym draniem. Musiała go rozwścieczyć świadomość, że zostawił trochę pieniędzy na stole. Podzwonię do ludzi i popytam, czy jest jeszcze ktoś, z kim powinniśmy porozmawiać. Ale myślę, że ty musisz zacząć od matki Harry'ego.

- Harry mówił mi, że się wyprowadziła.

Magda potrząsnęła głową.

- Nie - powiedziała. - Elsa wcale się stąd nie wyniosła. W każdym razie nie daleko. Znajdziesz ją w Sayville, w głębi wyspy. Po prostu nie pasowała już do życia Harry'ego. To Harry się wyprowadził, choć żeby to zrobić, musiał najpierw wrócić. Jedź do niej, a ja tymczasem wyślę fotografa, żeby zrobił zdjęcia tej dziewczyny.

Wiedziałem, że gdy tylko Magda zobaczy te zdjęcia, przypomni sobie historię Harry'ego i Tracy. Ale w tej chwili nic mnie to nie obchodziło. W każdym razie nie chciałem

teraz o tym myśleć. Odstawiłem kubek po kawie, zgasilem papierosa i wyszedłem. W upalnym powietrzu unosił się dziwny spokój, jakby wszyscy pojechali na plażę. Główna ulica opustoszała. Rozpiąłem kołnierz koszuli i zdałem sobie sprawę, że mój kac może w każdej chwili wrócić. Ale nie miałem czasu, żeby się tym zająć. Rzuciłem marynarkę na tylne siedzenie samochodu, zdjąłem krawat i usiadłem za kierownicą.

Sayville jest miasteczkiem leżącym niedaleko od Hampton. Nie przyciąga bogatych turystów. Jest tam przystań promów płynących na Fire Island. Pojechałem w tamtą stronę. Byłem zadowolony, że mam coś do roboty. Minawszy sznur modnych nadmorskich miejscowości poczułem zadowolenie, że mam je za sobą. Jadąc na północ, zacząłem myśleć bardziej sprawnie. Wiedziałem, że kiedy cała ta historia ujrzy światło dzienne, narobi sporo smrodu. I czułem, że na dziewczynie nie wywrze to żadnego wrażenia. Nie okazała niemal żadnych uczuć, zostawszy wdową. Z drugiej strony wcale nie było pewne, czy naprawdę poślubiła Harry'ego.

Zanotowałem w myślach, że muszę zbadać sprawę tego małżeństwa. Jeśli zamierzała - jak przypuszczałem - dochodzić swych praw do spadku, to musiała udowodnić, że wzięła z nim ślub. Kaleb powinien spytać ją tylko, gdzie ten ślub się odbył. Reszta była prosta. Odkryłem ze zdziwieniem, że moje uprzedzenia wobec niej przybierają na sile.

Jechałem autostradą wśród łagodnych, porośniętych karłowatymi sosnami wzgórz, i usiłowałem zdobyć się na bezstronność. Szosa była zatłoczona tylko na odcinkach łączących ze sobą poszczególne miasteczka, potem przez wiele kilometrów niemal pusta. Zastanawiałem się, kiedy ten niemodny obszar zacznie przyciągać uwagę siedmiu milionów mieszkańców Manhattanu. Miałem mieszane uczucia w stosunku do przebudowy tego rodzaju terenów. Jeśli robi się to źle, okolica wygląda fatalnie. Ale nie byłem tak maniacko nieprzejednany jak Daffy i niektórzy jej przyjaciele. Chcieli zachować wszystko dokładnie tak, jak było. Moim zdaniem postawa ludzi wobec polityki, ekologii, wszystkiego, zależy od momentu ich wkroczenia do gry. Ci, którzy pojawili się tu pierwsi, chcieli, żeby wszystko wyglądało tak, jak przed dwustu laty. Inni, którzy przybyli na falach późniejszej imigracji i urządzili się już tutaj, pragnęli zachować stan obecny. Ale było sporo ludzi, którzy nie zrobili jeszcze pieniędzy. Nie mogli sobie pozwolić na tak duże rezydencje jak Harry, ani nawet na jeden ze zbudowanych przez niego tandetnych domków. Ale być może oni również mają prawo jeździć nad morze. Choć tego rodzaju opinie słyszało się niezbyt często.

Zjechawszy z autostrady w Sayville, znalazłem się w starszej Ameryce. Były tu miasta z innej epoki. Sklepy z narzędziami przylegały do małych kawiarenek, których okna były w połowie zasłonięte zawieszonymi na mosiężnych drążkach skrawkami pasiastego materiału. Wszyscy się znali. Jedni kłaniali się sobie tylko, inni przystawali, by pogawędzić. Pracownicy stacji benzynowych nadal gotowi byli napełnić bak i nawet - jeśli mieli dość czasu - umyć szyby. Zatrzymałem się przy pierwszej budce telefonicznej. I ona była

osobliwością. Nieczęsto widuje się budki telefoniczne obudowane z trzech stron szkłem, mającym stanowić osłonę przed zimnym wiatrem.

Ku mojemu zaskoczeniu telefonistka od razu podała mi numer pani Boetchner. Podejrzewałem, że będę musiał jej szukać za pośrednictwem urzędu miejskiego lub nawet policji. Teraz, kiedy miałem już ten numer, poczułem, że się pocę. Wczorajsza wódka i perspektywa rozmowy z matką Harry'ego przyprawiły mnie o atak nerwowego podniecenia. Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, że w całym zamieszaniu wywołanym przez śmierć Harry'ego, pojawienie się jego żony i odkrycie, iż jest to morderstwo, nikt nie zadzwonił do jego matki.

Żałowałem, że nie ma tu Prune. Ona wiedziałaby, jak rozmawiać z matką Harry'ego.

Telefon dzwonił przez dłuższą chwilę. Potem jakaś kobieta powiedziała „Halo” takim głosem, jakby była pewna, że to pomyłka.

- Pani Boetchner? - spytałem.

- Tak. - Teraz wyczułem w jej głosie coś więcej. Mógł to być lęk.

- Nazywam się Benjamin Harriman. Czy mógłbym przyjechać i porozmawiać z panią?

Nastąpiła długa cisza. Szukałem w myślach argumentów; zastanawiałem się, jak nakłonić ją do spotkania nie mówiąc przez telefon, że jej syn został zamordowany. Ale ona powiedziała w końcu:

- Tak. Czy ma pan mój adres?

Zapisałem go i odwiesiłem słuchawkę. Stałem w szklanej budce, obserwując znajdującą się po drugiej stronie ulicy kawiarenkę. Dwaj chłopcy skończyli jeść lunch i wyszli przed budynek. Mieli po osiemnaście czy dziewiętnaście lat, czyli tyle, ile miał Harry, kiedy ujrzałem go po raz pierwszy. Ubrani byli w poplamione dżinsy, znoszone robocze buty, brudnawe od pracy podkoszulki i rozpięte, kraciaste koszule. Ci chłopcy nadal żyli w świecie, z którego Harry odszedł już przed wieloma laty.

Wskazówki matki Harry'ego okazały się bardzo pomocne. Minałem dwie przecznice, skręciłem w ocienioną wiązami uliczkę i mijałem kolejno dobrze utrzymane małe domki. Połowa z nich miała ganki z żaluzjami, a przed wszystkimi znajdowały się trawniki, które wyglądały tak, jakby gospodarze otaczali je czułą troską od lat. Przed jednym z nich kwitły jeszcze rododendrony; masa białego kwiecica wyglądała jak wał śnieżny otaczający budynek ze wszystkich stron. Przed szarym domem pani Boetchner również rozciągał się starannie utrzymany trawnik. Tuż obok ścieżki rósł rozłożysty kasztan. Dom był jednopiętrowy, a cały front jego ganku także ocieniały żaluzje.

Zaparkowałem Austina Healeya, wysiadłem i ruszyłem powoli w stronę wejścia. Byłem w połowie drogi, kiedy drzwi otworzyły się i stanęła w nich pani Boetchner. Miała nie więcej niż metr pięćdziesiąt pięć wzrostu. Była drobną kobietą, o wiele starszą, niż się spodziewałem. Jej całkowicie siwe włosy przedzielone były na środku głowy i upięte na

karku w stylu innej epoki. Mimo upału miała na sobie szarą suknię z małym, białym kołnierzykiem i białymi mankietami oraz praktyczne, sznurowane czarne buty.

Spojrzała na mnie zza okularów niebieskimi oczami swego syna.

- Przyjechał pan w sprawie Harry'ego, prawda? - spytała.

- Owszem - przyznałem. - Czy ktoś do pani dzwonił? W odpowiedzi rozejrzała się po zalanym popołudniowym słońcem trawniku i powiedziała:

- Łatwiej będzie nam rozmawiać w środku.

Była to reakcja kobiety, która ma jakieś kłopoty z synem. Spotkałem się z nią już wcześniej, zbierając materiały do artykułów o drobnych przestępstwach. Wszedłem za panią Boetchner do domu, który był nieskazitelnie czysty, ale bardzo skąpo umeblowany. W powietrzu unosił się zapach pasty do polerowania mebli i czegoś jeszcze... chyba gotowanych potraw. Zasłony w salonie były opuszczone. Wprowadziła mnie tam i usiadła w fotelu przy kominku, splatając dłonie na kolanach. Na jej starej twarzy malował się wymuszony spokój.

- Czy chce pan odebrać mi dom? - spytała.

- Jestem dziennikarzem, pani Boetchner - odparłem. Opuściła wzrok.

- Harry powiedział, że nie powinnam rozmawiać z dziennikarzami.

To zbiło mnie z tropu.

- Kiedy to powiedział?

- Kiedy podpisałam ten akt. - Znow utkwiała we mnie swe jasnoniebieskie oczy.

Powinienem był przyznać od razu, że nie mam pojęcia, o czym mówi. Powinienem był powiedzieć, że przyjechałem tu w związku ze śmiercią Harry'ego. Ale zwyciężył we mnie instynkt reportera.

- Byłem również bliskim przyjacielem Harry'ego - skłamałem.

- Harry odniósł wielki sukces - powiedziała mrużąc oczy za osłoną wypolerowanych szkieł. Miałem wrażenie, że zaciska mocno dłonie, by powstrzymać ich drżenie.

- Owszem. Ma wspaniały dom. W zamyśleniu kiwnęła głową.

- Obiecał, że niedługo mnie tam zaprosi - oznajmiła.

Poczułem głębokie współczucie dla tej kobiety. Harry mieszkał w domu Vanderbiltów już od ponad roku. Moja sympatia do Harry'ego Boetchnera gwałtownie zmaląła.

- Proszę pani... - wyjąkałem próbując zdobyć się na przeprosiny.

- I znow odniesie sukces - przerwała mi. - Wiem o tym. Zawsze w niego wierzyłam, nawet kiedy nas opuścił. Jego ojciec twierdził, że to przez tę dziewczynę, ale ja wiedziałam, że pewnego dnia i tak odejdzie. Widzi pan, to nie było dla niego łatwe - ciągnęła patrząc na mnie sugestywnie. - Harry urodził się w Ameryce. Wiedział, że jest równie dobry jak każdy inny. Trudno mu było zrozumieć, że nie można mieć wszystkiego, czego się pragnie. Że trzeba dorabiać się powoli, z myślą o swoich dzieciach.

Odkąd zaczęła mówić, siedziałem bez ruchu i nie odzywałem się ani słowem. Oto była druga strona życia Harry'ego Boetchnera. To było życie, jakie wiódł, kiedy po raz pierwszy ujrzałem go pod domem Prune.

- Kiedy wrócił, byłem z niego dumna - powiedziała z naciskiem. - Jego ojciec tego nie rozumiał. Widzi pan, przyjechaliśmy tu z Europy po wojnie. Zaczynaliśmy niemal od zera. Mój mąż nie rozumiał, że to, co osiągnął

Harry, jest w Ameryce możliwe. Harry odniósł wielki sukces - powtórzyła.

- Owszem - wyszeptalem z trudem.

- Ale kiedy ktoś odnosi sukcesy, ludzie... - Przerwała, jakby w dobrym towarzystwie nie wypadało używać słowa „zawiść”. - Ludzie są źli. Nie wszystkim udało się tak jak Harry'emu. Harry wytłumaczył mi to wszystko, kiedy tu przyjechał. Rozumiem, że pewni ludzie, których kiedyś dobrze znał, próbują utrudnić mu życie. Więc podpisałam ten akt, ale Harry zapewnił mnie, że wszystko będzie dobrze. Potem nadeszły te listy z banku i zaczęłam się niepokoić.

- Więc podpisała pani akt zrzeczenia się domu na rzecz Harry'ego? - spytałem.

Każda inna osoba spytałaby natychmiast, co robię w jej domu. Ale matka Harry'ego spodziewała się kogoś od dłuższego czasu. Dom wyglądał tak, jakby przygotowała go do oględzin.

- W banku. Podpisałam go w banku. Przekazałam dom Harry'emu. Potrzebował pieniędzy, więc podpisałam ten papier. - Potem spojrzała na mnie tak, jakby moje słowa, wypowiedziane dziesięć minut wcześniej, wreszcie do niej dotarły. - Ale skoro pan jest dziennikarzem, to po co pan tu przyjechał? Czy Harry ma jakieś kłopoty?

Chyba spodziewała się, jaka będzie odpowiedź. Siedziała wyprostowana i wydawała się w wielkim fotelu bardzo drobna. Nadal kurczowo zaciskała dłonie.

- Harry nie żyje, proszę pani - powiedziałem.

Tym razem nie zmrużyła oczu, tylko patrzyła na mnie przez dłuższą chwilę. Musiała chyba sobie uświadomić, że jest to kres wszystkich jej aspiracji.

- Rozumiem - powiedziała.

- Strasznie mi przykro - wyjąkałem.

Jeśli zdawała sobie sprawę, że ją oszukałem, to była gotowa mi wybaczyć. Westchnęła głęboko.

- Wolałabym zostać na jakiś czas sama - oznajmiła.

- Nie sędzę, żeby był to dobry pomysł, pani Boetchner.

Zwróciła do mnie swą szczupłą twarz i jej oczy rozbłysły jak dwa jasne reflektory.

- Och, nic mi nie będzie, panie Harriman - powiedziała dając mi do zrozumienia, że zapamiętała dobrze moje nazwisko, że jest kobietą przytomną. - Żyję samotnie już od dawna.

- Uważam, że powinienem przedstawić pani okoliczności jego śmierci.

Nadal patrzyła na mnie z uwagą.

- Zabili go, prawda? - spytała.

- Tak, ktoś go zabił - odparłem.

Kiwnęła głową, jakby właśnie tego się spodziewała.

- Biedny Harry. - Powiedziała dokładnie to samo, co Kaleb, Magda, wdowa po nim, nawet ja, choć tylko w myślach. - Tak wiele chciał osiągnąć.

Potem siedziała przez długą chwilę wpatrzona w swoje dłonie. Przeszłowałem z nogi na nogę nie wiedząc, co teraz zrobić.

- Przyjedzie do mnie policja, prawda? - spytała podnosząc na mnie ponownie wzrok.

- Tak. Niebawem zjawi się tu Kaleb Denning. Znów kiwnęła głową.

- Kaleb i Harry byli kiedyś przyjaciółmi. - Miałem wrażenie, że mówi bardziej do siebie niż do mnie.

- To może ułatwić sprawę - oznajmiłem. Nie odpowiedziała, tylko patrzyła na mnie tak, jakby chciała, żebym już sobie poszedł. Odkąd usłyszałem, że podpisała akt zrzeczenia się domu, kłębiły mi się w głowie liczne myśli.

- Czy czuje się pani na tyle silna, by odpowiedzieć jeszcze na kilka pytań?

Potrząsnęła głową.

- Myślę, że powinnam zaczekać na Kaleba - oznajmiła stanowczo. - Do widzenia, panie Harriman.

Znosiła swój ból w sposób imponujący. Prune doceniłaby klasę pani Boetchner.

- Jeśli jest coś, co mógłbym dla pani zrobić... - zacząłem.

Ale ona była już pogrążona we wspomnieniach. Wyszedłem z tego nienagannie czystego domu i stałem przez chwilę na chodniku. Był wilgotny, popołudniowy upał. Rozłożył jak parasol kasztan rzucił cętkowany cień na miękką trawę i moje stopy. A więc Harry miał kłopoty finansowe. Pogłoski - jak często bywa - okazały się prawdziwe.

Wsiadłem do samochodu. To będzie szok dla wdowy, pomyślałem ze złośliwą satysfakcją. Potem przypomniałem sobie, że wdowa jest młoda i nie ucierpi aż tak bardzo. Ale jego matka straci dom, z którego jest tak bardzo dumna. Kiedy jechałem z powrotem w kierunku wybrzeża, słońce wisiało w połowie nieba, zwiastując nie kończące się letnie popołudnie.

Gdy wszedłem do redakcji, Magda przeglądała ogłoszenia przeznaczone do następnego numeru.

- Dowiedziałeś się czegoś? - spytała.

Opowiedziałem jej wszystko.

- Jezu! - jęknęła. - Co z ludźmi robią pieniądze.

- I ich brak.

Zerknęła na mnie, by przekonać się, czy robię aluzję do własnej sytuacji.

- To nie jest drobna sprawa, co?

- Nie - przyznałem. - Znosi się na grubą aferę. Morderstwo, nagłe pojawienie się młodej wdowy, no i teraz to bankructwo. Kaleb będzie miał pełne ręce roboty.

- Ktoś powinien do niego zadzwonić - powiedziała Magda.

Przypomniałem sobie, że za Kalebem włości się teraz Peretti.

- Nie ja. To nie moja sprawa. Magda zamyśliła się.

- Będzie tego jeszcze więcej - stwierdziła w końcu.

- O wiele więcej - przyznałem. Sądząc po moich własnych doświadczeniach z okresu bankructwa, byłem przekonany, że wierzyciele Harry'ego pojawią się tłumnie już w ciągu najbliższych kilku godzin. Harry kontynuował prace remontowe w swoim domu. Przedsiębiorcy budowlani musieli wystawiać rachunki. Gdy tylko rozejdzie się ta wiadomość, wystąpią o zajęcie domu na poczet ich roszczeń. Zacząłem niemal współczuć dziewczynie.

- Zresztą on ma teraz na głowie tego asystenta prokuratora okręgowego - przypomniałem Magdzie. I dodałem, jakby przyszło mi to nagle do głowy: - Mogę zawsze znaleźć go później.

- W Whale's Tale - dodała i przez chwilę patrzyliśmy na siebie w milczeniu.

- Tam też szykuje się niezła afera - powiedziałem.

- Nie znasz nawet połowy faktów. Ta jego żona... - Magda urwała nagle.

Wstałem i zdjąłem marynarkę z poręczy krzesła.

- Tak czy owak jest tylko jedno miejsce, od którego trzeba zacząć.

Byłem już przy drzwiach, kiedy spytała:

- Dokąd się wybierasz? Odwróciłem się i spojrzałem na nią.

- Na miejsce zbrodni.

Na godzinę przed zmierzchem nadal panował upał. Drzewa pokryte były warstwą kurzu. W drodze do samochodu minąłem jakiegoś psa, który biegł z wywieszonym językiem i wydawał się bardzo zadowolony. Złapałem już drugi oddech, ale potrzebowałem czegoś, co pozwoliłoby mi funkcjonować dalej. Drinka. Uznałem, że klubowy bar będzie o tej porze nie najgorszym miejscem zbierania informacji. Ruszyłem więc w jego kierunku.

Przy bramie stali dwaj strażnicy. Było to typowe dla członków klubu: zamiast domagać się ochrony od Kaleba i jego podwładnych, wynajmowali swoich własnych ludzi. Musiałem zwolnić i podać nazwisko. Żaden z członków nie dysponował czymś tak prostym jak karta klubowa. Byłem ciekaw, jak mogą kontrolować nasze wejścia i wyjścia. Spojrzeli na mnie tak, jakby mieli wątpliwości, ale pozwolili mi wjechać. W gruncie rzeczy stali tam tylko po to, by odstraszać nieproszonych gości.

Jadąc długim podjazdem między białymi płotami, dostrzegłem stojący obok stajni radiowóz Kaleba. Ale pojechałem dalej, zaparkowałem samochód i wszedłem do klubu.

W barze musiałem się przepchnąć przez tłum graczy w golfa. Zamówiłem piwo w nadziei, że zapewni mi ono odpowiednią ilość płynu, a nie uczyni mnie nadmiernie pijanym. Kiedy je podano, stałem przy barze słuchając docierających do mnie strzępków konwersacji.

- I tak do siebie nie pasowali...

- W stajni, wczoraj w nocy...

- Arbitraż...

- Dziesięć osób na kolacji, do diabła! Powiedziałem jej, że gdybym chciał wydawać kolacje na dziesięć osób, nie przyjeżdżałbym nad morze...

- Ten mój syn...

- Najlepsza dupa, jaką kiedykolwiek miałem...

Po prostu normalne późne popołudnie w barze. Śmierć Harry'ego nie wywołała szczególnego zainteresowania. Piwo wcale mi nie smakowało. Odsunąłem je od siebie, podpisałem rachunek i wyszedłem. We frontowym holu stał Kaleb z Perettim. Kaleb wydawał się przejęty pobytem w tym miejscu. Peretti trzymał ręce w kieszeniach i kołysał się lekko w przód i w tył.

- Cześć, Kaleb - powiedziałem. Chciałem odwołać go na stronę i powiedzieć mu o matce Harry'ego, ale zauważyłem, że Peretti obserwuje pokryte boazerią ściany, zawieszony na wysokości oczu rząd fotografii z turniejów golfa i nieco nowsze zdjęcia koni, które wygrały konkurs. W jego oczach odbijała się pogarda typowa dla ludzi z zewnątrz. Potem spojrzał na mnie.

- Czy pan tu pracuje? - spytał.

- Nie. Jestem członkiem.

Przez chwilę kołysał się w przód i w tył.

- Ile kosztuje członkostwo tego klubu? - spytał takim tonem, jakby zastanawiał się, czy do niego nie wstąpić.

- Około dwudziestu tysięcy - odparłem z kamienną twarzą. - Ale trzeba mieć dwóch sponsorów.

Jego oczy utraciły część blasku. Wiedziałem, o czym myśli. Skoro nie miałem pieniędzy, to jak mogłem być członkiem? Chyba po chwili się domyślił. Płaciła za mnie Prune. Peretti i Daffy znaleźli z sobą wspólny język podczas mojego procesu.

- Kaleb, musimy porozmawiać - powiedziałem. Kaleb wydawał się skołowany. Musiał spędzić z Perettim cholernie ciężki dzień.

- Może później - odparł mgliście. - Teraz muszę znaleźć kierownika.

- Mniej więcej o tej godzinie jedzie zwykle do domu - poinformowałem go. - Wróci w porze kolacji. - I pod wpływem nagłego impulsu spytałem: - Nie wypiłbyś drinka?

Kaleb zamierzał odmówić, ale do rozmowy wtrącił się Peretti:

- Jasne, dlaczego nie?

Zaprowadziłem ich do baru, dostępnego tylko dla mężczyzn. Na widok Kaleba i Perettiego, na którym tanie ubranie wisiało jak na haku, obecni przerwali rozmowy. Potem, z wystudiowaną arogancją ludzi bogatych, podjęli je na nowo, tyle że nieco ciszej. Kaleb o dziwo zamówił wodę sodową, a Peretti whisky z lodem. Zamierzał właśnie wielkopańskim gestem sięgnąć do kieszeni i wyjąć pieniądze, kiedy powstrzymałem go machnięciem ręki.

- Tu nie może pan płacić - powiedziałem i podpisałem rachunek, podany mi w tym momencie przez barmana. - To prywatny klub.

Peretti poczerwieniał lekko. Uniósł do ust szklanekę i sącył whisky powoli, rozglądając się po obecnych w barze członkach klubu, jakby miał nadzieję, że niebawem będzie mógł kogoś o coś oskarżyć. Oni ignorowali jego spojrzenie.

- Boetchner należał do tego klubu, prawda? - zagadnął.

Zaczynałem odczuwać lekki niepokój z powodu dotyczących Harry'ego informacji, które zataiłem przed Kalebem.

- Tak - odparłem ostrożnie.

- Jak mu się to udało?

- Byłem jego sponsorem.

Może był to wpływ whisky, a może naprawdę go to rozbawiło, bo zaśmiał się głośno.

- Jezu! - powiedział. - Wszystko jak w rodzinie, co?

- Kaleb - zwróciłem się do szeryfa, ignorując Perettiego. - Byłem w Sayville. U matki Harry'ego.

Kaleb spojrzał na mnie z uwagą.

- O Jezu! Nikt do niej nie zadzwonił. Była tu ta wdowa... - Chciał przez to powiedzieć, że skoro pojawiła się spadkobierczyni, nikt już nie pomyślał o pani Boetchner.

- O tym właśnie muszę z tobą pogadać. - W barze zrobił się nagle straszny tłok.

Miałem uczucie, że wszyscy mnie słuchają. - Powinniśmy chyba porozmawiać gdzie indziej.

- Jeśli ma pan informacje związane ze śledztwem, proszę nam je przekazać - zażądał podniesionym głosem Peretti.

- Harry był tam niedawno - powiedziałem do Kaleba, nadal ignorując prokuratora.

- No i co z tego? Jest przecież jego matką - odparł Kaleb.

- Nie był tam z rodzinną wizytą - oznajmiłem. W barze zrobiło się znacznie ciszej.

- Rozumiem - powiedział Kaleb. - Oni nie utrzymywali ze sobą bliskich kontaktów.

Kiedyś było inaczej, ale potem, dawno temu, Harry pokłócił się z ojcem.

Byłem wściekły, że muszę to ujawnić w taki sposób, ale nie miałem wyboru.

- Pani Boetchner podpisała akt zrzeczenia się domu - powiedziałem do Kaleba. Peretti słuchał mnie teraz bardzo uważnie. - Podpisała ten akt, żeby Harry mógł pożyczyć pieniądze na jego hipotekę. - Czułem się tak, jakbym zdradzał Harry'ego, ale nie potrafiłem wymyślić nic innego.

Nagle zrobiło się niemal zupełnie cicho. Potem wszyscy zaczęli mówić podniesionymi głosami. Peretti wypił duży łyk whisky, a Kaleb odstawił wodę sodową.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytał.

- Myślę, że Harry'emu kończyła się gotówka.

Tym razem Peretti nie roześmiał się, ale wydał pogardliwe parsknięcie, całkowicie pozbawione szacunku dla zmarłego.

- Jezu! - powiedział na tyle głośno, że słyhać go było w całym barze. - Czy którykolwiek z tych ludzi ma takie pieniądze, jakimi się chwali?

Teraz słuchali go już wszyscy.

- Jeszcze jeden hochsztapler, co? - dodał. Kaleb zignorował jego pytanie.

- Czy słyszał pan o służbie? - zwrócił się do mnie Peretti. Wydawał się rozbawiony. Sfera, do której nie miał wstępu, okazała się siedliskiem oszustów. Był przeciwieństwem Harry'ego Boetchnera: outsiderem kierującym się nie ambicją, lecz nienawiścią.

- Żona Harry'ego powiedziała mi, że wszystkich zwolnił.

- Czy to panu nic nie mówi? - spytał Peretti z tym samym zjadliwym błyskiem w oczach.

- A czy powinno mi coś mówić?

- To znaczy, że zamierzał dać nogę - stwierdził Peretti. Wiedziałem, że robi aluzję do mojej własnej ucieczki, której trasę znaczyły czeki bez pokrycia. - Tak jest zawsze, kiedy ludziom kończą się pieniądze - przypomniał mi. - Po prostu uciekają.

- Więc co robił tutaj o trzeciej nad ranem? - spytał Kaleb, patrząc na niego z uwagą.

Peretti kiwał się teraz w przód i w tył jak metronom.

- Kto wie? - spytał wzruszając chudymi ramionami, sterczącymi pod tandetną marynarką. - Może chciał uciekać konno.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Kiedy pożegnałem się z Kalebem i Perettim, niebo było już blade i zapadał zmierzch. Zostawianie gości w barze było źle widziane, ale nie mogłem już znieść Perettiego ani chwili dłużej. Mój ojciec potrafiłby go właściwie określić. Nazwałby go chamem, mając na myśli nie tyle jego pochodzenie, ile zachowanie. Na przykład Harry Boetchner nigdy nie zachowywał się jak cham. Bywał bezwzględny, ale i czarujący; jego metody prowadzenia interesów wykraczały poza ramy etyki, ale nie był chamem.

Stojąc na stopniach klubu patrzyłem w kierunku widocznej za polem golfowym stajni. Po dwudziestu pięciu latach nabrała ona właściwej patyny. Była teraz idealnie wtopiona w rozłożyste drzewa, które niemal zupełnie zasłaniały ją od strony klubu.

Pamiętałem dzień, w którym Harry przyprowadził tu swego nowego konia. Spotkałem go wtedy w barze.

- Musisz zobaczyć mojego konia - powiedział.

Trudno było nie zarazić się entuzjazmem, z jakim Harry budował swoje nowe życie. Niektórzy mówili, że jest wulgarny, ale byli to ludzie, którzy nie mieli takich pieniędzy jak on.

- Przecież nie jeździsz konno, Harry - przypomniałem mu owego dnia.

- Nauczę się. Roześmiałem się głośno.

- Z jazdą konną, Harry, jest jak z nauką francuskiego. Łatwiej się tego uczyć, kiedy jest się dzieckiem.

- Kiedy byłem dzieckiem, musiałem się uczyć innych rzeczy - odparł. - Czy chcesz zobaczyć mojego konia?

Przypominał mi dziesięciolatek, który pyta: „Czy chcesz zobaczyć mój nowy rower? Czy chcesz zobaczyć moją nową piłkę?”

- Jasne - powiedziałem. - Chodźmy obejrzyć twojego konia.

Patrząc teraz na dach stajni zdałem sobie sprawę, że od tego dnia upłynęły zaledwie trzy miesiące. Trzy miesiące. Jeśli dziewczyna mówiła prawdę, było to już po ponownym spotkaniu Harry'ego z Tracy. Zaczęło mi się to wszystko układać w jakąś nieokreśloną jeszcze całość. Nie byłem pewien, czy chodziło tylko o konia, czy o coś ważniejszego.

Pamiętam, że kiedy szliśmy ścieżką w stronę stajni, było już po zachodzie słońca. Chłopcy pracujący na polu golfowym ustawiali w szeregu wózki, nie obok stajni, lecz dalej, nad jeziorem. Z klubu dochodziły wybuchy śmiechu. Niektórzy członkowie, którzy zamierzali jeść kolację gdzie indziej, odjeżdżali już spod budynku.

- To najwspanialszy koń, jakiego widziałeś - powiedział Harry.

- Widziałem w życiu sporo koni - ostrzegłem go.

- Ale nie takich jak ten. Właścicielem jego przodka jest Aga Khan.

- I mieszkają pod jednym dachem - dodałem. Harry spojrzał na mnie uważnie, by przekonać się, czy nie żartuję.

- Czy wiesz, ile płacą ogierowi za to, że sobie poużywa? - spytał.

- Więcej niż tobie lub mnie - odparłem. Wieczór był chłodny, a w powietrzu unosił się zapach końskiego potu, nawozu i świeżo skoszonej trawy.

- Poznałem kiedyś w Wietnamie pewnego faceta - mówił Harry, krocząc powoli obok mnie. - Mówię ci, miał więcej dup niż ktokolwiek z moich znajomych. Nie mówię o Wietnamkach. Spędzaliśmy urlopy w Australii. Nie mógł opędzić się od bab. Po prostu nie mógł. Trzeba było tylko trzymać się blisko niego i zgarniać te, które odrzucał. A te, które odrzucał, były lepsze niż te, które mieli inni.

Na szarym niebie pojawiły się blade ogniki gwiazd.

- Harry, czy ta opowieść ma jakąś pointę? - spytałem.

- Jasne, że ma. Która z moich historii nie miała pointy?

- Prawie wszystkie, Harry.

- Tak czy owak - ciągnął - pojechałem z tym facetem do Australii i do Honolulu.

Objechałem z nim niemal cały Pacyfik. Nigdy nie musiał za nic płacić. Wystarczyło, żeby kobieta raz na niego spojrzała, a już jadła mu z ręki.

Podczas gdy mówił, ja wyobraziłem sobie nagle, jak musiał wyglądać w Wietnamie. Wyjechał tam w niespełna rok od chwili, kiedy poznaliśmy się tu, prawie w tym samym miejscu, pod nowo wybudowaną stajnią.

- No więc - ciągnął Harry - spotykam tego faceta mniej więcej przed rokiem. Siedzi w barze u Hiltona, no wiesz, na Szóstej Alei.

- Byłem tam - przerwałem mu.

- No więc siedzi w tym barze i jest z nim jakaś kobieta. Mówię ci, miała najwyżej osiemnaście lat, ale widać było, że jest prostytutką. Gadamy przez chwilę, wypijamy drinka, a potem ta dziewczyna wstaje, żeby pójść do toalety. Facet widzi, że jej się przyglądam. I mówi do mnie: „Masz na nią ochotę? Jest do wzięcia. Miałem ją dziś popołudniu i muszę powiedzieć, że jest niezła”. A ja pytam: „Od kiedy musisz za to płacić?”

Harry zatrzymał się przy wrotach stajni. Za jego plecami widziałem chłopców stajennych roznoszących siano. Na samym końcu, przed boksem, stał jakiś wspaniały rumak. Wielki, izabelowaty koń półkrwi angielskiej, na widok którego zjeżyły mi się włosy na karku. Nie ze strachu, nawet nie z zachwytu. Po prostu miałem wrażenie, że już tego konia widziałem. I słuchając anegdoty Harry'ego szybko przypomniałem sobie, kiedy to było.

- A on mówi do mnie: „Przez lata dawałem im to za darmo. Teraz odkupuję z powrotem”.

Widziałem chłopców stajennych, którzy zbierali się wokół tego konia, by na niego popatrzeć. Musiałem przyznać, że był bardzo piękny. Byłby najpiękniejszym koniem, jakiego

widziałem w życiu, gdybym przed dwudziestu pięciu laty nie widział ogiera, na którym jeździła Tracy Egan. Oba mogły pochodzić od tej samej klaczy.

Harry przestał mówić i patrzył na mnie tak, jakby czekał na moją reakcję.

- To zabawne - powiedziałem niepewnie.

Wydawał się tak zawiedziony, jakbym nie pojął sensu jego opowieści. Nie zrozumiałem go, choć teraz, w trzy miesiące później, idąc w kierunku stajni w letnim mroku, nie byłem już tego pewien. Harry mówił o rzeczach, które się zmieniają i o rzeczach, których zmiany można powstrzymać. Człowiek, który ma dość pieniędzy, może udawać, że znów jest młody.

Tego wieczora wkroczyliśmy do mrocznej stajni i Harry spytał:

- Co myślisz o moim koniu?

Nie miałem żadnych wątpliwości, o którym koniu mówi.

- Jest piękny, Harry - powiedziałem.

- Tak - stwierdził z dumą. - Na pewno zdobędzie dla mnie błękitną wstęgę na Hampton Classic.

Już wtedy, zanim doszło do tego wszystkiego, usłyszałem echo głosu Tracy Egan, która mówiła do mnie dawno temu: „Czyż nie wyglądamy pięknie? Wygramy ten konkurs, wiesz o tym.” Jej głos górował nad zapachem nawozu i końskiego ciała, nad hałasem, jaki robili poruszający się wśród boksów chłopcy stajenni.

- Wiesz, jak zamierzam go nazwać? - spytał Harry.

- Mogę się domyślić. - Koń był zachwycający. Gotów byłem uwierzyć, że pochodzi ze stajni Agi Khana. Jeśli to prawda, wart był z ćwierć miliona dolarów.

- Jak? - spytał wyzywająco Harry.

- Champion - odparłem.

Tym razem jego rozczarowanie miało charakter bardziej osobisty. Nachmurzył się. Wyraźnie speszony odwrócił się i ruszył w kierunku chłopców stajennych. Nie wiedziałem jeszcze wtedy, rzecz jasna, że prawdopodobnie było to już po jego spotkaniu z Tracy, z jej mężem - i z tą dziewczyną. Wiedziałem tylko, że Harry wrócił w rodzinne strony i kupił sobie dokładnie takiego samego konia, jakiego miała Tracy, kiedy ujrzałem ją po raz pierwszy.

Poszedłem za nim. Chłopcy stajenni, w większości miejscowi miłośnicy koni, dzielili swój podziw między konia i Harry'ego. Żaden z nich nigdy czegoś podobnego nie widział.

Harry odzyskał tymczasem dobry humor. Spojrzał na mnie i powtórzył:

- Zamierzam wystawić go do konkursu i wygrać.

- Żeby wygrać, musisz mieć jeźdźca - rzuciłem próbując obrócić wszystko w żart. - Nie możesz wysłać samego konia.

Odwrócił się i spojrzał na konia takim wzrokiem, jakby podziwiał jakiś obiekt kultu religijnego.

- Nie sądzę, żebym miał trudności ze znalezieniem jeźdźca - odparł.

Chłopcy stajenni wymienili spojrzenia. Każdy z nich marzył o tym, żeby zaprezentować tego wspaniałego konia.

- Nie, Harry - przyznałem. - Chyba nie będziesz miał trudności.

Wszystko to miało miejsce przed trzema miesiącami. Harry nie podjął próby nauczania się jazdy konnej. I postąpił słusznie. Dowodziło to jego dobrego smaku. Wiedział, że jest uważany za człowieka sukcesu, ale traktował samego siebie z humorem i czuł, że ośmieszyłby się, gdyby zaczął brać lekcje jazdy i sam próbował zaprezentować konia w konkursie. Zatrudnił dwóch własnych chłopców stajennych, którzy na zmianę jeździli na Championie. Ale gdy tylko był na miejscu, przyjeżdżał codziennie, by obserwować jego poranny trening. Chłopcy rywalizowali z sobą, gdyż każdy z nich chciał dosiadać Championa podczas Hampton Classic. Harry pozwalał im żartować na ten temat, ale żadnemu niczego nie obiecywał.

Musiał przeżywać ciężki okres. Rozumiałem to. Wiedziałem, jak czuje się człowiek, któremu zagraża bankructwo. Ale musiał zdawać sobie sprawę z okrutnej ironii losu. Miał prawie wszystko - nawet dziewczynę bliźniaczo podobną do tej, którą stracił. Nie dziwiłem się, że Peretti podejrzewa go o chęć ucieczki. Gdyby dziewczyna wyraziła zgodę, mógłby przeżyć jeszcze kilka miesięcy łudząc się, że jego historia będzie miała szczęśliwe zakończenie.

Teraz Championa nie było już w stajni. Miałem nadzieję, że ci, którzy go stąd zabrali, zdają sobie sprawę, jak jest cenny. Boks został opróżniony. Posypano go proszkiem do zdejmowania odcisków palców. Moje serce było pełne żalu za wszystkim, co zaczęło się tu przed dwudziestu pięciu laty. Nie był to ten sam boks, w którym trzymano pierwszego Championa. Ale Harry o tym nie wiedział. Patrząc na pusty boks zastanawiałem się, skąd mógł wiedzieć o tym, że tamten koń miał na imię Champion i że Tracy miała go zaprezentować w konkursie. Doszedłem do wniosku, że musieli o tym rozmawiać, choć im dłużej się nad tym zastanawiałem, tym trudniej było mi sobie wyobrazić ich rozmowę. Wiedziałem ich podczas miłosnych uniesień, które wydawały się naturalne, zgodne z siłami natury. Podejrzewałem jednak, że rozmowa mogła im nastęrczać większe trudności. Tracy była dziewczyną z innej sfery, choć nie miało to większego znaczenia. Ale, o ile pamiętałem, nie była dziewczyną, która chciałaby wprawić kogokolwiek w zakłopotanie. Nie mogłem sobie wyobrazić, by opowiadała Harry'emu o koniu, na którym chciała wygrać konkurs, wiedząc dobrze, że on nie będzie miał tam prawa wstępu. Ale musieli o tym rozmawiać, bo inaczej Harry nie byłby tak dobrze zorientowany. Musiał oczywiście wiedzieć, jak wyglądał

ten koń, bo kupił jego duplikat, posiadający w dodatku lepszy rodowód. I nadał mu to samo imię.

Właśnie to imię ostatecznie mnie rozkleiło. Czułem w oczach coś, co było bliskie łez. Nie należę do ludzi, którzy płaczą. I nie rozplakałem się teraz. Ale patrząc na pusty boks nie mogłem się powstrzymać od myślenia o biednym Harrym.

- No właśnie - powiedziałem do siebie. - Biedny Harry. Biedny, sentymentalny Harry. - Wyznał mi kiedyś, że jego życie zaczęło się dopiero po wyjeździe stąd. Wiedziałem już wtedy, że nie mówi o dniu, w którym opuścił nasze miasteczko, by pojechać do Wietnamu. Mówił o dniu, w którym zszedł z tego zbocza i zobaczył Tracy Egan. Właśnie tego dnia Harry opuścił w gruncie rzeczy nasze miasteczko. A więc jego długa podróż zaczęła się, prawdę mówiąc, właśnie tu, nie dokładnie obok tego boksu, ale na drodze między klubem a stajnią. I tu się też skończyła.

Co go tu przyniosło? Zastanawiałem się nad tym. Harry przyjeżdżał codziennie, o piątej albo szóstej, by oglądać trening swojego konia. Ale dlaczego był tu o trzeciej nad ranem? I dlaczego obok stajni nie było strażnika? Stały tu konie warte co najmniej milion dolarów. Zachowywały arogancką obojętność, podczas gdy chłopcy stajenni, poruszając się między nimi w milczeniu, karmili je i szczotkowali. Kaleb na pewno o tym pomyślał. Tu musiało leżeć rozwiązanie. Ludzie nie przywozili tu drogich koni po to, by je zostawiać bez opieki. Wszystko może się zdarzyć: pożary, kradzieże... W Irlandii doszło nawet do porwania pewnego konia.

Wyszedłem na dwór i okrążyłem stajnię. Niebo było już całkiem ciemne. Mrok letniego wieczora rozjaśniały płonące gwiazdy. Miałem wrażenie, że moja młodość jest wszędzie obecna. O ile Harry uważał, że jego życie zaczęło się gdzieś tutaj, o tyle część mojej młodości skończyła się w dniu, w którym Tracy Egan dostrzegła ponad moim ramieniem Harry'ego. Wydawało mi się nawet przez chwilę, kiedy stałem tak w ciemności, że widzę na konkursowym padoku Tracy Egan na grzbiecie tego pierwszego Championa. Ale duch zniknął, a ja znów byłem sam.

Na wzgórzu, w klubie, zapłonęły światła. Z oddali dochodziły wybuchy śmiechu; jacyś członkowie wyszli już na parking. Kiedy samochody zniknęły pomiędzy białymi płotami podjazdu, usłyszałem głosy rozmawiającego za klubem personelu. Słysząc je było z daleka tak wyraźnie, jakbym stał tuż obok. Pomyślałem, że musi to być jakieś złudzenie akustyczne. Ale odwróciwszy się zdałem sobie sprawę, że nie docierają do mnie żadne odgłosy z wnętrza stajni. Wiedziałem, że rozlegają się tam różne dźwięki, towarzyszące przygotowaniu na noc dwudziestu czterech koni. Jeśli Harry istotnie został zabity w środku, na dworze nie było nic słyszać. Gdyby natomiast został zaatakowany na zewnątrz i gdyby stawił napastnikowi jakikolwiek opór, odgłosy walki dotarłyby aż do klubu.

Ruszyłem powoli z powrotem w kierunku szczytu wzniesienia. Mniej więcej w połowie drogi przystanąłem i odwróciłem się, by spojrzeć w stronę stajni. Doczekałem chwili, w której wyszli z niej, rozmawiając z sobą, dwaj masztalerze. Słyszałem ich. Pomyślałem, że trzeba ustalić dokładnie czas śmierci Harry'ego. Potem dowiedzieć się, kto tu wtedy przebywał. Obok stajni powinni być strażnicy, a w klubie zawsze pełnił służbę nocny portier. Jeśli Harry nie został zabity w boksie - co wydawało mi się mało prawdopodobne, gdyż stał w nim ten koń - to gdzie właściwie zginął?

Zauważyłem, że radiowóz Kaleba zniknął już z parkingu. Kaleb musiał się niezręcznie czuć w tym barze, zwłaszcza że miał na sobie mundur. Ciekaw byłem, jakie jeszcze uwagi wygłaszał na użytek zebranych Peretti.

Wróciłem do samochodu zastanawiając się, gdzie znaleźć Kaleba. Śmierć Harry'ego stała się dla mnie czymś w rodzaju obsesji. Wydawała mi się niesprawiedliwa, a wszystkie dotyczące jej znaki zapytania błąkały się jak duchy po nawiedzonym domu. Nawiedzonym domem było to miasteczko, w którym wszyscy spotkaliśmy się po raz pierwszy.

Nie zastałem Kaleba w Whale's Tale. Nie było go też na posterunku policji. Jego młody zastępca, Ron, podniósł na mnie wzrok i powiedział:

- Dzień dobry, panie Harriman, co mogę dla pana zrobić?

Nie byłem w nastroju, w którym miałbym ochotę wysłuchiwać wybuchów jego młodzieńczego entuzjazmu.

- Czy jest Kaleb? - spytałem.

- Nie ma - odparł Ron. Potrząsnął swą ciemną, kędzierzawą głową i dodał: - Dziś wieczorem zgarnęła go stara.

Założyłem, że ma na myśli żonę Kaleba. Nie chciałem jechać do jego domu i dać się wciągnąć w rodzinne spory, zwłaszcza jeśli ona słyszała o Lucille.

- Czy masz protokół sekcji zwłok Harry'ego Boetchnera? - spytałem.

Spojrzał na mnie tak, jakbym poprosił go o jakąś podejrzaną przysługę.

- Przecież pan wie, że nie mogę go panu pokazać, panie Harriman.

- Zastanawiałem się tylko nad czasem śmierci - wyjaśniłem mu.

Znów potrząsnął głową.

- Tego rodzaju informacje objęte są tajemnicą śledztwa - powiedział z satysfakcją, jaką młodym ludziom daje poczucie władzy.

- Ale za kilka dni staną się ogólnie dostępne.

- Wuj urwałby mi głowę - stwierdził.

- To właśnie on prosił mnie o zbadanie kilku aspektów tej sprawy. - Nie było to całkowicie wysrane z palca.

Siostrzeniec szeryfa przyjrzał mi się podejrzliwie.

- Czy to prawda? - spytał.

- Jasne. A jak myślisz, po co się tutaj tak ciągle kręcę?

- Do diabła, sądziłem, że robi pan to w ramach swoich obowiązków służbowych, panie Harriman. - Miał rację, więc powiedziałem z naciskiem:

- Czas śmierci, Ron.

Wstał z krzesła tak wolno, jakby w ogóle mnie nie słyszał. Miałem już dość tej zabawy w kotka i w myszkę. Ron spisywał się jako zastępca szeryfa zupełnie dobrze, choć to on powinien przebywać na posterunku owego wieczora, kiedy temu facetowi ucięto jaja. Kaleb lubił Rona, gdyż był siostrzeńcem jego żony i wydawało mi się to zrozumiałe. Poza tym mieszkańcy miasteczka czuli się dotknięci, kiedy służbę policyjną pełnił ktoś, kogo nie znali osobiście. Przed Kalebem szefem policji był jego ojciec. Teraz pomyślałem ze zgrozą, że pewnego dnia zostanie nim z kolei ten smarkacz. Być może zmiany zachodzące w miasteczku mają swoje dobre strony. Być może policja też zacznie się zmieniać. Kaleb był niezły, ale ten chłopiec, który nosił pas tak nisko, jakby miał za chwilę przejść główną ulicą jakiegoś miasteczka na Dzikim Zachodzie, musiał się jeszcze wiele nauczyć przed objęciem jego funkcji.

Przez chwilę chodził nerwowo po posterunku, a potem otworzył leżącą na biurku Kaleba teczkę z aktami, zajrzał do niej i spojrzał na mnie.

- Pomiędzy północą a świtem - oznajmił. Chryste, pomyślałem, między północą a świtem.

Harry miał wiele czasu na to, by zostawić w domu swą młodą żonę i dać się zabić w którymkolwiek z okolicznych miasteczek.

- Czy nie określili tego dokładniej? - spytałem.

Ron czytał protokół, nadal stojąc przy biurku Kaleba. Był tym wyraźnie zaabsorbowany. Przesuwał językiem po wargach, jakby był pogrążony w głębokim namyśle.

- Nie - odparł zamykając teczkę. Spojrzał na mnie wyzywająco. - Między północą a świtem.

Podziękowałem mu, ale on już przestał się mną interesować. Wyszedł z pokoju, jakby mnie tam w ogóle nie było. Opuściłem posterunek i zatrzymałem się na stopniach rozmyślając, co robić dalej. Czułem, że mam pewne zobowiązania wobec Harry'ego. Nie zamierzałem szukać Kaleba, skoro spędzał czas w towarzystwie żony. Ta dziewczyna... ta dziewczyna, myślałem. Mogła być już w domu, ale nie miałem ochoty znowu tam jechać.

Noc była ciemna i ciepła. Gwiazdy wydawały się niemal przezroczyste, jakby topniały na tle czekoladowego nieba. Za drzewami dostrzegłem wieżę starego kościoła. Była pozbawiona zwieńczenia, które zerwał huragan przed piętnastu laty i które na mocy cichego porozumienia mieszkańców nigdy nie zostało odrestaurowane. Nie było ku temu żadnego logicznego powodu. Po prostu nikt tego jakoś nie zaproponował.

Była środa. Wiedziałem, że Prune jest tego wieczora na zebraniu Anonimowych Alkoholików, które odbywa się w kościele. Nagle odczułem przemożną potrzebę spotkania się z nią. Była w pewnym sensie nicią łączącą wszystkie wątki tej historii. Gdyby nie ona, nie poznałbym Tracy ani Harry'ego i nie pracowałbym do tej pory w miasteczku. Wsiadłem do samochodu i pojechałem na kościelny parking, na którym stały kosztowne BMW, Mercedesy i Porsche, a obok nich stare furgonetki, rozklekotane gruchoty i inne nie najnowsze samochody. W całym wielkim, obitym deskami budynku paliło się tylko jedno światło. Czekałem przy swoim samochodzie myśląc o tym, że to stowarzyszenie - stowarzyszenie Anonimowych Alkoholików - jest najbardziej ekskluzywnym klubem w miasteczku, jeśli nie liczyć Hampton Club. A może jeszcze bardziej ekskluzywnym niż on.

Pięć lat wcześniej, kiedy Prune zaczęła chodzić na zebrania AA, moja kuzynka Daffy powiedziała do mnie: - Nic z tego nie będzie. Dobrze o tym wiesz. Sam toczyłem w tym okresie walkę z różnymi nałogami. Nie wiedziałem jeszcze, że w końcu ją przegram. Ale kiedy człowiek nie musi co rano wstawać i iść do pracy, może przez dłuższy czas odwlekać katastrofę. Kochałem jednak Prune i wierzyłem w nią. Więc powiedziałem:

- Może się uda.

Siedzieliśmy wtedy w barze Trader Vic's, w podziemiach hotelu Plaża. Lubiałem ten bar z niewłaściwych powodów. Lubiałem jego celowo niemodny wystrój, który sprawiał, że czułem się w nim tak, jakbym nie był w Nowym Jorku. Daffy, której modną, czarną prostą suknię zdobiły duże perły o wartości około dwustu tysięcy dolarów, rozglądała się po sali jak pasażerka rozbitego statku wyrzucona na nieznaną brzeg, ale usiłująca zachować dobre maniery ze względu na przynależność do swej klasy.

- O Boże - jęknęła ze znużeniem, odgarniając z twarzy jasne włosy, za których uczesanie zapłaciła właśnie ze trzysta dolarów. - Wiesz równie dobrze jak ja, że ona przestanie pić tylko na tak długo, żeby móc cieszyć się pierwszym drinkiem.

Mieszałem jakiś różowy koktajl ozdobiony turkusową parasolką i noszący nazwę Singapore Sling. Lubiałem kolory drinków, które podawano w Trader Vic's. Byłem zmęczony towarzystwem mojej kuzynki Daphne. Nie przepadałem za nią już wtedy, kiedy była małą dziewczynką, ale wmówiono mi, że rodzina stanowi coś w rodzaju mistycznej więzi i że trzeba okazywać jej członkom tolerancję. Daphne robiła w tym czasie wszystko, co mogła, by rozbić swe drugie małżeństwo, choć oczywiście twierdziła, że do obu rozwodów doszło nie z jej winy.

- Daffy - powiedziałem zauważając, jak krzywi się na dźwięk swego dawnego zdrobnienia. Nazywała się teraz pani Daphne Mowat Knickerbocker. Była wściekła, kiedy ktoś nazywał ją Daffy Knickerbocker. - Prune jest przerażona.

Zwróciła ku mnie oczy, które w wyniku niedawno przebytej operacji plastycznej były osadzone zupełnie inaczej.

- Przerażona, przerażona. Dlaczego miałyby być przerażona? Ma więcej pieniędzy niż Pan Bóg.

Już wtedy, zanim jeszcze miałem powody, by analizować własne życie, zdumiewało mnie to, że ludzie bogaci - w tym wypadku moja kuzynka Daffy - potrafią przeżyć nieszczęścia, które dla innych byłyby czymś w rodzaju katharsis, i niczego się nie nauczyć.

- Oprócz nędzy istnieją jeszcze inne rzeczy, których można się bać, Daffy - ciągnąłem nieustępliwie.

Ale Daffy już wtedy nie chciała się niczego uczyć. Ani przyznać, że ktokolwiek może cokolwiek wiedzieć.

- Oczywiście, że istnieją - odparła. - Ona powinna się bać tego, że jest przez cały czas pijana.

- Wcale nie jest pijana przez cały czas, Daffy - powiedziałem ze złością. - Nie należy do tego typu pijaków.

Daffy zerknęła na mój koktajl, skrzywiła się i spytała:

- Czy zamierzasz uraczyć mnie wykładem o społecznej stratyfikacji pijaków?

- Nie, Daphne - odparłem cicho. - Nawet nie próbowałbym czegoś cię uczyć.

Czekając przed kościołem na zakończenie zebrania pomyślałem sobie, że Daffy nie była tak odległa od prawdy, choć nie w tym kontekście, o jaki jej chodziło. Ktoś, kto chciałby w naszym mieście szybko przełamać bariery społeczne, powinien wstąpić do AA, bez względu na to, czy było to w jego przypadku potrzebne. Ludzie, którzy w każdych innych okolicznościach nie poznaliby cię na ulicy, pozwalali ci tu mówić do siebie po imieniu. Przynależność do AA okazała się najszcześniejszym wydarzeniem w życiu Prune. Nie tylko dlatego, że przestała pić, co wzbudziło mój głęboki podziw, lecz również dlatego, że spotykała się z całą grupą ludzi, na których nie robiło najmniejszego wrażenia to, że była kiedyś żoną Vincenta Duke'a. Można by powiedzieć, że dzięki związkom z tą grupą miała bardziej zróżnicowane kontakty towarzyskie niż ktokolwiek inny, może z wyjątkiem Kaleba. Tu, raz na tydzień - a jeśli odczuwała potrzebę napicia się, nawet codziennie - spotykała się na równej stopie z hydraulikami, stolarzami, agentami ogłoszeniowymi, księżniczkami, dziedziczkami fortun, rybakami, gospodyniami domowymi. W tym pomieszczeniu, którego oświetlone okno rozjaśniało fasadę kościoła, wszyscy demonstrowali wobec siebie uczciwość, bezpośredniość i życzliwość, których nie potrafili znaleźć ani okazać nigdzie indziej.

Widząc dwie słynne lesbijki z Madison Avenue, które wyszły z kościoła i pospieszyły do swego Porsche'a, zdałem sobie sprawę, że zazdrozczę Prune. Prune, z tą samą odwagą i nadzieją, które niegdyś pchnęły ją w stronę alkoholu, potrafiła jednym zdecydowanym ruchem ułożyć sobie życie. Z kościoła zaczęli teraz wychodzić inni członkowie, więc odwróciłem głowę, by nie wyglądało na to, że ich podglądam. Wiedziałem, że Prune pojawi

się jako jedna z ostatnich. Lubiła zmywać kubki po kawie i chować niedojedzone ciasteczka - wykonywać proste czynności, których nie wykonywała nigdy w życiu.

Samochody kolejno odjeżdżały. Dostrzegłem słynnego reżysera, modelkę znaną z okładek magazynów, właściciela miejscowego punktu naprawy telewizorów, ekspedientkę z supermarketu i z pół tuzina kobiet i mężczyzn, których znałem przez całe życie, choć spotykałem się z nimi w innych okolicznościach.

W końcu, gdy parking był już niemal pusty, ruszyłem w kierunku kościoła. Czekałem przy stopniach, kiedy otworzyły się drzwi i wyszła Prune. Miała na sobie stary trencz, miękkie, zamszowe buty i chustkę, którą można by kupić wszędzie za cztery dolary. Figurowała na liście pięćdziesięciu najbogatszych kobiet Ameryki, ale nikt nie poznałby tego po jej stroju. Przed laty lubiła okazywać swe bogactwo, ale teraz przestało ją to interesować. Wyglądała lepiej, niż kiedykolwiek dotąd. Niewielkie oczy, niegdyś zapuchnięte, były teraz jasne i błyszczące. Zniknęła nadwaga, której przyczyną był alkohol. Podczas gdy my wszyscy starzeliśmy się stopniowo, Prune wyglądała coraz młodziej. Kiedy ją spotykałem, zawsze miałem niewyraźne uczucie, że jestem portretem ukrytym na jej strychu; że ja ulegam rozkładowi, a ona zachowuje wieczną młodość. Nie oburzało mnie to. Zastanawiałem się tylko, kiedy przyjdzie moja kolej; kiedy znajdę w sobie odwagę, na jaką zdobyła się Prune.

- Cześć, Prune - powitałem ją.

- Cześć, kochanie - odpowiedziała wyciągając rękę. W ciągu ostatnich lat wyrobiła w sobie potrzebę fizycznego kontaktu z ludźmi bliskimi, co było równie niezwykle jak to, że przestała pić. Przez całe życie, podobnie jak mój ojciec i reszta naszej rodziny, nienawidziła oznak czułości. Należeliśmy do ludzi, którzy spotykając się na lotnisku, po latach niewidzenia, podają sobie rękę. Teraz objęła mnie i pocałowała w policzek.

- Co za miła niespodzianka.

- Czy mogę zaprosić cię na kolację?

- Pod warunkiem, że nie zjemy jej w twoim mieszkaniu - odparła.

Prune odwiedziła mnie w moim mieszkaniu dwukrotnie. Była zbyt dyskretna, by podnieść mi pensję lub płacić za mnie czynsz, ale nawet ona, świeżo upieczona demokratka, była zażenowana widokiem mego poddasza.

- W hotelu - zaproponowałem.

- Tam jest tak drogo - zaprotestowała Prune. Im bogatsza się stawała, tym wyraźniej zdawała sobie sprawę z prawdziwej wartości różnych rzeczy. Łączyło się to w pewien sposób z przekonaniem, że miała w życiu szczęście i że nie powinna roztrwaniać tego, co dał jej los. Ta jej nowa postawa była przyczyną nieustannej troski mojej kuzynki Daphne, która obawiała się, że Prune może postąpić nieodpowiedzialnie i zapisać część swych pieniędzy na cele dobroczynne.

- Mam ochotę tam pojechać, Prune - powiedziałem, choć dopiero w tej chwili zdałem sobie sprawę, jak bardzo chciałbym zjeść kolację w Hotelu Federalnym. Wydawało mi się, że wiem dlaczego, ale nie chciałem tego analizować.

Prune nie straciła nic ze swej dawnej intuicji.

- Dobrze. Jeśli dostaniemy stolik. Nie mam zwyczaju czekać w kolejce po to, żeby coś zjeść.

Hol hotelowy pełen był jak zwykle biznesmenów z Manhattanu i z Los Angeles, którzy starali się wyglądać naturalnie w pastelowych swetrach, zamszowych marynarkach, kosztownych kowbojskich butach i szytych na zamówienie dżinsach. Ale pani Duke nadal miała tu pewne przywileje. Staliśmy bezradnie w tłumie przybyszów z Nowego Jorku i z Hollywood, dopóki nie dostrzegła nas młoda Chinka, która pełniła teraz honory domu przy wejściu do sali restauracyjnej. Wiedziałem, że nie jest to łatwa próba dla Prune. Nie miała ochoty na drinka, ale kiedy otaczał ją tłum pijących, doznawała czegoś w rodzaju uczucia klaustrofobii.

- Możemy iść gdzie indziej, Prune - powiedziałem chcąc ukryć rozczarowanie, gdyż dostrzegłem właśnie wdowę po Harrym, która siedziała tuż za rzeźbionym, wiktoriańskim przepierzeniem dzielącym hol od sali jadalnej. Widziałem tylko jej plecy; pochylała się lekko nad stołem, słuchając uważnie tego, co mówił do niej ktoś, kto siedział naprzeciwko.

Prune trzymała mnie pod rękę. Czulem, że mocno zaciska dłoń na moim przedramieniu.

- Nie - odparła. - Zostańmy tutaj.

W tym momencie przez tłum opalonych ludzi przedarła się do nas młoda Chinka.

- Pani Duke - powiedziała. - Jak miło panią widzieć. Odwiedza nas pani stanowczo zbyt rzadko.

Prune podniosła głowę.

- Nie sądzę, by moje towarzystwo mogło być dla ciebie atrakcyjne, Susan - odparła. To, że znała imię hotelowej recepcjonistki, było miarą jej wrażliwości.

Susan dyskretnie zdjęła jej dłoń z mojego ramienia, a potem poprowadziła ją przez tłum do sali restauracyjnej.

- Pani Duke - powiedziała - dla ludzi z klasą zawsze mamy wolne miejsca.

- Cóż za oburzające pochlebstwo - roześmiała się Prune.

- Pochlebstwo - przyznała Chinka - ale bynajmniej nie oburzające, pani Duke. Jeśli zechcą państwo chwileczkę poczekać, dam państwu stolik w tamtym rogu.

Kiedy młoda Chinka zniknęła wśród palm stojących między stolikami w wąskiej, długiej sali restauracyjnej, zdałem sobie sprawę, że był to z jej strony pokaz profesjonalnego mistrzostwa. Tylko nieliczni spośród zgromadzonych w holu i barze ludzi mieliby ochotę na narożny stolik. Jedynie znakomitości pierwszej rangi - na przykład pani Onassis - lub ci

całkowicie pozbawieni wymagań goście, dla których sam pobyt w hotelu był podniecającym przeżyciem, zgodziliby się siedzieć z dala od głównego nurtu wydarzeń. Dla Prune natomiast stolik ten był idealny.

Stojąc przy wejściu do sali, widziałem dokładnie wdowę po Harrym. Siedziała nieruchomo jak uczennica słuchająca wykładu, który wygłaszał asystent prokuratora okręgowego, Peretti. Patrząc na niego, przypomniałem sobie z niesmakiem moją rozprawę. Peretti, przemawiając do dziewczyny, wyglądał dokładnie tak samo jak wtedy, kiedy pouczał sędziego, że powinien przykładowie mnie ukarać. Miał na sobie to samo tandetne ubranie, w którym widziałem go wcześniej. Jego twarz, pociemniała od całodziennego zarostu, wydawała się pokryta plamami. Przyszło mi do głowy to, co mówił zawsze w takiej sytuacji mój ojciec: że Peretti nie jest człowiekiem „z naszej sfery” i natychmiast zdałem sobie sprawę, że przejawiam wszystkie snobistyczne cechy, których tak nienawidziłem u innych. Jedli kolację. Mówiąc dokładniej, jadł ją Peretti. Znając ceny posiłków w tej restauracji pomyślałem sobie, że tym razem cena sprawiedliwości będzie wysoka. Byłem ciekaw, czy wliczy w koszt również posiłek dziewczyny, która zresztą jadła chyba niewiele. Peretti miał na talerzu ogromny befsztyk, ona natomiast bez entuzjazmu dziobała widelcem jakąś wyszukaną sałatkę.

Młoda Chinka wróciła i poprowadziła Prune do narożnego stolika. Ruszyłem za nimi. Kiedy ich mijalem, Peretti uniósł akurat wzrok znad talerza. Jego oczy prześliznęły się po mnie obojętnie. Potem zdał sobie sprawę, kim jestem, spojrzał na mnie uważnie i przestał mówić.

- Dobry wieczór - powiedziałem najbardziej pogodnym tonem, na jaki potrafiłem się zdobyć.

Nie odpowiedział. Był wyraźnie wściekły, że przyłapałem go na jedzeniu kolacji z osobą, która musiała być najbardziej podejrzanym obiektem dochodzenia. Ja zaś doszedłem do wniosku, że jestem świadkiem sprytnego manewru rutynowanego prawnika. Przenosząc wzrok na dziewczynę uświadomiłem sobie, że ja również uznałem ją już za winną i wydałem wyrok.

- Dobry wieczór, pani Boetchner - powiedziałem. A potem poszedłem w ślad za Prune, która siadała właśnie przy ukrytym za rzędem palm narożnym stoliku. Zdjęła chustkę i poprawiła ruchem głowy swe od niedawna krótko obcięte włosy.

- Ta dziewczyna była żoną Harry'ego Boetchnera - oznajmiłem jej.

Prune rozchyliła liście jednej z palm i ukradkiem, jak dziecko, ogarnęła wzrokiem jadalnię.

- No, no - powiedziała. - Bardzo młoda, prawda?

- Czy nie przypomina ci kogoś?

Prune zastanawiała się przez dłuższą chwilę.

- Nie - przyznała w końcu. - Chyba nie.

- Kogoś, kogo widziałaś przed dwudziestu pięciu laty.

- W takim razie chodzi pewnie o jej matkę... - powiedziała z namysłem Prune. Ale nie mogła sobie przypomnieć, kim była matka dziewczyny.

- To było podczas tego lata, które spędzałem u ciebie - nalegałem. - Dziewczyna z Baltimore...

Prune przerwała mi gestem ręki. Przyglądała się dziewczynie jeszcze przez chwilę.

- Nie wydaje się bardzo szczęśliwa - stwierdziła w końcu.

- Owdowiała ubiegłej nocy.

- No właśnie - powiedziała Prune, nadal patrząc między liśćmi palmy. - Czytałam o tym w naszej gazecie.

- To było morderstwo.

Prune bez słowa przyglądała się dziewczynie jeszcze przez dłuższą chwilę. Potem, nie patrząc na mnie, stwierdziła:

- O tym nie było w gazecie.

- Nie - przyznałem. - Kaleb przekonał mnie, żeby o tym nie wspominać.

Myślałem, że Prune ofuknie mnie za brak etyki zawodowej. Była pod każdym względem pobłażliwa, ale równocześnie bardzo zdyscyplinowana. Ceniła profesjonalizm. Powoli cofnęła rękę, a liście palmy zasłoniły salę jadalną, plecy Perettiego i dziewczynę, która wpatrywała się w niego ze skupieniem zwierzątka mającego przed sobą kobrę.

- Teraz sobie przypominam - powiedziała. - Kochałeś się w jej matce.

- Tak.

- Ale coś się stało - ciągnęła, nadal sięgając pamięcią o ćwierć wieku wstecz.

- Jej matka nazywała się Tracy Egan - przypomniałem jej. - Porzuciła mnie dla Harry'ego Boetchnera.

- Ach, tak. - Przyglądała mi się badawczo, jakby szukając w myślach odpowiedzi na nie zadane pytania. - Teraz pamiętam. Przynajmniej niektóre szczegóły. To było tak dawno.

- Masz rację. Od tej pory minęło całe życie. Ja miałem wtedy inne życie... ty zresztą też.

- I pan Boetchner - przypomniała mi Prune.

- No właśnie. - Westchnąłem. - Harry też. Harry miał kilka żyć. Ale w końcu wszystkie dobiegły końca.

Przy stole zjawił się przedstawiciel nowej grupy kelnerów, marzących o karierze aktorskiej. Wyrecytował nam listę specjalności dnia, które sądząc po wymienianych przez niego cenach musiały przylecieć tego ranka samolotem Concorde. Potem oboje pograżyliśmy się we własnych myślach. Zawsze czułem się nieswojo zamawiając w jej obecności drinka, ale ona zapewniała mnie wielokrotnie, że nie ma to dla niej znaczenia, a ja wierzyłem. Nie

chodziło zresztą o to, żeby nie narażać Prune na pokusę; po prostu czułem, że sam powinieniem pójść w jej ślady.

Jeszcze nie teraz, myślałem zawsze. Jest jeszcze mnóstwo czasu. Kiedy byłem młodym chłopcem - kiedy poznałem Tracy i Harry'ego - wydawało mi się, że czasu jest zbyt mało. Tyle było do zrobienia, tyle do obejrzenia, tyle krajów, które należało odwiedzić... Myślałem, że nawet pracując na pełnych obrotach przez resztę życia nie zdołam zrobić wszystkiego, co należy. Teraz moje dni, choć nie nieszczęśliwe, ciągnęły się w nieskończoność.

- Czy miałbyś ochotę na drinka, Ben? - spytała Prune, kiedy kelner przestał gadać.

- Owszem - przyznałem. - Jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Prune zaczerwieniła się lekko, jakbym ją o coś oskarżył. Zamówiła wodę Perrier, a ja swój pierwszy tego wieczora koktajl martini. Kelner odszedł. Miałem właśnie przeprosić Prune za okazaną przed chwilą bezmyślność, kiedy powiedziała:

- A więc Harry poszukiwał swej dawnej miłości.

- W pewnym sensie odnalazł ją przypadkiem - oznajmiłem. Potem opowiedziałem jej całą historię Harry'ego i Tracy Egan. Wspomniałem o spotkaniu w Waszyngtonie i ujawniłem wszystko, co wiedziałem na temat jego ślubu z tą dziewczyną.

- Duchy - powiedziała, kiedy skończyłem. - Wszystkich nas prześladują, prawda?

- Ale nie wszystkie wracają w postaci ludzkiej - dodałem.

- Nie - przyznała Prune, patrząc na blat stołu. - Chyba mamy pod tym względem szczęście, prawda?

Abstynencja zapewniła Prune nowe życie, spokój i w pewnym stopniu szczęście. Przyniosła jednak z sobą niedobre wspomnienia, które zdawały się jej stale towarzyszyć. Nie wspominała mi nigdy o swych wątpliwościach; być może rozmawiała o nich z ludźmi, którzy toczyli i wygrywali te same bitwy. Czasem, kiedy przychodziłem do niej na kolację, widziałem, jak pogrążona w myślach patrzy w przestrzeń. W jej oczach malował się wtedy smutek, mający swe źródło w zapamiętanej przeszłości.

- Pieniądze i miłość... - westchnęła. - Do czego się dla nich posuwamy.

- Praca i związki międzyludzkie - powiedziałem sącąc z poczuciem winy swoje martini. - Tak nazywają to psychiatrzy.

- Pieniądze i miłość - powtórzyła. - Czasem...

- Czasem? - przynagliłem ją. Martini było wyborne. Któregoś dnia zamierzałem pójść za przykładem Prune na jedno z tych zebrań, ale w tym momencie chciałem odwlec tę chwilę w nieskończoność.

- Czasem człowiek myśli, że powinno być coś jeszcze. Coś... coś ważnego.

- Pieniądze i miłość wydają mi się wystarczająco ważne - powiedziałem. Potem, obserwując dziewczynę, która nadal słuchała wywodów Perettiego, dodałem: - Jeśli się z nich odpowiednio korzysta.

- Ale to są tylko... rzeczy osobiste - ciągnęła Prune, odrywając oczy od mojej twarzy i zaglądając w otchłań własnej pamięci. - Czasem myślę, że na tym polega błąd, który wszyscy popełniamy. Jesteśmy zbyt samolubni. Chodzi nam tylko... o nas. Może żeby być szczęśliwym, trzeba kochać w jakiś inny sposób, nie tylko dla siebie samego.

Usiłowała się uporać z wyrzutami sumienia.

- Obsesja - powiedziałem. - Harry Boetchner miał obsesję.

- Owszem - przyznała, znów rozchylając liście palmy i zerkając w kierunku sali restauracyjnej. Peretti siedział wychylony do przodu, nadal pouczając dziewczynę. - Zazdroszczę mu tego.

- Harry nie żyje - przypomniałem jej.

- Tak, ta obsesja go zabiła. Ale dopóki ją miał... jak on musiał się czuć! - Usłyszałem w jej głosie żal z powodu straconych lat. - Jak on ją musiał kochać... - dodała.

Zanim zdążyłem spytać, czy ma na myśli Tracy Egan, czy tę dziewczynę, Peretti odsunął gwałtownie swe krzesło, które zazgrzytało na ceglanej podłodze, przyciągając moją uwagę. Wstał, powiedział jeszcze kilka słów i wyszedł. Gdy zniknął, dziewczyna zamknęła oczy. Siedziała z zaciśniętymi na blacie dłońmi i wydawała się pogrążona w modlitwie. Nadszedł kelner z rachunkiem. A więc za kolację nie płaciły władze stanu ani podatnicy. Zastanawiałem się, czy dziewczyna go zaprosiła, czy też po prostu wyszedł nie płacąc? Szybko podpisała rachunek i zarzuciła na zielony, kaszmirowy sweterek lekką, zamszową kurtkę. Oprócz nich miała na sobie beżowe sportowe spodnie i nowe buty firmy Susan Bennis. Potem, spiesząc się tak bardzo, jakby miała za chwilę wybuchnąć płaczem, przeszła między stolikami do wyjścia.

- Tyle nieszczęścia - powiedziała Prune, która również obserwowała tę scenę. - Tyle jest na świecie niepotrzebnego nieszczęścia. Wyrządzamy sobie tyle krzywd.

Ośmielony koktajlem, który zaczynał uderzać mi do głowy, spytałem:

- Prune, wyobraźmy sobie, że musiałybyś przejść to wszystko jeszcze raz; czy kierowałabyś się sercem czy rozumem?

- W takich sprawach nie mamy wyboru, Ben - odparła potrząsając głową. - Nauczyłam się już tego. Należymy do ludzi takiego czy innego gatunku, jak zebry i gazy, i jesteśmy skazani na życie w taki lub inny sposób. - Unikała jasnej odpowiedzi na moje pytanie. Wiedziałem, że do wczesnego zamążpójścia zmusiła ją rodzina. Zastanawiałem się, czy kiedykolwiek naprawdę kogoś kochała i straciła go, ale nie miałem jeszcze odwagi o to spytać. Skończyliśmy posiłek, rozmawiając o sprawach rodzinnych i o gazecie.

Kiedy odprowadzałem ją do samochodu, który zostawiła na parkingu przed kościołem, odwróciła się do mnie i powiedziała z pasją:

- Wszyscy kochamy niewłaściwych ludzi, Ben.

Księżyc w pełni wisiał nad okaleczoną wieżą kościoła tak nisko, jakby wynurzył się z jej wnętrza. Jasna, srebrna poświata wyglądała jak dziura w ciemnym niebie, otoczona rojem drobnych łez, czyli gwiazd.

- Nie możesz wybierać tych, których kochasz - powiedziała Prune i ścisnęła mnie za ramię, jakby chcąc upewnić się, że rozumiem, co próbuje mi powiedzieć. - Daffy usiłuje wybierać tych, których kocha. To się nie sprawdza. Wynikają z tego tylko różne rodzaje samotności. Zazdroszczę panu Boetchnerowi.

Może mówiła o sobie, może o mojej przeszłości, może naprawdę o Harrym. Nie potrafiłem nic jej odpowiedzieć. Pochyliłem się i pocałowałem ją delikatnie w policzek.

- Dobranoc, Prune - szepnąłem.

- Dobranoc, kochanie - odparła. W drodze do samochodu odwróciła się do mnie i dodała: - Zobaczysz; okaże się, że chodziło o miłość i pieniądze.

Kiedy odjechała, stałem przez chwilę samotnie na parkingu, w cieniu okaleczonego kościoła. I wiarę, pomyślałem nagle. O miłość, pieniądze i wiarę. Oboje to pominęliśmy. Życie może toczyć się wokół miłości i pieniędzy, czy też pracy i związków międzyludzkich, ale bez pewnego rodzaju busoli żadna z tych rzeczy nie ma sensu. Oczywiście, myślałem obserwując księżyc, który przemieszczał się już znad kościelnej wieży, można czcić idee, Boga, pieniądze, czy nawet - jak Harry - kobietę.

Żałowałem, że Prune już odjechała. Wiedziałem, co ma na myśli mówiąc, że zazdrości Harry'emu. Nie zazdrościmy nikomu bólu, czy nawet zwycięstw i klęsk. Ale możemy zazdrościć komuś celu jego życia.

Poczułem nagle, jak wiele straciłem. Chciałem, by Harry Boetchner wrócił. Czuję się tak, jakby obrabowano mnie z tysiąca poglądów, które mógł mi przekazać. Zacząłem go doceniać, ale jak często bywa, nastąpiło to dopiero po jego śmierci.

Nie chciałem wracać do mojego mieszkania na poddaszu. Postanowiłem wypić jeszcze jednego drinka, albo nawet poszukać Kaleba w barze Whale's Tale. Jeśli jego żona wystarczająco mu dokuczyła, mógł wyjść z domu udając, że ma coś do załatwienia na posterunku. Zostawiłem samochód tam, gdzie stał i przeszedłem obok Hotelu Federalnego, w którym panował chyba jeszcze większy zgiełk niż przed pół godziną. Nie mogłem się zmusić do wejścia i stania przy barze w gromadzie karierowiczów. Ale kiedy dotarłem do Whale's Tale, również nie mogłem się zmusić do przekroczenia progu. Dotarłem więc do końca ulicy, do miejsca, z którego odpływają dwukrotnie w ciągu dnia promy na Fisher Island. Na lewo znajdowała się przystań promu, na prawo - port jachtów. Szedłem wzdłuż drewnianego mola, patrząc na lśniące w blasku księżyca morze. W powietrzu unosiła się srebrna poświata. Maszty jachtów, popychanych przez fale przypływu, wykonywały nieskoordynowany taniec. Wanty dzwoniły jak japońskie dzwoneczki poruszane przez wiatr.

Na końcu mola dostrzegłem jakąś postać. Stała pochylona, zapatrzona w wodę, jakby coś do niej upuściła. Chciałem zawrócić, ale w zarysie jej ramion dostrzegłem coś, co skłoniło mnie do podejścia bliżej. Stałem o krok od niej i oparłem się o barierę. Zaczynałem jej trochę współczuć.

- Wszystko w porządku? - spytałem. Nie patrząc na mnie, kiwnęła potakująco głową.

- Wie pan co, to wszystko jest śmieszne - powiedziała.

Poczułem gwałtowny przypływ gniewu. Miałem ochotę ją uderzyć. Nie odezwałem się.

Spojrzała na mnie i znów dostrzegłem jej podobieństwo do matki. Ale w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin wyraźnie się postarzała. W świetle księżyca nie wyglądała jak dziewczyna. Wyglądała jak kobieta. Kobieta, jaką musiała stać się Tracy, gdy opuściła przed wielu laty to miasto.

- Wie pani, on był zrujnowany - powiedziałem w końcu. I nie ukrywając goryczy, ciągnąłem dalej: - A więc nic pani nie straciła, prawda?

Nawet nie drgnęła.

- Tu nie chodziło tylko o pieniądze - odparła.

Moje napięcie nagle minęło. Odwróciłem się od niej i spojrzałem w kierunku miasta. Księżyc oddalił się jeszcze bardziej od kościelnej wieży i oświetlał teraz całą okolicę.

- To dziwne - powiedziałem ze znużeniem, słysząc w swym głosie sceptycyzm. - Gdziekolwiek spojrzę, widzę pieniądze. Oto co widzę.

- Może dlatego, że spodziewa się pan je zobaczyć - powiedziała oskarżycielskim tonem. - Może to właśnie chce pan widzieć.

Teraz, kiedy na nią nie patrzyłem, mógłbym przysiąc, że mówi do mnie Tracy. Tak podobny był ten głos, docierający do mnie w wieczornym mroku.

- A czego powinienem szukać? - spytałem patrząc, jak księżyc tłumi światło najbliższych położonych gwiazd. Księżyc jest pospolitą planetą - zbyt jasną i zbyt banalną. Ale kiedy znajduje się na niebie, najpiękniejsze gwiazdy stanowią tylko dekoracyjne tło dla jego pulsującej energii.

Obserwowałem wierzchołki masztów, które kiwały się w tę i z powrotem jak drzewce flag. Jakiś samochód, prowadzony przez młodego człowieka, przemknął z rykiem po odległej uliczce.

Kiedy na nią spojrzałem, dostrzegłem, że jej oczy lśnią od łez.

- Wszystkie miłosne historie nie muszą wyglądać tak samo - wykrztusiła. Miała zaciśnięte palce, tak samo jak w restauracji. Opuściła głowę i łzy zaczęły kapać na jej dłonie.

- Można kogoś kochać tylko dlatego, że on kocha ciebie.

Otoczyły mnie wspomnienia z przeszłości. Przeszłości Harry'ego, przeszłości Tracy, mojej własnej przeszłości. Kiedy dziewczyna drgnęła, odruchowo wyciągnąłem ramiona, a

ona przytuliła się do mojej piersi. Czuję jej drzenie. I czuję reakcję swego ciała. Nie był to ból. Trzymałem ją mocno, a ona po chwili podniosła na mnie wzrok i ujrzałem jej lśniące jeszcze od łez oczy. Bez chwili zastanowienia zdradziłem Harry'ego po raz drugi; pochyliłem się i dotknąłem wargami jej ust.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Obudziło mnie dudnienie własnego serca. W ciągu ułamka sekundy, gdzieś między snem a jawą, poczułem, że coś jest inaczej. W pokoju panowała ciemność. Ale zapach jej perfum był na prześcieradle, na poduszce, w powietrzu. Przez chwilę śniłem o koniach, o krwi, o oczach spoglądających na mnie z kabrioletów, które przejeżdżały po bezkresnej, zalanej letnim słońcem ulicy. Potem dziewczyna drgnęła i przytuliła się do mnie jak dziecko. Mruknęła coś przez sen, a później chwyciła mnie za rękę i położyła ją na swoim ramieniu.

Moje ciało obudziło się natychmiast, a wszystkie zmysły zaczęły drgać. Jej długie, gładkie plecy przylegały do mojej klatki piersiowej. Okrągłe biodra przyciśnięte były do mojego podbrzusza, a jej nogi, dotykające moich, były gładkie jak nogi dziecka.

Okazała się wspaniałą kochanką. Staliśmy na molo, wtuleni w siebie w pocałunku, przez dłuższą chwilę. Kiedy powiał wiatr znad morza, maszty jachtów zaczęły klekotać, jakby wyśmiewając się z nas. Dziewczyna spojrzała na mnie i powiedziała:

- Zabierz mnie stąd.
- Dokąd? - spytałem.
- Dokądkolwiek.

Patrząc na jej uniesioną twarz wyobraziłem sobie, jak wyglądała kiedyś w moich ramionach jej matka. Podobieństwo sytuacji sprawiło, że miałem wrażenie, iż znowu jestem w tej stajni, a Tracy mówi do mnie:

- Pokochaj się ze mną, Ben. Pokochaj się ze mną.

Niezależnie od tego, jakie figle płatał mi umysł, ciało pragnęło tej dziewczyny. Obejmując ją mocniej, odepchnąłem od siebie wszystkie myśli o przeszłości.

- Mieszkam niedaleko - powiedziałem.
- Więc chodźmy do ciebie.
- Moglibyśmy pójść do hotelu - zaproponowałem myśląc o norze, w której mieszkalem.

Gorączkowo potrząsnęła głową i po raz drugi poczułem lęk, że ją stracę.

- Nie, nie do hotelu - powiedziała. - Nie chcę iść do hotelu. Tam jest on.

Domyślałem się, że ma na myśli Peretti'ego. Ale czułem się teraz jak nastolatek; obawiałem się, że jeśli zrobię niewłaściwy ruch, ona zmieni zdanie, odejdzie i zostawi mnie na tym molo, trawionego pożądaniem.

- Więc chodźmy do mnie - powiedziałem otaczając ją opiekuńczo ramieniem, znów jak nastolatek, by nie dać jej okazji do zmiany zdania. - Nie jest tam zbyt wytwornie.

- Wystarczy - zapewniła mnie. Przeszliśmy całą ulicę, nie zaglądając na wszelki wypadek w okna Hotelu Federalnego. Kiedy dotarliśmy do sklepu, zacząłem majstrować przy zamku, a ona stała obok mnie nieruchomo i cierpliwie, jak jej matka. Wcale nie była zdenerwowana. Gdy weszliśmy na górę, pchnąłem drzwi prowadzące do mojego mieszkania i zacząłem się tłumaczyć.

- Przepraszam - powiedziałem - ale nieczęsto...

Dziewczyna nie patrzyła na pokój; zaczęła już się rozbierać.

- To nie ma znaczenia, Ben - szepnęła. - To nie ma znaczenia. - Zdjęła już kurtkę i buty, a teraz zmagiała się z zamkiem beżowych spodni.

- Nie obchodzi mnie ten pokój - dodała.

Patrząc, jak się rozbiera w mrocznym, wpadającym przez okna świetle, miałem wrażenie, że jestem przykuty do swego miejsca. Zdjęła kaszmirowy sweterek, pochyliła się, by odpiąć biustonosz, odłożyła go i zsunęła majtki. Potem, całkiem naga, odwróciła się do mnie i powiedziała:

- Pospiesz się, Ben. Proszę cię, pospiesz się. Patrzyłem na nią, kiedy przechodziła przez pokój.

Miała, podobnie jak jej matka, wspaniałą figurę, a jej ciało było jędrne i delikatne. Przypominając sobie, że moje własne ciało rozrastało się w ciągu minionych lat we wszystkich możliwych kierunkach, miałem ochotę uciec. Podeszedłem do okna i zasunąłem kotary tak szczelnie, jak było to możliwe, a potem zacząłem się rozbierać, czując nagle zdenerwowanie. Złożyłem ubranie na krzesło jak dobrze wychowany chłopczyk i zbliżyłem się do łóżka.

Leżała na plecach wśród moich pomiętych prześcieradeł niczym różowa odaliska.

- Chodź do mnie, Ben, chodź do mnie - powiedziała wyciągając ręce, a kiedy padłem na łóżko obok niej, objęła mnie mocno i przycisnęła do siebie. - Pokochaj się ze mną - szepnęła mi do ucha, a ja usłyszałem echo głosu innej kobiety, która mówiła tak do mnie przed wielu laty: „Proszę cię, pokochaj się ze mną.”

Kochaliśmy się namiętnie i egoistycznie. Jak się przekonałem, należała do kobiet, które potrzebują miłości. Wyglądała i zachowywała się jak bryła lodu. Ale ta bryła lodu, leżąc nago w moim łóżku, okazała się pobudliwą kobietą, gorączkowo poruszającą biodrami i drapiącą mnie po plecach.

Kiedy skończyliśmy, przewróciła się na bok i patrzyła na niewyraźny zarys okna, widoczny na tle ciemnej ściany.

- Wiem, co o mnie musisz myśleć - szepnęła.

- Nie, nie wiesz - odparłem.

- Myślisz, że jestem dziwką.

- Jestem za stary, żeby wydawać tego rodzaju sądy.

Odwrociła głowę na poduszce i spojrzała na mnie z odległości kilkunastu centymetrów.

- Byłeś przyjacielem Harry'ego - powiedziała.

- Taak... - Zawahałem się. - Chyba byłem.

- A teraz już nie jesteś?

- Nie sądzę, żebym znał Harry'ego bardzo dobrze.

- Czy to cokolwiek ułatwia?

Pod wpływem impulsu, mającego swe źródło w poczuciu winy, wybuchnąłem:

- Co z tobą jest? Czy zależy ci na tym, żeby nikt cię nie lubił?

Milczała przez sekundę lub dwie, a potem spytała:

- Czy ty mnie nie lubisz?

- Nie - odparłem. - Chyba nie.

Nie odpowiedziała nic, tylko odwróciła głowę i znów zaczęła się wpatrywać w jasny czworobok okna.

- Mogę to zrozumieć - stwierdziła w końcu, jakbyśmy rozmawiali o jakiejś kwestii teoretycznej.

Widziałem jej bujne piersi i dzielącą je wklęsłość, a dalej jej płaski brzuch i ciemne miejsce pod nim. Poruszyła nogami i rozwarła je nieco, jakby wiedziała, że patrzę właśnie w to miejsce, ale nie odwróciła się do mnie.

Znów jej pragnąłem. Pragnąłem jej tak jak nikogo w życiu, łącznie z jej matką. Wysunąłem rękę, dotknąłem jej uda i usłyszałem, że wydaje krótkie, triumfalne westchnienie. Odwróciła się leniwie, spojrzała na mnie z uśmiechem i spytała:

- Czy nie lubisz mnie choć troszkę, Ben?

Słowa nie mogły mi pomóc. Chwyciłem ją za ramiona i przyciągnąłem do siebie, a potem pochylilem głowę, by ją pocałować. Przesunęła lekko językiem po moich wargach. Wcisnąłem się między jej uda i wziąłem ją brutalnie. Natychmiast zaczęliśmy się poruszać we wspólnym rytmie, jakbyśmy byli z sobą sprzężeni. Nigdy nie kochałem się w taki sposób z żadną kobietą. Nigdy. Czułem się tak, jakby pokazywano mi nową krainę, ukrytą w dobrze mi znanym krajobrazie. Teraz, za drugim razem, była bardziej śmiała, bardziej czuła, powolniejsza, a gdy po raz drugi osiągnęliśmy szczyt, zrobiliśmy to równocześnie. Kiedy wstrząsnął nami ostatni dreszcz pożądania, nasze ciała zdawały się stanowić jedną całość, a usta były nierozdzielnie z sobą złączone.

Przewróciła się na bok, spojrzała na mnie błyszczącymi oczami, a potem natychmiast, jak dziecko, zapadła w sen. Leżałem przez godzinę, nie mogąc zasnąć. Myślałem o Harrym i tym, jak dziwnie ułożyło się życie wszystkich osób tego dramatu. Przypominająca dziecko żona Harry'ego. Zerknąłem na widoczny pod prześcieradłem zarys jej kształtów, ale trudno

mi było myśleć o niej jako o dziecku. O drugiej w nocy usłyszałem odjeżdżające sprzed Hotelu Federalnego samochody. Słyszałem pijaków z Whale's Tale, którzy przed powrotem do swych legowisk snuli się po ulicy. Myślałem o Kalebie, spędzającym tę noc ze swoją żoną, i o barmance Lucille. Doszedłem do wniosku, że nic nie jest proste. Goście Hotelu Federalnego byli przekonani, że stali mieszkańcy miasteczka wiodą spokojne, normalne życie. Życie prowincjuszy. Mylili się. Życie tych prowincjuszy było równie zawile i dramatyczne jak wszystkie scenariusze, które mogli wymyślić stojący przy barze Hotelu Federalnego sprzedawcy snów reprezentujący film, agencje reklamowe czy wydawnictwa.

A niektórym z nich, myślałem, kiedy miasto za oknami zamarło w cichym bezruchu, udało się żyć w obu światach. Do takich ludzi należał Harry Boetchner. Przez chwilę próbowałem sobie wyobrazić, jak musiało wyglądać jego życie na pograniczu tych dwóch światów, ale zabrakło mi pomysowości. Widziałem tylko Harry'ego, który stał na deszczu obok klubowej stajni, w sportowych spodniach, koszuli z firmy Brooks Brothers i drogich mokasynach, pytając:

- Czyż nie jest to najpiękniejsze stworzenie, jakie w życiu widziałeś?

Najpiękniejsze stworzenie, jakie widziałem w życiu, leżało teraz przy mnie w moim łóżku. Nawet kiedy spałem, moje ciało nadal za nią tęskniło. Nie czułem się tak już od lat. Objąłem ją, a ona instynktownie przylgnęła do mnie. Leżałem bezsennie jeszcze przez godzinę, mając nadzieję, że się obudzi, ale w końcu wyczerpanie wzięło górę i zapadłem w sen.

Kiedy się obudziłem, sypialnia skąpana była w słońcu. Leżałem na plecach, wiedząc, że poprzedniego dnia wydarzyło się coś niezwykłego. W otępieniu przyglądałem się musze tańczącej w smugach światła padającego od odsłoniętego okna.

- Cześć - powiedziała dziewczyna.

Nagle wszystko do mnie wróciło. Zapach jej perfum na prześcieradle, wspólnie spędzona noc. Stała przy łóżku w koszuli, którą zdjąłem z siebie poprzedniego wieczora.

- Zrobiłam kawę - oznajmiła.

Nie mogłem wydobyć słowa. Poruszała się zręcznie po pokoju, robiąc miejsce na stoliku nocnym, jak gdyby często odwiedzała moją sypialnię. Moje pożądanie wróciło, ale towarzyszyło mu uczucie lęku. Postawiła obok mnie filiżankę z kawą. Miała wspaniały aromat. Po raz pierwszy od dawna obudziłem się w tym pokoju, by przeżyć normalny poranek.

Usiadła na krawędzi łóżka, uciskając lekko materac, więc moja noga otarła się o jej udo. Potem, patrząc na mnie swymi szarymi oczami, spytała:

- Wstydzisz się?

- Nie powinniśmy byli tego robić - powiedziałem Nie miałem pojęcia, skąd pochodziły te słowa.

Patrzyła na mnie przez dłuższą chwilę. Przez jej szare oczy przemknął jakiś przelotny cień, przypominający pływającego w bystrym strumieniu pstrąga. Położyła dłoń na mojej nagiej piersi, na której zebrała się już cienka warstewka potu. W pokoju panował upał.

- Miałam wrażenie, że jesteś zadowolony.

- Byłem zadowolony z wielu rzeczy, które nie wyszły mi na dobre.

- Jeśli sprawiały ci przyjemność - powiedziała odwracając się profilem do światła - to nie mogły ci zbytnio zaszkodzić. Przyjemności są zdrowe.

- Nie zawsze - stwierdziłem szorstko. Wysunąłem się spod jej dłoni, która opadła na prześcieradło. Usiadłem patrząc na nią jak na wroga. - To, co zrobiliśmy Harry'emu ubiegłej nocy, nie było uczciwe. Przecież nie został jeszcze nawet pochowany.

Pochyliła lekko głowę, gestem swojej matki.

- Harry nie ma już nic przeciwko temu - powiedziała łagodnym tonem. Potem znów spojrzała na mnie przewrotnie. - Harry mógłby nawet to popierać. Chciał, żebym była szczęśliwa.

Sięgnąłem po filiżankę i zacząłem pić kawę, przyglądając się dziewczynie i snując różne rozważania. Koszula nie była dopięta i widziałem pod nią jej piersi. Miałem ochotę wyciągnąć ręce, chwycić ją w ramiona, odpiąć jeszcze raz te ostatnie guziki i przesunąć dłonią po jej gładkim, różowym ciele.

- Wiedziałaś, że jest zrujnowany, prawda?

Patrzyła na mnie jeszcze przez chwilę bez słowa.

- Harry chciał, żebym była bezpieczna - odparła w końcu wymijająco.

Mogłem to zrozumieć. Nie lubiłem jej, ale też gotów byłbym dać się nakłonić do zapewnienia jej bezpieczeństwa. Była tak błyskotliwie żywotna, że narażanie jej na zwykłe, ludzkie lęki wydawało się aktem niesprawiedliwości.

- Miał zamiar uciec, prawda?

Kiwnęła głową, jakbyśmy rozmawiali o taktyce futbolu.

- Tak - odparła.

Wypiłem jeszcze trochę kawy, coraz dotkliwiej odczuwając panujący w pokoju upał. Miałem też jakieś inne odczucie, z którego zdałem sobie sprawę dopiero po chwili. Mimo obecności dziewczyny i wyrzutów sumienia, poranek po raz pierwszy od niepamiętnych czasów wydawał mi się przyjemny. Odkryłem, że cieszy mnie blask słońca. Chyba odgadła, co myślę, bo wstała, pokazując w rozcięciu koszuli swe zgrabne nogi, podeszła do okna i odsunęła do końca zasłony, by wpuścić do pokoju jeszcze więcej światła, a potem otworzyła okno. Usłyszałem miarowy szum przejeżdżających główną ulicą samochodów. Odwróciła się w moją stronę, a ja zobaczyłem zarys jej sylwetki na tle światła.

- Całkiem nowe życie. Tego chciał dla nas Harry. Dlatego właśnie... zwlekaliśmy z pójściem do łóżka - powiedziała z namysłem. Jak liczne zmysłowe kobiety miała chyba wolną przemianę materii, bo jej ruchy były omdlewające, niemal senne.

Westchnąłem. W końcu odzyskałem jasność myślenia.

- Nowe życie... - powtórzyłem. - To brzmi atrakcyjnie. Mnie też przydałoby się całkiem nowe życie.

Nie była to zaczepka, ale ona odwróciła się nieco, tak, że dojrzałem pod tkaniną zarys jej piersi, brzucha i ud. Odpięła jeszcze jeden guzik i zaczęła się wachlować połą koszuli.

- Nie zachowuj się jak wamp - powiedziałem.

- Co to znaczy: nie zachowuj się jak wamp? - spytała z uśmiechem.

- Nie prowokuj mnie.

W jej szarych oczach odbijała się inteligencja, ale i okrucieństwo. Odpięła ostatnie guziki, rozchyliła koszulę i spytała:

- Tak?

- Co ci jest?

- Chyba po prostu jestem wariatką. - Zapięła jeden guzik koszuli, rozejrzała się i spytała: - Zawsze tak mieszkałeś?

- Nie zawsze - odparłem. Potem, sam nie wiem dlaczego, postanowiłem udzielić jej jeszcze jednej informacji, która wydała mi się istotna. - Byłem kiedyś bogaty.

- I co się stało?

- Wydałem wszystko, co miałem.

- Kiepski pomysł - powiedziała.

Piłem w milczeniu kawę, a ona chodziła w nie dopiętej koszuli po pokoju. Poukładała swoje części garderoby, które ubiegłej nocy porzuciła w pośpiechu po podłodze. Uporządkowała moje biurko, podnosząc i oglądając niektóre znajdujące się na nim przedmioty. Obrzuciła mnie przelotnym spojrzeniem, odkładając na bok mój zegarek marki Rolex - jeden z ostatnich relikwów dawnej epoki. Potem wzięła do ręki brelok do kluczy z firmy Tiffany, który dostałem od Prune na ostatnie urodziny. Obejrzała go i przeczytała wygrawerowaną na nim dedykację.

- Co to jest? - spytała, a ja poczułem satysfakcję, słysząc w jej głosie cień zazdrości.

- Prezent od wielbicielki.

- „Dla łaciatego psa od drugiego łaciatego psa” - przeczytała na głos ze zdziwieniem.

- To cytat - wyjaśniłem jej. - Podobno Diana Vreeland powiedziała kiedyś: „Jeśli szukasz łaciatych psów, łaciate psy znajdą ciebie”.

- Ach - powiedziała i odłożyła brelok na biurko. Czekałem, czy zapyta, kto jest tym drugim łaciatym psem, ale sprawa ta przestała ją już interesować. Pamiętałem chwilę, w której Prune ofiarowała mi niebieskie pudełeczko przewiązane białą wstążką, mówiąc: „Nie

jest to wiele, kochanie, ale życzę ci wszystkiego najlepszego." Kiedy je otworzyłem i przeczytałem inskrypcję, nie mogłem powstrzymać się od śmiechu. Prune i ja żartowaliśmy od lat z tego, że jesteśmy w tej rodzinie wyrzutkami. Wiedzieliśmy, że zdaniem jej córki i członków mojej rodziny oboje zasługujemy na spadające na nas kłopoty. Było w tym chyba nieco prawdy, ale ani ona, ani ja, nie mogliśmy nic na to poradzić. Na breloku wisiały kluczyki od Austina Healeya. To był prawdziwy prezent, ale Prune, z typową dla siebie szlachetnością, wołała udawać, że daje mi złoty brelok do kluczy, a nie kosztowny samochód.

- Musiałeś wieść przyjemne życie jako człowiek bogaty - powiedziała dziewczyna marzycielskim tonem.

- Czy ty nie byłaś bogata?

- Nie tak bogata, jak miałam być z Harrym.

- Co teraz zrobisz? - spytałem wypijając ostatnie krople kawy i odstawiając kubek na nocny stolik. Moje ciało reagowało już na brak kaca, na światło słoneczne, na zaskakująco głęboki sen; czułem się jak naelektryzowany. Mógłbym wyskoczyć z łóżka, posiąść tę dziewczynę na dywanie, wziąć prysznic, pobiegać, podbić świat.

Nadal była odwrócona do mnie tyłem, ale wzruszyła lekko ramionami.

- Nie wiem - odparła. - Chyba zacznę od nowa. Nie mogłem się powstrzymać.

Wybuchnąłem śmiechem.

Spojrzała na mnie przez ramię.

- Harry nigdy się ze mnie nie wyśmiewał. Harry traktował mnie poważnie.

Chyba istotnie tak było. Kiedy ujrzał ją po raz pierwszy, musiał uwierzyć w swe przeznaczenie. Wszystko, co mówiła jego bogini, miało dla niego swoją wagę.

- Harry był w tobie zakochany. Ja nie jestem.

Nie odpowiedziała. Ale odwróciła się i spytała:

- Czy chcesz jeszcze trochę kawy?

- Owszem, chętnie - odparłem. - Zamierzam wstać i wziąć prysznic.

Stojąc w drzwiach, na tle światła padającego z sąsiedniego pokoju, spytała cicho:

- Czy nie możesz trochę poczekać ze wstawaniem?

Znów rozszalały się we mnie zmysły, ale równocześnie usłyszałem odległy, lecz wyraźny dzwonek ostrzegawczy. Wczorajsza noc była wynikiem poprzedzających ją wydarzeń, kolacji z Prune, drinka i niespodziewanego spotkania na molo. Teraz czułem się tak, jakby mój zamglony dotąd umysł zaczynał funkcjonować nieco sprawniej, i uświadomiłem sobie, że ta dziewczyna może narazić mnie na kłopoty.

Nie było wcale pewne, czy nie wpuściłbym jej z powrotem do łóżka, ale ona też już chyba miała dość tej zabawy w kotka i w myszkę, bo odwróciła się i wyszła z pokoju. Zmusiłem się do myślenia o rzeczach czystych i wzniosłych. Słuchałem dobiegających zza okna głosów dzieci. Myślałem o tym, co będę tego dnia robił: kontynuował dochodzenie w

sprawie śmierci Harry'ego Boetchnera. Pomyślałem o Prune i o tym, co powiedziałyby, gdyby dowiedziała się o wydarzeniach ubiegłej nocy. Uznałyby je za modelowy przykład spotkania dwóch łaciatych psów. Prune i ja wycinaliśmy z gazet wzmianki o dziwnych zbiegach okoliczności. Wysyłaliśmy je sobie z adnotacją: „Łaciate psy”.

Wstałem z łóżka, zanim miałem szansę zmienić zdanie, poszedłem nago do łazienki i stałem pod letnim prysznicem, dopóki znów nie poczułem się czysty. Miałem wrażenie, że nie tylko zmywam z siebie pot, brud i zapach pożądania, ale że zdrapuję z siebie jakąś obcą skórę. Kiedy wyszedłem spod prysznica, kawa czekała już na poplamionym blacie obok zlewu. Wytarłem się i ogoliłem, pragnąc zyskać na czasie. Była to tylko jedna noc, ale moja twarz w lustrze już wyglądała inaczej. Pomyślałem sobie, że choć raz nie patrzę w oblicze wroga, lecz w oblicze dawnego znajomego, który może nawet żywić wobec mnie dobre zamiary.

Kiedy wróciłem do sypialni, zauważyłem, że jej odzież zniknęła. Przeżyłem moment paniki i owinięty tylko ręcznikiem wszedłem do drugiego pokoju. Siedziała na wygniecionej kanapie ze splecionymi na kolanach dłońmi, jak uczennica wezwana do kancelarii dyrektora szkoły. Znów miała na sobie beżowe spodnie i kaszmirowy sweterek. Kiedy pojawiłem się tam, spojrzała na mnie uważnie i powiedziała:

- Nie jesteś aż taki stary.

Część mego optymizmu i dobrego nastroju gwałtownie wyparowała.

- Dziękuję ci bardzo. Właśnie to było mi potrzebne.

- Mógłbyś wyglądać o wiele lepiej, gdybyś trochę schudł.

Zdałem sobie sprawę, że nad ręcznikiem przelewa się kilka centymetrów zbędnego ciała. Niegdyś nie potrzebowałem wcale ćwiczyć, by zachować jako tako zgrabną sylwetkę. Ale wypijana co wieczór ćwiartka alkoholu zmieniała ten stan rzeczy.

- To zresztą w ogóle nie ma znaczenia - dodała patrząc na mnie uważnie. - Starszy mężczyzna wygląda lepiej, kiedy nabierze trochę ciała.

Był to chyba najbardziej dwuznaczny komplement, jaki w życiu usłyszałem. Mówiła mi, że schodzę na psy, ale nie ma to znaczenia, bo i tak się starzeję.

- Czy miałabyś ochotę na śniadanie? - spytałem. Niepewnie zerknęła w stronę wnęki kuchennej. - Nie tutaj. Zaproszę cię do miasta. - Odczuwałem absurdalną chęć pokazania się z nią na forum publicznym. Chciałem przejść z nią po zalanej słońcem głównej ulicy i pysznić się jej towarzystwem.

- Zgoda - odparła. - Możemy zjeść śniadanie w hotelu.

- W hotelu nie podają śniadań - przypomniałem jej. - Serwują je tylko do pokoi.

Wymieniliśmy przeciągłe spojrzenia. Potem stwierdziła:

- Dobrze, więc gdzieś indziej. Ale mam dziś mnóstwo roboty.

Ogarnęła mnie taka sama panika, jaką przeżyłem po wyjściu z łazienki. Nie czułem się w jej towarzystwie swobodnie, ale znów poczułem przyływ pożądania. Dawało mi o tym znać moje ciało, ukryte pod ręcznikiem. Dziewczyna spojrzała na mnie, uśmiechnęła się lekko i powiedziała:

- Lepiej się ubierz, Ben.

Ubrałem się szybko, narzucając na siebie części garderoby jak nastolatek.

Kiedy wróciłem do pokoju, znów zerknęła na mnie przelotnie i na jej twarzy pojawił się tajemniczy uśmiech. Musiałem wyglądać dość głupio; mężczyzna w średnim wieku, próbujący udawać, że znów jest młody. Miałem na sobie te same sportowe spodnie, ale tym razem włożyłem tenisową koszulkę z podniesionym kołnierzykiem, mokasyny bez skarpetek i modny, kolorowy pasek.

- W każdym razie wyglądasz, jakbyś był bogaty - oznajmiła wstając z tego samego miejsca na kanapie, na którym siedziała, kiedy wychodziłem z pokoju.

- To nawyk - odparłem.

- Moja matka powiedziała by, że to kwestia wychowania - oznajmiła podchodząc do mnie, ale nie podnosząc wzroku.

Była to jej pierwsza wzmianka o matce, odkąd opowiedziała mi, jak Harry spotkał jej rodziców w waszyngtońskiej restauracji. Osobowość Tracy zmaterializowała się nagle i wypełniła małe mieszkanie na poddaszu. Zastanawiałem się, czy dziewczyna powie matce o tym, co zdarzyło się tu ubiegłej nocy i co Tracy o tym pomyśli. Potem, zatraskując drzwi i schodząc za dziewczyną po schodach zdałem sobie sprawę, że nie jestem tą samą osobą, jaką byłem przed dwudziestu pięciu laty. A ponieważ Harry także się zmienił, więc można było przyjąć, że zmieniła się również Tracy. Mogłem się założyć, że wychowanie tego dziecka nie było kaszką z mlekiem. Tracy musi mieć kilka swoich własnych opowieści z wojny.

Potem przyszła mi do głowy inna myśl.

- Czy poinformowałaś swoją matkę o śmierci Harry'ego? - spytałem, kiedy wyszliśmy na ulicę.

- Nie - odparła patrząc na mnie przez ramię. - Jeszcze nie.

Wyznanie to już wtedy wydało mi się zdumiewające. Poślubiła człowieka, którego poznała za pośrednictwem rodziców i który przed dwudziestu pięciu laty był przyjacielem jej matki. Nawet jeśli nie wiedziała, jak bliska była ta przyjaźń, nie mogłem pojąć, dlaczego nie zadzwoniła, by donieść im, co się stało.

- Czy nie sądzisz, że powinnaś to zrobić?

Dotarliśmy do głównej ulicy. Chodniki były już pełne turystów i mieszkańców miasteczka, więc trudno mi było iść tuż obok niej.

- Dlaczego? - spytała przekrzykując uliczny zgiełk. - Przecież jest już po wszystkim.

- Nie całkiem.

Wzięła mnie pod rękę, by nas nie rozdzielono, ale chyba również dlatego, że potrzebowała, by ktoś dodał jej otuchy. Fizycznie była kobietą, ale miała w swej skomplikowanej psychice coś z dziecka.

- Ten człowiek myśli, że miałam coś wspólnego z morderstwem - oznajmiła.

- Peretti? - spytałem otwierając drzwi małej, narożnej kawiarni. Wszystkie stoliki były zajęte. Kawiarnię tę otwarto przed rokiem i była wtedy restauracją specjalizującą się w zdrowej żywności. Stopniowo jednak kawa bez kofeiny i ziołowa herbata ustąpiły miejsca solidnym śniadaniom, jakie jadali tu turyści, czytając przy tym nowojorskie gazety zakupione w pobliskim kiosku. Miejscowi trzymali się latem z dala od tej kawiarni, ale dziś rano dostrzegłem tu Rona, zastępcę szeryfa, który siedział sam w kącie sali. Odnotowałem w pamięci spojrzenie, jakim obrzucił mnie i dziewczynę. Nie wydawał się zadowolony. Ale niechętnie uniósł rękę i zaprosił nas do swego stolika.

- Chyba nie masz nic przeciw temu, żeby siedzieć z przedstawicielem władzy - powiedziałem do niej. - Tym bardziej, że jest to zapewne jedyny stolik, na jaki możemy liczyć.

Spojrzała na morze kosztownych fryzur, zastanawiając się nad czymś.

- Dobrze - odparła w końcu cicho.

- On jest niegroźny - tłumaczyłem prowadząc ją między stolikami. - Dostał tę posadę tylko dlatego, że jego wuj jest szeryfem.

- Zawsze tak jest, prawda? - spytała cicho.

- Taka po prostu jest ludzka natura.

Ron wstał, kiedy podeszliśmy do jego stolika.

- Dzień dobry - powiedział z fałszywą życzliwością. Zerknął na dziewczynę z wyrazem twarzy, który od razu rozszyfrowałem - z pożądaniem.

Widziałem, jak obrzuca ją taksującym, a zarazem zachłannym spojrzeniem. Nie mógł przecież uważać starzejącego się, tęgawego alkoholika za poważnego konkurenta. Kiedy zgarniał na czoło swe ciemne włosy, widać było, że jest to starannie wystudiowany gest.

- Dzień dobry, pani Boetchner.

W jego głosie był tylko cień poufałości, ale dziewczyna natychmiast go wykryła. Spojrzała na niego chłodno i siadła przy stoliku.

- Dzień dobry - odparła, ale jej oczy przypominały bryły lodu. Jeśli miał nadzieję, że powitanie jest wstępem do poufalej rozmowy, w czasie której uda mu się poczynić jakieś awanse, to otrzymał wyraźny sygnał, że ma się trzymać na dystans.

- Czy Kaleb ma już jakąś teorię na temat tego intruza? - spytałem.

- Nie - odpowiedział, nadal nie patrząc na mnie i bacznie obserwując dziewczynę.

Podeszła młoda, zatrudniona na lato kelnerka. Widząc spojrzenie, jakim obrzuciła Rona, doszedłem do wniosku, że musi on uchodzić za miejscowego Don Juana. Ron zignorował ją.

- Śniadanie? - spytała.

Wdowa po Harrym potrząsnęła głową.

- Poproszę tylko o kawę - wymamrotała.

- Ja też napiję się jeszcze kawy - dorzucił Ron.

Ja zamówiłem pełne śniadanie, co chyba wszystkich zaskoczyło. Kiedy kelnerka odeszła, a Ron dalej obserwował dziewczynę, jakby mnie tam w ogóle nie było, powiedziałem do niego:

- Kaleb musi mieć jakieś domysły.

- Tak pan uważa, co? Facet włamuje się, przeszukuje dom, kradnie świadectwo ślubu. - Słowa „świadectwo ślubu” wymówił tak sugestywnym tonem, że na szyi dziewczyny pojawił się rumieniec zażenowania. - Musi coś w tym być, no nie?

- A co z sekcją zwłok?

- Protokół jest bardzo interesujący - powiedział z zadowoleniem. W jego oczach zamigotał przez chwilę ognik sadystycznego okrucieństwa. Znowu obserwował twarz dziewczyny. - Stary Harry nie umarł lekką śmiercią - dodał.

Zacząłem przyglądać się Ronowi. Przy naszym stoliku działo się coś dziwnego. Wyraźnie jej dokuczał. Zastanawiałem się, czy jest w niej coś, co prowokowałoby okrucieństwo. Może jej uroda, pomyślałem widząc, jak zastępca szeryfa obserwuje jej włosy i twarz, jak bezwstydnie przenosi wzrok w dół, ogarniając całe jej ciało. Ona po prostu obnosiła się ze swą urodą, demonstrowała ją jak towar przeznaczony na sprzedaż.

- Koroner twierdzi, że uderzono go więcej niż jeden raz - ciągnął Ron. Wyraźnie starał się uzyskać jak największy efekt. Dziewczyna przestała bawić się rękami. Patrzyła w kierunku sali, jakby nie chciała mieć z tym wszystkim nic wspólnego.

- To musiał być ktoś bardzo silny. A może było ich dwóch. O ile obaj byli praworęczni, nie wpłynęłoby to na rodzaj obrażeń, prawda?

- Przestań - poleciłem mu stanowczo. Zignorował mnie.

- Koroner twierdzi, że uderzono go więcej niż sześć razy - ciągnął, nadal usiłując zwrócić na siebie uwagę dziewczyny.

Kelnerka wróciła z kawą. Postawiła ją przed nami. Kiedy dziewczyna podnosiła filiżankę, jej dłoń wcale nie drżała. Panowała już nad sobą. Patrzyła teraz wprost na Rona. Nie odzywała się.

- Oczywiście nie miało to żadnego znaczenia - mówił Ron, nie tykając swojej kawy. - Harry był i tak skończony.

- Jak to? - spytałem.

- Wysiadała mu wątroba.

Harry dużo pił. Miał zwyczaj urzynać się od czasu do czasu w barze albo w klubie. Uważał, że zapewnia mu to opinię równego faceta.

- Człowiek może żyć cholernie długo z chorą wątrobą - powiedziałem.

Ron w końcu raczył na mnie spojrzeć.

- Jasne - powiedział. - Wszyscy wiemy, że będziesz cholernie długo żył, Ben.

Tym razem ja poczerwieniałem z gniewu. Już miałem wybuchnąć, gdy wydarzyło się coś dziwnego. Dziewczyna przesunęła rękę po stole i uchwyciła moją dłoń, jakby chcąc mnie powstrzymać. Kiedy Ron to zobaczył, światło w jego oczach nagle zgasło. Ku mojemu zaskoczeniu teraz on wpadł we wściekłość. Zerwał się gwałtownie, powiedział:

- Do zobaczenia w sądzie - i wyszedł.

Kiedy zniknął za drzwiami, zauważyłem, że w kawiarni zrobiło się bardzo cicho. Widząc, że obserwują nas inni goście, pomyślałem, iż cała historia musiała już dotrzeć do nowojorskich gazet.

- To kabotyn - mruknąłem. - Nie zwracaj na niego uwagi.

Nadal trzymała mnie za rękę. Teraz zacisnęła na niej swe palce.

- Boże, miej nas w opiece, kiedy zostanie szefem policji - dodałem odzyskując spokój.

- Może nim nie zostanie - mruknęła patrząc w kierunku drzwi, za którymi zniknął. -

Ludzie często snują plany, z których nic nie wychodzi.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Ludzie nie zawsze dostają to, czego chcą, powiedziała dziewczyna, gdy Ron wychodził z kawiarni. Myślałem o tym w drodze do redakcji. Odkąd zacząłem rozumieć Harry'ego Boetchnera, zazdrościłem mu właśnie tego, że wiedział, czego chce. Było to dopiero po jego powrocie, kiedy zostaliśmy przyjaciółmi. Przeżywałem wówczas okres chaosu i rezygnacji. Moje życie leżało w gruzach i nie mogłem za to winić nikogo oprócz siebie.

Natomiast Harry, wielki, hałaśliwy, dobroduszny Harry zawsze wiedział, czego chce. Chciał Tracy Egan i stracił ją, ale potem zbudował swoje życie opierając je na nie zrealizowanym marzeniu. Nigdy nie poświęcałem większej uwagi plotkom dotyczącym źródeł fortuny Harry'ego; mówiono o handlu bronią, być może handlu narkotykami, o bezwzględnym wykorzystywaniu rynku nieruchomości. O ile wiem, a jestem w tej dziedzinie ekspertem, żaden Amerykanin nie zbił fortuny w oparciu o szczytne ideały. Kiedy dorastałem, słuchałem rozmów moich rodziców i ich przyjaciół, którzy dyskutowali o tym, jak kto doszedł do pieniędzy. Była to część składowa mojej edukacji. W podręcznikach historii piszą o odkryciu Zachodu, o handlu futrami, dzięki któremu zbili fortunę Astorowie, o kolejach, na których wzbogacili się Harrimanowie, o Rockefellerach, Whitneyach, Vanderbiltach, Fordach i innych ludziach, którzy wykazali się inicjatywą i przedsiębiorczością, realizując amerykańskie marzenie. Ale w naszych sferach, mających łatwiejszy dostęp do prawdy, nikt nie miał iluzji co do źródeł pochodzenia naszych pieniędzy. I nikogo to w gruncie rzeczy nie obchodziło.

Prawda polegała na tym, że czciliśmy pieniądze. Władza była czymś, co przychodziło i odchodziło wraz z pierwszym pokoleniem, ale pieniądze, jeśli się o nie dbało, mogły przechodzić na wybranych członków następnych generacji i stanowić zaporę między nimi a zwykłymi ludźmi. Można było pomnażać swe pieniądze w sposób moralny, ale zasadniczym problemem nie była moralność, lecz pieniądze. Niewolnictwo, handel opium i prohibicja stały się źródłami tak wielu fortun, że nikogo nie obchodziło, skąd Harry wziął pieniądze.

Ale teraz, parkując przed niskim budynkiem mieszczącym redakcję „Clarion”, zacząłem się zastanawiać, czy śmierć Harry'ego była bezpośrednio związana z pieniędzmi. Zostawiłem dziewczynę w hotelu. Szybko minęła hol i pobiegła po schodach na górę, by nie spotkać Perettięgo.

Kiedy wszedłem do redakcji, Magda siedziała już przy biurku. Byłem przygotowany na codzienną kłótnię, Magda tymczasem powiedziała z namysłem:

- Rozmawiałam z Cunninghamem.

Dopiero po chwili przypomniałem sobie, o kogo chodzi.

- Ach, ten list - powiedziałem.

Magda przyglądała mi się przez chwilę z dość dziwnym wyrazem twarzy. W małym miasteczku, nawet takim jak Hampton, gdzie liczba ludności wzrasta w okresie letnim z siedmiu do trzydziestu czy czterdziestu tysięcy, wszystkie wieści rozchodzą się szybko. Ciekaw byłem, czy Magda już wie, że spędziłem noc z główną podejrzaną o zabójstwo Harry'ego.

- Czy powiedział ci coś interesującego? - spytałem.

- Powiedział, że Harry przysłał mu pieniądze.

- Kiedy?

- Przed dwoma miesiącami.

- Dlaczego?

- Nie ma pojęcia. Powiedział, że pisał do Harry'ego kilkakrotnie i dzwonił do niego.

Zdobył zastrzeżony numer, bo jego siostrzenica pracuje w firmie telefonicznej, a potem, zupełnie niespodziewanie, Harry przysłał mu czek na dziesięć tysięcy dolarów.

- Może Harry się bał - powiedziałem. Magda potrząsnęła głową.

- Harry Boetchner nie bał się nikogo - oznajmiła.

- Może czuł się winny?

Tym razem spojrzała na mnie bez słowa.

- Nie, to nie wchodzi w rachubę.

Przez minutę lub dwie siedzieliśmy przy swoich biurkach, rozmyślając o tym dziwnym wydarzeniu.

- Czy mówił coś jeszcze? - spytałem.

- Podobno zapowiedział Harry'emu, że wybierze się tutaj tego lata.

- A więc szantaż - oznajmiłem.

- To stary człowiek - odparła Magda. - Harry nie miałby z nim żadnych kłopotów.

- Musi być jakiś powód. Harry nie miał aż tyle pieniędzy. Pożyczał na hipotekę domu swojej matki. Dlaczego miałby posyłać dziesięć tysięcy dolarów na Florydę, żeby zamknąć usta staremu człowiekowi, który nie mógłby go narazić na żadne kłopoty? Groźba nie musiała dotyczyć przemocy fizycznej - ciągnąłem z namysłem. - Jeśli naprawdę ten cały domek z kart chylił się ku upadkowi, Harry nie chciałby tu żadnych rozrabiaczy.

- Jest wielu ludzi, którzy mają pretensje do Harry'ego. Nie tylko Cunningham - stwierdziła Magda.

- Kim był ten Cunningham?

Magda rozsiadła się wygodniej na krześle. Miała dziś na sobie żółto-czarną wyblakłą koszulę, dzinsy i tenisówki. Wyglądała tak, jakby wybierała się do obory wydoić krowę, a nie do redakcji gazety. Jest tu wielu takich ludzi - ludzi, którzy wyglądają jak wieśniacy. Ale uprawa roli stała się niemal luksusem, więc liczni farmerzy stopniowo przenieśli się do sektora usług, rozwijającego się żywiolowo wokół miejscowości lotniskowych. Kupili małe

sklepiki, otworzyli restauracje, prowadzili warsztaty samochodowe i zaczęli się bogacić na sezonowym handlu. Były to niezdrowe sukcesy, którym towarzyszyło wiele zawiści i małostkowych pretensji. Dostrzegłem to dziś rano na przykładzie Rona. Byłem pewien, że jego arogancja miała swe źródło w kompleksie niższości. Oburzało go to, że istnieje klasa ludzi, którzy w niczym nie są od niego lepsi, a mimo to dopchali się do koryta wcześniej niż on.

Magda jednak była osobą zupełnie innego pokroju. Jej rodzina zamieszkała tu jeszcze przed wojną o niepodległość. Przodkowie Magdy byli drobnymi farmerami, później także oberżystami, a w końcu właścicielami gazety. Wiedziałem, że ma braci, którzy są rybakami w Montauk, choć i ta dziedzina gospodarki powoli wymierała. Członkowie jej rodziny mieli niewielkie ambicje, ale silne poczucie dobra i zła, stepione nieco w wyniku długotrwałych obserwacji ludzi sprawujących władzę. Mieszkańcy miasteczka mieli pełen rezerwy stosunek do świata. Jego najlepszym przejawem były najbardziej udane, uczciwe artykuły wstępne Magdy, najgorszym zaś - niechęć do letnich przybyszów, którzy przywozili z sobą z wielkiego miasta skandale, egoizm i chciwość.

Nie znaczy to, że nie można było znaleźć tych cech na miejscu. Ale jeśli któryś z mieszkańców miasteczka zszedł z normalnej drogi, musiał żyć ze swoją opinią. Albo wyjechać stąd. Każdy człowiek był zbiorem rzeczy, które kiedykolwiek powiedział lub zrobił. Natomiast przybysze stosowali się do amerykańskiej maksymy, w myśl której najlepszym dezodorantem jest sukces. Uważali, że nie jest ważne, co się robi, byle nie dać się na tym przyłapać.

- Ci Cunninghamowie są trochę dziwni - mówiła Magda. - Oddali swoją babkę... Czy słyszałeś o tym?

- Nie - odparłem potrząsając głową.

- Nie było powodu, żebyś słyszał. To nie twoje środowisko. Taaak... Oddali ją do jednego z tych domów... Jakby się zastanowić, to teraz nie wydaje się to aż tak ważne, ale wtedy wszyscy byli wstrząśnięci. Ludzie z tych okolic nie mieli zwyczaju pozbywania się członków własnej rodziny, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Opiekowali się nimi. Może nie tak dobrze, jak powinni, ale w każdym razie trzymali ich w domu. Kaleb próbował tłumaczyć, że stara pani Cunningham była niebezpieczna, ale ja tego nie dostrzegałam... Musiałyby mieć około dziewięćdziesiątki...

- Co miał z tym wspólnego Kaleb?

- Jego matka była z domu Cunningham - odparła Magda. Ludzie miejscowi zawsze byli nieocenionym źródłem tego rodzaju informacji - na tej samej zasadzie, na jakiej członkowie mojej rodziny wiedzieli dokładnie, kto spał z kim w Newport czy Palm Beach na przestrzeni ostatnich trzydziestu lat.

To nadawało listowi Cunninghama pewien interesujący aspekt. Nie przypomniałem sobie, by Kaleb kiedykolwiek wspominał o swym pokrewieństwie z Cunninghamami. Ale po zastanowieniu się doszedłem do wniosku, że Kaleb jest zapewne spokrewniony, w taki czy inny sposób, ze wszystkimi rodzinami mieszkającymi tu od dawna.

Mimo to wstałem i oznajmiłem:

- Pojadę chyba do aresztu i pogadam z Kalebem. Zrobiłem ze dwa kroki, zanim zawołała:

- Ben?

Odwróciłem się i gdybym nie znał jej lepiej, pomyślałbym, że w jej oczach maluje się troska.

- Słyszałam, że Kaleb miał ciężką noc - powiedziała.

- Żona, co?

Ale ludzie miejscowi trzymali swe skandale dla siebie, dokładnie tak samo jak ludzie bogaci. Magda nie odpowiedziała na moje pytanie. Oznajmiła natomiast:

- Ta sprawa budzi we mnie złe przeczucia, Ben.

- We mnie również.

- Może powinniśmy dać temu spokój. - Kołysała się lekko na krześle w przód i w tył, a jej żółto-czarna koszula wyglądała jak modernistyczny obraz, którego autor bazował na złudzeniu optycznym. Widywałem tego rodzaju dzieła sztuki w nowych galeriach, wyrastających jak grzyby po deszczu wśród sklepów z antykami i modnych kawiarni.

- Jesteśmy dziennikarzami - przypomniałem jej.

- Ale może powinniśmy zostawić tę sprawę policji. Roześmiałem się.

- Policja i tak tkwi w niej po uszy.

- To, że ktoś jest z kimś spokrewniony, nie czyni go automatycznie podejrzanym - powiedziała Magda.

- Właśnie więzy rodzinne sprawiły, że podejrzewają tę dziewczynę - odparłem.

Magda spojrzała na mnie przeciągle, a ja miałem wrażenie, że dzieląca nas przepaść, zasypana częściowo poprzedniego dnia, znów się pogłębia.

- To nie ma nic wspólnego z nami - powtórzyła z uporem, a ja wiedziałem, że tym razem ma na myśli mieszkańców miasteczka. - To jest związane z historią Harry'ego Boetchnera.

- Był niegdyś jednym z was.

- To prawda, był.

Czekałem jeszcze przez chwilę, a potem wyszedłem. Był piękny, słoneczny, sierpniowy poranek. Od strony morza wiała lekka bryza. Wiszące na drzewach liście, jak zwykle pod koniec lata, miały lekko szary odcień. Wiedziałem, że za kilka tygodni jego miejsce zajmą czerwień i złoto. W mieście unosiła się atmosfera szaleństwa, wywołanego

końcem sezonu: szaleństwa miłości, wspaniałych nadziei, zrealizowanych i nie zrealizowanych marzeń o miłości i słońcu. Widać je było w opalonych na brąz twarzach turystów. Na początku lata byli szczęśliwi, że skończyła się zima, że są tu, wśród sławnych i bogatych, w miejscu, w którym wszystko może się zdarzyć. Teraz letnie dzieje każdego z nich były już w trzech czwartych zapisane, więc byli mniej cierpliwi. Przygotowywali się już do powrotu do miasta zbierając energię, z którą zamierzali stawić czoło jesieni i zimie.

Wiedziałem, że kiedy wyjadą, w miasteczku zapanuje na jakiś czas spokój, jak w złupionej twierdzy. Potem, wraz ze zmianą koloru liści i spadkiem temperatury, rozpocznie się proces odnowy. Ale wszystko to miało nastąpić dopiero za kilka tygodni, po Hampton Classic. Do tego czasu musiało nasilać się szaleństwo, duch beztroskiej zabawy, poczucie bliskiego kresu wakacji.

Zastałem Kaleba na posterunku. Nigdzie nie było ani śladu jego siostrzeńca. Kaleb wyglądał okropnie. Miał pod okiem wielkiego siniaka, widocznego spod odblaskowych okularów. Musiał przeżyć okropną noc. Nie zdjął okularów.

- Szuka cię ten Peretti - oznajmił.

- Nie powiedziałaś mi, że jesteś spokrewniony z Cunninghamami.

- A ty mi nie powiedziałaś, że rozrzuciłaś po całym kraju czeki bez pokrycia - odparł.

- Moje czeki nie miały nic wspólnego z Harrym Boetchnerem.

- Podobnie jak moje pokrewieństwo z Cunninghamami. - Kaleb siedział za swoim biurkiem; teraz odsunął ze złością krzesło, wstał i podszedł do stojącego w rogu dzbanka z kawą. Gdy nalewał do kubka czarny płyn, wyraźnie trzęsły mu się ręce. Nie zaproponował mi kawy. A ja, po raz pierwszy, nie miałem na nią ochoty.

Kiedy był odwrócony do mnie plecami, powiedziałem:

- Harry zapłacił Cunninghamowi dziesięć tysięcy dolarów, żeby zapewnić sobie jego milczenie.

Kaleb, nie odpowiadając mi, wsypał do kawy mleko w proszku i zaczął ją mieszać.

- To dosyć interesujące, nie sądzisz? - spytałem.

- Taaak - przyznał. W jego głosie wyczułem gniew. - Nie wiedziałem, że Harry ma sumienie. - Odwrócił się i podszedł z kawą do biurka. Widząc z bliska jego siniak doszedłem do wniosku, że musiała go uderzyć mrożonym udźcem baranim.

- Czemu się tak przyglądasz? - spytał.

- Nie podoba mi się to, co widzę, Kaleb - odparłem enigmatycznie.

Poruszył kilkakrotnie grdyką. Nie wiedziałem, czy dławi w sobie słowa, czy powstrzymuje atak torsji. Sam przeżywałem takie poranki. W końcu powiedział:

- Wielu z nas nie podoba się to, co tu ostatnio widzą.

- Kaleb, tu chodzi o morderstwo.

- No właśnie - odparł. - Myślmy powoli, ale zdaliśmy sobie z tego sprawę.

Usłyszałem za plecami odgłos otwieranych drzwi i do pokoju wszedł Peretti. Kaleb, nie witając się z nim, patrzył na mnie zza okularów jeszcze przez chwilę, a potem usiadł za biurkiem. Peretti wyglądał na człowieka, który po raz pierwszy od dawna spokojnie przespał noc. Miał na sobie to samo tandetne ubranie, ale jego cera wyglądała zdrowiej.

- Szukałem pana - powiedział do mnie.

- Właśnie mnie pan znalazł.

- Chciałbym pojechać jeszcze raz do tego klubu. Byłem ciekaw, co zaszło po moim wyjściu.

- Jest pan urzędnikiem państwowym - przypomniałem mu złośliwie. - Może pan pojechać tam beze mnie.

- Owszem - odparł. - I zostać potraktowanym jak łajno któregoś z tych koni.

- Moja obecność nic panu nie pomoże. Nie będą z panem rozmawiać tylko dlatego, że będzie pan w moim towarzystwie.

- Ja nie chcę rozmawiać z nimi. Chcę porozmawiać z panem.

Kaleb ostentacyjnie przekładał jakieś papiery leżące na biurku. Dotąd nie zdjął okularów. Spotkał się z Perettim już wcześniej, więc Peretti musiał widzieć jego oko. A może rozmawiali przez telefon. Nagle zrobiło mi się żal Kaleba.

- W porządku - powiedziałem. - Zawiozę pana do tego klubu.

Idąc ze mną ulicą do samochodu, Peretti spoglądał z pogardą na tłumy letników.

- Gdzie do diabła wszyscy ci ludzie zarabiają pieniądze? - spytał.

- Rabują biednych - odparłem. Wskazałem mu mego białego Austina Healeya.

- Czy pańscy wierzyciele wiedzą o tym samochodzie? - spytał.

- Mam go od niedawna.

Wsunął się na skórzane siedzenie, dotknął z niechętnym podziwem deski rozdzielczej i powiedział:

- Chryste, wy zawsze spadacie na cztery łapy, co? Życie jak w raju.

Naciskając guzik opuściłem dach, tylko po to, żeby go zirytować. Widziałem, jak mruży oczy, oślepiony słońcem.

- Liczy się tylko styl - powtórzyłem po kimś.

Przeszła obok nas jakaś kobieta w tak obcisłych szortach, że można było odczytać datę na monecie, którą miała w kieszeni. Leniwie poruszała tyłkiem w lewo i w prawo, o kilkanaście centymetrów od twarzy Perettiego. Patrząc, jak znika w tłumie, spytał:

- Czy spędził pan wczorajszy wieczór z tą wdową?

Być może był to strzał na oślep, ale nie mogłem wykluczyć tego, że mnie śledził.

- Nie pamiętam - odparłem. Włączyłem silnik w momencie, w którym odwrócił się nagle, by na mnie spojrzeć. Nacisnąłem gaz i wskoczyłem na wolne miejsce w strumieniu samochodów posuwających się wolno w kierunku drogi wyjazdowej z miasteczka.

- Mężczyzna pamięta tego rodzaju przygody - powiedział Peretti.

Nie odezwałem się. Była to sztuczka, której nauczył mnie ojciec. Kiedy nie chciał odpowiedzieć na jakieś pytanie, udawał po prostu, że czegoś nie pamięta. Mogło to być najprostsze pytanie, na przykład, co jadł poprzedniego dnia na obiad. Często dawał w ten sposób do zrozumienia swym rozmówcom, że uważa ich maniery za haniebne.

- Ludzie pańskiego pokroju znają wszystkie sztuczki, co? - spytał Peretti.

- Czy mogę wiedzieć, do czego pan zmierza?

Zamiast mi odpowiedzieć, zaczął przyglądać się mijanym właśnie podmiejskim willom. Były to idealnie odrestaurowane domy marynarzy; miały białe, drewniane ściany, czerwone okiennice, dachy z gontów i małe balkoniki.

- Wy wszyscy żyjecie w jakiejś bajce - stwierdził Peretti.

Pomyślałem o moich dwóch pokojach na poddaszu i nie odpowiedziałem mu.

- Myśli pan, że jest pan wielką figurą, co? Czy wie pan, gdzie ja zaczynałem życie?

- Nie - odparłem. - I prawdę mówiąc nic mnie to nie obchodzi.

Spojrzał na mnie wyraźnie zaskoczony.

- Większość ludzi okazuje ciekawość, kiedy zadaje im się takie pytanie - stwierdził.

- Panie Peretti - powiedziałem. - Zawiozę pana do klubu, ale nic mnie nie obchodzą pańskie nadzieje, pańskie marzenia, pańskie lęki. Co chce pan ze mnie wyciągnąć?

- Wychowywałem się w Brooklynie - ciągnął nieustępliwie. - W małym domku na Carroll Street. Mieszkaliśmy na najwyższym piętrze. Moja matka, mój ojciec...

- To dla mnie nie ma żadnego znaczenia, panie Peretti. Jeśli chce się pan szybko wzbogacić, niech pan zacznie brać łapówki. Nie moja sprawa.

- Nadal ma pan żal o ten proces, co? - spytał.

- Nie do pana - odparłem zjeżdżając z głównej szosy na otwartą drogę biegnącą wśród pól kartoflanych, na których zaczynano już wznosić nowe domy.

- Więc pewnie do tej pańskiej chciwej kuzynki, prawda?

Pamiętałem występ Daffy przed sądem. Byłem zaszokowany widząc, jak bardzo mnie nienawidzi. Przez całe moje życie była dzieckiem płaczącym się to tu, to ówdzie wśród dorosłych, do których ja już się zaliczałem. Nie miałem na jej temat zdania - może powinienem był okazać jej więcej współczucia podczas obu rozwodów. Ale nie to skłoniło ją do pojawienia się przed sądem. Była zła o to, że Prune i ja jesteśmy przyjaciółmi. I cały jej gniew na matkę zogniskował się w tym czeku na pięć tysięcy dolarów, który okazał się bez pokrycia. Nie chciała odszkodowania; chciała się zemścić.

- Te opowieści o więzach krwi - nękał mnie Peretti. Pot na jego głowie perlił się jak wilgotna tiara. - To wszystko brednie, prawda?

Nawet człowiek zdający sobie dobrze sprawę z odpowiedzialności za swój los może przeżyć nagły, niespodziewany atak bólu. Na wspomnienie upokarzającej rozprawy sądowej

poczułem teraz wstyd i gniew. Gniew był zresztą skierowany głównie przeciwko moim rodzicom. Może niesłusznie. Może, podobnie jak Daffy, posłużyłem się wygodnym wytłumaczeniem, tak modnym w naszym stuleciu, a polegającym na zrzucaniu całej winy na rodziców. Myślałem o tym wszystkim, a także o Harrym, gdy wjeżdżałem w bramę Hampton Club. Harry, którego lubiłem, musiał przez wszystkie te lata nosić blizny po swej miłosnej przygodzie z Tracy. Chętnie mówimy innym, że nadszedł czas, by dojrzeć, wydorośleć. Ale pozwalały, by nasze własne rany ropiały przez długi czas.

Obok stajni stawiano właśnie biało-niebieskie namioty. Kiedy spojrzeliśmy na nie od strony długiego, wysadzonego kasztanami podjazdu, mieliśmy wrażenie, że cofamy się w czasy średniowiecza.

- Jakież przyjęcie, co? - spytał Peretti.

Uczucia, które wybuchły we mnie przed chwilą, zaczynały już przygasać. Próbowałem spojrzeć na to wszystko z jego punktu widzenia. Peretti miał w sobie gorejącą nienawiść, która mogła go zaprowadzić daleko - na przykład na jakieś wysokie stanowisko polityczne, o którym chyba marzył - albo go zniszczyć.

- To ta wystawa koni - mruknąłem.

- Ważna sprawa, co? - W jego głosie brzmiał niemal szacunek, ale kiedy spojrział na mnie, zauważyłem, że w jego szeroko otwartych oczach maluje się głębokie zamyślenie.

- Owszem - odparłem.

- Kiedy byłem młody, żaden z moich znajomych nigdy nie miał konia - stwierdził. Nie powiedział tego żałośnie, lecz z namysłem. Byliśmy niemal w miejscu, z którego rozchodziły się drogi wiodące do klubu i do stajni. - Na jedynych koniach, jakie wtedy widywaliśmy, siedzieli policjanci.

- Czy chce pan jechać do klubu czy do stajni? - spytałem.

- Do stajni - odparł.

Tu jeszcze wyraźniej czuło się atmosferę napięcia przed konkursem. Masztalerze wyprowadzali konie na tor treningowy. Patrząc na te wspaniałe zwierzęta galopujące z podniesionymi łbami i niosące na grzbietach małych jak karły masztalerzy, nie trzeba było być znawcą, by zdać sobie sprawę, że ogląda się piękne widowisko. Peretti milczał. Uświadomiłem sobie nagle, że jest to już drugi konkurs, w który zamieszany był Harry i że za każdym razem kończyło się to dla niego katastrofą. Za pierwszym razem tylko obserwował wszystko z dystansu. Teraz, za drugim razem, wszędzie wznoszono biało-niebieskie namioty, wytyczano białe tereny pokazowe, przygotowywano miejsca dla samochodów, które miały przywieźć składane stoły i krzesła, jakich nie zobaczy się na publicznej plaży - żadnego aluminium, żadnego plastiku. Meble te pochodziły z takich firm jak Abercrombie & Fitch, Brooks Brothers czy Crouch & Fitzgerald, albo nawet z za oceanu - od Harrodsa, z paryskiej Galerie Lafayette lub rzymskiego sklepu Fendi.

Być może miasteczko się zmieniało, ale tu, w ciągu tych dwudziestu czterech godzin, wszystko miało wyglądać dokładnie tak samo jak przed dwudziestu pięciu laty. Stoły i krzesła, wyszukane kosze piknikowe, kubły do chłodzenia szampana, nawet kanapki przygotowane w kuchniach wielkich domów i przywiezione na miejsce. Jeźdźcy będą mieli na sobie kurtki ze szkockiego tweedu, bryczesy z Saville Road, buty firmy Lang, ręcznie wykonane w Irlandii. Stroje dzieci pochodzą będą z firmy Saks i wszyscy będą mieli wrażenie, że przebywają we własnym gronie. Ludzie zamożni będą ostentacyjnie demonstrować swoje pieniądze, choć w dzisiejszych czasach rzadko robili to na forum publicznym. Jedynym nowym elementem będzie cudzoziemski akcent licznych Niemców, Włochów i gości z Ameryki Południowej, którzy uświetnią swą obecnością Hampton Classic, odbywający się jak na ironię w dniu Święta Pracy, symbolizującym koniec lata.

Zaparkowałem Healeya przy bocznej ścianie stajni. Peretti siedział nieruchomo, jakby nie wiedząc, czy chce wysiąść. Otworzyłem drzwi i wysunąłem się z samochodu. Otaczali mnie ludzie z mojego środowiska i choć niektórzy odwrócili się ode mnie po moim upadku, byłem w pewnym sensie dumny z przynależności do ich sfery. Trudno opuścić rodzinny dom.

Usłyszałem, że Peretti wysiada. Podeszedł i stanął obok mnie, jakby potrzebował opieki. Zrobiło mi się go żal.

- Proszę spojrzeć - powiedziałem wskazując mu wielkiego, karego, irlandzkiego ogiera. - To jest koń Kruppa.

- Tego faceta od broni, co?

- Koń został wyhodowany w Irlandii. Jego ojciec wygrał kiedyś nagrodę Triple Crown.

- Kary ogier, jakby wiedząc, że go obserwujemy, uniósł łeb i spojrzał z radością na zalany porannym słońcem padok.

- Ma mnóstwo energii - nerwowo oznajmił Peretti.

- U koni nazywa się to sercem - poprawiłem go.

- I pan w to wszystko wierzy? - Peretti przyglądał mi się uważnie.

Nie odwróciłem się do niego. Patrzyłem, jak kary ogier biegnie lekkim galopem po torze treningowym. Jego sierść opalizowała w słońcu. Drobnym masztalerz w jedwabnym stroju, utrzymanym w biało-zielonych barwach stajni Kruppa, wyglądał na jego grzbiecie jak kamień szlachetny.

- Kiedyś wierzyłem - odparłem po namyśle. Koń dobiegł do zakrętu toru i zniknął za kępą wiązów. Odwróciłem się, strąsając z siebie nagły przypływ sentymentalizmu, który po raz drugi niemal wycisnął mi łzy z oczu.

- Czy wie pan, co myślą ludzie, którzy to oglądają? - spytał Peretti.

Koń wybiegł zza osłony drzew, bez wysiłku pokonując łuk. Nie był nawet spocony. Biegł radośnie, jakby nie miał na grzbiecie masztalerza, jakby nie miał żadnych zmartwień. Był najpiękniejszym stworzeniem, jakie można sobie wyobrazić.

- To ładny widok - powiedziałem nie odrywając wzroku od konia. Koń Harry'ego, Champion, mógł się równać z ogierem Kruppa.

- Ale jak się to ma do poczucia odpowiedzialności? - spytał Peretti.

- O co panu chodzi? - Koń był już niemal tuż przed nami. Widać było, że zdaje sobie sprawę ze swej doskonałości. Wiedziałem, o czym mówi Peretti. Patrząc na konia, który zwolnił i tańczył przez chwilę w miejscu, zanim masztalerz nie poprowadził go stępa w kierunku ujeżdżalni, pomyślałem, że jest to sprawa wychowania. Może wszystko polega na podejściu do tych pięknych zwierząt. Ludzie, wśród których się wychowałem, uważali się za okazy pełnej krwi. Ale nie zachowywaliśmy się w taki sposób. Zachowywaliśmy się tak jak wszyscy inni, tyle że mieliśmy więcej pieniędzy. Patrząc, jak masztalerz zsuwa się z karego ogiera, doszedłem do wniosku, że nie warto tłumaczyć tego Perettiemu.

- Za to, co wydają na każdego z tych koni, można by utrzymać rodzinę bezrobotnego przez rok - stwierdził Peretti.

- Przez dziesięć lat.

- Ile może kosztować utrzymanie takiego konia? - spytał odwracając się do mnie.

- Takiego, jakiego miał Harry?

- No dobrze, takiego, jakiego miał Boetchner.

- To zależy - odparłem. - Gdyby miał własną stadninę - około dwudziestu tysięcy rocznie. Gdyby trzymał tego konia u kogoś, trochę mniej. Oczywiście nie pozostaje to w żadnej proporcji do ceny, za którą go kupił.

Peretti podszedł do toru. Zza zakrętu wybiegło teraz równocześnie kilka koni. Nie znam piękniejszego widoku niż widok rasowych koni, biegnących obok siebie w porannym słońcu.

- Czy tych ludzi nic nie obchodzi? - spytał Peretti.

- To jest Ameryka - odparłem. - Każdy może się wzbogacić.

- A co z biednymi, co z masami pracującymi? - Konie były już tuż przed nami. Czulem zapach ich potu, zapach kosztownych, dobrze utrzymanych koni. W sumie były warte z milion dolarów. Ruszyły w stronę zakrętu i zniknęły w cieniu wiązów.

- Niech pan zacznie myśleć jak człowiek dorosły, Peretti - powiedziałem opierając się o nagrzaną przez słońce barierę. Największy z namiotów rozpinano już na słupkach. - Tu nie chodzi o sprawiedliwość, tu chodzi o pieniądze. - Nie byłem pewien, czy mówię o konkursie czy o zabójstwie Harry'ego. Gdyby te stojące na łące namioty ozdobione były długimi, powiewającymi w porannym wietrze proporczykami, wyglądałyby tak, jakby wyjęto je z kart romantycznej, czternastowiecznej opowieści.

Oczyrna duszy widziałem, jak cały teren będzie wyglądał w dniu Hampton Classic, kiedy na trawie staną liczne samochody, a kosze piknikowe zostaną ustawione na ich tylnych maskach. Wśród samochodów będą się przechadzać mężczyźni w granatowych marynarkach

z herbem klubu na piersi, białych spodniach i ręcznie szytych butach, oraz kobiety w różnobarwnych, jedwabnych sukniach i słomianych kapeluszach z długimi, pasiastymi wstążkami. Tego dnia włożą złote bransoletki firmy Cartier i perty z firmy Harry Winston. Nie będą reprezentowani modni od niedawna jubilerzy, tacy jak Bulgari czy David Webb. Pojawią się pojedyncze bransoletki z firmy Van Cleef i odziedziczone po matkach i babkach klejnoty w stylu art déco. Będzie to wspaniały widok; kobiety i mężczyźni przechadzający się po łące i konie popisujące się na kilku arenach.

I wszędzie mnóstwo dzieci. Takich dzieci, do jakich niegdyś należałem ja: dobrze wychowanych, dobrze ubranych i nie zdających sobie właściwie sprawy z tego, że za bramą klubu istnieje inny świat.

- Niech pan posłucha - powiedziałem do Perettiego. - Musi pan nauczyć się realizmu. Peretti zaśmiał się drwiąco.

- Realizmu - powtórzył, a ja zauważyłem, że pot sływa mu z twarzy i szyi za koszulę. Szarpnął za kołnierzyk, jakby się dusił. Koszula wyglądała tak, jakby wyprasowano ją w domu. Po raz pierwszy zacząłem się zastanawiać, czy jest żonaty i czy żona prasuje mu koszule.

- Tak - powiedziałem. - Niech pan będzie realistą. Wy myślicie... Przerwał mi z oburzeniem.

- Wy! - wybuchnął. - Powinien pan się usłyszeć. Na jakiej podstawie uważa się pan za lepszego niż ja? Dlaczego pan myśli, że wy wszyscy jesteście lepsi niż reszta ludzi?

Westchnąłem, nabrałem powietrza w płuca i zacząłem się zastanawiać, czy chcę mu pomóc. Odczuwałem już brak Harry'ego, a równocześnie ciekawość. Nie byłem oburzony, że Harry nie żyje, ale chciałem poznać prawdę. Chciałem wiedzieć dlaczego i chciałem wiedzieć kto.

- Niech pan posłucha - powtórzyłem. - Jeśli pan chce uzyskać odpowiedź, musi pan zaakceptować cały ten świat i przyjąć, że jest taki jaki jest. A nie taki, jakim chciałby pan go widzieć. Ci ludzie... - machnąłem ręką w kierunku kilku członków klubu, którzy oglądali konie - ...może pan o nich myśleć, co pan chce, ale pan ich nie przekona. Oni mają swój własny punkt widzenia.

- To snobi - mruknął Peretti.

Wzruszyłem ramionami. Był uparty, a z moich doświadczeń wynika, że upór jest przykrywką dla niepewności lub głupoty, albo jednego i drugiego.

- To tylko słowo. Ci ludzie są w większości od dawna bardzo bogaci. Oni nie oglądają tej Ameryki, którą widzi pan. Niektórzy zrobili pieniądze przed pięćdziesięciu laty, niektórzy przed stu laty, inni jeszcze wcześniej. To długa tradycja, sięgająca początków tego kraju. Gdyby znał pan historię, wiedziałby pan, że termin „masy pracujące” pojawił się dopiero sto lat temu. Ten kraj stworzyli farmerzy-dżentelmeni. Został stworzony przez ludzi bogatych.

Demokracja, w dzisiejszym pojęciu, jest już anachronizmem. Została wynaleziona wraz z rewolucją przemysłową, kiedy potrzebowaliśmy mas pracujących, żeby uruchomić fabryki. I od tej pory stale walczyliśmy o los tych mas. Ta bitwa wcale się nie skończyła. Toczy się tutaj, przez cały czas. - Odwróciłem się i spojrzałem w stronę pola golfowego. Za nim, w oddali, widać było pierwsze dachy okropnych domków Harry'ego. Machnąłem ręką w tym kierunku i powiedziałem: - Każda fala imigrantów zdobywa, co może, i trzyma się tego kurczowo. Tak widzą to ci ludzie.

Peretti uspokoił się już. Odpiął górny guzik koszuli. Teraz usiłował rozwiązać swój przybrudzony krawat, który wyglądał tak, jakby został zawiązany już dawno i był codziennie wkładany przez głowę. Zrobiło mi się go żal. Nigdy nie było mi żal Harry'ego Boetchnera, w każdym razie dopóki żył. Harry doskonale rozumiał to, co usiłowałem wytłumaczyć Perettiemu.

- Więc jak dostają się do tego klubu inni ludzie? - spytał.

- Wdzierają się siłą - odparłem. - Przychodzą i zgarniają to, co im się podoba, tak jak robili to wszyscy inni. Ten kraj powstał na zagarniętych ziemiach. Zawsze taki był i zawsze taki będzie, dopóki ludzie nie uwierzą, że pewnego dnia nadejdzie ich kolej. Taka jest tradycja amerykańskich karier towarzyskich. Trzeba użyć siły, zdobyć jakieś terytorium i bronić go.

Ścieżką od strony stajni nadeszła siostra byłej Pierwszej Damy Ameryki. Kiwnęła mi głową, zerknęła na Perettiego i poszła dalej. Peretti wbrew woli obserwował ją, kiedy zbliżała się do areny i rozmawiała z masztalerzem, trzymającym pięknego kasztana. Dosiadła go z wprawą kobiety, którą posadzono na pierwszym koniu zanim jeszcze umiała mówić i oddaliła się krótkim galopem w kierunku kępy drzew.

- Wy wszyscy się znacie - powiedział Peretti.

- Jesteśmy poniekąd sąsiadami - odparłem. - Tyle że każdy z nas ma więcej sąsiadów niż większość ludzi.

- A ten biedny Boetchner... - zaczął Peretti odwracając się tyłem do jeźdźców i koni.

Obserwowałem ujeżdżalnię, na której jeden z masztalerzy zsunął z konia biały pled, a syn greckiego armatora zasiadł w siodle z firmy Hermes, które musiało kosztować z pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Kiedy pochylił się, by powiedzieć coś do córki dyrektora jednej z trzech największych amerykańskich sieci telewizyjnych, jego proste, czarne włosy spadły na opalone czoło. Gdy dziewczyna spojrzała na niego tęsknie, zrozumiałem, że Peretti ma w zasadzie rację: jeśli pominąć ich stroje, przynależność do klubu, samochody, konie, pieniądze, wyskoki do Europy na pokładzie Concorde'a, są po prostu chłopcem i dziewczyną, parą młodych ludzi, którzy siebie pragną. Tak jak niegdyś, w tym samym miejscu, zapragnęli siebie Harry i Tracy.

Peretti oddalił się w kierunku stajni. Wszedłem za nim do ciemnego wnętrza. Boksy były teraz puste. Chłopcy stajenni, wywodzący się często z bogatych rodzin i kochający konie bardziej niż swoich krewnych, wywozili z nich ściółkę. Peretti, który poczuł się pewniej opuściwszy grono ludzi, których widywał przez całe życie tylko na zdjęciach w gazetach, wepchnął ręce do kieszeni swych zmiętych spodni.

- Zjawił się tu o trzeciej nad ranem - powiedział.

Poruszył językiem wewnątrz ust, jakby zlizując z zębów resztki jedzenia. Bałem się, że zechce splunąć na podłogę.

- Oni kochają te konie - oznajmiłem. - Dziwne jest to, że nie było tu strażnika.

Peretti zerknął na mnie spod oka.

- Strażnik był na miejscu. - Kaleb nie powiedział mi o tym.

- Mamy naocznego świadka - dodał Peretti.

W stajni było ciepło, ale ja poczułem nagle dotkliwy chłód. Miałem wrażenie, że Peretti wciąga mnie w jakąś pułapkę.

- Kto jest tym świadkiem?

- Siostrzeniec waszego szeryfa - odparł Peretti, patrząc mi uważnie w oczy.

Przez długą chwilę nie rozumiałem tego, co mi powiedział.

- Ron? - zapytałem w końcu.

Peretti był bystry. Odnotowywał każde drgnięcie mojej twarzy. Po raz pierwszy zrozumiałem, że sam jestem podejrzanym. Nie miałem pojęcia, jaki mogłem mieć motyw, ale Peretti oskarżał mnie kiedyś o przestępstwo. Byłem ofiarą swojej przeszłości i jego uprzedzeń.

- Co on tu robił? - spytałem. Nagle zaschło mi w gardle. Odczuwałem potrzebę wypicia drinka, i to jak najszybciej.

- Ma krewnego, który pracuje tu jako strażnik nocny - odparł Peretti, wyraźnie rozbawiony moim zmieszaniem. Minał już moment zażyłości, który przeżyliśmy obok ujeżdżalni jako dwaj ludzie z zewnątrz. Był znów stróżem prawa. A ja facetem z wyrokiem. - Ten krewny był chory. Chłopak zastępował go.

Zastanawiałem się nad tą nową informacją obserwując postawną dziewczynę, która minęła mnie z taczka pełną nawozu. W sumie nie było to szczególnie dziwne. Mieszkańcy miasteczka, zatrudnieni na okres lata, często się nawzajem zastępowali. Każdy próbował zarobić jak najwięcej, by zdobyć rezerwy na zimę. Wiedziałem, że Ron był przez tydzień bramkarzem w jakiejś dyskoteci w San Harbor. Wiedziałem też, że był ochroniarzem podczas przyjęcia w Southampton, na którym goście mieli podobno na sobie klejnoty o wartości trzydziestu milionów dolarów. Nie było nic dziwnego w tym, że był tu tej nocy, podczas której zginął Harry. Ale Kaleb nie wspominał mi o tym ani słowem. Nie powiedział też nic na temat Cunninghama.

- A więc widział Harry'ego - powiedziałem. Peretti znów zaczął się kołysać lekko w przód i w tył.

- Nie - odparł.

Usiłowałem zrozumieć sens jego słów.

- Ależ to niemożliwe - zawołałem.

- No właśnie - odparł Peretti z leniwym uśmiechem. Po raz pierwszy widziałem na jego twarzy wyraz prawdziwego zadowolenia.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Peretti uważał, że Harry'ego zabito na dworze, a potem zaciągnięto jego ciało do boksu i wrzucono pod kopyta tego konia. Byłem skłonny się z nim zgodzić. Pytanie brzmiało: kiedy? Jeśli Ron dorabiał tej nocy jako strażnik, Harry musiał zostać wrzucony do boksu w przerwie między dwiema zmianami. Ron nie zechciałby odpowiadać na moje pytania, ale musiał odpowiedzieć na pytania wuja. Udałem się więc na poszukiwanie Kaleba.

Mieszkał w skromnym domu niedaleko Hampton Bays. Jest to najmniej atrakcyjny fragment wybrzeża. Ale nie trzeba było być geniuszem, by dojść do wniosku, że po zajęciu wszystkich działek w Southampton, Bridgehampton, Watermill, Easthampton i Sag Harbour, przedsiębiorcy budowlani będą musieli kupować ziemię w Hampton Bays. Potrzebna była tylko grupa odważnych pionierów.

Ale trzeba było mieć dużo wyobraźni, by zakładać, że Hampton Bays zmieni się z Kopciuszką w księżniczkę. W miasteczku była główna ulica, ale brakowało podstawowej infrastruktury. Nie było tu też ani tak wielkich rezydencji, jak ta, którą kupił Harry, ani starych domków wzniesionych dla kapitanów floty wielorybniczej. Było to przygnębiające zbiorowisko podupadłych domków zbudowanych po roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym.

Dom Kaleba nie różnił się od pozostałych. Stał na błotnistej uliczce pod kępą białych brzozy. Był niegdyś czerwony, ale domagał się świeżej farby. Przy jego bocznej ścianie dostrzegłem zestaw do pieczenia mięsa na świeżym powietrzu oraz starą, zwisającą na łańcuchach huśtawkę. Z tyłu, w miejscu, w którym ocieniony przez brzozy ogród przechodził w ziemię uprawną, stał walący się garaż, a obok niego jakiś stary, ustawiony na klockach samochód.

Zapukałem do osłoniętych siatką drzwi.

- Kto tam? - zapytała wrzaskliwie jakaś kobieta.

- Ben Harriman.

- Kto? - wrzasnęła ponownie. Nie było powodu, dla którego miałyby znać moje nazwisko, ale to, że go nie znała, podkreślało dystans między tą miejsciną a modnymi nadmorskimi kurortami leżącymi w sąsiedztwie.

Po chwili usłyszałem za drzwiami czyjeś człapanie. Widywałem żonę Kaleba od czasu do czasu na ulicy, ale nigdy jej nie poznałem. Teraz ujrzałem za obluzowaną siatką starzejącą się kobietę w papilotach na głowie. Obrzuciła mnie podejrzliwym spojrzeniem, a ja pomyślałem, że nie widziałem jeszcze, by ktokolwiek miał tak czarne włosy. Nie widziałem również nikogo, kto miałby tak grubo upudrowaną twarz. Wyglądała na kobietę, która była niegdyś uznaną pięknoscią. Na kobietę, która myślała, że jeśli nie zmieni koloru włosów ani fryzury, jeśli będzie tak samo malować usta oraz policzki i tak samo wyskubywać sobie brwi, zachowa nieco splendoru, jaki towarzyszył jej młodości. W rezultacie miałem przed sobą monstrum.

- Jestem Ben Harriman - wyjaśniłem przez siatkę. - Szukam Kaleba.

Znów spojrzała na mnie badawczo.

- Aha, pan jest siostrzeńcem pani Duke - powiedziała oskarżycielskim tonem. - Tym, który stracił wszystkie pieniądze.

Można zdobywać sławę na różne sposoby.

- Owszem - przyznałem i ze zdziwieniem poczułem, że się czerwienię. Kobieta patrzyła na mnie ze współczuciem. Wiedziałem, że pieniądze, zwłaszcza w takich ilościach, jakimi ja niegdyś dysponowałem, jest zbyt trudno zdobyć, by ich utrata wzbudzała czyjąkolwiek litość. Być może nie zasługiwałem na nią zresztą, ale zachowanie kobiety przypominało reakcję wielu mieszkańców miasteczka. Stare rody otacza aura tajemniczości. Ludzie wierzą, że przedstawiciele tych rodzin odznaczają się czymś specjalnym. Chcą wierzyć, że bogaci są inni. Gdyby bogaci nie byli inni, to nie istniałby żaden powód, dla którego oni sami nie mieliby być bogaci.

- Szukam Kaleba - powtórzyłem.

- Nie znalazł go pan - odparła z satysfakcją. - Próbował pan na posterunku?

- Dzwoniłem tam. - Nie miałem ochoty wyjaśniać, że nie chcę rozmawiać z Kalebem na posterunku. Musiałem mu zadać kilka pytań, a nie chciałem, żeby słyszał je Ron. Przypomniałem sobie, że ta kobieta jest ciotką Rona. Był powinowatym Kaleba ze strony jego żony.

- Czy powiedzieli panu, że jest tutaj? - spytała. Ton jej głosu dowodził, że w jej głowie rodzą się nowe podejrzenia.

- Tak - odparłem. - Mówili, że pojechał do domu na lunch.

Zaśmiała się szyderczo. Nie był to przyjemny dźwięk. Wzruszyła ciężkimi ramionami, a jej imponujący niegdyś biust poruszył się pod tanią, nylonową bluzką. Wyglądała na kobietę, która wmawia sama sobie, że może się równać z każdą inną przedstawicielką swej płci. Mogłem zgadnąć, którą przedstawicielkę ma na myśli.

- Próbował pan w barze?

- Nie. - Zdałem sobie sprawę, że nie pytając, w którym barze, przyznałem, iż wiem o romansie Kaleba z Lucille.

Może właśnie dlatego postanowiła wpuścić mnie do środka. Może myślała, że udzieli jej jakichś informacji, bo nagle zrobiła krok do przodu i pchnęła drzwi - tak mocno, że uderzyła mnie w twarz. Cofnąłem się, przykładając dłoń do policzka.

- Przepraszam - powiedziała. - Ciągle przypominam temu dupkowi, że ma naprawić drzwi. Zapomniałam, że są zepsute. Proszę wejść.

Wszedłem za nią do wnętrza, które przypominało chlew. Patrząc na zniszczone, tandetne meble nie miałem Kalebowi za złe, że stara się spędzać jak najwięcej czasu poza domem. Ta kobieta była fatalną gospodynią. A może przestało ją to interesować. Dom cuchnął gotowaniem, brudną odzieżą, ludźmi. Poprowadziła mnie przez salonik, w którym wokół kanapy leżał stos porzrzucanych gazet. Stary fotel stał tuż przed telewizorem, w którym nadawano akurat jakąś operę mydlaną, ale bez dźwięku, bo fonia była najwyraźniej wyłączona. Kobieta, ignorując telewizor, przeszła do kuchni. Widok zlewu przypomniał mi moje mieszkanie na poddaszu. Naczynia nie były myte od kilku dni. Na kuchence stały jakieś garnki z resztkami gotowanych jarzyn. Na stole kuchennym dostrzegłem miseczkę z wodą, zmywacz do paznokci i nową buteleczkę lakieru. Pomyślałem, że jeśli pomaluje je na ten kolor, to końce jej palców będą wyglądały tak, jakby rozszarpała Kalebowi gardło.

- Robiłam sobie akurat paznokcie - wyjaśniła odsuwając cały zestaw. Uniosła dłonie, by pokazać mi kolor, który wypróbowała już na palcach lewej ręki.

Miałem wrażenie, że jest przyzwyczajona do komplementów, choć jej dłonie były czerwone i szorstkie.

- Ładny - powiedziałem.

- Tak - przyznała z dumą. - Lubię dbać o siebie. - Dżinsy, które miała na sobie, były co najmniej o numer za małe. Nosiła buty na wysokich obcasach, a gdy podeszła do kuchenki, by potrząsnąć dzbankiem z kawą, widać było miejsce, w którym majtki wcinają się jej w tyłek.

Zapaliła gaz pod dzbankiem, odwróciła się i dotknęła swych papilotów.

- Nie przyjmuję zazwyczaj gości w takim stroju - powiedziała wykrzywiając twarz w upiornym uśmiechu. Było mi jej żal. Walczyła z przeciwnościami losu za pomocą wszelkich dostępnych środków, ale środki te były niewystarczające. - Czy słyszał pan o śmierci Harry'ego Boetchnera? - spytała nagle, a w jej zapuchniętych oczach pojawił się wyraz czujności.

- Owszem - odparłem. Potem, ponieważ nie mogłem spytać jej wprost o to, czego w gruncie rzeczy chciałem się dowiedzieć, dodałem wymijająco: - Mamy w przyszłym tygodniu zamieścić wielki artykuł na ten temat.

- Spotykałam się kiedyś z Harrym - oznajmiła. Wyprostowała się i wysunęła biust, a ja doszedłem do wniosku, że musiała często rozmyślać o przeszłości i o Harrym. - Był

kapitanem drużyny futbolowej - stwierdziła takim tonem, jakby to wiele wyjaśniało. - A ja byłam najładniejszą dziewczyną w szkole. - Przerwała, jakby czekając na mój komentarz, a później dodała: - Może pan spytać, kogo pan chce. Każdy panu to powie.

- Z pewnością - stwierdziłem obłudnie. Kiedy gestem ręki zaprosiła mnie, żebym usiadł, miałem do wyboru dwa liche metalowe krzesła. Jedno z nich miało zaklejoną taśmą dziurę w siedzeniu, z której wychodziła sprężyna, a drugie ślady kocich łap na oparciu. Wybrałem to, które było zaklejone taśmą, i niepewnie usiadłem. Kobieta wyraźnie się wahała. Patrzyła na mnie badawczo, jakby nie była pewna szczerości moich intencji.

- Tak - powiedziała. - Wszyscy myśleli, że Harry i ja pobierzemy się.

- Ach, tak? - spytałem. Wiedziałem, jak skończyły się te marzenia. Harry poznał Tracy Egan.

- Tak - powtórzyła i w jej oczach pojawił się wyraz rozanielenia. Widać było, że często wspomina wizję poślubienia Harry'ego.

- Ale Harry wyjechał - ciągnęła. - Wstąpił do wojska. A ja wyszłam za Kaleba.

Kiedy Harry wrócił jako człowiek bogaty, musiała zastanawiać się nad sensem swego małżeństwa. Mogłem sobie wyobrazić, że nie zapewniła Kalebowi życia usłanego różami. Z pewnością nie raz i nie dwa powtarzała mu, że mogła zostać panią Boetchner.

- A wie pan, on nigdy się nie ożenił - stwierdziła, a ja wywnioskowałem z tego, że Kaleb nie powiedział jej nic o młodej wdowie po Harrym.

- Był przystojny - mówiła dalej, pograżając się we wspomnieniach.

- Nie znałem go wtedy dobrze - przyznałem. - Poznaliśmy się lepiej dopiero po jego powrocie.

Kawa zaczęła wrzeć. Czulem jej zapach z miejsca, na którym siedziałem. Ale kobieta nie zwracała na nią uwagi.

- Po powrocie był innym człowiekiem - stwierdziła.

A ja, widząc posępny wyraz jej twarzy, domyśliłem się, że próbowała ponownie nawiązać z nim kontakt. Musiała to być interesująca scena. - Oczywiście zawsze wiedziałam, że Harry wyjdzie na ludzi. Na takiego wyglądał. Niejeden byłby zadowolony, że jest kapitanem drużyny. Ale nie Harry. Nie włóczył się, tak jak inni, z całą naszą bandą. - Zaciśnęła usta i przewróciła oczami, robiąc minę, która niegdyś była zapewne objawem kokieterii. - Kiedy zabierał mnie do miasta, mówiłam mu zawsze: Harry, musisz im wszystkim pokazać. Nie możesz mnie zabrać w jakieś ustronne miejsce. Oczywiście - dodała pośpiesznie, żeby uniknąć nieporozumień - nie byłam dziewczyną, która pozwalała się zapraszać w ustronne miejsca i... no, wie pan, co mam na myśli. - Wiedziałem, co ma na myśli i nie miałem wątpliwości, że należała właśnie do tej kategorii dziewczyn. - Tak czy owak Harry nie był zwykłym facetem. Był dżentelmenem. Pan to chyba rozumie, prawda?

- Nie jestem pewien.

Kiwnęła głową, jakby chcąc dać mi do zrozumienia, że nie oczekuje ode mnie znajomości zasad postępowania dżentelmena. Bądź co bądź roztrwoiłem swoje pieniądze. To było równoznaczne z przyznaniem się do choroby umysłowej.

- Harry był dżentelmenem - powtórzyła mrużąc oczy. Widać było, że porównuje go z Kalebem. - Chciał czegoś lepszego. Nie mógł tego zdobyć tutaj. Zawsze byłby tylko synem rzeźnika, rozumie pan, co mam na myśli? Człowiek, który zostaje na miejscu, wpada w utartą koleinę. Ja też powinnam była przenieść się do Nowego Jorku. Oto co powinnam była zrobić. Wszyscy mówili, że mogłabym być modelką. Mogłabym zostać nawet międzynarodową modelką i jeździć po całym świecie. Ale zamiast tego wyszłam za męża. - Odwróciła się w stronę kuchenki, pokazując mi ponownie swój bezkształtny tyłek, opięty zbyt ciasnymi dżinsami. Nie była najwyraźniej zadowolona z decyzji, jaką podjęła, postanawiając zostać w miasteczku.

Podeszła do kredensu, wyjęła dwa kubki, zajrzała do nich, jakby spodziewając się znaleźć jakiegoś robaka lub brud, potrząsnęła nimi i zbliżyła się do kuchenki. Nalała do obu czarnej kawy. Postawiła przede mną jeden z nich. Kawa wyglądała tak, jakby została zaparzona rano, lub nawet poprzedniego dnia. Żona Kaleba usiadła przy stole nie pytając nawet, czy podać mi cukier lub mleko. Ale i tak byłem zadowolony. Widząc drzwi lodówki, poplamione odciskami brudnych palców, wołałem nie oglądać jej wnętrza.

Znów spojrzała na mnie badawczo, jakby usiłując coś wydedukować.

- Był pan wszędzie - powiedziała. - Słyszałam o tym. Roztrwoił pan pieniądze, podróżując po całym świecie.

- Byłem w wielu krajach - przyznałem biorąc do ręki kubek z kawą i zaczynając ją sączyć. Bezpieczniej byłoby napić się kwasu z akumulatora.

- Moim zdaniem nigdzie indziej nie może być lepiej - oznajmiła. - Gdyby gdzie indziej było lepiej, to po co ci wszyscy bogaci ludzie przyjeżdżaliby tutaj, co?

- Powiedziała to wyzywającym tonem, a ja, widząc złośliwe błyski w jej małych oczkach, doszedłem do wniosku, że to rozumowanie sprawia jej satysfakcję.

- Wszędzie jest dobrze, jeśli człowiek sam o to zadba - oznajmiłem. Nie wierzyłem w to ani przez moment. Byłem w wielu wspaniałych miejscach i dobrze się bawiłem. O tym fragmencie mojej klęski życiowej myślałem bez wyrzutów sumienia. Żałowałem tylko tego, że nikt mnie nie nakłonił do zrobienia planów na starość. Byłem pewien, że ona również ich nie robiła.

Omiotła wzrokiem brudną kuchnię i być może poczuła się odpowiedzialna za panujący w niej bałagan. Gwałtownie wciągnęła powietrze, a jej piersi, wielkie jak arbuzy, naciągnęły tkaninę różowej bluzki.

- Z pustego i Salomon nie naleje - oznajmiła takim tonem, jakbym czynił jej zarzuty z powodu stanu tego domu. - To, co zarabia tu szef policji, z trudem wystarcza na życie.

Oboje usłyszeliśmy zajeżdżający pod dom samochód Kaleba. Kobieta uniosła głowę i spojrzała w stronę saloniku. Nie powiedziała ani słowa, dopóki nie rozległ się trzask drzwi.

- To ty? - zawołała. Nie było odpowiedzi.

- Mamy gościa - krzyknęła.

Usłyszałem z sąsiedniego pokoju kroki Kaleba. Wszedł do kuchni, zatrzymał się na mój widok, a potem szybko zerknął na żonę.

- Co się tu dzieje? - spytał.

- Mam kochanka - odparła bez zastanowienia. - Może mam kilku kochanków. To tylko jeden z nich. Przyznaję, że złapałeś nas na gorącym uczynku.

Kaleb odwrócił się od niej i spojrzał na mnie. Wydawał się wściekły. Jego żona roześmiała się, wstała szurając krzesłem po podartym linoleum i wyszła z kuchni.

- Ron mówił, że mnie szukałeś - powiedział Kaleb.

- Owszem. Powiedział mi, że przyjedziesz do domu na lunch.

- Nie na lunch - odparł rozglądając się po kuchni. - Nawet karaluch nie wracałby na lunch do tego chlewu.

Z saloniku rozległ się odgłos świadczący o tym, że jego żona podsłuchuje. Kaleb cofnął się nerwowo. Stał przy tylnym wejściu do domu.

- Chodź ze mną - powiedział. - Muszę zabrać coś z baraku.

Podwórko leżące za domem nie było bardziej atrakcyjne niż ogródek z przodu. Stało tu palenisko do pieczenia mięsa, nie czyszczone od początku lata. Oprócz tego dostrzegłem starą skrzynkę na piasek, oczywiście bez piasku, i z pół tuzina puszek po Diet Pepsy, ustawionych obok aluminiowego leżaka.

- Chryste, co za cholerny burdel - mruknął Kaleb omijając leżak i zbudowany z puszek tor przeszkód.

Poszedłem za nim aż na skraj ogródka, do miejsca, w którym zaczynały się zasłonięte przez brzozy pola. Pomiedzy pniami drzew widziałem skrawki nagiej ziemi. Ktoś zrezygnował z jej uprawy, choć była zbyt cenna, by zamieniać ją w nieużytki. Zapewne została już sprzedana. Być może przedsiębiorcy budowlani byli już w drodze do Hampton Bays.

Kaleb majstrował przy kłódce do baraku z narzędziami ogrodniczymi. Była to zupełnie nowa kłódka firmy Yale. Wyjął z kieszeni klucz, przekręcił go, a potem uchylił drzwi, tylko na tyle, by się w nich zmieścić. Z miejsca, w którym stałem, widziałem taczki, zardzewiałą lodówkę, maszynkę do koszenia trawy, która wyglądała tak, jakby nie było z niej większego pożytku, i stół, do którego przymocowane było imadło.

Czekałem na niego przed barakiem. Wszedł z pustymi rękami i spytał:

- No więc?

- Zawiozłem Perettiego do stajni.

- Co za drań - powiedział ze śmiechem. Odwrócił się, by założyć kłódkę. Nie byłem pewien, czy mówi o mnie, czy o Perettim. Nie czekając, aż zwróci się ku mnie, dodałem:

- Peretti twierdzi, że Ron był w stajni, kiedy zabito Harry'ego.

Jego plecy i ramiona nie drgnęły. Z trzaskiem założył kłódkę na drzwi. Odwrócił się i spojrzał na mnie badawczo.

- A więc?

- Nie powiedziałaś mi o tym.

- I co z tego? - spytał wzruszając ramionami. - Odkąd zaczęłaś pracować w policji? Zignorowałem ton jego głosu.

- Jeśli Harry został zabity na zewnątrz, a następnie wciągnięty do stajni, musiało to nastąpić podczas przerwy między zmianami, prawda?

- Być może - odparł. Zauważyłem, że nie skupia się na naszej rozmowie. Patrzył w jakiś punkt znajdujący się za moimi plecami. Obejrzałem się i zauważyłem jego żonę, która obserwowała nas przez kuchenne okno.

- Nie mogło być inaczej, Kaleb - przekonywałem go podnosząc głos. - Albo Ron, czy też ten jego poprzednik, był na miejscu w chwili śmierci Harry'ego, albo zabito go podczas zmiany dyżurów. Można dzięki temu dokładnie określić czas śmierci.

Kaleb oderwał wzrok od swej żony, stojącej nadal w kuchennym oknie. Przebiegające między nimi płomienie nienawiści powinny wypalić pasmo na nie skoszonej trawie.

- Niekoniecznie - stwierdził.

- Co masz na myśli?

- Czy wiesz, dlaczego ci chłopcy lubią pracować w stajni na nocną zmianę? -

Dostrzegłem w jego oczach taki sam złośliwy błysk, jaki zaobserwowałem wcześniej w spojrzeniu jego żony.

- Powiedz mi.

- Bo podrywają tam dupy. W okolicach tej stajni można znaleźć więcej samotnych kobiet niż w burdelu na terenie dzielnicy Harlem. Mężowie idą do baru i upijają się tak, że nie mogą wracać samochodem do domu. Żony zostawiają ich tam i mówią, żeby radzili sobie sami. Tyle że same nie jadą wprost do domu. Kręcą się po okolicy, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Chcą się zemścić.

- Krótko mówiąc chcesz mi powiedzieć, że Ron ma alibi?

- On nie potrzebuje alibi. Nie miał motywu.

- Wiesz, o co mi chodzi, Kaleb. Gdzie on do cholery był?

- Wchodził w elitę towarzyską.

- Kiedy?

- Nie jest tego pewien - oświadczył Kaleb. - Czy patrzysz na zegarek, kiedy ruchasz jakąś babę?

- Kto to był?

- Myślę, że wolałbyś tego nie wiedzieć. Poczułem nagły chłód.

- Kto to był, Kaleb?

- Pani Daphne Langstar - odparł.

Mimo wszystko jego odpowiedź mnie zaskoczyła. Była ostatnią kobietą, po której bym się tego spodziewał.

- Daffy?

- Daffy - parsknął, jakbym powiedział coś zabawnego. - Mnie ona nie wygląda na żadną Daffy.

- Czy sprawdziłeś to?

W jego oczach znów pojawiła się złośliwa satysfakcja.

- Jasne, że sprawdziłem - odparł. - A co, myślałeś, że twoja kuzynka się nie puszcza?

Nie za stodołą, pomyślałem. Nie z zastępcą szeryfa, dorabiającym jako strażnik stajenny. Potem zdałem sobie sprawę, że ta opinia wynika z moich własnych uprzedzeń. Daffy rozstała się już z dwoma mężami. Wiedziałem, że miała z pół tuzina kochanków wywodzących się z jej sfery. To, że nie mogłem jej sobie wyobrazić w ramionach miejscowego policjanta, było miarą mojego wrodzonego snobizmu.

- To daje do myślenia, co? - spytał Kaleb. Nie silił się na złośliwość. Stwierdził po prostu fakt.

- Owszem - przyznałem.

Kaleb odwrócił głowę, by nie widzieć oskarżycielskich spojrzeń, jakie posyłała mu zza kuchennego okna jego żona.

- Seks - powiedział z namysłem, patrząc na przedzierające się przez gałęzie drzew i padające na trawę promienie słońca. - Chyba każdy musi przeżyć czasem jakąś przygodę.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Moja kuzynka Daffy należała do kobiet, o których czyta się co miesiąc w piśmie „Town and Country”. W wieku czternastu lat była pulchną, nie rzucającą się w oczy dziewczynką. Jako szesnastolatka miała już figurę dorosłej kobiety i nauczyła się ubierać tak, jak wszystkie inne panienki z dobrych domów. Kiedy miała lat osiemnaście, doszła do wniosku, że nie interesują jej studia. Ukończywszy lat dwadzieścia, wyszła po raz pierwszy za mąż.

Gdy miała siedemnaście lat, spędziliśmy razem zimowe wakacje w Palm Beach, pływając na jachcie. Spytałem ją wtedy, pół żartem, pół serio:

- Kim chcesz zostać, kiedy dorośniesz, Daffy?

Tego roku, po powrocie z Europy, gdzie kończyła szkołę średnią, zaczęła wyglądać tak samo, jak wszystkie inne przedstawicielki jej pokolenia. Miała długie jasne włosy, była szczupła i stosowała skąpy, ale staranny makijaż. Już wtedy dostrzegłem w jej oczach wyraz, który mogę określić jako egocentryczną obojętność.

- Chcę być bogata - odparła. Jacht, którym pływaliśmy, należał do dziedziczki wielkiej fortuny z Dallas, usiłującej dostać się do nowojorskiego towarzystwa. Najkrótsza trasa z Dallas do Nowego Jorku nie biegnie w linii prostej. Roczny pobyt w Palm Beach, podczas którego należy łożyć na cele dobroczynne i dyskretnie demonstrować swe bogactwo, jest przystankiem w drodze na Manhattan. Wydawało nam się, że jacht stoi w miejscu, a brzeg przepływa obok nas, ale było to złudzenie. Mijaliśmy właśnie dom Kennedych, a ja zauważyłem, że bardzo przydałby mu się remont.

- Nie zamierzasz się uczyć dalej? - Uważałem, że jest to pytanie, które należy zadawać młodym ludziom. Ja sam spędziłem cztery lata na uniwersytecie w Denver, doskonaląc się w narciarstwie i prowadzeniu czterokołowych pojazdów.

- Nie. Po co?

- Nie wiem - odparłem zgodnie z prawdą. - Myślałem, że w dzisiejszych czasach dziewczęta idą na studia.

- Nie te, z którymi się przyjaźnimy - stwierdziła Daffy. Przewróciła się na bok, wystawiając twarz do zachodzącego słońca.

Miała rację. Nasze środowisko w ogóle nie zauważyło ruchu feministycznego. Od czasu do czasu ktoś taki jak Lily Pulitzer kupował sklep na Worth Avenue, by wystawiać w nim zaprojektowane przez siebie kostiumy kąpielowe. Gloria Vanderbilt zdobyła sławę jako projektantka prześcieradeł. Dina Merrill próbowała zdobyć dorównujący jej bogactwu rozgłos jako aktorka. Ale wszystkie te kobiety uważane były za niezrównoważone. Musiały coś osiągnąć z powodów, które rozumiała może większość ich przyjaciółek, ale w naszym środowisku sądzono, że chcą w ten sposób pokryć brak pewności siebie.

Daffy dotrzymała słowa. Odrzuciła swój przydomek i została debiutantką roku jako Daphne Duke - podwójne D dobrze wyglądało w gazetach. Był to koniec lat sześćdziesiątych. Ludzie maszerowali na Pentagon, jeździli na Południe autobusami, wstępowali do komun. Ale Daphne i ludzie z jej otoczenia chodzili na swoje bale i nie dostrzegali wstrząsów społecznych. Wyszła za mąż w wieku lat dwudziestu i po raz drugi w wieku lat dwudziestu trzech, a potem jeszcze raz, już po trzydziestce. Straciła prawo do opieki nad synem w wyniku głośnego procesu, w którym decydującym czynnikiem okazała się narodowość dziecka. Jego ojciec był Włochem. Daffy musiała dokonać wyboru i zamieszkać we Włoszech albo zrezygnować z syna. Zrezygnowała z syna. Bądź co bądź, nie można wymagać od matki zbyt wielu wyrzeczeń. Dwaj pierwsi mężowie nie byli od niej bogatsi, ale wspólne pokrywanie kosztów nigdy nie wchodziło w rachubę. Daphne wyszła z tych obu małżeństw - podczas których żyła na koszt mężów - o wiele bogatsza niż była przedtem. Aktualne małżeństwo z panem Brockingsem Langstarem budziło większe wątpliwości.

Kiedy postanowiła spędzać miesiące letnie w Hampton, sugerowała, że dom Prune jest teraz dla matki zbyt duży. Prune zwolniła część służby i zamknęła skrzydło domu, ale nie chciała ustąpić, więc Daphne musiała sięgnąć do własnych pieniędzy. Kupiła półtorahektarową posiadłość w Mecox Bay, należącą niegdyś do potomka słynnego producenta samochodów.

Tam właśnie podążyłem, pożegnawszy się z Kalebem. Na szosie panował spory ruch, zwłaszcza kiedy zbliżyłem się do nadmorskich miasteczek. Zjechałem z autostrady, wstąpiłem do przydrożnej knajpy, zamówiłem hamburgera i zacząłem się zastanawiać nad tym, co powiedział mi szeryf. Peretti musiał już o tym wiedzieć, a mimo to wypuścił mnie na Kaleba. Miałem wrażenie, że wydarzenia dobiegają końca, że w układance brakuje już tylko kilku kawałków. Czekaając na mój posiłek i obserwując zwykłych ludzi zastanawiałem się, czy naprawdę chcę dalej śledzić tę historię. Zacząłem to robić, gdyż wydała mi się interesująca - a poza tym straciłem przyjaciela. Ale teraz czułem, że wszystko to może prowadzić do niefortunnego zakończenia.

Kiedy dojechałem do Mecox Bay, niebo złociło zachodzące słońce. Nie byłem u Daphne od kilku lat. Nie zamieniłem z nią ani słowa od dnia, w którym weszła do sali sądowej, by zeznawać przeciwko mnie. Podjeżdżając do wymyślnej, kutej żelaznej bramy ozdobionej godłem, które widnieje na maskach setek milionów samochodów, zastanawiałem się, co tu do diabła robię. Wiedziałem, że kiedy Prune dała mi posadę, doszło do okropnej kłótni między nią a córką. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego Daffy tak bardzo mnie nienawidzi; może dlatego, że ja lubię jej matkę, a ona nie.

Brama była zamknięta. Do ceglanego obmurowania przymocowana była skrzynka domofonu. Doszedłem do wniosku, że jeśli naciśnę guzik i podam swoje nazwisko, mogę usłyszeć w odpowiedzi, że Daffy nie ma w domu. Daffy, podobnie jak większość ludzi,

którzy nie muszą się przejmować perspektywą ponownego kontaktu z kimkolwiek, nie znała znaczenia takich pojęć jak skrucha czy wyrzuty sumienia. Żyła w stanie ciągłego zniecierpliwienia. Mogło ono być skierowane przeciwko przyjaciółce, która spóźniła się na lunch, fryzjerowi, który zbyt krótko obciął jej na zimę włosy, maklerowi giełdowemu, prawnikowi, sąsiadowi - każdemu, kto miał nieszczęście zetknąć się z nią w dniu, w którym uważała, że świat nie chce jej zaakceptować na jej własnych warunkach.

Wysiadłem więc z samochodu, przycisnąłem guzik i kiedy ktoś się odezwał, powiedziałem:

- Policja.

Nawet bogaci nerwowo reagują na wizyty stróżów prawa. Większość z nas ma coś do ukrycia.

- O co chodzi? - zapytał ten sam głos.

- O alibi pani Langstar - odparłem głośno.

Nastąpiła długa cisza. Wyobraziłem sobie jak Charley - czarny lokaj, który podjął pracę u Daffy, kiedy Prune ograniczyła liczbę służby - idzie przez wielki dom, by oznajmić swej siedzącej w salonie pracodawczyni, że przyjechała policja i chce sprawdzić jej alibi. Miałem nadzieję, że Daphne gra akurat w brydża z trójgiem zaproszonych gości.

Nie usłyszałem więcej głosu Charleya, ale brama została w końcu otwarta. Wsiadłem z powrotem do samochodu, minąłem ją szybko i pojechałem powoli szerokim podjazdem wysadzonym kwitnącymi rododendronami. Dom był dużą, rozległą letnią rezydencją, nie wyróżniającą się niczym szczególnym, dopóki jeden z byłych właścicieli nie poślubił włoskiej markizy, która przerobiła ją ogromnym kosztem, by pokazać Amerykanom, na czym polega prawdziwie dobry gust. Od tej pory dom kilkakrotnie zmienił właścicieli, a ja, zataczając kółko wokół gazonu zauważyłem, że Daphne usunęła wszystkie naczynia z te-rakoty i ozdobne cyprysy sprowadzone tu przez Europejkę. Dom stał się ponownie dużym, białym budynkiem z wielkimi oknami, których większość osłaniały biało-zielone markizy, i zielonymi drzwiami frontowymi ozdobionymi mosiężną kołatką.

Zielone drzwi otworzyły się, gdy wysiadłem z samochodu. Stał w nich Charley, czarnoskóry lokaj.

- Pan Harriman... - powiedział ze zdziwieniem.

- We własnej osobie - odparłem, podchodząc do drzwi.

- Spodziewaliśmy się... - zaczął, a potem zrozumiał i spojrzał na mnie z wyrzutem.

Charley wiele przeżył przy tej rodzinie i można było przypuszczać, że będzie pracował u Daphne aż do końca, bez względu na to, jak będzie wyglądać ten koniec.

- Okłamał mnie pan, panie Harriman - powiedział Charley. Jego włosy były już niemal zupełnie siwe. Zanim przeniósł się do Daphne, pracował u Prune przez dwadzieścia lat.

- Owszem - przyznałem.

Charley przymknął lekko drzwi. Można było mieć pewność, że zawsze zachowa się właściwie. A ja byłem bądź co bądź członkiem rodziny, więc nie mógł mi ich zatrzaskać przed nosem. Zostawiał to Daphne.

- Będę musiał porozmawiać z panią Langstar - oznajmił.

- Nie zadawaj sobie tyle trudu - odpowiedziałem popychając drzwi i wchodząc do środka. - Sam z nią porozmawiam.

Charley z ociąganiem zamknął za mną drzwi. Panował mistrzowsko nad tego rodzaju sytuacjami. Pracując u Daphne musiał widzieć tyle dramatów, że wystarczyłyby one na wypełnienie programu telewizyjnego przez cały rok. Pozwolił mi przejść po lśniącej posadzce, minąć kosz z różami sięgającymi powyżej mojej głowy i wejść do żółto-białego salonu, w którym wśród portugalskich dywanów, antycznych mebli i angielskich kwiatów ogrodowych czekała z lodowatym wyrazem twarzy Daphne, gotowa stawić czoło policji.

Okna salonu osłonięte były biało-zielonymi markizami, chroniącymi je przed popołudniowym słońcem. Daphne ustawiła się obok białego, rzeźbionego kominka. Było to miejsce, z którego mogła okazać policjantom całą siłę swych pieniędzy i swej pozycji społecznej. Na mój widok zaniemówiła z oburzenia, a jej twarz zastygła w grymasie wściekłości.

Charley wyrósł jak spod ziemi tuż obok mnie.

- Pani Langstar - oznajmił, jakby Daffy oślepla w ciągu ostatnich kilku sekund. - Pan Harriman.

Zauważyłem, że Daphne zastanawia się, czy może mnie wyprosić. Miała do wyboru niewiele możliwości. Mogła polecić Charleyowi, żeby mnie wyrzucił, lecz nie zrobiła tego. Mogła też wezwać policję. Ale miałem silne podejrzenie, że dziś tego nie zrobi.

- Dziękuję, Charley - powiedziała lodowatym tonem. Byłem pewien, że Charley usłyszy jeszcze o tej sprawie. Ale wiedziałem, że nie zrobi to na nim wrażenia. Musiał znać tajemnice Daphne lepiej niż jej własny pamiętnik.

- Dobrze wyglądasz, Daffy - powiedziałem, gdy lokaj odszedł. Rozwój wydarzeń napawał mnie niepokojem, ale muszę przyznać, że stojąc teraz w chłodnym, żółto-białym salonie odczuwałem wielką satysfakcję. Materiał, którym obite były dwie stojące obok kominka kanapy - pąsowe róże na czarnym tle - kosztował trzysta dolarów za metr. Wiedziałem o tym, bo Harry pokazał mi ten sam gatunek obiciówki pytając: „Co o tym myślisz? Czy uważasz, że warto płacić trzy stowy za metr, żeby siedzieć na czymś takim?”

Daphne była zwolenniczką teorii Claudette Colbert, która twierdziła, że aby uniknąć starzenia się, należy nigdy nie zmieniać fryzury. Jej włosy nadal sięgały niemal do ramion i były z lewej strony rozdzielone przedziałkiem, ale wydawały się jaśniejsze niż dawniej. W korzystnym świetle salonu wyglądała tak młodo, jak w dniu swojego debiutu towarzyskiego.

Odwróciła się do mnie plecami, a ja zauważyłem za jej uszami ślady pierwszej operacji plastycznej. Szyja starzała się, ale skóra twarzy, w wyniku działań chirurga, była nieco bardziej napięta.

- Przypuszczam, że masz ważny powód - powiedziała do mnie.

- Jest to kwestia zasady - odparłem powtarzając słowa, za pomocą których usprawiedliwiała wytoczenie mi sprawy sądowej.

- Owszem, rozumiem, że może cię to bawić - stwierdziła nie patrząc w moim kierunku. Jej lodowaty ton miał mi uświadomić, że moje postępowanie jest poniżej krytyki. Byłoby to skuteczne w przypadku wielu osób, ale na mnie nie zrobiło wrażenia.

- Słyszałem, że byłeś za stodołą - powiedziałem.

W domu panowała cisza. Nie była to cisza pustej rezydencji Harry'ego, w której czuło się w powietrzu śmierć. Był to spokój dobrze prowadzonego domu. Ale znając inne tego rodzaju domy wiedziałem, że ktoś może nas podsłuchiwać.

Daphne również to wiedziała.

- Chodźmy do ogrodu - zaproponowała.

Idąc w stronę drzwi niemal się o mnie otarła. Nie spojrzała w moim kierunku, ale ja przyjrzałem jej się uważnie i zauważyłem, że w ciągu ostatnich lat starannie o siebie dbała. Ledwie widoczne blizny od skalpela chirurga, który odmłodził jej twarz ściągnąjąc skórę za uszy, były białe jak mleko na tle tenisowej opalenizny. Zabieg ten utrudnił jej okazywanie uczuć. Wysoka, szczupła sylwetka, obleczona w jasnozieloną suknię, robiła wrażenie ożywionej mumii. Chodziło o uzyskanie efektu beztrioskiej młodości powleczonej politurą elegancji, ale w oczy rzucały się w gruncie rzeczy pieniądze. Przeszła po wyfroterowanej posadzce przedpokoju i otworzyła drzwi do ogrodu. Podążyłem za nią myśląc o tym, że jej obecny mąż, bankier, jest zapewne gdzieś w pobliżu. Ci biedni, pracujący jak woły ludzie przyjeżdżali do Hampton tylko na weekendy, bo musieli codziennie wlec się na Wall Street. Od poniedziałku od piątku, od ósmej do siódmej, dbali o stan swych rodzinnych fortun. Ich kobiety, takie jak Daphne, wyjeżdżały do letnich rezydencji, przeżywały romanse, rozpuszczały swe dzieci i zastanawiały się, dlaczego nie są szczęśliwe.

Rozpościerający się za domem ogród Daphne robił równie imponujące wrażenie, jak jej rezydencja. Nienagannie utrzymany jasnozielony trawnik znaczyły tu i ówdzie kępy szlachetnych krzewów różanych, wymagających odpowiedniej gliniastej gleby i stałej opieki ogrodnika. W popołudniowym, ciepłym powietrzu unosił się ich aromat, którego nie da się powielić w butelkach. Daphne odeszła daleko od domu, z którego mógłby ktoś nas usłyszeć, minęła sięgające jej do ramion krzewy różane i zatrzymała się na końcu trawnika, za osłoną kęp sitowia, które jak brązowe włócznie sterczały w srebrnym świetle płynącym znad zatoki. Rozglądając się, ujrzałem lecący w naszą stronę hydroplan. W pewnym momencie gwałtownie zmienił kierunek, wysunął pływaki i wylądował na gładkiej powierzchni wody.

Jeśli już ktoś musi dojeżdżać do pracy, to przelot z Dwudziestej Trzeciej Ulicy Manhattanu na własne podwórko jest z pewnością wygodnym sposobem odbywania takich podróży.

Dogoniłem ją przy końcu trawnika. Aromat róż był tu obezwładniający. W powietrzu unosił się smak słonej wody. Hydroplan wylądował po drugiej stronie zatoki i zataczając łuk płynął teraz do brzegu.

Daphne stała wyprostowana jak wartownik, obserwując samolot.

- Brock musiał pojechać do miasta - oznajmiła. - To z pewnością on. - Nie wydawała się zachwycona wizją jego powrotu.

- Czy on wie?

Mrużąc oczy obserwowała hydroplan, który zbliżał się do zasłoniętej przez trzciny przystani.

- Nie - odparła potrząsając głową.

- A zamierzasz mu powiedzieć?

Zerknęła na mnie. Miała oczy swojej matki, ale podczas gdy w oczach Prune lśniła przewrotna inteligencja, spojrzenie Daffy wyrażało tylko złość.

- Nie, jeśli nie będę do tego zmuszona. - Powietrze wypełnił ryk śmigieł. Trzciny zafalowały, poruszone podmuchem.

- Trudno będzie to utrzymać w tajemnicy. Spojrzała na mnie tak, jak robiła to, kiedy była dzieckiem i chciała okazać gniew.

- To wszystko nie ma ze mną nic wspólnego - oznajmiła ze złością.

- Daj spokój, Daffy. Harry Boetchner został zamordowany, a świadkowie twierdzą, że widzieli cię na miejscu zbrodni.

- O Boże - powiedziała tak dramatycznym tonem, jakby nagle uświadomiła sobie konsekwencje swego nocnego wyskoku. Silniki hydroplanu ucichły nagle. Słychać było plusk wzburzonej wody, kwakanie kaczek i dochodzące z przystani głosy mężczyzn.

- To zupełnie w stylu tego durnia - wybuchnęła Daffy. - Żeby uwikłać nas wszystkich w swoje brudne afery.

Przez chwilę myślałem, że nie rozumiem, o co jej chodzi. Zanim zacząłem się śmiać, powiedziałem:

- Daffy, przecież to ciebie przyłapano bez majtek.

Odwróciła się tak szybko, że nie zdążyłem zrobić uniku. Uderzyła mnie otwartą dłonią prosto w usta. Poczułem ostry smak własnej krwi. W ciągu ułamka sekundy byłem jeszcze gotów zmienić plany, ale potem pomyślałem: Do diabła z tym, i uderzyłem ją grzbietem dłoni. Zatoczyła się aż do miejsca, w którym z krawędzi trawnika wyrastały trzciny. Jej wysokie obcasy zaryły się nagle w ziemię, a ona z okrzykiem wściekłości upadła na bagnisty grunt. W przypływie współczucia chwyciłem ją z przodu za lnianą suknię i wyratowałem z opresji. Na jej poblady policzku dostrzegłem ślad mojej ręki.

- Nigdy więcej tego nie rób - ostrzegłem ją.

- Uderzyłeś mnie - powiedziała z niedowierzaniem.

- Owszem - odparłem. - To się czasem zdarza w normalnym życiu, a ja ostrzegam cię, Daffy, żebyś tego nigdy więcej nie robiła, bo zawsze ci oddam. - Nie podobało mi się moje uczucie zadowolenia z własnej reakcji. Moja ręka zrobiła to jakby automatycznie. Miałem ochotę uderzyć ją ponownie.

Żeby się powstrzymać, puściłem jej suknię i zrobiłem krok do tyłu. W tym momencie zobaczyłem jej męża, Brockingsa Langstara, który szedł długim pomostem w kierunku trzcin. Wyglądał jak stereotyp brokera giełdowego. Był równie wysoki jak Daffy, a jego rzednące włosy przedzielone były wysoko nad czołem. Miał na sobie rogowe okulary, dokładnie takie same, jakie nosił jego ojciec, oliwkowe letnie ubranie i lśniące buty. Choć z tej odległości nie mogłem rozróżnić kolorów jego krawata, wiedziałem, że będzie w ukośne paski.

- Czy odbędzie się rozprawa wstępna? - spytała Daffy nerwowo.

- Oczywiście.

- I wszystko musi wyjść na jaw?

Brockings wchodził już z pomostu na trawnik. Spojrzał w naszym kierunku i rozpoznał mnie. Szybko ukrył zaskoczenie i przybrał życzliwy wyraz twarzy.

- Ben! - zawołał z oddali. Mógł to być równie dobrze okrzyk radości, co zdziwienia lub oburzenia.

- Będziesz musiała mu powiedzieć - oznajmiłem. Staliśmy blisko siebie patrząc na jej nadchodzącego męża, jak krewni, zjednoczeni w obliczu skandalu.

- Nie mogło się to zdarzyć w mniej odpowiednim momencie - odparła, a ja ponownie zwalczyłem pokusę wybuchnięcia śmiechem.

Ale Brockings stał już tuż przede mną, trzymając w lewej ręce skórzaną teczkę i wyciągając do mnie prawą.

- Jak się masz, stary? - zapytał.

Może z powodu lekkiego bólu, jaki nadal odczuwałem w dłoni po uderzeniu jego żony, albo z powodu reakcji Daffy na wiadomość, że została wplątana w śmierć Harry'ego, odpowiedziałem bez zastanowienia:

- No cóż, jestem zrujnowany, za dużo piję, a ostatnio przyłapałem się na rozważaniach o sensie życia.

Brokings, jako człowiek dobrze wychowany, przestał się uśmiechać.

- Co ty powiesz? - spytał takim tonem, jakbym mu oznajmił, że zacząłem grać w tenisa. - To świetnie, to świetnie. - Nie byłem pewien, czy ma na myśli moje bankructwo, pijaństwo, czy rozważania o sensie życia. Wysunął swój opalony przegub z mankietu białej koszuli, zerknął na zegarek i dodał: - Chyba już niedaleko do zachodu słońca.

- Już jest zachód - odparłem patrząc w stronę pomostu, od którego odbijał hydroplan. Jego silnik zaryczał, uniemożliwiając na minutę lub dwie jakąkolwiek rozmowę. Daffy odwróciła się do nas plecami. Widziałem, jak Brockings zerka na nią, a potem spogląda nad trawnikiem i trzcinami w kierunku zatoki. Hydroplan płynął w stronę jej środka. Potem, gdy był już na spokojnych wodach, zaryczał głośniejszym głosem, przyspieszył, wzbił się w powietrze i odleciał w kierunku zachodzącego słońca.

Staliśmy w milczeniu, dopóki nie wzniósł się wysoko w górę i nie skręcił w kierunku Manhattanu. Brockings spojrzał w twarz swej żony i dostrzegł na jej policzku ślad po moim uderzeniu.

- Co się stało?! - wybuchnął.

- Zamknij się, Brock - odparła krótko Daphne.

Brockings poczerwieniał. Unikając mojego wzroku, powiedział:

- Chyba wypiję jednak tego drinka od razu - i odszedł po trawniku w stronę domu.

- Nie mogło się to zdarzyć w mniej odpowiednim momencie - powtórzyła z wściekłością Daffy.

- Jestem pewien, że kiedy następny z twoich znajomych umrze, wybierze bardziej stosowny termin.

Odeszła o kilka kroków i patrzyła na pomarszczoną powierzchnię wody.

- Ty musisz mnie nienawidzić - powiedziała.

- Owszem - odparłem. - Można tak to ująć.

- Postąpiłeś wobec mnie podle. Ukradłeś moje pieniądze.

Przyszły mi do głowy trzy lub cztery podle postępki, jakich dopuściła się w życiu Daffy, ale ich przypominanie byłoby bezsensowne. Daffy była - jak wiele znanych mi kobiet - tak skupiona na sobie, że wszystko, co robiła, wydawało jej się usprawiedliwione, a każdy uczynek narażający ją na niewygodę był równoważny w jej pojęciu ze zbrodnią przeciwko ludzkości.

Odwróciła się do mnie, a ja zauważyłem, że ślad po uderzeniu znika już z jej twarzy. Była porcelanową piękną. Wiedziałem, że kiedy przestanie być dziewczyną, a nie będzie jeszcze starą wdową, jej uroda może być porywająca. Wołałem nie myśleć o tym, jak będzie traktować ludzi jako stara wdowa.

- Chciałam coś udowodnić mamie - mruknęła przekornym tonem.

- Wybrałaś interesujący sposób. Pamiętaj, że to mnie pozwałaś do sądu.

- Wy oboje zawsze byliście tacy sami - krzyknęła, a potem szybko zerknęła w stronę domu, w którego otwartych drzwiach stał jej mąż. Poczekała, aż zniknie we wnętrzu, a potem dodała już spokojnie: - Wyśmiewaliście się z nas wszystkich.

- Ty z pewnością śmiałaś się ostatnia, Daffy - stwierdziłem pojedynczym tonem.

Opuściła głowę i choć nie mogłem być tego pewien, bo słońce stało już nisko nad horyzontem, wydawało mi się, że widzę na jej twarzy rumieniec.

- Wcale nie tego chciałam - oznajmiła. Wiedziałem, czego chciała. I to było najgorsze.

Chciała miłości matki. Prune, na swój własny sposób, robiła co mogła. Ale ona również pragnęła miłości od swojej matki, która była do niej niezdolna. Był to nie kończący się łańcuch uczuciowych klęsk.

- Zapomnijmy o przeszłości - powiedziałem. - Do diabła z tym wszystkim.

- Dziękuję ci - szepnęła. Było to w jej wydaniu coś w rodzaju przeprosin. Ale jakie miałem prawo się ich spodziewać? Miała rację. Ukradłem jej pieniądze.

Wciągnęła głęboko powietrze, spojrzała na dom i odwróciła się do niego plecami, jakby w obawie, że Brockings usłyszy jej słowa.

- To się nie sprawdza - szepnęła.

Chciałbym móc powiedzieć, że jestem zaskoczony. Ale podejrzewałem, że w dziedzinie życia małżeńskiego nic się dla niej nigdy nie sprawdzi. To, że nadal podejmowała próby, było dowodem jej odwagi.

- Przykro mi - wybąkałem.

- To drań - ciągnęła, niemal z uśmiechem. - Zawsze tak uważałeś, prawda?

- Owszem - przyznałem. I dodałem po chwili: - Dlaczego za niego wyszłaś?

Myślałem, że się rozplacze. Widok tej spokojnej, nieskazitelnej twarzy zalanej łzami byłby okropny. Mimo że jej wybaczyłem, nie byłem wcale pewien, czy potrafiłbym objąć te szczupłe ramiona i próbować ją pocieszać. Związek między nami nie miał takiego charakteru i wiedziałem, że to się nie zmieni.

- Lubię być zameżna - odparła. Spojrzała na mnie z gniewem, jakby myślała, że się jej przeciwstawię. - Wszyscy nasi znajomi są zawsze połączeni związkami małżeńskimi, choć nie zawsze z tymi samymi ludźmi. Wiesz o tym dobrze.

- Bo dzięki temu łatwiej jest ich rozsadzać na przyjęciach - mruknąłem myśląc o tym, że Daffy ma w gruncie rzeczy rację. Nasi znajomi lubili małżeńską zabawę w komórki do wynajęcia. Kilka lat wcześniej byłem na weselu i siedziałem przy stole z dwunastoma osobami, z których wszystkie były z sobą wzajemnie związane przez małżeństwo lub rozwód. Żadna z nich nie zechciała tego skomentować.

- Ty zawsze traktowałeś nas wszystkich z sarkazmem - powiedziała Daffy. - Chciałeś skorzystać z tego, co najlepsze, i wyśmiewać się z nas.

- Nie chciałem wyśmiewać się z ciebie, Daffy.

- Nigdy w życiu niczego nie traktowałeś poważnie, Ben - dodała oskarżycielskim tonem. - Nie próbuj mi wmawiać, że bankructwo zrobiło z ciebie lepszego człowieka. Zawsze miałeś poczucie wyższości. Zawsze czuliśmy się przez ciebie...

Staliśmy w milczeniu, obserwując przez chwilę poruszone wiatrem trzciny. Na zatokę wypłynęła kaczka prowadząca stadko młodych. Daffy śledziła ją wzrokiem. Cała powierzchnia wody była teraz złota. Słońce wyglądało jak pastelowa akwarela. Choć Daffy nie poruszyła się, miałem wrażenie, że oddala się ode mnie po swym kosztownym trawniku.

- To wydawało się tak mało skomplikowane... - szepnęła.

- Teraz już tak nie jest, Daffy - odparłem zrozumiałwszy, że mówi o swej przygodzie z zastępcą Kaleba.

- No właśnie. - Znów spojrzała w złotą czarę nieba, jakby spodziewając się znaleźć tam odpowiedź. - Dlaczego tak jest, że skróty okazują się zawsze najdłuższą drogą do celu...

Było to w jej ustach bardzo dziwne stwierdzenie. O ile wiedziałem, nigdy w życiu nie miała najmniejszych skłonności do filozoficznego myślenia. Ale może źle ją oceniałem. Wszyscy uważamy, że nasze własne życie jest skomplikowane i interesujące, a życie otaczających nas ludzi płytkie i egocentryczne.

- Brock był pijany - ciągnęła. - Dlaczego wszyscy, których znamy, są zawsze pijani?

- Chyba po prostu mają szczęście.

- No widzisz - powiedziała, niecierpliwie potrząsając głową. - Taki właśnie jesteś.

Znów się z nas wyśmiewasz.

- Nie, Daffy. Nie wyśmiewam się. Masz słusność. Nie wiem, dlaczego wszyscy, których znamy, są zawsze pijani. - Nie była to oczywiście cała prawda. Ci, którzy nie pili, wciskali sobie do nosa biały proszek. To jeszcze szybszy sposób destrukcji. Inni, może bardziej szczęśliwi, zaharowywali się na śmierć, próbując zarobić więcej pieniędzy niż ich rodzice i dziadkowie. - Nie znam odpowiedzi na to pytanie. Prune już teraz nie pije.

- Wiem o tym - odparła. W jej głosie wyczułem ból. To Daphne zerwała stosunki z matką. Mimo całej swej głupoty była kobietą dumną. Rozumiałem to. Duma pozwala ludziom robić masę głupstw.

- Ona cię kocha, Daffy. Powinnaś być z niej dumna.

- Posunąłem się zbyt daleko, zbyt szybko. Widziałem, jak zbiera siły, by odepchnąć od siebie sentymenty.

- Brock był w klubie - powiedziała. - Siedział w barze i opowiadał te kretyńskie historyjki, jakie opowiadają sobie mężczyźni. - Przerwała i zastanawiała się nad tym przez chwilę. - Tak czy owak ja poczułam się zmęczona czekaniem, aż wyjdzie z baru. Wiedziałam, że kiedy z niego wyjdzie, będzie za bardzo pijany, żeby prowadzić samochód. Ale będzie się upierał. Więc po prostu się ulotniłam. Wzięłam kluczyki, wyszłam na dwór i chciałam jechać do domu. - Znów zerknęła w kierunku swego domu. Był to wspaniały dom, zbudowany z nieskazitelnym smakiem, a w jego wszystkich oknach odbijało się teraz słońce. Ale widziałem wyraźnie, że i on - podobnie jak tyle innych prób osiągnięcia szczęścia - przyniósł jej rozczarowanie.

Kiedy odezwała się ponownie, jej głos był cichy i refleksyjny.

- Nie chciałam tutaj wracać. Tylko Charley mieszka tu na stałe, a pokojówki są dochodzące. - Weszła w rolę pani domu i przez chwilę wydawała się wyższa. - Znalezienie stałej służby jest teraz prawie niemożliwe, czy wiedziałeś o tym? Ci nowi ludzie... - Wskazała gestem na drugą stronę zatoki, w kierunku dzielnicy stłoczonych na małych działkach domków Harry'ego, szczęśliwie niewidocznych z okien jej milionerskiej rezydencji, a sprzedawanych po ćwierć miliona dolarów. - Nie uwierzyłybyś, ile oni płacą służbie. Całkowicie popsuli rynek. - Być może usłyszała samą siebie, bo nagle przestała mówić. A może zrobiła to dlatego, że Brockings wyszedł z domu ze szklanką w ręku i patrzył w naszym kierunku. Musiała pomyśleć, że jej mąż zechce się do nas przyłączyć, bo wyraźnie przyspieszyła swą opowieść. - Postanowiłam przejść się do stajni, żeby odetchnąć świeżym powietrzem. Wiedziałam, że teraz, przed konkursem, będzie tam kilka wspaniałych koni. Chciałam spojrzeć na nie, a potem wrócić do klubu i jeśli Brock będzie nadal w barze, pojechać do domu bez niego.

Stojący w drzwiach Brockings był już bez marynarki, ale dotąd nie zmienił spodni od swego oliwkowego garnituru. Widziałem, że zdjął krawat i rozpiął guziki koszuli, pod którą miał biały podkoszulek z krótkimi rękawami. Gdybym musiał, potrafiłbym wymienić wszystkie części jego garderoby. Potrafiłbym powiedzieć, gdzie kupuje krawaty i bieliznę. Potrafiłbym opisać jego swetry i wiatrówki, w których pływa łodzią. Nie ruszył w naszym kierunku, a Daffy ciągnęła już spokojniejszym tonem:

- Kiedy dotarłam do stajni, ten... ten...

- Zastępca szeryfa - podpowiedziałem jej. Rzuciła mi przelotne spojrzenie.

- Znasz go?

- Owszem.

Moja odpowiedź jakby ułatwiła jej wyznanie.

- Wiesz, on jest popularny. Liczne moje przyjaciółki... - Przerwała i myślała przez chwilę. - Tak czy owak słyszałam o nim, ale dopiero wtedy go zobaczyłam. Weszłam do stajni, a on siedział tam i słuchał tranzystorowego radia. Nie powinien był tego robić. To denerwuje konie. Radio grało bardzo głośno.

Wyobraziłem sobie, jak Daffy wchodzi do stajni w wieczorowym stroju, tak dobranym, by nie wydał się przesadnie elegancki jak na letni wieczór w klubie. Widziałem, jak idzie w kierunku stajni z zamiarem obejrzenia koni. A potem jak słyszy muzykę i wchodzi do środka, przyciągnięta inną, może mniej konkretną perspektywą.

- Powiedziałam mu - ciągnęła wpadając w ton wygłaszającej wykład dyrektorki szkoły - że to jest szkodliwe dla koni, że je denerwuje. A on - dorzuciła, jakby miało to jakieś znaczenie - powiedział, że musi coś zrobić, żeby nie zasnąć.

Dodałem teraz do mojej wizji obraz Rona rozmawiającego w stajni z Daffy. Nigdy nie widziałem go bez munduru, ale mundur był na tyle dopasowany, że mogłem go sobie wyobrazić w sportowym stroju. Ubrałem go w dżinsy i zwykłą koszulkę. Może w kowbojskie buty. Tak czy owak musiał wyglądać jak wyobrażenie Daffy o chłopcu stajennym. Mógłbym się założyć, że od tej pory ich dialog był zaczerpnięty z taniej powieści. Atrakcyjna kobieta, niewątpliwie mająca na sobie skromną, letnią biżuterię, widzi chłopca stajennego, z którym spało wiele jej przyjaciółek. I mężczyzna, nie znający nikogo z jej sfery oprócz kobiet, które zaciągnął do łóżka.

Aby potwierdzić wiarygodność tej wizji, Daffy powiedziała:

- Byłam wściekła na Brocka. Tak czy owak rozwodzimy się. Nie mówiliśmy jeszcze o tym. Ale tak jest.

Brockings Langstar nie miał tyle pieniędzy co Daffy. Ale miał ich dość. Jego ojciec był prezesem linii kolejowej, która zbankrutowała. On sam został wykształcony w prywatnych szkołach, korzystał z prywatnych odrzutowców i składał wizyty w Białym Domu. Ale odziedziczony majątek pozwalał mu zaledwie na to, by nadal żyć w stylu, w jakim został wychowany. Bez Daffy nie mógłby sobie pozwolić ani na taką posiadłość jak ta, ani na mieszkanie nowojorskie. Można było zrozumieć, dlaczego Daffy powiedziała, że nie mogło się to zdarzyć w mniej odpowiednim momencie. Nowe prawa rozwodowe są niezrozumiałe dla bogatych kobiet.

Życie ich matek, które zmieniały mężów jak rękawiczki, było jednym wielkim rabunkiem. Teraz każdy mąż, który nie dbał o swe dobre imię, mógł skarżyć żonę o alimenty. Nic dziwnego, że Daffy zdecydowała się na przygodę z kimś, kto nie tylko posiadał referencje od jej przyjaciółek, lecz również nie mógł być chyba zagrożeniem dla jej małżeństwa.

- O której to było, Daffy? - spytałem cicho. Nie mogłem zdobyć się na współczucie, ale widziałem, że cała sprawa jest dla niej bolesna.

- Nie wiem - odparła z irytacją. - O której zamykają bar?

Bar zamykano zwykle około drugiej w nocy, ale nierzadko pozostawał otwarty tak długo, jak długo choć jeden z członków klubu trzymał się na nogach.

- To bardzo ważne, Daffy - powiedziałem.

- Późno - stwierdziła. Słońce zniknęło już za horyzontem, ale noc jeszcze nie zapadła. Cały świat zastygł w bezruchu; niebo było szare, a powierzchnia morza czarna. Brockings nadal stał w drzwiach domu. We wnętrzu było ciemno. Widziałem, jak odwraca się i wchodzi do środka. Po chwili zapaliło się światło w salonie.

- Było późno - szepnęła Daffy wpatrując się w ciemny trawnik.

- Jak długo byłaś w stajni? Zagryzła usta i przymknęła powieki.

- Dość długo - odparła. I dodała, mówiąc zarówno do siebie, jak do mnie: - On jest bardzo dobry, wiesz? Słyszałam, że jest dobry, ale...

Na tym polega syndrom „kochanka Lady Chatterly”. One wszystkie wierzą, że mężczyzna, który nosi broń, kosi ich trawniki albo nalewa im benzynę jest w pewien sposób prymitywniejszy i sprawniejszy seksualnie niż ich mąż. Być może tak jest. Moim zdaniem sprawa polega nie na tym, że ci mężczyźni są lepszymi kochankami, lecz na tym, że kobiety pozwalają sobie na większe wyuzdanie niż w swych małżeńskich łóżach. W moim pojęciu przyjaźń nie ma wiele wspólnego z miłością. I nie ma nic wspólnego z seksem. Ale odgrywa wielką rolę w życiu małżeńskim.

- Dokąd poszliście?

Nie miała ochoty odpowiadać na to pytanie.

- Czy to ma jakieś znaczenie?

- Usiłuję ustalić, kiedy stajnia nie była strzeżona - wyjaśniłem jej.

- Poszłam po samochód - odparła głośniejszym tonem niż było to konieczne. - Zostawiłam go pod klubem i pomyślałam, że kiedy Brock zobaczy go po wyjściu, domyśli się, że jestem w pobliżu. Gdyby pytał mnie, co robiłam, miałam zamiar mu powiedzieć, że przed powrotem do domu odbyłam długą przejażdżkę.

Był to interesujący aspekt całej sprawy. Poszła spacerem z klubu do stajni, zobaczyła, że miejscowy donżuan jest na miejscu i postanowiła mu się oddać. Później spokojnie wróciła i przestawiła samochód.

- Co było potem? - nalegałem. Wzruszyła ramionami.

- Nic. No, w każdym razie na początku niewiele. Nie chciałam oczywiście stawiać samochodu pod stajnią, więc zaproponowałam, żebyśmy się przejechali.

I tak wyglądała prawda. Stajnia pozostała całkowicie nie strzeżona, bo Daffy była wściekła na swojego męża, a Ron miał ochotę ją przelecieć.

- Dokąd pojechaliście?

- Niedaleko - odparła takim tonem, jakby stanowiło to okoliczność łagodzącą. - Skręciliśmy w jedną z dróg odchodzących od pola golfowego. Jest tam takie miejsce... - Nie dokończyła, ale byłem gotów się założyć, że jest to miejsce dobrze znane jej przyjaciółkom, miejsce, do którego można się było wymknąć spod kontroli męża, kiedy nadarzyła się stosowna okazja. Coś w rodzaju przytulnego gniazdka kochanków dla pań z towarzystwa. Wyobraziłem sobie te wszystkie zadbane damy, tarmoszone na tylnych siedzeniach swych drogich samochodów na skraju pola golfowego.

- Czy wiesz, jak długo tam byliście?

- Długo. - Spojrzała na mnie i uśmiechnęła się. - Nie sądzę, żebym kiedykolwiek była naprawdę kochana.

Było to zdumiewające stwierdzenie. Chciała chyba dać mi do zrozumienia, że wszyscy inni w jakiś sposób ją zawadzili. A teraz ktoś zaprowadził ją na skraj pola golfowego i dobrze przeleciał. Nigdy nie wyszłaby za Rona ani za nikogo w jego rodzaju, z tej samej prostej przyczyny, z której Tracy Egan nie mogła wtedy, przed laty, poślubić Harry'ego Boetchnera. No, może Tracy miałyby ochotę, ale jej matka nigdy by na to nie pozwoliła. Ale byłem gotów się założyć, że Daffy, opuszczając to tylne siedzenie, podjęła ostateczną decyzję i postanowiła porzucić swego męża.

- Czy kiedy skończyliście, mogła być już trzecia? - spytałem.

Znów wzruszyła ramionami.

- Nie wiem - odparła. - Wtedy nic mnie to nie obchodziło. Odwiozłam Rona do stajni, zostawiłam go tam i wróciłam do domu. - Spojrzała na rezydencję, w której płonęły już wszystkie światła. - Spodziewamy się gości na kolacji, muszę się przebrać. Czy masz jeszcze jakieś pytania?

- Czy powiedziałaś to wszystko Kalebowi?

- Komu?

- Szeryfowi - wyjaśniłem jej.

Wydało mi się dziwne, że w ogóle zna imię Rona, skoro nie wie, jak ma na imię szeryf.

- Część; nie wszystko.

Zaczęła się oddalać w stronę domu. Poszedłem za nią. Dostrzegłem teraz, że w jadalni, na lewo od drzwi, krząta się nakrywająca do stołu pokojówka. Kuchnia była po drugiej stronie, a jej okna wychodziły na podjazd. Domy ludzi bogatych zbudowane są inaczej niż domy przedstawicieli klasy średniej. Dla tych ostatnich kuchnia jest miejscem, w którym zbiera się cała rodzina, dlatego kuchnie wychodzą na trawnik, na basen lub na miejsce, na którym urządza się przyjęcie połączone z pieczeniem mięsa na ruszcie. Bogaci ukrywają je.

- Czy powiesz Brockowi? - spytałem z czystej ciekawości.

- To w gruncie rzeczy go nie dotyczy.

Było to ostatnie z serii jej egoistycznych stwierdzeń. Zostawiłem je bez komentarza. Po kilku krokach dodała:

- Kiedy wróciłam, był nieprzytomny. Chyba dotarł do domu taksówką.

Mogłem na podstawie własnych doświadczeń wyobrazić sobie dalszy ciąg. Brock, czując się winny z powodu pijaństwa w barze, nie pytał, gdzie była Daffy, a ona, mając własne tajemnice, nie dociekała, co się działo z nim.

- Czy on wie, o której wyszłaś z klubu? Wybuchnęła śmiechem. Byliśmy już na wąskim tarasie, przed samymi drzwiami.

- Kiedy pije tak dużo, urywa mu się film już po piątym lub szóstym drinku. To zdumiewające zjawisko. Chodzi, mówi, ale w istocie nie wie, co się z nim dzieje. - Spojrzała na mnie, a potem na drzwi. Wiedziałem, że nie będę zaproszony do środka. - Ludzie, którzy

za dużo piją - powiedziała oskarżycielskim tonem, a ja byłem pewien, że mówi o mnie i o swojej matce - nie mogą być zaskoczeni, kiedy inni chcą iść swoją drogą.

- Do widzenia, Daffy - powiedziałem. - Teraz, z bliska, dom był dobrym tłem dla jej opalonej skóry, jej modnie szczupłej sylwetki, zgrabnych nóg, kosztownych części garderoby i butów, które kosztowały sześćset dolarów i które zniszczyła, kiedy zaryła się w grząski grunt na końcu trawnika.

- Do widzenia, Ben - odparła i weszła do domu, zostawiając drzwi otwarte. Zamknięcie ich za sobą uważałaby za gest zbyt dramatyczny. Znalazła się w bezpiecznym schronieniu, w swojej rezydencji za milion dolarów. Tylko człowiek nachalny ośmieliłby się wejść za nią i zadawać dalsze pytania w towarzystwie jej męża. Choć mieliśmy do czynienia z morderstwem, wykorzystywała etykietę towarzyską mającą ochronić ją przed dalszym przesłuchaniem.

Obchodząc dom zajrzałem przez okno do jadalni, w której nakrywano do kolacji na osiem osób. Kwiaty, podobnie jak dom, były kosztowne lecz proste: anemony, peonie i białe bzy. Kryształowy pochodził z firmy Waterford. Serwetki pod talerze wykonane były z brukselskich koronek. Srebra odziedziczyła po babce. Talerze, na które zerknąłem przelotnie, idąc po trawniku obok innych okien, kupione zostały chyba w firmie Royal Crown Derby. Według ostrożnych obliczeń zastawa na tym wypoliturowanym stole warta była około sześciu tysięcy dolarów. Kiedy mijalem okna jadalni, weszła do niej właśnie pokojówka. Była to jakaś miejscowa dziewczyna, która wyglądała śmiesznie i niezręcznie w granatowym kitlu z białym fartuszkim. Nie była starsza niż Daffy, ale jej strój sprawiał, że przepaść między nimi była tak głęboka jak przepaść, która dzieliła przed tysiącem lat właściciela ziemskiego od chłopca pańszczyźnianego.

Wsiadałem właśnie do samochodu, kiedy usłyszałem czyjś głos, pytający:

- Czyżby zanosilo się na to, że szydło wyjdzie z worka?

Brockings stał pod ścianą domu, ukryty w cieniu starannie przyszczyżonych drzewek bukszpanu. Wszedł w krąg światła rzucanego przez dwie wiszące przy drzwiach frontowych latarnie powozowe.

- Nie jestem pewien - odparłem.

- Chryste - powiedział mieszając palcem swą szkocką whisky z wodą. - To nie mogło się zdarzyć w gorszym momencie. - Było to dziwne echo tego, co powiedziała na temat skandalu jego żona. Był już trochę pijany. Dawniej biznesmeni jeździli z City do domu samochodami służbowymi zaopatrzonymi w barek; dzięki temu mogli się upić, zanim stanęli przed obliczem swych żon. Ten hydroplan zmusił Brockingsa do zmiany stylu, ale udało mu się to szybko nadrobić podczas mojej rozmowy z Daffy. - Jestem w trakcie finalizowania poważnej transakcji. Nie uwierzyłbyś, co się dzieje na Wall Street. Wszystko wygląda tak, jak za dawnych czasów. - Zataczając się lekko, pociągnął ze szklanki. - Za dawnych lat,

kiedy nasi dziadkowie zarabiali tam pieniądze. To po prostu gorączka złota, Ben. Gorączka złota. A ja mam szansę dotrzeć do ludzi, którzy dysponują informacjami.

Dawał mi do zrozumienia, że nic go nie obchodzi, co robi jego żona, dopóki nie zmniejsza to jego szans na zabicie fortuny. Fortuny, która pozwoliłaby mu uwolnić się od niej.

- Myślę, że powinieneś pogadać z Daffy, Brock - powiedziałem łagodnie.

- Do jasnej cholery! - wybuchnął. - Wasza rodzina to banda kretynów. Nikt z was nie potrafi nic zrobić po cichu, prawda?

Wiedział. Może nie wiedział, z kim spała, ale wiedział, że jest w jakiś sposób zamieszana w śmierć Harry'ego Boetchnera.

- Dobranoc, Brockings - powiedziałem. Wsiadłem do samochodu, włączyłem silnik i światła, a potem pojechałem w stronę bramy. Pojawiały się pierwsze gwiazdy - małe drobne dziurki, wyklute w ciemnym spadochronie nieba. Zwalniając przed bramą poczułem się dziwnie wolny. Moja własna sfera opuściła mnie, a ja zmarnowałem życie i przetrwonilem pieniądze, więc odczuwałem wstyd i wyrzuty sumienia. Wiedziałem, że nie powinienem się tym dręczyć, ale nie umiałem się od tego powstrzymać. Tego wieczora, myśląc o tym, że nie jestem już częścią tego świata, po raz pierwszy poczułem prawdziwą ulgę. Przyjęcie, mające odbyć się niebawem w tej pięknej jadalni, musiało być okazją do gorzkich, choć dobrze mi znanych oskarżeń, a ja, w końcu, byłem zadowolony, że mam to wszystko za sobą.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Kiedy jechałem do Hampton, gwiazdy były tak zimne jak brylanty z firmy Cartier. Pod powierzchnią śmierci Harry'ego zaczął się wyłaniać pewien obraz. Być może tak bywa zawsze. Być może pod powierzchnią wydarzeń zawsze coś się dzieje, coś, co ujawnić może dopiero morderstwo.

Redakcja była już zamknięta. Mijając posterunek policji, dostrzegłem zaparkowany przed nim samochód Kaleba. Przez chwilę miałem ochotę wejść i zadać mu dręczące mnie pytanie dotyczące nie strzeżonej stajni. Potem nagle poczułem się tym wszystkim zmęczony. Byłem zmęczony tandetnością marzeń Harry'ego, zmęczony chciwością, którą zarazili się nawet ludzie miejscowi, byłem zmęczony Daffy i jej nieustannym zastanawianiem się, jak wydrzeć z każdego jak najwięcej uczuć, dając w zamian jak najmniej od siebie, a nawet biednym Brockingsem, usiłującym zrealizować pragnienia swego dziadka i zabić fortunę na Wall Street.

Przede wszystkim byłem zmęczony sobą. litością nad samym sobą, którą ukrywałem pod maską cynizmu.

Jadąc główną ulicą zauważyłem, że w hotelu panuje spokój. Weekend dobiegł końca. Połowa letnich przybyszów wyjechała o zachodzie słońca do miasta. Tkwiłi teraz w korkach

ulicznych na Long Island Expressway. Trzygodzinny dystans wydłuża się w lecie do pięciu godzin. Ale gotowi byli to zaakceptować, byle znaleźć się tu, wśród swoich.

Zaparkowałem na wolnym miejscu przed hotelem i zgasłem silnik oraz światła, nie zastanawiając się, po co tam wchodzę. Miałem dziwne, niepokojące uczucie dotyczące wczorajszej przygody miłosnej. Ale jak w przypadku większości nałogów, ciągnęło mnie tam ponownie.

Dyżur w recepcji pełniła młoda Chinka.

- Czy panna Lyle jest w hotelu? - spytałem.

Zwlekała przez chwilę z odpowiedzią. Szczegóły dotyczące śmierci Harry'ego musiały już rozejść się po całym mieście.

- Wyprowadziła się, Ben - odparła w końcu.

- Wróciła do tego domu?

Potrząsnęła swymi czarnymi, błyszczącymi włosami.

- Tego nie wiem. Po prostu się wyprowadziła. Powiedziała, że wraca do domu. Nie zostawiła żadnego adresu; niewielu naszych gości to robi.

Przy końcu baru tlił się w kominku ogień. Lato nie dobiegło jeszcze końca, ale hotel przygotowywał się już na nadejście jesieni. Wszedłem tam, usiadłem na stolku i zamówiłem koktajl martini. Myślałem o dziewczynie przebywającej w wielkim domu na wydmach. Pierwszej nocy był tam jakiś intruz. Musiała mieć sporo odwagi, by wrócić tam samotnie. Siedząc przy barze, myślałem o skradzionym świadectwie ślubu. Wyglądało na to, że ktoś nie chce, aby wystąpiła jako spadkobierczyni. Ale wyglądało również na to, że Harry nie zostawił wielkiego spadku.

Biedny Harry. Gotów był w średnim wieku zacząć wszystko od nowa. Całkiem nowe życie. Drobne, podziemne eksplozje dżinu zaczynały mnie już rozgrzewać. Całkiem nowe życie. Nie wydawało się to złym interesem. Ogień płonący za mną był zbyt gorący. Przesuwałem się wzdłuż baru, aż do miejsca położonego bliżej wejścia do jadalni. Siedział w niej Peretti, samotnie jedząc kolację. Miał na sobie to samo workowate ubranie i tę samą koszulę. Węzeł krawata zaciśnięty był wysoko pod szyją. Miałem wrażenie, że kołnierzyk koszuli musi go dusić.

Pochylił się nad talerzem, by nabrać na widelec kawałek gotowanego łososa, podniósł wzrok i zobaczył mnie. Spojrzał na mnie niechętnie, jakby myślał, że go szpieguję, a potem zrozumiał chyba, że siedzę po prostu przy barze i piję drinka. Gestem ręki zaprosił mnie do stołu. Po sekundzie lub dwóch przeszedłem przez jadalnię ze szklanką w ręku i usiadłem naprzeciwko niego. W jadalni były tego wieczora tylko dwie inne osoby; jakaś para, po której widać było wiele przeżytych wspólnie dziesięcioleci. Każde z nich jadło tak, jakby było owinięte plastikową folią, i nie zwracało uwagi na partnera. Mogliby równie dobrze siedzieć przy osobnych stołach.

- Pojechał pan zobaczyć się z tą swoją kuzynką, co? - spytał Peretti, zanim zdążyłem się z nim przywitać.

Biorąc pod uwagę, że wyjechałem od Daffy zaledwie pół godziny wcześniej, musiałem przyznać, że informacja ta dotarła do niego z szybkością światła.

- Chciałbym wiedzieć, skąd pan to wie? - oznajmiłem.

Nie przestając się obżerać, patrzył na mnie uważnie swymi małymi oczkami. Zauważyłem, że należy do ludzi, którzy jedzą wszystko po kolei. Skończył łososia i teraz opychał się gotowanym groszkiem.

- Chciałby pan, co? - mruknął.

Przeżywałem właśnie pierwszą, pozytywną reakcję na dżin, moment, w którym odczuwa się niezwykłą przenikliwość umysłu.

- Dzwoniła do pana - powiedziałem.

Chyba się uśmiechnął, ale trudno było to stwierdzić na pewno, bo miał w ustach pełno zielonego groszku.

- To może poderwać zaufanie do kogoś, prawda? - spytał.

- Chce, żeby pan to schował pod kloszem. Poruszał jeszcze przez chwilę ustami, potem przełknął groszek i odparł:

- Nie ma wielkiej ochoty wystąpić w charakterze świadka podczas postępowania wstępnego.

Próbowałem zgadnąć, na ile Daffy i Peretti mogli zbliżyć się do siebie, kiedy pozwała mnie do sądu i czy zaprosiła go kiedykolwiek do swego apartamentu na Piątej Alei. Potem zacząłem się zastanawiać, czy Peretti odwiedził dom w Mecox Bay. W mojej głowie pojawiły się nieprzyjemne myśli, ale był to z pewnością efekt dżinu. Czy Daffy, szukając pozamałżeńskiej satysfakcji, mogłaby wziąć pod uwagę takiego człowieka jak Peretti?

Zrobił plamę na swej koszuli. Zanurzył rozek serwetki w zimnej wodzie i zaczął ją czyścić. Nosił tę koszulę przez cały dzień. Może miał zamiar włożyć ją jutro, o ile uda mu się usunąć plamę. Peretti nie był w guście Daffy. Nie przypominał Rona, młodego zastępcy szeryfa, posiadającego określoną reputację. Ale żyłem wystarczająco długo, by wiedzieć, że nigdy nie można przewidzieć, kto z kim zechce się przespać. Większość ludzi nie potrafiła tego przewidzieć nawet w stosunku do siebie samych. Wszystko zależy od tego, na ile ciemna jest noc, jak samotnie ktoś się czuje, jak wielki ma żal do innych ludzi.

- Czy może pan to zrobić? - spytałem.

Rzucił serwetkę na talerz z resztkami kolacji. Zauważyłem, że jeden z naszych wzorowo wyszkolonych kelnerów, przechodzący akurat obok naszego stołu, skrzywił się z niesmakiem.

- To zależy - odparł podnosząc szklanę, w której przed chwilą zanurzał tę serwetkę, i wypijając duszkiem połowę wody. - Do postępowania wstępnego mamy jeszcze kilka dni. Może ktoś się przyzna.

Skomentował tę myśl dość nieprzyjemnym uśmiechem. Doszedłem do wniosku, że Daffy nie będzie mogła liczyć na przyjazne traktowanie przez sąd. Nie doceniła Perettiego. Bynajmniej nie zamierzał dbać o jej dobre imię i tuszować przygody z Ronem. Udowadniając publicznie, że jest dziwką, mógł nawet odczuć pewną satysfakcję. Zwłaszcza jeśli - jak zaczynałem podejrzewać - przyjechał tu po to, by znaleźć się blisko niej.

- A więc wy życie tak samo jak zwykli ludzie, co? - spytał i znów roześmiał się nieprzyjemnie, jakby informacja o tym, że kobiety z towarzystwa puszczają się na prawo i lewo, była dla niego przydatna. Zastanawiałem się, czy oskarżając mnie z niewspółmierną do ciężaru przestępstwa zjadłością chciał zdobyć względy Daffy. Wszystko zaczynało nabierać jakiegoś przewrotnego sensu: Peretti, jako zastępca prokuratora okręgowego z prowincjonalnego miasteczka, położonego blisko Hampton, mógł liczyć na pieniądze i wpływy, jakie zapewniłyby mu kontakty z dobrą rodziną. Być może Daffy świadomie wykorzystała ten fakt.

Źle pojęte poczucie obowiązku wobec rodziny kazało mi wystąpić w jej obronie.

- Wszystko to dowodzi, że stajnia nie była strzeżona - powiedziałem. - Każdy mógł się do niej dostać.

- Nawet ten jej mąż - stwierdził Peretti z satysfakcją, rozsiadając się wygodnie na krześle.

Kelner sprzątnął ze stołu jego talerz. Teraz popychał w naszą stronę wózek z deserami. Musiałem poczekać, dopóki Peretti nie wybrał sernika z malinami. Potem spytałem:

- Co pan ma na myśli?

Peretti wziął do ręki widelec i zatopił go w serniku w taki sposób, jakby była to śmiertelna broń.

- Do diabła - odparł. - Ten mąż siedzi pijany w barze. Żona wychodzi. Idzie do stajni. Postanawia puścić się z facetem, który miał pilnować koni. Załóżmy, że mąż wychodzi z baru. Nie może znaleźć żony. Byłem tam dzisiaj. Kiedy ktoś wyjdzie na dwór i spojrzy w dół, pierwszym budynkiem, jaki rzuca mu się w oczy, jest ta stajnia. Gdybym szukał swojej żony i podejrzewał ją o niewierność... nie wiem... wydaje mi się logiczne, że Langstar tam poszedł.

- A poszedł? - spytałem go obcesowo.

- Opuścił bar około drugiej. Twierdzi, że wyszedł na dwór i zaczął szukać samochodu, którego nie było. - A więc Brock musiał wyjść z klubu, kiedy Daffy przestawiła już samochód. - Mówi, że wrócił do klubu, zadzwonił po taksówkę i czekał tam na jej przyjazd.

Doszedłem do wniosku, że skoro Peretti to wszystko wie, musiał już rozmawiać z Brockingsem Langstarem. Ale Brockings Langstar wrócił do domu dopiero przed dwiema

godzinami. Kiedy Peretti zdążył ustalić, co robiła Daffy i jej mąż? Musiał wysłać kogoś do Nowego Jorku, kogoś, komu kazał porozmawiać z Brockiem. To tłumaczyło, dlaczego Brock wrócił tak nagle w niedzielę wieczorem. Ktoś musiał wcześniej wytropić go w jego klubie i odbyć z nim rozmowę. Kłopoty Daffy zaczynały się piętrzyć. Jej mąż wiedział już o jej przygodzie.

- Ten Langstar jest dość tępy - ciągnął Peretti. - Ale wy wszyscy wydajecie się tępi. Wyglądacie jak starzejący się Piotruś Pan, jeśli mnie pan rozumie. Tak czy owak mówi, że tej nocy, po jej powrocie do domu, doszło między nimi do kłótni. Począł na taksówkę, pojechał do domu i nie zastał tam żony. Więc czekał na nią aż do skutku. Rozmawiali o tym. Gdzie ona była. Twierdziła, że pojechała na przejażdżkę, ale on w to nie uwierzył, więc doszło do awantury. Spali w oddzielnych pokojach. Następnego ranka wsiadł do samolotu i poleciał do Nowego Jorku.

A więc dlatego Brock wyjechał tak nagle. Jeśli opuścił dom wcześniej rano, Daffy nie mogła go powstrzymać.

- On nie wiedział, że była w stajni z tym strażnikiem - mówił dalej Peretti. Pokroił sernik na dwanaście równych kawałków i kolejno wkładał je do ust. Włożył już cztery lub pięć, a teraz zaczął je przeżuwać.

- Czy powiedzieliście mu? - spytałem. Pokręcił przecząco głową.

Płynąłem już na fali dzinu. Wyobraziłem sobie klub, z którego kolejno wyczołgują się pijacy. Brock czeka przy wejściu na taksówkę, która o tej porze mogła przyjechać dopiero po godzinie. Daffy zabawia się na bocznej drodze z Ronem. Stajnia jest nie strzeżona. Harry musiał pojawić się mniej więcej o tej porze. Harry i kto jeszcze? Zacząłem się zastanawiać. Musiał tam być jeszcze jeden człowiek - morderca Harry'ego.

- To nie było zaplanowane - powiedziałem cicho.

Skupił na mnie spojrzenie swych bystrych, małych oczu. Pod zajadłością, z jaką oskarżał mnie przed sądem, ponownie dostrzegłem inteligencję. Peretti, podobnie jak większość z nas, mógł zajść dalej niż zaszedł. Może miał rację. Może gdyby miał takie możliwości, jakie mieli inni, nie siedziałby tu w tandetnym ubraniu, poplamionej koszuli i wyświeconym krawacie, ubiegając się o odrobinę rozgłosu. Może ubiegałby się o stanowisko gubernatora lub planował swą kampanię prezydencką. Byłem pewien, że on w każdym razie tak uważa.

- Nie - przyznał. - Nie wygląda na to. Idąc za tokiem własnych myśli, dodałem:

- Nikt nie wiedział, że Harry będzie w stajni.

Peretti żuł jeszcze przez sekundę lub dwie, a potem stwierdził:

- Mogła to wiedzieć jedna osoba.

- Jego żona - powiedziałem. Spojrzał na mnie przenikliwie.

- No właśnie - przyznał. Uznałem, że wie już o jej zniknięciu.

- Wyprowadziła się z hotelu - oznajmiłem.

- Taaak - powiedział, nadal patrząc na mnie badawczo. Usiłował wydedukować, jakie związki mogły łączyć mnie z tą dziewczyną. Zastanawiałem się, czy sam próbował ją poderwać ubiegłego wieczora. Uznałem to za niewykluczone..

- Nie chciałbym sam spędzać w tym domu nocy - powiedziałem.

Zarzucałem przynętę, a Peretti ją złapał.

- Jej tam nie ma - odparł. - Nie chciała tu czekać na pogrzeb Harry'ego. Pojechała do Nowego Jorku.

- Skąd pan to wie? Wzruszył ramionami.

- To żadna tajemnica. Widziałem, jak wsiada do jitney'a. - Jitney to luksusowy autokar, kursujący cztery razy dziennie między Hampton a różnymi punktami Manhattanu. Podróż w jedną stronę kosztuje dwadzieścia dolarów, ale jadąc tym środkiem lokomocji nie trzeba się tłoczyć w pociągu.

Peretti obserwował mnie z satysfakcją.

- Zwiła panu - stwierdził.

Poczucie straty było bardzo silne. Próbowałem zachować niewzruszony wyraz twarzy, ale nie bardzo mi się to udawało.

- Tak - przyznałem. Spojrzałem na resztki mojego martini. Chciałem zamówić następny koktajl, a potem doszedłem do wniosku, że nie mam ochoty tam dłużej siedzieć.

Ale ostatnie słowo miał Peretti. Odsunął krzesło, wstał i powiedział:

- Pomyliła się co do pana. - Widząc w jego oczach złośliwy błysk, przygotowałem się na najgorsze. Przez chwilę wisiał nade mną jak sęp, a potem dodał: - Po prostu nie ma pan dość pieniędzy na taką dziewczynę.

Mogłem się roześmiać. Ale poczułem równocześnie taką wściekłość, że zaczęły drżeć mi ręce. Para, która nie miała sobie nic do powiedzenia, słuchała najwyraźniej naszej rozmowy. Teraz patrzyła na mnie ze współczuciem. Kobieta pierwsza odwróciła wzrok, zerkając w kierunku swego nie tkniętego dania. W oczach mężczyzny wyczytałem sympatię. Kiedy wstałem, powoli odwrócił głowę. Wychodząc z restauracji zrozumiałem w końcu pewną rzecz: moja wściekłość wynikała z faktu, że wszyscy czują się upoważnieni do przemawiania do mnie w taki sposób. Ale później, mijając bar i oświetlony hol, zdałem sobie sprawę, że jedyną osobą, która ich do tego upoważniła, jestem ja sam.

Noc była ciepła. Wszyscy weekendowi goście wyjechali już do Nowego Jorku, więc na ulicach panowała pustka. Minęli mnie dwaj młodzi, miejscowi chłopcy; na ich twarzach malował się wystudiowany wyraz typowego dla nastolatków znudzenia. Zerknąłem na drugą stronę ulicy, w kierunku kina, przed którym zatrzymywały się autokary. Wyprowadziła się z hotelu, przeszła przez jezdnię i pojechała do Nowego Jorku. Stamtąd mogła wyruszyć dokądkolwiek. Wsiadłem do samochodu i zajechałem na podwórko domu, w którym

mieszkałem. Nie byłem głodny ani nawet pijany. W moim pokoju panował taki zaduch, jakby był to nie wietrzony od tysiąca lat grób. Otworzyłem wszystkie okna, a potem rozebrałem się do naga, rzucając odzież na środek sypialni. Wszystko to odbiło się w starym lustrze wiszącym za drzwiami łazienki. Osoba, którą niegdyś byłem, ukrywała się gdzieś pod zwiotczałym ciałem, osłabionym przez lenistwo i alkohol i pod pełną współczucia dla siebie rozlazłością, w jaką pozwoliłem sobie popaść.

Prysznic nie zmył ze mnie poczucia braku własnej wartości. Stałem długo pod najbardziej gorącym strumieniem wody, jaki byłem w stanie wytrzymać, a potem pod najbardziej zimnym. W końcu zabrakło mi tchu. Kiedy wyszedłem z łazienki, byłem oszołomiony. Udało mi się dowlec do łóżka, z którego oboje wstaliśmy tego ranka. Zapadałem już w sen, kiedy zdałem sobie sprawę, że czuję na poduszce zapach jej perfum. Chciałem zmienić pościel, ale sen wciągał mnie już w swą głębię. Udało mi się unieść na łokciu, zedrzeć poszewkę z poduszki i cisnąć ją na leżącą na podłodze stertę mojej brudnej odzieży.

Śniło mi się, że zostałem schwytany przez fale odpływu. Że wypłynąłem zbyt daleko w morze. Fale nadchodziły jedna po drugiej, a ja czekałem na tę, która doniesie mnie do brzegu. Zamiast tego runęła na mnie z hukiem ogromna masa wody, która wzbila się nagle z głębi oceanu. Zapadałem się coraz głębiej pod powierzchnię, w zielony, szklisty świat, słysząc nad sobą odległy szum. Starłem się wypłynąć na powierzchnię. Widziałem już z bliska brzeg, ale fala wróciła, wciągając mnie ponownie w głębinę. Traciłem siły i zdałem sobie sprawę, że nie przetrwam następnego uderzenia. Po pewnym czasie, kiedy ten sen się skończył, uświadomiłem sobie, że przebywam w jakimś cichym, spokojnym miejscu. Widziałem jakąś niewyraźną postać o szarych oczach, która przechylała przekornie głowę, jakby okazując mi niedowierzanie. Potem nagle kochałem się z nią. Chwilami wydawało mi się, że jest to Tracy Egan, chwilami - że to jej córka.

Wyrwało mnie ze snu gwałtowne bicie serca, ale tym razem to nie alkohol zakłócił mój wypoczynek. Przez chwilę miałem wrażenie, że nadal śnię o walce z falami, o miłości, o szarych oczach wyrażających nieuchwytną wiedzę. Wydawało mi się, że niemal coś rozumiałem; coś głębokiego, coś bardzo dla mnie ważnego, coś, co może ocalić mi życie.

Za odsłoniętym przeze mnie poprzedniego wieczora oknem wstał blade światło. Powiewy chłodnego porannego powietrza przypominały mi czułe dotknięcia czyjejś dłoni. Musiałem znaleźć odpowiedź, ale nie mogłem zrobić tego sam. Słuchając głosów pierwszych ptaków przemawiających do siebie z rosnących za oknem drzew, doszedłem do wniosku, że odpowiedzi należy szukać w przeszłości... w mojej przeszłości... w przeszłości Harry'ego... i oczywiście w miejscu, w którym po raz pierwszy skrzyżowały się nasze ścieżki. Było to owo ponure miejsce, do którego obu nas zaprowadziły te szare oczy.

Wstałem ze skłębionego łóżka i wyruszyłem na poszukiwanie szarych oczu, które obaj kochaliśmy. Oczu, od których uwodzicielskiej siły zaczęła się cała ta historia.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Nie dałem sobie czasu na zmianę zdania. Wstałem, szybko wziąłem prysznic, wybiegłem z domu i przeszedłem na drugą stronę ulicy, gdzie mieścił się posterunek policji. Kaleb właśnie obejmował służbę. Spytałem go o ostatni adres pani Boetchner, czy panny Lyle, bo nie wiedziałem, pod jakim nazwiskiem figuruje w ich aktach. Nie można ulotnić się z miejsca, w którym trwa dochodzenie w sprawie morderstwa, nie podając jakiegoś adresu.

Kaleb dziwnie na mnie spojrzał, ale spełnił prośbę. Siniec pod jego okiem zaczynał znikać. Nadal nosił ciemne okulary i nadal nie wydawał się zadowolony z życia.

- Chcesz jechać za nią? - spytał. Było to pytanie z podtekstem. Nie byłem pewien, czy potrafię na nie odpowiedzieć.

- Taaak - mruknąłem, zapisując ten adres. Było to gdzieś w Wirginii, niedaleko miejsca, w którym się wychowałem. Stojąc w nienaturalnie jaskrawym, fluorescencyjnym oświetleniu gabinetu szeryfa zastanawiałem się, jak będą wyglądać krajobrazy; brunatne pola, szarawe od kurzu liście dębów. Nie byłem w rodzinnych stronach już od wielu lat, ale wszystko to wróciło do mnie w ciągu ułamka sekundy.

- Rozprawa wstępna odbędzie się w przyszłym tygodniu - powiedział Kaleb. - Ona i tak musi na nią przyjechać.

- Oddajemy numer do druku przed tym terminem - przypomniałem mu.

Moje tłumaczenie nie przekonało go.

- No tak - powiedział. Odwrócił się i zaczął przeglądać jakieś świstki leżące na pustym biurku jego zastępcy.

Potem, podnosząc głowę, dodał:

- To dobry chłopak. Te baby nie dawały mu spokoju. Nie odczuwałem potrzeby występowania w obronie honoru mojej kuzynki Daffy.

- To nie moja sprawa - odparłem. Kaleb kiwnął lekko głową.

- No nie, ale on należy do rodziny, sam rozumiesz.

Być może było w tym zawarte upomnienie pod moim adresem, ale zignorowałem je, mówiąc tylko:

- Do zobaczenia.

Zalane porannym słońcem domy przy głównej ulicy wyglądały jak dekoracja filmowa - zbudowany z dykty fragment miasteczka - albo jak ilustracja w jednej z tych książek z obrazkami, które przeglądałem jako dziecko. Otwierało się książkę i wyskakiwało z niej całe miasteczko. Teraz, kiedy opuszczałem Hampton, choć tylko na dzień czy dwa, poczułem gwałtowny przypływ nostalgii. Niemal zrezygnowałem z wyjazdu. Miałem wrażenie, że jeśli

stąd wyjadę, nigdy już nie wrócę. A jeśli nie wrócę, to dokąd się udam? Powstrzymałem się od myślenia o czymkolwiek, a szczególnie o swym braku poczucia przynależności do jakiegokolwiek miejsca, aż do chwili, kiedy po trzech godzinach jazdy po Long Island Expressway, a potem przez New Jersey, dotarłem do Pensylwanii. Spotykałem się kiedyś z dziewczyną, która pochodziła z Filadelfii, więc myślałem o tym przez chwilę; o tym, jak wyglądałoby moje życie, gdybym się z nią ożenił.

Wniosek, do którego doszedłem, zadowolił mnie: byłoby to czyste piekło. Ona nadal mieszkała niedaleko stamtąd, w domu, który widywałem od czasu do czasu w magazynach ilustrowanych. Poślubiła chirurga, zaczęła śpiewać w amatorskim zespole operowym i stała się ozdobą życia towarzyskiego Filadelfii. Nawet w stanie swej obecnej frustracji nie mogłem zazdrościć komuś, kto stał się członkiem filadelfijskiej elity towarzyskiej.

Można było dojechać do miejsca mego przeznaczenia krótszą trasą, ale ja postanowiłem wybrać drogę, którą jeździłem, kiedy byłem jeszcze uczniem. W tamtych czasach, kiedy kończyła się szkoła, wszystkich zmierzających na południe chłopców wsadzano do waszyngtońskiego pociągu. Z Waszyngtonu można było jechać dalej lub przesiąść się. Jeśli mój ojciec był w dobrym humorze, rodzice przyjeżdżali samochodem i odbierali mnie na dworcu w Waszyngtonie, po czym odbywaliśmy malowniczą podróż do domu. Lata mieszały mi się w głowie - wakacje, prezenty, uczucia rodzinne... a potem poczucie zagrożenia i katastrofy... kiedy widziałem, jak małżeństwo moich rodziców pęka w szwach.

W Waszyngtonie było tak gorąco, że każda droga wyglądała jak fatamorgana. Miałem wrażenie, że krajobraz porusza się przed moimi oczami, drgając w ciepłe słońca. Pojechałem przez Georgetown, usiłując panować nad rodzącymi się w mojej głowie myślami. Nie byłem pewien dlaczego tu jestem, ale wydawało mi się to istotne. Małe, wspaniale odrestaurowane domki wyglądały lepiej niż za czasów mego dzieciństwa. Moja babka mieszkała przez całe życie właśnie tu, w domu, który był jej własnością. Miała też dom w Maine, do którego jeździła na lato.

Teraz cegły, z których zbudowany był ten dom, wydawały się nowe i chropowate. Na wszystkich trzech kondygnacjach zamontowano czarne okiennice. Drzwi frontowe pomalowano na Jaskrawoczerwony kolor i ozdobiono mosiężną kołatką w kształcie dłoni, która odbijała światło jak laser.

Jadąc na południe wpadłem w sieć czarów przeszłości. Przed wielu laty stało się coś bardzo złego. Gdybym wierzył w psychoterapię, obwiniałbym za to sposób, w jaki mnie wychowano. Ale wydawało mi się to bezprzedmiotowe, a nawet śmieszne. Jeśli ktoś jest na tyle bystry, by zrozumieć dlaczego i kiedy tak się stało, powinien być na tyle bystry, by zrozumieć, że rozwodzenie się nad tym nie przyniesie nic dobrego. Mimo to nie mogłem się powstrzymać od myślenia o dniu, w którym po raz pierwszy zostałem zawieszony tą autostradą na północ. Jak wszyscy inni chłopcy, którzy mieli zjawić się tego dnia w prywatnej

szkole z internatem, miałem na sobie szare spodnie i granatową marynarkę. Pamiętałem fakturę szorstkiego tweedowego płaszcza, który tak bardzo mi się nie podobał, kiedy kupowano go dla mnie w sklepie Brooks Brothers. Na moje obiekcje odpowiedziano, że jest to taki sam płaszcz, jaki nosić będą wszyscy koledzy. Musiałem przyjąć ten argument, ale dopiero później, kiedy proces utożsamiania się ze szkołą zaczął wywierać na mnie swój magiczny wpływ, zrozumiałem, jak ważne jest poczucie dopasowania. Dopasowałem się. I byłem znakomicie dopasowany przez długi czas. Ale nigdy nie przyswoiłem sobie jednej prostej i fundamentalnej dziedziny wiedzy; nie umiałem zadbać o własne interesy, zarabiać pieniędzy, łupić, rabować i grabić.

Mimo wszystko byłem przez długi czas bardzo szczęśliwy. Wzloty i upadki mojego ojca nie wydawały mi się gorsze niż to, co przytrafiało się ojcom moich przyjaciół. Chodziłem do szkoły z dziećmi prezesów linii kolejowych, wodnych firm transportowych i dyrektorów przechodzących z pokolenia na pokolenie banków. Byli tam nawet dwaj synowie słynnej gwiazdy filmowej. Przyjechała kiedyś do szkoły w Dniu Matki, wyglądając tak, jak powinna wyglądać gwiazda filmowa; wysiadła ze swej limuzyny w kapeluszu z szerokim rondem i woalką od Lilly Daché.

Akceptowaliśmy nasze życie - życie chłopców wysłanych w wieku dziewięciu lat do szkoły z internatem - tak samo, jak akceptowaliśmy naszą uprzywilejowaną pozycję społeczną.

Nie czuliśmy się też szczególnie osamotnieni. Może to brzmieć niewiarygodnie, ale jak mogliśmy czuć się osamotnieni, skoro większość z nas znała się przez całe życie? Spędzaliśmy lato w tych samych miejscowościach, kupowaliśmy odzież w tych samych sklepach, mieszkaliśmy w tych samych dzielnicach tych samych miast. Matki i ojcowie niektórych spośród nas byli z sobą spokrewnieni. Był to duży, zamknięty świat ludzi bogatych.

Próbując ominąć Baltimore, wpadłem w szczytową falę ruchu. Baltimore jest najbrzydszym miastem, jakie znam. Utknąłem w popołudniowym korku drogowym i posuwałem w żółtym tempie między rzędami tandetnych, przedmiejskich domków. Baltimore zawsze wydawało mi się karykaturą Waszyngtonu. Teraz, siedząc w Healeju, którego silnik się przegrzewał, zacząłem myśleć, że Baltimore jest bliższe normalnego życia, życia, obok którego przemykaliśmy jak najszybciej, przenosząc się z jednej własnej enklawy do drugiej, usiłując nie widzieć tego, co dzieje się w otaczającym nas brutalnym świecie.

Kiedy wjechałem do Wirginii i ujrzałem na srebrnym niebie błądy księżyc, poczułem się niemal w domu. I tu dopadły mnie wspomnienia. Perłoszary krajobraz i słabe światło księżycy mogły kojarzyć się z każdą porą roku. W mojej pamięci panowała przez krótką chwilę zima. Widziałem pokrytą śniegiem równinę ciągnącą się aż do odległych wzgórz, widziałem nagie gałęzie drzew będące teraz tylko konturami na tle nocy. Widziałem ten sam

nieruchomy pejzaż, jaki oglądałem z okien mojego pokoju w domu, w którym spędziłem większą część młodości. Mogłem sobie wyobrazić świeżo spadły śnieg, ślady królików na przymarzniętej powierzchni, zimowe poranki, które szczypały mnie w policzki. Słyszałem ciszę wiejskiego krajobrazu.

Potem, kiedy zrobiło się ciemniej, a światło księżycy przybrało na sile, różnorodne barwy drzew przybliżyły się do szosy i poczułem taki zapach tej ziemi, jaki unosił się nad nią wiosną. Zapach mokrej trawy. Przypomniałem sobie obezwładniające letnie upały, od których wszystko co żyło uciekało nad morze - do Kalifornii, Maine, Hampton, a nawet do Europy. Przypomniałem sobie, jak moja matka, w czasach, w których mieliśmy trudności finansowe, leżała w zaciemnionym starannie pokoju z zimnym kompresem na czole. Pamiętam, że uważała się za kobietę bardzo dzielną, nie opuszczając Wirginii w letnie upały. Nigdy nie mieliśmy klimatyzacji, nawet w sypialniach. Klimatyzacja była czymś, co kojarzyło się nam z hotelami i zagranicą. Kiedy w naszym świecie nastawał upał, trzeba było po prostu się spakować i pojechać do innego domu.

Na przedmieściach Jeffersonton wyprzedziłem półcieżarówkę z rozbitym reflektorem. Choć od chwili mojego wyjazdu upłynęło sporo lat, niewiele się tu zmieniło. Na wąskiej High Street nadal stały naprzeciwko siebie dwa kościoły, jak dwaj gladiatorzy, gotowi walczyć o dusze wiernych. Nadal był tu sklep z narzędziami, sklep z częściami samochodowymi, salon piękności, pralnia chemiczna i kawiarnia. Wyjeżdżając z miasta i czując każdym nerwem mego ciała, że wracam do domu rodzinnego, stwierdziłem jednak, że i tu dotarł postęp. W miejscu, w którym teren obniżał się tworząc płytką dolinę, dostrzegłem zarysy centrum handlowego, oświetlonego nowoczesnymi lampami.

Szosa przypominała metalową taśmę, rozciągniętą wzdłuż pejzażu; wznosiła się na porośnięte drzewami wzgórza i opadała w doliny, w których z księżycowym blaskiem konkurowały nieliczne światelka farm. Mój ojciec odziedziczył sto dwadzieścia hektarów ziemi uprawnej w Wirginii. Mieliśmy dzierżawcę, który mieszkał w zakątku posiadłości. Uprawiał pola w zamian za procent od plonów. Nikt nigdy nie sugerował, że mój ojciec powinien się nauczyć prowadzenia gospodarstwa. Nadal wierzyliśmy w mistyczną wartość ziemi, ale jego pokolenie straciło już niezbędne ogniwo pośrednie: umiejętność uprawiania roli własnymi rękami. Ojciec był przekonany, że jego geniusz polega na zdolności oceny sytuacji. I na koneksjach. Podobnie jak Brockings Langstar, wierzył w magię poufnych informacji.

Popełniał więc błędy i stracił niemal wszystko, co miał. Kiedy to nastąpiło, oboje z matką przenieśli się do małego domku w Charlottesville i mieszkali tam w dyskretnej niesławie aż do śmierci. Pieniądze odpłynęły od nich do wielkiego zbiornika kapitału, w którym zanurzali swe czerpaki inni ludzie, tacy jak Harry Boetchner.

Moje własne pieniądze zostały zabezpieczone przed ojcem przez warunki postanowień spadkowych. Ale teraz, kiedy zwalniałem zbliżając się do bram naszej dawnej posiadłości, zdałem sobie sprawę, że poszedłem dokładnie jego tropem. Dałem sobie wmówić, że jesteśmy uprzywilejowanym plemieniem, a potem podążyłem prostą drogą wiodącą do samozniszczenia. Zrozumiałem, że grzechy ojców mogą być tak banalne jak pycha i arogancja.

Poczułem lęk. Przejeżdżając obok pierwszego odcinka kamiennego muru wyznaczającego granice posiadłości mego ojca, zacząłem posuwać się wolniej. Mur ten pochodził z czasów pierwszych osadników. Gdzieś w rodzinnym archiwum znajdował się pożółkły dokument, z którego można było dowiedzieć się, ile wynosił koszt jego budowy. Cały piętnastokilometrowy mur został wzniesiony rękami prostych robotników za niecałe siedemnaście funtów angielskich. Mój ojciec, kiedy sobie podpisał, wyciągał czasem ten dokument i pokazywał go gościom. Uznawali go za dowód pogarszania się stanu świata. Zapewniali się wzajemnie, że teraz nie można już wynająć robotnika na godziwych warunkach.

Nasza posiadłość nigdy nie miała bramy wjazdowej. Podjazd miał niemal czterysta metrów długości. Przy jednym ze słupków, wzniesionych po obu jego stronach, stała po prostu zwykła tabliczka z napisem: Harriman. Teraz już jej nie było. Obecnie w poprzek drogi wznosiła się ciężka, żelazna brama, a obok niej bariera dla bydła. W tej części stanu nie wolno już było hodować krów; bariera dla bydła stała tu po to, by powstrzymać nieproszonych gości. Na kamiennym słupku nie było żadnej tabliczki, z której można by się dowiedzieć, kto jest obecnym właścicielem posiadłości.

Zgasilem światła, a potem silnik. Był ciepły, letni wieczór. Kiedy wysiadłem z samochodu, moje obawy nieco się zmniejszyły. Wdychając zapach ziemi i słysząc z oddali krzyk sowy, poczułem nagle w oczach pieczenie łez. Byłem człowiekiem w niemal średnim wieku, a teraz, stojąc przy murze, który niegdyś strzegł mojej młodości, uświadomiłem sobie, że zmarnowałem życie. W łagodnych powiewach wiatru unosił się zapach róż jerychońskich. Tu rozpocząłem moje życie; opuściłem to bezpieczne miejsce i wyruszyłem w pozornie łatwą podróż po dobrze oznakowanym terenie, ale jakoś się zagubiłem.

Odczułem silną pokusę otwarcia bramy i wjechania na długi podjazd. Podchodząc bliżej, dostrzegłem umieszczony dyskretnie na jednym ze słupków dzwonek, który musiał odzywać się w domu. Dotknąłem słupka bramy i bijące z niego ciepło, nagromadzone w ciągu dnia, sprowadziło mnie z powrotem na ziemię. To była przeszłość. Można błąkać się w przeszłości, jak długo ma się ochotę, ale w końcu zawsze trzeba wrócić do terażniejszości. Co powiedziałbym tym ludziom - bezcielesnym ciałom - którzy odezwaliby się, gdybym nacisnął dzwonek? Że kiedyś tu mieszkałem? Że mój ojciec urodził się w tym domu? Że mój dziadek go kupił? Jakie miałyby to znaczenie dla jego obecnych właścicieli? Ktokolwiek

mieszkał na końcu tego długiego podjazdu, nie był człowiekiem, którego znałem. Gdyby właścicielami domu byli ludzie z naszej sfery, wiedziałbym o tym już od dawna.

Odszedłem spod bramy zastanawiając się, czy nowi posiadacze byli ludźmi w rodzaju Harry'ego Boetchnera. A może byli to ludzie miejscowi, z których istnienia jako dziecko ledwie zdawałem sobie sprawę? Ludzie, którzy opiekowali się naszym domem i naszą posiadłością i mieli nadzieję kiedyś tu zamieszkać? Świat się zmienił. Jedni poszli w górę, drudzy spadli w dół. Jedni odbili od brzegu i płynąc z wysiłkiem dostali się na drugi brzeg; inni, znoszeni prądem, spływali bezradnie w dół koryta rzeki.

Spojrzałem na blady księżyc i uświadomiłem sobie pewną prawdę, na którą przez długi czas przymykałem oczy: że nigdy nie odzyskam straconego czasu. Mogłem w najlepszym wypadku liczyć na to, że nadam jakiś sens reszcie swego życia. Teraz, kiedy stałem przy bramie swojego dawnego domu na pustej drodze w wiejskim zakątku Wirginii, myśl ta wydała mi się bardzo głęboka.

Wróciłem do samochodu. Dopiero kiedy przebyłem dziesięć kilometrów i zbliżyłem się do głównej autostrady wiodącej do miasta Culpepper, w pobliżu którego mieszkała teraz Tracy Egan, zdałem sobie sprawę, że mieliśmy obaj z Harrym jedną wspólną cechę. On wierzył, że człowiek może odwrócić bieg wskazówek zegara, że może pójść w świat i robić co chce, a potem zacząć życie od punktu, w którym stał się w końcu tym, czym pragnął zostać. Harry nie wierzył w stracony czas. Chyba chciałem przyznać mu rację.

- Mylisz się, stary - mruknąłem w ciemności. - Trzeba grać takimi kartami, jakie się dostało.

Licznik odnotowywał kolejne przejechane kilometry. Skręciłem z bocznej drogi w dolinę i dotarłem do autostrady, która przecinała krajobraz mojej pamięci. Czułem się tak, jakbym gdzieś tam, w mroku nocy, zmienił skórę. Żałowałem, że nie mogę na nowo powołać Harry'ego do życia. Nie było takiej możliwości. Jadąc coraz dalej na południe myślałem o wszystkich ludziach, których powinienem przeprosić. Odszukiwanie ich też nie miałooby sensu. Żadnego z nich nie zainteresowałaby wiadomość o tym, co się ze mną stało i czego się nauczyłem. Odbywali własne podróże i dokonywali własnych odkryć.

Nie mogłem przywrócić Harry'emu życia. Nie mogłem mu powiedzieć, co myślę i czego się nauczyłem. Ale mogłem to powiedzieć Tracy. Spotkanie z nią stało się dla mnie nagle bardzo ważne. Chciałem się zobaczyć nie tylko z jej córką, lecz również z nią. Tracy była ogniwem łączącym przeszłość z teraźniejszością. Czułem, że kiedy ją odnajdę, dowiem się, dlaczego zginął Harry Boetchner.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Telefon odebrał jakiś służący. Siedziałem na łóżku mojego pokoju w Holiday Inn z łokciami opartymi o kolana i wpatrywałem się w plamę na dywanie ze sztucznego tworzywa.

- Czy mogę mówić z panią Lyle? - spytałem.

Nastąpiła chwila ciszy. Była dziewiąta. Znalazłem jedyny hotel w miasteczku. Wiedziałem, co myśli służący. Po dziewiątej nie powinien telefonować nikt oprócz członków rodziny.

- Proszę chwilę poczekać.

Czekałem starając się nie myśleć o tym, jak przyspieszył się mój puls wobec perspektywy rozmowy z Tracy. Usłyszałem zbliżające się do telefonu kroki, a potem męski głos:

- Mówi Charles Lyle. Czym mogę panu służyć?

Nie przewidziałem tego, że do telefonu może podejść jej mąż. Wydawał się tak mglistą postacią, że wymazałem go z pamięci.

- Nazywam się Benjamin Harriman - powiedziałem. - Byłem przyjacielem pani Lyle... przed wielu laty - dodałem zastanawiając się, jak zareagowałbym, gdybym poślubił którąś z poznanych przez te lata kobiet i odebrał telefon od dawnego wielbiciela. Byłem pewien, że niezbyt przychylnie.

Byłem więc zaskoczony, gdy pan Lyle spytał życzliwym tonem:

- Skąd pan dzwoni, panie Harriman? Wydaje mi się, że nie jest pan daleko.

Powiedziałem mu, gdzie jestem. Minęła długa chwila. Usłyszałem głęboki wdech, a potem przeciągłe westchnienie.

- Moja żona wspominała o panu, panie Harriman - oznajmił w końcu. - Mówiła o panu z sympatią.

Teraz ja z kolei lekko się zawahałem. Zwróciłem uwagę na czas przeszły.

- Czy pańska żona jest w domu, panie Lyle? - spytałem zbierając myśli. - Mam do niej bardzo ważną sprawę.

Minęło znów kilka sekund, zanim powiedział:

- Panie Harriman, moja żona nie żyje.

Nie potrafiłem wymyślić żadnej odpowiedzi. Plama na dywanie zdawała się powiększać, ale potem zrozumiałem, że po prostu mrugam oczami, a ona pulsuje jak żywy organizm.

- Bardzo mi przykro - stwierdziłem. Są to najbardziej nieadekwatne słowa w języku angielskim.

- Tak - odparł, jakby moja reakcja była całkowicie zrozumiała.

Trzeba było powiedzieć coś więcej. Żaden z nas nie chciał odłożyć słuchawki. Czułem, że Charles Lyle jest samotny, że ucieszył się z tego telefonu i dlatego podszedł do aparatu sam.

Zaczerpnąłem powietrza i spytałem:

- A czy jest w domu pańska córka?

Tym razem cisza trwała kilka minut. Wiedziałem, że jeśli będę go naciskał, odłoży słuchawkę. Słuchałem jego oddechu i czekałem zastanawiając się, co zrobię, jeśli po prostu przerwie połączenie. Przebyłem długą drogę, by porozmawiać z Tracy i zdobyć brakujące części układanki, jaką stały się okoliczności śmierci Harry'ego. Byłem pewien, że niektóre odpowiedzi znaleźć można właśnie tu.

W końcu Lyle odezwał się. W jego głosie wibrowało tłumione napięcie.

- Być może najlepiej będzie, jeśli przyjedzie pan do mnie, panie Harriman.

Wyjaśnił mi, jak dojechać do jego podmiejskiego domu i odłożył słuchawkę. Wziąłem leżące na blacie zdezelowanego biurka kluczyki od samochodu i ponownie wyszedłem w noc. Miałem nadzieję, że znajdę czas na zjedzenie czegoś, ale obawiałem się, że pan Lyle zmieni zdanie, jeśli nie pojedę do niego od razu.

Musiałem przejechać przez miasteczko, w którym jedynym światłem był wiszący w oknie knajpy neon reklamujący piwo i ukazujący różowopurpurowy wodospad, spadający do niebieskiego jeziora. Za miastem zwolniłem nieco, rozglądając się za tablicą, za którą - jak powiedział mi Lyle - trzeba było skręcić w drogę prowadzącą do jego domu. Na tablicy widniał wysoki biały krzyż i napis, z którego wynikało, że Chrystus jest gotów cierpieć za moje grzechy.

Kawałek dalej skręciłem w boczną drogę i jechałem nią wśród rozłożystych wzgórz, dopóki nie dostrzegłem świateł domu. Nawet z tej odległości widać było, że Tracy spełniła życzenia matki. Stał w zagłębieniu wzgórza i był równie duży jak dom Harry'ego, ale o wiele bardziej gustowny. W świetle księżyca trudno było dojrzeć szczegóły, ale zauważyłem centralny fragment w stylu króla Jerzego, który mógł zostać zbudowany jeszcze przed wojną o niepodległość. Po jego bokach stały dwie przybudówki nie pasujące ani do siebie, ani do niego, ale patyna czasu zamieniła całość w imponującą rezydencję rodzinną. Po przebyciu bramy jechałem przez chwilę między dwoma wysokimi, bukszpanowymi żywopłotami, a potem zatrzymałem Healeya przed jasno oświetlonym wschodnim skrzydłem domu. Było ono zapewne przeznaczone dla dzieci i dobudowane przed stuleciem, by zaspokoić potrzeby powiększającej się rodziny.

Wysiadając z samochodu stwierdziłem, że dom jest w idealnym stanie. Kimkolwiek był pan Lyle, nie brakowało mu pieniędzy.

Drzwi zostały otwarte, gdy tylko się do nich zbliżyłem, i stanął przede mną gospodarz.

- Pan Harriman? - spytał.

Miał około sześćdziesiątki, może trochę więcej, ale widać było, że jest w dobrej formie fizycznej. Był niewysoki i szczupły, ale nie wyglądał jak kurczący się z wiekiem starzec. Miał krótkie, schludnie ostrzyżone siwe włosy. Wyciągnął rękę, a kiedy podałem mu swoją, przekonałem się, że ma silny uścisk dobrego jeźdźca.

- Kazałem służbie iść spać - oznajmił usuwając się na bok, by wpuścić mnie do domu.

Jego wnętrze wyglądało tak, jak się spodziewałem: zielono-żółta chińska porcelanowa waza, pełna róż, które musiały pochodzić z jego własnych ogrodów; dobry, angielski dywan, taki sam, jaki miała Prune; antyczna, ale nie przesadnie ozdobna, angielska komoda. Idąc za nim przez salon utrzymany w brązie i czerwieni, a potem przez korytarz łączący główną część domu z oświetlonym skrzydłem, zauważyłem, że wszystkie meble nie są okazami, które można by nabyć w pośpiechu na aukcjach. Takie meble można jedynie odziedziczyć. Tu nie było trzeba pytać o pieniądze. Widać było, że są w tej rodzinie już od dawna. Jej członkowie stopniowo, ignorując modę, dobierali wyposażenie wnętrza swego domu, dopóki nie nadali mu dokładnie takiego wyglądu, o jaki im chodziło.

Mogłem sobie w tym wnętrzu wyobrazić Tracy, ale nie jej córkę. Córka pana Lyle, Helen Lyle, pasowała do domu Harry'ego, ale w gustownie umeblowanym pokoju, do którego wprowadził mnie jej ojciec, czułaby się nieswojo, nie na miejscu. Jego okna wychodziły na szereg tarasów. Trawnik na każdym z nich był równie idealny jak trawniki Prune. Wzdłuż podtrzymujących tarasy murków stały, jak nocne cienie, wysokie urny pełne pnących roślin.

- Kiedy byłem chłopcem, był to pokój dziecienny - powiedział Lyle, zatrzymując się przy ustawionym w kącie barze. Był to bar człowieka bogatego, nie przypominający baru klubowego, w którym wystawiono na widok publiczny wszystkie możliwe trunki. Na srebrnej tacy stały tylko dwie karafki i srebrny kubełek z lodem.

- Mam szkocką i koniak - oznajmił gospodarz. W domu pana Lyle piło się to, co on proponował, a nie to, czego zażyczyli sobie kapryśni goście.

- Poproszę szkocką.

- Słusznie - zgodził się, nalewając trunek z ciężkiej karafki. - Zauważyłem, że po koniaku nie mogę spać. A pan? Nie mogę zrozumieć, dlaczego ludzie piją go po kolacji.

- Może chcą siedzieć przy nim do późnej nocy.

Odwrócił się, trzymając szklaneczkę z whisky, i spojrzał na mnie uważnie. Miał na sobie zieloną, aksamitną bonzurkę, jakiej nie widziałem już od wielu lat. Dzięki swym osiągnięciom mógł żyć w bezpiecznym świecie. Mógł żyć dokładnie tak, jak chciał, nie obawiając się, że ktokolwiek ośmieli się go wyśmiewać. Oprócz bonzurki miał na sobie białą koszulę, czarną muszkę, czarne spodnie od smokinga i popękane lakierki. Widocznie przebierał się do kolacji.

- Teraz rozumiem, dlaczego moja żona pana lubiła - powiedział. - Sodowa czy mineralna?

- Dziękuję, nic - odparłem.

Podał mi szklaneczkę, a potem nalał sobie whisky i dolał do niej wody mineralnej ze srebrnego syfonu, takiego samego, jaki miał mój ojciec na tacy z drinkami, stojącej w naszej bibliotece. Był to prezent ślubny od firmy Cartier. Nie wiem, czy można jeszcze dostać naboje do tych syfonów.

- Rozumiem, dlaczego moja żona pana lubiła - powtórzył.

- Nie rozmawialiśmy z sobą od bardzo dawna - stwierdziłem ostrożnie.

- Od tamtego lata - powiedział Lyle. Miał bardzo jasne, niemal zielone oczy.

- Owszem - przyznałem. - Czy umarła nagłą śmiercią? - Moje pytanie nie było ani delikatne, ani uprzejme, ale sprawa ta nie dawała mi spokoju.

- Nie - odparł Lyle, rozglądając się po dawnym pokoju dziecięcym, w którym spędzał teraz samotne wieczory. Wzdłuż wszystkich ścian stały białe regały wypełnione książkami, wśród których dostrzegłem wiele tanich wydań. Był to pokój człowieka, który naprawdę lubi czytać. - Miała raka. - Zerknął na rząd książek, ustawiony na najwyższej półce. - Nadal nie potrafią wiele zrobić w sprawie raka. Nie rozumiem tego. A pan? Wydano na badania tyle pieniędzy.

Była to skarga człowieka, który rozwiązał za pomocą pieniędzy wiele swoich życiowych problemów.

Wskazał mi głęboki fotel, ustawiony obok kominka. Usiadłem na nim patrząc na pergaminowy ekran, którym zasłonięto palenisko na lato. Gospodarz pozostał w pozycji stojącej. Było to zachowanie typowe dla niskiego mężczyzny, który chciał dominować nad otoczeniem.

- Bardzo kochałem moją żonę, panie Harriman - oznajmił. - Chcę, żeby pan o tym wiedział.

- Była bardzo piękną kobietą, panie Lyle.

- Owszem - przyznał. - Ale była też kobietą bardzo dobrą. Dała mi wiele szczęścia.

W jego sposobie mówienia była pewna pociągająca prostota. Był bogatym mężczyzną i poślubił najpiękniejszą dziewczynę, jaką w życiu widziałem. Byłem pewien, że ją doceniał, tak samo jak doceniał ten odziedziczony dom, chińskie wazy, w których stały jego kwiaty, dywany, meble, nawet swoją whisky. Uderzyło mnie to, że kochał swoją żonę, ponieważ dała mu wiele szczęścia. Znał wartość wszystkiego na świecie - nie tylko cenę, ale i wartość - i nie miałem wątpliwości, że był dobry dla Tracy. Podobnie jednak, jak inni ludzie bogaci, w zamian za swą życzliwość wymagał całkowitego podporządkowania się jego woli.

- Muszę panu zadać kilka niezręcznych pytań, panie Lyle - oznajmiłem. Byłem zdumiony, że nie interesuje go, dlaczego czuję się uprawniony do nachodzenia go późnym wieczorem i zadawania mu pytań.

Odwrócił się ode mnie i wyjrzał przez szerokie, obramowane półkami okno.

- W sprawie Helen - stwierdził.

- Tak.

- Ludzie myślą - zaczął z westchnieniem - że dzieci będą miały korzystny wpływ na małżeństwo. Nie zawsze tak jest, ale wszyscy oczekują, że będzie się je miało.

W moich myślach pojawiła się nagle Prune. Byłem ciekaw, czy żałowała kiedykolwiek, że ma dziecko, którego również od niej oczekiwano. Albo czy moi rodzice żalowali, że prowadzę taki tryb życia.

- Nie ma jej tutaj? - spytałem.

Spojrzał mi prosto w oczy, a ja zobaczyłem w nim uparte dziecko, jakim musiał być, kiedy dorastał w tym pokoju. Nie miałem wątpliwości, że był rozpuszczonym dzieckiem. Być może jedynakiem. Jego maniery zostały mu narzucone przez taką samą dyscyplinę, jaką narzuca się dzieciom rodów panujących, tłumacząc im, że mają obowiązek płacić w jakiś sposób za swe przywileje. W podtekście leży założenie, że warunkiem korzystania z tych przywilejów, umożliwiających im sięganie po wszystko, czego zapragną, jest odpowiednie zachowanie.

Tak było z Tracy Egan. Mógł poślubić najpiękniejszą kobietę na świecie, ponieważ był wystarczająco bogaty i na tyle rozsądny, by zrozumieć, że choć nie można kupić całej osoby, można kupić przeważającą część jej życia. To, co zostaje, na przykład wspomnienia z pewnych letnich wakacji, nie miało znaczenia dla pana Lyle. Nie dotyczyło go to osobiście, ani nie narażało na niewygodę czy zażenowanie. Więc nie przywiązywał do tego wagi.

Do momentu, w którym pojawił się Harry, pomyślałem pijąc jego znakomitą whisky. Takiej whisky nie można kupić w zwykłym sklepie z alkoholami.

- Nie - odparł. - Helen tu nie ma. I nie spodziewam się jej.

A więc okłamała Kaleba, pomyślałem.

- Nie widziałem mojej córki od śmierci jej matki - dodał. - I nie spodziewam się jej kiedykolwiek zobaczyć.

Zrobiłem głęboki wdech. Wiedziałem, że nie spodoba mu się reszta pytań, jakie zamierzałem mu zadać.

- Panie Lyle - spytałem nie będąc pewnym, czy zamiast odpowiedzieć nie wyprosi mnie z domu - czy zna pan człowieka, który nazywa się Harry Boetchner?

Przez chwilę patrzył na mnie w milczeniu. Popełniłem towarzyską gafę.

- Wiem wszystko o przeszłości mojej żony, panie Harriman - odparł w końcu.

Przeszłość Tracy obejmowała jedną namiętą aferę miłosną, która miała wystarczyć jej do końca życia, o ile dobrze odczytywałem wszystkie aspekty tej sytuacji. Lyle powiedział to takim tonem, jakby jej wiele wybaczył. Ich małżeństwo zaczynało wyglądać w moich oczach nieco mniej idyllicznie.

Musiałem to w jakiś sposób okazać, bo Lyle pochylił się ku mnie i powiedział z naciskiem:

- Bardzo kochałem moją żonę. A ona kochała mnie.

Ale był wyraźnie zaniepokojony. Tracy wyszła za niego, mężczyznę dwukrotnie starszego od siebie, na polecenie matki. Zawarł korzystną umowę, ale nadal był zaniepokojony.

- Jestem tego pewien, panie Lyle - powiedziałem. - Harry Boetchner został niestety zamordowany.

Zachwiał się. Nie można inaczej opisać delikatnego ruchu jego eleganckiej sylwetki. Potem odzyskał równowagę i odstawił szklanę na stojącą za nim szafkę. Może poczuł lęk, że wypije za dużo i stanie się zbyt wylewny.

- Pamięć mojej żony jest dla mnie bardzo droga, panie Harriman - oznajmił patrząc na kominek.

- Panie Lyle - powiedziałem wstając, by uzyskać korzystniejszą pozycję. - Nie cieszy mnie to, że muszę z panem o tym rozmawiać.

Nadal patrząc na kominek, kiwnął głową.

- Rozumiem. Tracy mówiła, że jest pan dżentelmenem.

Nie mogłem sobie wyobrazić, jak mogło dojść między nimi do rozmowy na mój temat. Może była ona rezultatem izolacji, w jakiej oboje żyli. Kiedy spędza się z kimś wiele lat z dala od innych ludzi, mówi się różne rzeczy. Był to piękny dom, otoczony pięknym ogrodem, ale miał w sobie coś z atmosfery więzienia. Musieli przez długie okresy czasu przebywać tu tylko we dwoje.

- Panie Lyle - powiedziałem myśląc o tym, że nikt od dawna nie nazwał mnie dżentelmenem - chyba powinien pan wiedzieć, że jestem tu po części jako przyjaciel Harry'ego Boetchnera, ale po części również jako dziennikarz.

Spojrzał na mnie z uwagą.

- Dziennikarz - powtórzył takim tonem, jakby było to coś niepojętego.

- Owszem - przyznałem. Z bliska wydawał się o wiele starszy. Zmarszczki, wygładzone przez wygodne życie, odpoczynek i opaleniznę, wyglądały na jego szczupłej twarzy jak mapa dorzecza rzeki.

- Z jakiej gazety? - spytał gniewnie. Powiedziałem mu, a on wyraźnie się rozluźnił.

- Ach - mruknął takim tonem, jakby to tłumaczyło wszystko. - Lokalna gazeta. - Wiedział, że nic mu nie zagraża. Nie mogłem w lokalnej gazecie z północy napisać nic, co naraziłoby na szwank jego uporządkowaną, wygodną egzystencję.

- Przykro mi z powodu Tracy - oznajmiłem - ale w gruncie rzeczy szukam Helen.

- No cóż, w tej sprawie nie mogę panu pomóc - odparł zdecydowanym tonem. - Nie widziałem jej.

- Więc nie przyjechała tutaj? - nalegałem.

Nagle wydał mi się przebiegły. Nastąpiła w nim ledwo zauważalna zmiana, ale mnie udało się ją dostrzec. Jego oczy zwięzły się. Szukał sposobu pozbycia się mnie.

- Następną wizytę może panu złożyć policja - oświadczyłem.

Pomyślał o tym przez chwilę, podjął jakąś decyzję i znów wziął do ręki szklanekę. Wypił spory łyk i powiedział:

- Ona nie jest moją córką.

Cały korzystny wpływ whisky, pitej na pusty żołądek, został nagle zniwelowany. Wiedziałem, co nadchodzi. Lyle zmusił mnie do cofnięcia się o krok. Znów panował nad sytuacją i widziałem, że ocenia straty, jakie może ewentualnie ponieść, z wprawą eksperta.

- Ona była jego córką - dodał.

Teraz ja z kolei usiadłem. Czuję się raczej chory niż osłabiony czy zmartwiony.

- Czy ona o tym wie? - spytałem.

- Owszem. Sądzę, że tak.

- Nie jest pan pewien?

- Nie.

Dopił whisky do dna. Wziął obie szklanki i podszedł do tacy, by je napełnić.

- Chyba nie jest pan zaszokowany, panie Harriman - powiedział nie patrząc w moim kierunku. - Obaj znamy wielu ludzi, których oficjalni rodzice wcale nie są ich rodzicami. - Odwrócił się do mnie, trzymając karafkę w górze; whisky lśniła w świetle chińskich lamp z różowymi abażurami jak żółtawe diamenty. - W większości przypadków dzieje się tak dlatego, że obie strony... oddalają się od siebie po pewnym czasie, prawda? We Francji radzą sobie z tym lepiej; żona wyjeżdża na kilka lat na wieś, rodzi dzieci, by zapewnić ciągłość rodziny, a potem...

A potem idzie własną drogą, pomyślałem, z błogosławieństwem swego męża i kościoła. Jest to bardzo cywilizowany sposób, tyle że my, w Ameryce, nadal kultuwujemy mit romantycznej miłości. Na tym polega problem. Przyrzekamy miłość ludziom bardzo młodym, a oni, kiedy jej nie dostają, czują się oszukani.

Lyle podał mi szklanekę i usiadł na drugim fotelu przy nie rozpalonym kominku. Wydawał się teraz bardzo mały.

- W tym przypadku moja żona... była już w ciąży, kiedy ją poślubiłem. Widywałem ją przedtem; jej rodzice mieszkali w Baltimore, może pan o tym wie. Znałem ich bardzo dobrze i myślałem o perspektywie małżeństwa z Tracy, kiedy była jeszcze małą dziewczynką. Ktoś może uważać to za dziwne, może nawet niezdrowe... ale oczywiście wiemy, że to nonsens, prawda? Aranżowane małżeństwa sprawdzały się w ciągu wielu lat. Zorientowałem się, że będzie bardzo piękną kobietą, kiedy była jeszcze całkiem młoda.

A więc kupił ją, pomyślałem. Zrobiło mi się żal Tracy. Ile samotnych lat musiała spędzić w jego towarzystwie.

- Byliśmy szczęśliwi - powtórzył z uporem, jakby czytając w moich myślach. - Dałem jej wszystko, czego może pragnąć kobieta.

Myślałem o tym, że dziewczyna musiała się dowiedzieć, kto jest jej prawdziwym ojcem. Nie powinno to być trudne. Może zresztą powiedziała jej to sama Tracy.

- Kiedy Harry tu przyjechał... - zacząłem. Przerwał mi.

- Pan Boetchner nigdy nie był w tym domu - oświadczył.

- Może był pan wtedy poza domem... - Nie chciałem kalać pamięci Tracy. Chciałem poznać prawdę.

- Moja żona i ja nie spędziliśmy ani jednej nocy z dala od siebie. I prawie ani jednego dnia. Mieszkaliśmy tutaj - oznajmił, ogarniając gestem wolnej ręki leżącą za oknami posiadłość. - Czego więcej mogliśmy pragnąć?

Usiłowałem oddzielić jego informacje od tego, co powiedziała mi dziewczyna. Pamiętałem rachunek za naprawę Mercedesa. Ale przecież nigdy nie widziałem pisma Tracy. Mogło to być równie dobrze pismo tej dziewczyny.

- Pańska córka... - zacząłem. - Helen powiedziała mi, że...

Znów mi przerwał.

- Och, panie Harriman - powiedział uśmiechając się tak, jakby cały problem został rozstrzygnięty w sposób dla niego zadowalający - jeśli przyjechał pan tu z powodu tego, co naopowiadała panu Helen, to sądzę, że mógł pan sobie oszczędzić tej podróży. Helen nie potrafi powiedzieć prawdy. Może to krew jej ojca - dodał z porozumiewawczym uśmiechem, sugerującym, że ja - ponieważ również jestem dżentelmenem - potrafię zrozumieć, co znaczy brak dobrego wychowania. - Nawet kiedy była małą dziewczynką, zawsze kłamała, nawet wtedy, kiedy prawda nie przyniosłaby jej żadnej szkody. Woziliśmy ją w tej sprawie do lekarzy, ale okazało się, że nikt nie jest w stanie nic na to poradzić. Widzi pan, to jest chorobliwe.

- Panie Lyle - powiedziałem obracając szklankę w palcach tak niezręcznie, że wychlapałem kilka kropel whisky na dłoń - ona może wpakować się w poważne kłopoty.

- Spodziewałem się tego - odparł kiwając głową. - Dlatego właśnie rozstaliśmy się po śmierci jej matki. Nie miałem już wobec niej żadnych zobowiązań.

A więc z zimną krwią powiedział jej o tym sam. Kupił jej matkę i dał dziewczynce swoje nazwisko, ale wycofał się z całej sprawy, gdy tylko zaczęła być dla niego kłopotliwa.

- Chryste - mruknąłem. - Jest pan prawdziwym sukinsynem, nie sądzi pan?

Stworzyłem sytuację, nad którą potrafił zapanować. Wstał i wyrecytował dobrze sobie znaną kwestię:

- Panie Harriman, niech pan opuści mój dom.

- Chętnie - odparłem. Dopilem whisky, postawiłem mokrą jeszcze szklankę na politurowanym stoliku obok lampy i zauważyłem, jak z trudem powstrzymuje się od jej podniesienia i wytarcia blatu. Może był bogaty jak Bóg, ale znał cenę wszystkiego na świecie.

Minąłem go idąc do drzwi, a potem odwróciłem się i dodałem:

- Naprawdę żał mi Tracy. Nie miała wiele z życia. Musiała być zadowolona, że się z panem rozstaje.

- Proszę opuścić mój dom! - krzyknął dyszkantem, nie zachowując już pozorów dobrego wychowania. Teraz było dla mnie jasne, dlaczego nigdy o nim nie słyszałem ani go nie widziałem. Nie był zjawiskiem niezwykłym. Niektórzy ludzie bogaci nie potrafią pogodzić się z faktem, że świat jako taki, a nawet ich własny świat, nie podziela ich oceny samych siebie. Ukrywają się w małych rajach, w których mogą myśleć na swój temat co im się podoba.

Szybko się jednak opanował.

- Panie Harriman - powiedział, sądząc chyba, że może mnie przekonać o swojej wartości. - Najwyraźniej nie docenia pan mojego bólu.

- Przejdzie panu, Lyle - zapewniłem go. - Słyszałem, że czas koi wszystkie rany.

Ale nie ukoił ran Tracy. Kochała Harry'ego aż do śmierci. Byłem tego pewien. Być może dobrze znała swojego męża. Musiała go znać. Żyła z nim na tym odludziu przez wiele lat. Może uważała, że musi jakoś wynagrodzić to swojej córce, dać jej coś w rodzaju pożegnalnego prezentu.

Lyle potrząsnął głową.

- Nie - odparł, wzruszony swą własną sytuacją. - Nigdy nie przeboleję jej straty. To było wspaniałe małżeństwo. Wspaniałe. Nawet teraz, po roku...

- Po roku? - przerwałem mu.

- Tak. - Pochylił się, podniósł moją szklankę i wytarł stół czystą, jedwabną chusteczką, którą wyjął z wewnętrznej kieszeni. Wyglądał teraz jak dokładna i sumienna sprzątaczką. - Moja żona umarła przed rokiem.

- A więc nie widział pan Helen od roku?

- Od pogrzebu jej matki.

- Dobranoc, panie Lyle - powiedziałem. Poszczególne kawałki zaczynały do siebie pasować. Ale nie podobało mi się to, co miałem zobaczyć, kiedy obraz ułoży się w całość.

- Panie Harriman - zawołał, kiedy ruszyłem w stronę wyjścia. - Czy sądzi pan, że ja będę musiał być w to wszystko zamieszany?

- Och, mam nadzieję że tak, panie Lyle. Mam nadzieję, że tak.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Dojeżdżałem już do hotelu, kiedy zdałem sobie sprawę, że Charles Lyle nie zapytał o szczegóły morderstwa Harry'ego. Po zastanowieniu doszedłem jednak do wniosku, że nie ma w tym nic niezwykłego. Lyle interesował się tylko tym, co dotyczyło bezpośrednio jego własnego świata, otoczonego wielkimi ogrodami. Można było bez ryzyka założyć, że chodzi teraz po domu upewniając się, czy wychodząc od niego nie schował do kieszeni jakiegoś cacka.

Parkując przed motelem skonstatowałem, że powinienem przedstawić go Daffy. Doskonale by się rozumieli.

Wróciwszy do pokoju próbowałem ułożyć w sensowną całość to, co mi powiedział. Jeśli dziewczyna była córką Harry'ego i wiedziała o tym, to mogła zacząć go szukać po śmierci matki. Wydawało się to dość proste. Mogłem sobie wyobrazić reakcję Harry'ego, gdyby dowiedział się, że począł dziecko z Tracy.

Ale nie zrobiła tego. Gdyby zwróciła się wprost do niego, Harry postarałby się zachować całą sprawę w tajemnicy. Prowadził tajne operacje przez długi czas, poczynając od Wietnamu. Gdyby istniał ku temu powód, potrafiłby milczeć.

Poza tym od śmierci Tracy upłynął już rok. Dziewczyna twierdziła, że Harry pojawił się w życiu jej matki i ojca zaledwie przed kilku miesiącami, a Lyle powiedział, że Tracy umarła przed rokiem i chorowała przez dłuższy czas. Wierzyłem mu. Każdy mógł sprawdzić datę śmierci Tracy, a poza tym Lyle nie kłamałby w tej sprawie, wiedząc, że może to doprowadzić do komplikacji i zagrozić jego rajowi.

Ale, myślałem, siedząc znów na łóżku i wpatrując się w płamę na dywanie, jeśli Lyle powiedział mi prawdę o śmierci Tracy, mógł równie dobrze mówić prawdę o Helen. Od początku coś mnie w niej niepokoiło. Czuję się w jej towarzystwie nieswojo i nie miałem do niej zaufania niemal od chwili, w której ujrzałem ją po raz pierwszy. To nie znaczy, że jej nie pragnąłem, ale pożądanie nie uspiło podejrzeń.

Wiedziałem, że są ludzie, którzy nie potrafią powiedzieć prawdy. Miałem taką kuzynkę. Można od niej było wydobyć prawdę tylko kiedy spała. Chodziła i mówiła przez sen i odpowiadała nawet na pytania. Przez lata nie miała pojęcia, w jaki sposób matka wykrywa jej kłamstwa, a wystarczyło poczekać, aż zacznie chodzić w lunatycznym śnie.

Zachowywała się wtedy spokojnie, nie próbowała, jak Lady Macbeth, zmyć krwi z rąk, i można było wyciągnąć z niej wszystko.

Wiedziałem, że tej nocy nie zmrużę oka. Siedziałem na krawędzi łóżka podsumowując wszystkie znane mi fakty dotyczące śmierci Harry'ego. Harry miał kłopoty finansowe, Harry miał córkę, o której nie wiedział, Harry poślubił tę dziewczynę. Harry zamierzał się ulotnić.

Gdzie był motyw? Uważałem, że motywem morderstwa mogą być tylko pieniądze lub namiętność. Kto mógł skorzystać na śmierci Harry'ego?

Poza tym istniała kwestia czasu śmierci. Został wezwany do stajni w środku nocy, a następnie zamordowany. Nikt nie mógł wiedzieć, że Ron będzie na bocznej drodze z Daffy. Ona sama nie wiedziała, że tam będzie.

Cofałem się w czasie od momentu morderstwa Harry'ego, dodając do znanych mi faktów to, co powiedział Lyle. I nagle uderzyła mnie myśl, że patrzę na to morderstwo z niewłaściwego punktu widzenia. Jeśli postawiło się całą sprawę na głowie, można było dopatrzeć się w tym wszystkim jakiegoś sensu. Myślałem o tym przez chwilę i nie byłem zachwycony własnymi wnioskami, ale poszczególne kawałki zaczęły do siebie pasować o wiele lepiej.

W końcu podniosłem słuchawkę i zadzwoniłem do Perettiego, wiedząc, że mieszka w Hotelu Federalnym.

- Czy wie pan, która jest godzina? - spytał zasnany głosem.

- Północ.

- A ci cholerni gówniarze na motocyklach przez godzinę szaleli pod moimi oknami.

Dopiero przed chwilą zasnąłem.

- Mam do pana ważną sprawę - powiedziałem. - Jestem w Wirginii.

- Więc jednak musiał pan za nią pojechać - zadrwił. Usłyszałem, jak odchrząkuje i splota. - Czy dzwoni pan po to, żeby mi powiedzieć, że znowu ją pan przeleciał?

- Nie. Chcę, żeby pan coś dla mnie zrobił. - Potem przekazałem mu wszystko, co wiedziałem, zaczynając od historii Harry'ego i Tracy sprzed dwudziestu pięciu lat, a kończąc na tym, co powiedział mi Lyle. Wspomniałem o rocznej luce w opowiadaniu dziewczyny.

Kiedy skończyłem, westchnął ciężko.

- Więc jakie informacje mam dla pana zdobyć? - spytał zrezygnowanym tonem.

Wiedziałem, że jeśli mam rację, cała sprawa nie ułoży się zgodnie z jego przewidywaniami.

Powiedziałem mu, czego chcę się dowiedzieć i odłożyłem słuchawkę. Potem siedziałem w pokoju jeszcze przez kilka minut, ale doszedłem do wniosku, że zwariuję, jeśli będę musiał tkwić w tej klatce do rana i spakowałem manatki.

Podczas podróży na północ powtarzałem sobie w myślach całą moją wersję wydarzeń od początku do końca i z powrotem, ale nie znalazłem w niej słabych punktów. Nie ucieszyło mnie to. Czuję smutek.

Wjeżdżając na Long Island autostradą 101, myślałem o Tracy i o życiu, jakie wiodła u boku Charlesa Lyle'a.

„Ty tego nie rozumiesz, Ben”, powiedziała mi kiedyś, przed wieloma laty, a ja dotąd pamiętałem niemal dokładnie brzmienie jej głosu. „Nie jestem inteligentna. A człowiek, który nie jest inteligentny, musi robić to, co mu każą”.

W tamtych czasach ruch wyzwolenia kobiet dopiero nabierał rozpędu. Tracy miała ograniczone możliwości wyboru... może zresztą dokonałaby takiego samego wyboru. Daffy, która z pewnością była bystra, powiedziała mi zaledwie w dwa lata później, leżąc na pokładzie jachtu, że gdy dorośnie, chce być „bogata”.

Oprócz namiętności istnieje zawsze sprawa pieniędzy, przypomniałem sam sobie. Jednym ze źródeł frustracji wszystkich moralizatorów jest to, że ludzie posiadający pieniądze zazwyczaj nie wykorzystują swych możliwości po to, by się udoskonalić, dokonywać słuszniejszych wyborów.

Nie zrobiłem tego sam, więc nie mogłem wymagać od innych, by zdali egzamin, który ja oblałem. Może wszystko to sprowadzało się do jednej historii: historii słabości natury ludzkiej.

Ta dziewczyna była kluczem. Nie brakowało jej sprytu. Tracy musiała to dostrzec. Może dlatego powiedziała jej o Harrym. Harry też był sprytny.

Kiedy zwalniałem wjeżdżając do Southampton, świt ozdabiał już horyzont różową, pastelową kreską. Jadąc na północ nie pozwoliłem sobie na myślenie o tym, dokąd zmierzam. Teraz już to wiedziałem. Chyba wiedziałem przez cały czas. Chciałem tam dotrzeć, zanim Peretti zdąży podjąć rano swe śledztwo.

Dziewczyna była kluczem, a ja wiedziałem, gdzie ona jest.

Światła zmieniły się. Zamiast skrócić w lewo, w stronę Easthampton, skręciłem w prawo, w stronę Dune Road i domu Harry'ego. Trzciny porastające bagniste tereny, położone na lewo od szosy, kołysały się w podmuchach porannego wiatru od morza. W poprzek szosy przelatywały ziarnka piasku. Z przydrożnego rowu wybiegła jakaś zdenerwowana przepiórka, a za nią sześcioro małych. Mewy wlatywały i opadały, szukając gładkiej, ciemnej powierzchni morza, na której łowiły swą zdobycz.

Zostawiłem samochód przy pierwszym otwartym dla wszystkich wejściu na plażę. Żeby tu parkować, trzeba mieć specjalną nalepkę. Miejscowi i letnicy wynajmujący mieszkania mogli ją kupić za dziesięć dolarów. Wszyscy inni płacili pięćdziesiąt. Był to dobry sposób odstraszenia jednodniowych wycieczkowiczów; sztuczny sposób narzucania sztywnego kodeksu towarzyskiego.

Miałem na sobie mokasyny. Zdjąłem je, zsunąłem skarpetki i podwinąłem spodnie. Dom Harry'ego, widoczny z plaży za barykadą wydm, wznosił się jak ciemna góra w szarości poranka.

Kiedy szedłem blisko linii morza, by przyjrzeć się domowi, zanim do niego podejść, piasek pod moimi stopami był jeszcze chłodny. Wiedziałem, że ona musi tam być. Skoro nie mogła pojechać do domu, to logika nakazywała jej wrócić do domu Harry'ego i zebrać myśli. Nie czułem już w stosunku do niej pożądania, ale było mi jej żal. Jej matka pozwoliła się sprzedać, uczynić z siebie coś w rodzaju współczesnej niewolnicy, bo nie była wystarczająco pewna własnych sił i - o czym byłem teraz przekonany - wiedziała, że spodziewa się tego dziecka. Ale Lyle z pewnością żądał ścisłego przestrzegania warunków ich umowy, więc mogłem sobie wyobrazić życie, jakie wiodła córka Tracy. Musiała czuć, że w gruncie rzeczy nie jest mile widziana w tym idealnym domu w Wirginii. Czowała to w każdym kęsie jedzenia, jakie wkładała do ust. Lyle był człowiekiem tego rodzaju.

Kiedy zrównałem się z domem, ruszyłem w jego stronę. Z trawnika wydawał się on monstrualnie wielki, opuszczony i ciemny. Trawnik podrośł już na tyle, że wydawał się zaniedbany. Kwiaty rosnące w urnach na tarasie nie były podlewane. Jaskrawoczerwone geranium wydawało się wyschnięte i przywiędłe, jak w krajach tropikalnych.

Była tam. Mogłem zostawić to wszystko własnemu biegowi, odejść i napisać swój artykuł, ale czułem, że jestem coś winien Harry'emu; choć Harry też lubił zwodzić ludzi. Może odziedziczyła tę naturę po nim. Zbliżając się do domu zostawiłem ślady na mokrej od rosy trawie. Próbowałem otworzyć drzwi i okna do jadalni od strony tarasu. Były zamknięte. Zacząłem obchodzić dom, wiedząc, że któreś drzwi muszą być otwarte. Byli tu policjanci, a przed nimi robotnicy. O ile miałem rację, wróciła tu też ta dziewczyna. W tak dużym domu ktoś musiał zostawić gdzieś otwarte drzwi.

Znalazłem je obok kuchni. Wszedłem do małej oranżerii, w której pani tego domu układała bukiety, roznoszone później przez służbę po pokojach.

Kiedy szedłem boso po kamiennej posadzce holu, było w nim bardzo ciemno. Święty - święty Harry'ego - płynął nad moją głową, ale w szarym świetle świtu jego płaszcz wydawał się nieco wyblakły. W holu na piętrze zatrzymałem się i zacząłem nadsluchiwać. Dom oddychał: trzeszcząc cicho, mrużąc lekko pod wpływem swej wagi i upływu lat.

Mogłem zapukać do tych drzwi przy końcu korytarza, ale przypomniałem sobie, że niedawno leżała w moim łóżku, czekając na świt. Podeszedłem do nich, położyłem dłoń na mosiężnej klamce i nacisnąłem ją.

Na widok tego, co zobaczyłem, pomyślałem w pierwszej chwili, że stało się coś strasznego. Znów miałem przed sobą Tracy, Tracy wijącą się w zapamiętaniu miłosnym w ramionach Harry'ego. Harry odwrócony był do mnie tyłem; widziałem jego szerokie plecy i wąskie biodra, którymi nacierał na nią z pasją, raz, drugi, trzeci... Jej głowa była odchylona niemal dokładnie tak samo jak wtedy, kiedy natknąłem się na nich na wzgórzu, a on wydawał takie same, na wpół ludzkie, a na wpół zwierzęce odgłosy. Byli tak z sobą splątani, że

stanowili niemal jedno ciało, a ona oplatała go nogami i rękami tak mocno, jakby bała się, że utonie, jeśli on wyrwie się z jej objęć.

Otworzyła oczy i spojrzała na mnie, a potem zamknęła je znowu, jakby nie wierząc, że widzi mnie w drzwiach. Potem otworzyła je raz jeszcze, ale podczas gdy Tracy wzniosła się na szczyt rozkoszy, ignorując moją obecność, jej córka wydała okrzyk rozpacz, odpychając od siebie mężczyznę.

On, w porywie pożądania, nadal usiłował się w nią wedrzeć, dopóki nie krzyknęła:

- Nie, nie!

Wtedy zsunął się z niej gwałtownie.

To nie był Harry. Patrząc na nagą postać mężczyzny, który nadal dyszał nie nasyconą żądzą, przypomniałem sobie, że Harry nie żyje.

- Cześć, Ron - powiedziałem. Nadal dysząc, zaśmiał się szyderczo.

- Nie potrafisz się pan odczepić, co? - spytał.

Dziewczyna przesunęła się na ogromnym łóżu Harry'ego, naciągając na siebie pościel. Owinęła się ciasno prześcieradłem. Ignorując Rona, który nadal leżał obnażony, zwróciłem się do niej.

- Byłem w Wirginii - oznajmiłem. Ron zaśmiał się.

- Jezu! - powiedział na wpół szyderczym, na wpół groźnym tonem. - Widzę, że był pan bardzo zajęty, panie Harriman. Nie wiedziałem, że jest pan taki pracowity.

Córka Tracy połykała łzy zawstydzienia. Odwróciła głowę, jakby sądząc, że jeśli nie będzie mnie widzieć, zniknę bez śladu.

- Przykro mi z powodu twojej matki - powiedziałem.

- Mnie również - odparła, znów spoglądając w moją stronę.

- I Harry'ego - dodałem łagodnie.

- Biedny, stary Harry - mruknął Ron, nie ruszając się z łóżka.

- To był wypadek - szepnęła cicho Helen Lyle.

- Tak myślałem - odparłem, zwracając się tylko do niej. Miałem dziwne uczucie, że jesteśmy w salonie. Tyle że Ron, który sięgnął właśnie po leżącą na nocnym stoliku paczkę papierosów, był zupełnie nagi. Zaciągnął się leniwie, spoglądając to na dziewczynę, to na mnie.

- Harry nigdy nie pojechałby do stajni sam - oświadczyłem. - To właśnie nie dawało mi spokoju. Gdybyście naprawdę wzięli tego dnia ślub, to po otrzymaniu tej wiadomości w sprawie konia zabrałby cię z sobą.

- Powiedział mi, że jedzie do miasta.

- Nie okłamuj mnie - poprosiłem łagodnie. - Nie zostawiłby cię samej w tym wielkim domu. Tyle że nie byłaś długo sama, prawda? - Spojrzałem na Rona. - Kiedy się poznaliście? - spytałem.

- Ubiegłego lata - odparł nonszalanckim tonem. - W Hampton Bays.

Mogłem już ułożyć sobie cały obraz wydarzeń.

- Poznał ją Kaleb, prawda?

- Nie jest taki głupi, na jakiego wygląda - odparł Ron.

- Co tam robiłaś? - spytałem Helen. - Szukałaś Harry'ego?

- Tak - odparła. Umiętnione ramię Rona leżało tuż obok jej uda. Wyciągnął rękę i uściskał je, jakby chcąc dodać jej otuchy. Ona cofnęła się gwałtownie.

- Mogłaś przecież pojechać prosto do Harry'ego - powiedziałem.

- Nie miałam odwagi.

Charles Lyle powiedział mi prawdę. Ta dziewczyna nie potrafiła iść prostą drogą. Była z natury konspiratorką.

- Dlaczego Hampton Bays? - spytałem.

Uśmiechnęła się nieśmiało, niemal tak samo jak jej matka.

- Nie wiedziałam, na czym polega różnica. Myślałam, że wszystkie części Hampton są takie same. A tam motele były tańsze.

Przypadek. Szansa spotkania była minimalna, a ja, widząc jak pasują do siebie wszystkie kawałki, jak przeszłość zbiegła się z terażniejszością, doszedłem do wniosku, że działała tu jakaś siła natury,

- A ty tam akurat byłeś - zwróciłem się do Rona.

- Na plaży - przyznał pogodnym tonem. - Miałem dość lepszego towarzystwa, które wydawało mi polecenia, nawet na plaży. Oni myślą, że człowiek nie ma prawa odpocząć. Poza tym - dodał z przewrotnym uśmiechem - damy nie lubią widzieć mnie bez ubrania, kiedy ich mężowie są w pobliżu. Boją się, że nie zdołają ukryć naszej drobnej tajemnicy. Rozumie pan to chyba, co, panie Harriman? Wy nie umiecie uszczęśliwić swoich kobiet.

- Więc Kaleb opowiedział ci o przeszłości? - spytałem Helen.

- Sporo już wiedziałam. Opowiadała mi o niej mama. Nie wiedziała, że on jest bogaty.

- Ale Kaleb dodał resztę?

- Tak.

Świt, szarzejący za wysokimi oknami, rzucał na tę scenę ponure, brzydkie światło.

- Kto wpadł na ten pomysł z małżeństwem? - spytałem.

- Ja - odparł Ron, gasząc papierosa. - Taki facet jak Harry mógł nie uwierzyć, że jest jego córką. Ale gdyby ją zobaczył... do diabła, wie pan, co się dzieje, kiedy mężczyzna widzi to. - Zdarł z niej prześcieradło.

Krzyknęła i sięgnęła po przykrycie, ale on odepchnął ją brutalnie. Zwinęła się w kłębek, by się zakryć.

- Dlaczego trwało to aż rok? - spytałem go.

- Zorganizowanie tego spotkania musiało trochę potrwać. Mnie nie mogło przy tym być. - Nonszalanckim ruchem przykrył dziewczynę prześcieradłem. - Kaleb nie jest tu jedynym facetem, który coś pamięta.

- A tymczasem interesy Harry'ego znalazły się w oplakanym stanie - powiedziałem ze smutkiem.

- No właśnie.

- Ale wy nie mieliście o tym pojęcia. Realizowaliście swoje plany jak gdyby nigdy nic. Kiedy się dowiedzieliście?

- Tego wieczora, kiedy Harry mnie tu przywiózł - odparła dziewczyna. - Zwolnił już służbę. I powiedział mi, że musimy wyjechać. Miał pieniądze za granicą. Mówił, że gromadził je tam od dawna, więc jeśli szybko wyjedziemy, będziemy mogli zamieszkać, gdzie nam się spodoba.

- We dwoje - dokończyłem wybuchając śmiechem. Wszystko było dokładnie zaplanowane, z wyjątkiem jednej rzeczy: Harry miał swoje własne sekrety.

- To nie był związek fizyczny - powtórzyła z naciskiem. Widziałem, że ten aspekt sprawy bardzo ją niepokoi. Może naprawdę chciała Harry'ego jako ojca, ale pod wpływem przypadkowego spotkania z Ronem i swej własnej natury zgodziła się wziąć udział w tym spisku, zmierzającym do zagarnięcia pieniędzy Harry'ego.

- A więc nie wyszłaś za niego - stwierdziłem obcesowo. - Znałem Harry'ego na tyle dobrze, by wiedzieć, że gdyby się z tobą ożenił, żądałby uznania swoich praw.

- Mieliśmy się pobrać - powiedziała posępnym tonem. I spojrzała z gniewem na Rona, jakby mając mu za złe, że cały spisek spalił na panewce. - Mieliśmy się pobrać następnego dnia. Harry mi to obiecał.

Westchnąłem i pokręciłem głową. Wszystko to wydawało mi się idiotyczne.

- Więc Harry wyznał ci tego wieczora, jak wygląda jego sytuacja finansowa, a ty skontaktowałaś się z Ronem, prawda?

- Teraz zaczyna pan kapować - powiedział Ron. Zauważyłem, że wyplątał się z prześcieradeł, by rzucić się na mnie w stosownym momencie. Gdybym zaczął uciekać, dogoniłby mnie już na schodach.

- A to nikomu nie odpowiadało, prawda? - spytałem. - Kto go w końcu zabił?

- Nie my - odparła pospiesznie dziewczyna. - My nie mieliśmy z tym nic wspólnego.

A więc zrobił to Kaleb.

- Biedny Kaleb - powiedziałem. - Zamierzaliście go w końcu wykiwać, prawda?

- Być może - stwierdził Ron. Jego oczy zwięziły się nagle. - Ten cholerny dureń ulokował u Harry'ego wszystkie swoje oszczędności. Zrobił się zbyt chciwy. Nie mógł poczekać, aż zdobędziemy pieniądze, musiał inwestować. - Słowo inwestować zabrzmiało w jego ustach jak przekleństwo. Może słusznie.

- A więc miał stracić wszystko?

Oboje zignorowali moje pytanie. Patrzyliśmy na siebie w milczeniu, a ja domyśliłem się reszty. Harry mówi dziewczynie prawdę. Ona dzwoni do Rona, który przekazuje tę wiadomość Kalebowi. Telefonują do Harry'ego prosząc, żeby przyjechał do stajni, bo coś się stało jego koniowi. Harry jedzie tam, zabierając z sobą dziewczynę. Podczas gdy Ron zabawia się z Daffy, między Harrym i Kalebem dochodzi w stajni do awantury i Kaleb uderza Harry'ego, zabijając go.

- Taaak - mruknął Ron potrząsając głową, jakbyśmy mówili o niewłaściwym zaparkowaniu samochodu. - Harry opieprzył go o Lucille, a Kaleb mu przyłożył.

- I wszyscy na tym stracili - przypomniałem.

- Chwileczkę - powiedział Ron, stawiając stopy na podłodze. - Niekoniecznie.

- Nie ruszaj się z miejsca - poleciłem mu.

- Przecież pan i tak stąd nie wyjdzie - odparł drapiąc się między nogami. - Przecież pan o tym wie, prawda? Widzi pan - ciągnął odwracając się do mnie bokiem - być może uda się to wszystko odwrócić.

- Pozorując małżeństwo - zgadłem.

- Kaleb i ja, do cholery, znamy sporo ludzi - oświadczył z dumą. - Mamy wielu krewnych, o których nikt nawet nie wie. Możemy sfingować to małżeństwo.

- Ale potrzebujecie czasu - przypomniałem mu. - To ty byłeś tam na górze, to ty zdemolowałaś ten pokój. Próbowaliście upozorować kradzież, żeby zyskać na czasie, na wypadek gdyby ktoś spytał o to świadectwo ślubu. To ty uderzyłaś mnie tamtej nocy.

Był szybszy, niż oczekiwałem. Poczulem kwaśny odór jego spoconego po długiej nocy ciała, a potem uderzył mnie z prawej w skroń. Ugięły się pode mną kolana. Usłyszałem jego śmiech, a potem znalazłem się w pulsującej bólem ciemności. Tracąc przytomność poczułem, że zsuwam się po ścianie i padam u jego nagich stóp.

Czas się skurczył. Straciłem świadomość na kilka minut, a potem zacząłem walczyć o jej odzyskanie. W moich oczach nadal pulsował ból, wywołany jego ciosem. Nie mogłem ich otworzyć.

- Czy masz zamiar go zabić? - spytała spokojnym tonem dziewczyna.

- Może.

- Jak to zrobisz?

- Chciałabyś to wiedzieć, co? - spytał drwiąco. - Lubisz zabijanie.

Nie odpowiedziała mu. Słyszałem, jak chodzą po pokoju, ubierają się, zbierają swoje rzeczy.

- Domyślą się - mówiła dziewczyna. - Dowiedzą się o wszystkim.

- Jak? Słyszałaś, co powiedział. Był poza miastem.

- Co z nim zrobisz?

- Nic - odparł. - Zamkniemy go w komórce i zostawimy. Umrze z głodu.
- Ktoś może tu przyjechać i zacząć się za nim rozglądać.
- Nie, tu nie będą go szukali. To jest policyjne dochodzenie. Nikt nie ma prawa tu wejść bez zezwolenia policji. A policja to ja. I Kaleb!

- Gdzieś tu musi stać jego samochód.
- To fatalnie - stwierdził pogodnie zastępca szeryfa. - Odholują go za zbyt długie parkowanie. Minie wiele dni, zanim ktoś zacznie go szukać. Służby drogowe nie mają obowiązku ustalać tożsamości właściciela samochodu. To właściciele muszą szukać swych odholowanych aut. To sensowne, prawda? A my tymczasem załatwimy wszystkie nasze sprawy.

Znów straciłem przytomność, zapadając się szybko w gęstą wodę morską. Zapadałem się i wynurzałem, widząc wśród fal różne twarze z przeszłości: Harry, znów młody... Daffy... Prune... Tracy i ta dziewczyna; matka i córka, których nie można odróżnić. Jedna z nich zaczęła płynąć w moją stronę, by uratować mnie przed pójściem na dno, ale ja bałem uchwycić się wyciągniętej ręki, bo nie wiedziałem, do kogo należy: do Tracy, która wyszła za mąż ze strachu i z potrzeby bezpieczeństwa, czy do jej córki, równie pięknej jak matka, ale pełnej wewnętrznego jadu, pochodzącego z nie zagojonych ran odniesionych w pozbawionym miłości dzieciństwie.

Poczułem, że ktoś mnie chwyta za ramiona. Głosy były teraz niewyraźne. Nie potrafiłem ich zrozumieć. Światło przenikające przez powieki stało się bledsze. Za murami ogromnej rezydencji Harry'ego wstawał dzień. Zostałem brutalnie przeciągnięty po podłodze i wrzucony do jakiejś klitki. Usłyszałem trzask jeszcze jednych drzwi, a potem dzień zrobił się równie ciemny jak noc.

Wiedziałem, że powinienem walczyć o odzyskanie świadomości, starać się wypłynąć na powierzchnię wciągającej mnie wody. Ale straciłem już całą wolę, całą siłę, więc niewidoczny nurt wciągnął mnie w głąb, odrywając mnie od znanego mi lądu.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Obudziłem się w ciemności. Nie wiedziałem, jak długo byłem nieprzytomny. Macając wokół siebie zdałem sobie sprawę, że jestem zamknięty w garderobie. Przekręciłem klamkę, która obróciła się w mojej dłoni, dając mi pierwszy przeblysł nadziei. Drzwi były zamknięte od zewnątrz, ale wiedziałem to i owo o zastosowanych przez Harry'ego metodach renowacji: zachował stare zamki. Któż miałby zaglądać do garderoby mieszczącej się przy jego sypialni?

Jako dziecko bawiłem się z Daffy w chowanego właśnie w takich garderobach, w obu domach Prune. Wiedziałem dobrze, w jaki sposób należy równocześnie przekręcić klamkę i uderzyć barkiem w drzwi, żeby zamek puścił. Drzwi otworzyły się gwałtownie, a ja upadłem na podłogę sypialni.

Światło wpadające przez wysokie okna pozwoliło mi się zorientować, że jest już popołudnie. Szybko wyniosłem się z tego domu, wychodząc na ciepłe, letnie powietrze. Ron miał rację. Mój samochód stał tam, gdzie go zostawiłem, czekając na służbę drogową, która miała go odholować.

Dom Kaleba w Hampton Bays nie wydał mi się podczas drugiej wizyty ani trochę bardziej atrakcyjny. Nie było przed nim samochodu jego żony, ale na podjeździe stał radiowóz policyjny. Podeszedłem do drzwi i dwukrotnie zastukałem kołatką. Moje serce powtórzyło echem rytm pukania.

Po chwili oczekiwania zszedłem po kilku kamiennych stopniach i zajrzałem do ogródka na tyłach domu. Zastałem tam Kaleba. Chyba po raz pierwszy w życiu widziałem go bez munduru. Miał na sobie nowe, trochę zbyt obszerne džinsy, białe tenisówki i czerwoną, kraciastą, flanelową koszulę, która wyglądała na prezent gwiazdkowy.

Nie odezwał się, choć widział, że idę w jego stronę. Szorował ruszt do pieczenia mięsa z takim zapalem, jakby była to najważniejsza czynność w jego życiu. U jego stóp stało wiadro z mydlinami, a obok leżał zwinięty wąż ogrodowy.

- Pukałem - oznajmiłem mu.

Podniósł wzrok znad rusztu. Nie nosił już ciemnych okularów. Siniec był widoczny tylko z bliska.

Słońce stało już bardzo nisko. Sąsiednie domy zdawały się przybliżać. Nie było wiele czasu. A ja nie wiedziałem, od czego zacząć.

- Byłem w Wirginii - powiedziałem.

- Słyszałem o tym - mruknął nie patrząc w moją stronę.

A więc ostrzegli go, zanim pojechali szukać kogoś, kto załatwiłby im to świadectwo ślubu.

Szorował ruszt jeszcze przez minutę lub dwie.

- Nie mamy wiele czasu, Kaleb - oznajmiłem. - Peretti wie o wszystkim.

Nie okazał w żaden sposób, że mnie zrozumiał.

- Zawsze był cwaniakiem, sam dobrze o tym wiesz - stwierdził w końcu.

- Harry?

Teraz na mnie spojrzał. Wyglądał jak pies gończy, który stracił trop.

- Taaak - mruknął. - Zawsze był cwaniakiem. Jeszcze w szkole znał taką sztuczkę, polegającą na nieodpowiadaniu na pytania. Stał bez słowa i patrzył na ciebie, kiedy go o coś spytałeś, a tobie robiło się głupio... Zaczynałeś się jąkać albo mówiłeś coś, czego wcale nie zamierzałeś powiedzieć. - Wrzucił szczotkę, którą czyścił ruszt, do wiadra z mydlinami. Może w końcu zdał sobie sprawę, że nie musi się już liczyć ze zdaniem żony. - Ale ludzie myśleli... - ciągnął patrząc w czerwone niebo, na którym zachodzące słońce wyglądało jak ciemna, okrągła plama - ludzie myśleli, że on jest kimś szczególnym. Był gwiazdą futbolu, ale przecież, do cholery, takich facetów było wielu. Co rok nowy. Ja sam mógłbym zostać futbolistą roku, gdybym nie chodził do tej samej klasy co on.

No proszę, pomyślałem. Jeszcze jeden fragment układanki. Kaleb i Harry rywalizowali z sobą w szkole. Ale Kaleb nie trafił na odpowiedni moment. Gdyby był o rok wyżej lub o rok niżej niż Harry, on też zostałby idolem kibiców.

- Potem, tamtego lata, poznał tę dziewczynę - ciągnął Kaleb.

- Tracy Egan.

- Tak - potwierdził odwracając się do mnie. - Ona była niezła, prawda?

- Tak, Kaleb. Była niezła.

- No właśnie. Kiedy zobaczyłem tę dziewczynę... - Przerwał. Pewnie myślał o chwili, w której Ron przyprowadził tego lata do domu córkę Tracy Egan. - Ona była dokładnie taka sama. Dokładnie taka sama. Tak czy owak - ciągnął idąc za tokiem własnych myśli - właśnie wtedy Harry po raz pierwszy nie dostał tego, czego chciał. Wiedziałeś o tym? Tak, przyglądaliśmy się mu i myśleliśmy, że może tym razem, choćby raz, nie dostanie tego, czego chce.

Ależ dostał to, pomyślałem. Osaczył ją i zdobył. Byłem przy tym. Kaleb chyba też.

- Oczywiście, że w końcu ją zdobył - powiedział Kaleb, powtarzając jak echo moje myśli. W tej flanelowej koszuli musiało mu być cholernie gorąco. - W każdym razie miał ją przez jakiś czas. Pewnego wieczora po prostu wstała i podeszła do niego.

- Byłem przy tym.

- Tak? - zdziwił się Kaleb, a ja zdałem sobie sprawę, że jest teraz pogrążony we własnych wspomnieniach. - Więc wiesz, że później go rzuciła.

- Tak. Przy tym również byłem.

Myślał przez chwilę, wpatrując się w kubeł z brudną wodą. Potem zerknął na swój tandetny, mały domek.

- Potem wyjechał. Do Wietnamu. Udało mu się nawet przy tej okazji zostać bohaterem. Wszyscy i tak mieliśmy zostać objęci poborem. Ale Harry zgłosił się na ochotnika, więc skupił na sobie całą uwagę. To dla niego było typowe. Potem - mówił dalej, teraz już nieco szybciej, jakby i on zdawał sobie sprawę z upływu cennego czasu - straciliśmy z nim kontakt. Jego ojciec sprzedał sklep, a kiedy umarł, matka przeniosła się w inne strony. Była to jakby... jakby przerwa w grze dla Harry'ego Boetchnera.

Pomyślałem sobie, że Kaleb musiał odczuwać ciężar tej rywalizacji przez całe życie. I do długiego filmu, wyświetlającego się w mojej głowie, dodałem obraz Harry'ego, który wraca tu luksusowym samochodem, żeby kupić największy dom w miasteczku.

- Ale on wrócił - ciągnął Kaleb i musiało mu się to wydać zabawne, bo wybuchnął głośnym śmiechem. - Największym samochodem, jaki widziałeś w życiu. Potem kupił tę starą kupę cegieł w Southampton. I zrobił balona z wielu twoich przyjaciół, możesz mi wierzyć.

- A więc Kalebowi i to sprawiło satysfakcję. Miejscowy chłopak wraca i robi fortunę. - Zapisał się też do tego waszego eleganckiego klubu. To prawdziwe dzieje sukcesu.

Jeszcze nie byłem gotów przyznać mu racji. Harry wrócił do miasteczka i kupił różne rzeczy, które były tu uważane za atrybuty sukcesu, ale nie chciałem przyznać, że jego historia była dziejami sukcesu.

- Zaczął kupować te wszystkie tereny... - kontynuował Kaleb. Uniósł rękę i rozmazał sobie pot na twarzy. - Masz ochotę na piwo? - spytał.

- Nie.

- A ja się chyba napiję.

Nie chciałem, żeby wszedł do domu, więc odczułem ulgę, kiedy skierował się w stronę garażu. Szedłem tuż za nim. Przed wejściem zatrzymał się na chwilę. I powiedział z dziwnym, na wpół obłąkanym uśmiechem, który widziałem na jego twarzy przed chwilą:

- Nadal jestem tu szeryfem, Ben. Nadal jestem szeryfem.

Zostałem na dworze, ale obserwowałem go, kiedy wchodził do środka i otwierał starą lodówkę. Wyjął z niej dwie puszki piwa i wyszedł. Wręczył mi jedną bez słowa, a ja doszedłem do wniosku, że mimo wszystko się napiję. Wyciągnął z głębi garażu dwa zardzewiałe metalowe krzesła z plastikowymi siedzeniami, rozłożył je i postawił na nie skoszonym trawniku. Usiadłem obok niego. Wyglądaliśmy jak dwaj podstarzali nieudacznicy, cieszący się resztkami sierpniowego słońca.

- Kupił te wszystkie działki - mówił dalej. - Potem zaczął budować te swoje domy. Chryste! A ja przyglądałem się. Widziałem, jak robi się bogatszy niż ktokolwiek z moich znajomych. Nie wydawało się to trudne... wiesz, co mam na myśli. Ja zarabiałem dwadzieścia dwa i pół kawałka rocznie robiąc to, co robił mój ojciec, mieszkając w tym zaszranym domu, słuchając ciągle wrzasków mojej żony, która miała mi za złe, że nie mamy pieniędzy. A

Harry... wiedziałem już o nim to i owo. Przysyłają nam teleksem informacje o różnych ludziach. Orientowałem się już niezłe, co Harry robił na Florydzie, a przedtem w Wietnamie. Wrócił tu jako wielki bohater. Bohater z Wietnamu. Gwiazda futbolu. Teraz był bogatym biznesmenem. A do mnie ciągle docierały te informacje. Wysłałem teleksem kilka pytań do Waszyngtonu i wiedziałem, jak wygląda druga strona medalu. Nie była to żadna historia sukcesu, chyba że za sukces uznasz handel narkotykami i sprzedawanie broni wrogom. I tak wyglądała prawda: Harry Boetchner był tylko wielkim oszustem. To nie wydaje się sprawiedliwe, prawda, Ben?

Nie wiedziałem, czy chce usłyszeć odpowiedź. Miał nadal na twarzy ten dziwny, szaleńczy uśmiech, a w oczach podejrzaną błyski.

- Nie, Kaleb, to nie wydaje się sprawiedliwe.

Wypił duszkiem niemal całe piwo, a ja nadśluchiwałem, spodziewając się, że ktoś przyjedzie. Może Peretti. Kaleb też chyba kogoś oczekiwał, bo zerkał co chwilę w stronę domu i pustego podjazdu.

- Wiesz, rozmawiałem z nim kiedyś - powiedział z namysłem. - Któregoś wieczora, w Whale's Tale. Może chciał powłóczyć się po knajpach, bo przyszedł właśnie tam. Choć bywał tam rzadko. Chodził do tego eleganckiego hotelu, siadał w barze i gawędził ze swymi nowymi przyjaciółmi. Albo w tym waszym klubie. Pozwalacie nam grać w golfa, ale nie wpuszczacie nas do klubu. Ale Harry miał tam prawo wstępu. Wiesz, dlaczego je miał?

- Bo był członkiem, Kaleb - powiedziałem łagodnie.

- Nie - stwierdził Kaleb z wściekłością. - Nie dlatego. Harry miał tam prawo wstępu, bo dzięki niemu mogliście wszyscy zarobić trochę pieniędzy. Dlatego go tam wpuszczaliście.

Oczywiście miał rację. To ja zgłosiłem kandydaturę Harry'ego. Moja rekomendacja nie wystarczyłaby na to, aby go przyjęto. Harry Boetchner dostał się do klubu dzięki chciwości jego członków.

- Tak czy owak zjawił się tego wieczora w Whale's Tale - ciągnął Kaleb - a ja chyba wypilem o jedno piwo za dużo, bo zacząłem mu trochę dokuczać w związku z tym, czego się o nim dowiedziałem.

Musiał to być niezręczny moment. Pomyślałem, że Kaleb miał szczęście, bo nie wyobrażałem sobie, żeby Harry siedział spokojnie i słuchał aluzji do przyczyn swego awansu społecznego. Ale potem przypomniałem sobie, że Kaleb wcale nie miał szczęścia, że i tak w końcu się stoczył.

- A on po prostu mnie wyśmiał - mówił Kaleb. Miałem wrażenie, że teraz już go to nie denerwuje. Może denerwowało go przed kilku miesiącami, może od tego właśnie wszystko to się zaczęło. - Wyśmiał mnie. I powiedział: „Kaleb, czy wiesz, jaka jest różnica między bogatymi i biednymi?” A ja odpowiedziałem: „Tak, bogaci mieli więcej szczęścia”. A on na

to: „Nie, Kaleb, wcale nie o to chodzi. Różnica polega na tym, że bogaci nie oszukują samych siebie”.

Jakbym słyszał Harry'ego. Musiał to być interesujący moment. Dwaj szkolni koledzy, obaj z wielkimi brzuchami, opowiadają sobie przeżycia wojenne w miejscowym barze.

- I powiedział do mnie: „Kaleb, nie ma różnicy między tymi ludźmi a nami. Ale oni nam wmówili, że trzeba trzymać się zasad, i na tym polega jedyna różnica. Oni nie trzymają się żadnych zasad. Nie mógłbyś zarobić pieniędzy, dzięki którym zbudowano te ich domy, gdybyś trzymał się zasad. Nawet przed stu laty. Sztuka polega na tym, żeby wiedzieć, kiedy łamać zasady. Jeśli łamiesz zasady, a nie przyłapią cię na tym, zostajesz zaproszony do Białego Domu”. Akurat w tym miesiącu sam się tam wybierał.

Pamiętałem, kiedy Harry Boetchner był w Białym Domu. Pamiętałem to dokładnie. Rozmawialiśmy kiedyś o tym w klubie.

Kaleb ponownie wytarł twarz, rozmazując sobie pot po policzkach, czole i karku. Pot spływał mu też za koszulę, a pod pachami pojawiły się ciemne plamy.

- Potrzebowałem wtedy trochę pieniędzy - powiedział, ze złością zerkając na okna swego domu. - Potrzebowałem ich szybko, wiesz, jak to jest.

- Dla Lucille - zgadłem.

- Taaak. - Westchnął. - To kosztowna kobieta. Potrzebowałem ich, żeby spojrzała na mnie inaczej. To... - Ogarnął ruchem ręki, w której trzymał puszkę z piwem, swój ogród, garaż, ruszt, nawet nie pomalowany dom. - To już jest skończona sprawa.

Znałem dalszy ciąg od tego punktu, aż do dnia śmierci Harry'ego. Kaleb pożyczał wszędzie, gdzie się dało. Pożyczał na hipotekę domu i na poczet swej emerytury, wziął nawet kredyt w banku pod zastaw skromnych oszczędności, jakie oboje z żoną zdołali zgromadzić.

- Więc zainwestowałeś u Harry'ego - powiedziałem.

- Taaak - odparł i czknął głośno. Na jego ustach pojawiła się piana. Odchrząknął i splunął na ziemię, jakby chcąc pozbyć się przykrego smaku. - Powiedział mi, że jeśli zainwestuję u niego trochę pieniędzy, będę mógł je podwoić, albo i potroić. Nazwał to dźwigarem finansowym. Więc mu je dałem. Trzydzieści dwa tysiące dolarów. Wszystko, co miałem. Wszystko, co udało mi się zdobyć. Ale, pomyślałem sobie, do diabła, podwoić lub potroić! - Jego oczy zrobiły się nagle wilgotne. Może były to łzy, a może spływający z brwi pot. Miał pewnie nadzieję, że będzie mógł się uwolnić od tego wszystkiego. I zacząć od nowa, gdzie indziej. Z Lucille. Zapadająca ciemność ukryła jego wstyd.

- Była to szansa, jaka trafiała się wszystkim innym. Wiesz, jak czuje się człowiek, który siedzi w tym miasteczku i widzi tych przyjeżdżających z miasta bogatych, aroganckich facetów, takich ja ty i twoi znajomi. Przyjeżdżają tu i płacą więcej za wynajęcie letniego domu niż ja zarabiam przez cały rok. To nie wydaje się sprawiedliwe. - Zrobiło mi się go tak serdecznie żal, że chciałem wyciągnąć rękę i objąć go.

Wtedy właśnie usłyszeliśmy nadjeżdżające samochody. Kilka samochodów. Pojawienie się na tym przedmieściu kilku samochodów mogło oznaczać w tej sytuacji tylko jedno.

Kaleb wstał.

- Mam ochotę na jeszcze jedno piwo, a ty?

Wiedziałem, że powinienem go zatrzymać. Ale odpędziłem od siebie tę myśl i siedziałem bez ruchu. Kaleb wszedł do garażu, a ja czekałem na odgłos otwieranych drzwi lodówki. Nie usłyszałem nic, ale zobaczyłem nie oznakowany samochód policyjny, który zatrzymał się tuż za radiowozem Kaleba. Za nim jechał drugi, dokładnie taki sam, granatowy, nie oznakowany wóz amerykańskiej produkcji. Wszystkie drzwi otworzyły się równocześnie. Peretti wysiadł, a umundurowani policjanci stanęli obok niego.

Nad nie skoszonym trawnikiem Kaleba unosiła się lekka mgiełka. Modliłem się bezgłośnie, bezwiednie.

Czułem w ręku ciężar nie napoczętej puszkę piwa. Widziałem, jak Peretti spogląda na mnie, a potem na dom, i dochodzi do wniosku, że nie ma po co iść w tamtą stronę. Ruszył wzdłuż ogrodzenia. Wszyscy szli powoli w moim kierunku, jakbym to ja byłem człowiekiem, którego zamierzają aresztować.

Drogi Boże, mówiłem w myślach, proszę cię...

Rozległ się strzał.

Wszyscy zastygli w bezruchu. Huk wystrzału, zwielokrotniony przez ciasną przestrzeń garażu, rozpląnął się w powietrzu letniego wieczoru, zostawiając po sobie ciszę, jakiej w życiu nie słyszałem. Policjanci oprzytomnieli. Sięgnęli po swe pistolety i ugięli kolana. Peretti stał w miejscu i patrzył na mnie.

Po kilku sekundach odstawiłem puszkę z piwem na aluminiowe krzesło. Wstałem trzymając ręce z dala od ciała i ruszyłem po nie skoszonym trawniku w kierunku Perettiego. Policjanci ustawili się w tyralierę, kierując wyloty luf w moją stronę i w stronę garażu. Kiedy podszedłem do Perettiego, powiedział:

- Nie powinieneś był tu przyjeżdżać, Ben.

- Wiedziałeś, że to zrobię.

- Taaak - przyznał patrząc, jak jego ludzie otaczają garaż. Wyglądało to jak scena z westernu. - Tak, chyba wiedziałem.

Zostałem w domu Kaleba, dopóki nie odtransportowano tego, co z niego zostało. Wiedział, że po niego przyjadą. Z szacunku dla swojej funkcji, funkcji, którą sprawował przed nim jego ojciec, złożył schludnie mundur i zostawił go w domu, ale przezornie zaniósł rewolwer do garażu, na wszelki wypadek.

Kiedy karetka odjechała z ciałem do kostnicy, Peretti podszedł do mnie. Żona Kaleba dotąd się nie zjawiała.

Porzuciła go poprzedniego wieczora, po ostatniej awanturze, i wróciła do matki.

- Dupy i szmal - powiedział Peretti.

- Taaak - przyznałem. - Bardziej, niż sobie wyobrażasz.

- Wiesz, to był niemal przypadek - oznajmił. Nadal nosił to okropne ubranie, ale zrezygnował już ze sportowej koszuli. Koszulę miał tym razem białą, starannie wypraną i wyprasowaną przez służbę hotelową. Jego szyję ścisnął ciasny węzeł brudnawego krawata.

- To wszystko przez tę dziewczynę, prawda? - spytałem.

Peretti kiwnął głową.

- Jasne. Ona tu była już wcześniej. Chyba o tym wiesz, co?

Opowiedziałem mu, co zaszło tego ranka w domu Harry'ego.

- Wysłaliśmy listy gończe za nimi - oznajmił Peretti. - Musiałem czekać na pomoc z zewnątrz. Nie codziennie aresztuje się wszystkich stróżów prawa w mieście.

- Ulokował wszystko w interesach Harry'ego.

- Tak - powiedział Peretti. - To przechodzi ludzkie pojęcie, no nie? Ten jego krewny nic o tym nie wiedział. Wiedział tylko, że jego plany dotyczące dziewczyny diabli wzięli. Chcieli nabrać Harry'ego. Miała wyjść za niego za mąż i zgarnąć kupę pieniędzy, a potem zwiać.

A więc Ron, odebrawszy tamtej nocy telefon od dziewczyny, doniósł Kalebowi, że Harry zamierza czmychnąć na Bahamy, gdzie ukrył swe pieniądze przeznaczone na czarną godzinę, a Kaleb zadzwonił do Harry'ego. Powiedział mu, że chce zainwestować jeszcze trochę pieniędzy. Harry był zachłanny, więc zgodził się spotkać z nim w stajni. Tym bardziej, że szeryf poinformował go również o jakiejś przypadłości jego ukochanego konia. Wiedział, że go straci, podobnie jak wszystko inne, ale w tym momencie chyba nie miało to dla niego znaczenia. Miał tę dziewczynę i tylko na tym mu zależało. Zaczynał już życie od nowa ze dwa lub trzy razy. Musiał być zachwycony perspektywą zaczęcia go po raz kolejny z dziewczyną, która tak bardzo przypominała mu jego pierwszą miłość. Musiał uważać to za nowe wyzwanie.

- A więc Harry wyjechał w środku nocy, żeby spotkać się z Kalebem i rzucić po raz ostatni okiem na tego wspaniałego konia - powiedziałem.

Peretti kiwnął głową.

- Taak - mruknął - a ten siostrzeniec... - Zastanawiał się najwyraźniej, czy ma zachować dyskrecję. W końcu podjął decyzję. - Ten siostrzeniec był w krzakach z twoją kuzynką.

- A Kaleb zabił Harry'ego - dodałem.

- Podczas kłótni - dokończył Peretti. Ekipa policyjna skończyła już oględziny garażu. - Mimo wszystko odbędzie się rozprawa wstępna.

- Będziesz miał pełną salę.

- A ty swój artykuł - powiedział Peretti. Wydawało mi się, że chce coś jeszcze dodać.

W tym momencie, przez sekundę, niemal go lubiłem.

- Owszem - odparłem.

Policjanci czekali teraz na Perettiego, który miał zająć miejsce w ostatnim samochodzie. Spojrzał na tandetny dom Kaleba i powiedział:

- Klasyczny przypadek. Dupy i szmal. I konie.

- I morderstwo - przypomniałem mu.

- Tak, to również. - Nadal stał w miejscu, choć policjanci spoglądali na niego ponaglająco z samochodu. Wydawało się, że nie zamierza odejść. Wiedziałem, że chce coś dodać i czekałem, by dowiedzieć się co.

W końcu spojrzał na mnie, a w jego małych oczkach znów pojawiły się złośliwe błyski.

- Ale żaden z przedstawicieli twojej sfery nie poniósł szwanku - mruknął cicho. - Nikomu nic się nie stało, zauważyłeś? To też jest klasyczny przypadek.



EPILOG

W dniu Hampton Classic nieprzerwany sznur samochodów zmierzał do bramy klubu już od ósmej rano. Dla wielu ludzi była to jedyna w roku okazja przekroczenia tej bramy. Nad kasztanami widać było białe i różowe markizy, nieruchome w gorącym powietrzu ostatnich dni lata.

Magda zaproponowała, że w tym roku mnie zastąpi i pójdzie na tę imprezę. Ja postanowiłem po raz pierwszy od dawna wybrać się na plażę. Miałem z sobą sześć puszek piwa i stare prześcieradło. Wiedziałem, co robię. Chciałem pożegnać się z Harrym.

Kiedy wjechałem na pusty dziedziniec, by zostawić tam samochód, zauważyłem, że jego dom wygląda jak budynek, który stracił ostatnią szansę. Rona i dziewczynę znaleziono w Marylandzie, gdzie nadal usiłowali zdobyć fałszywe świadectwo ślubu.

Na konkurs sprowadzono policję stanową. Widziałem brązowe mundury na całej trasie prowadzącej do klubu.

Na plaży był spory tłum. Ale nie tworzyli go ludzie, którzy bywali na konkursie. Ci plażowicze przyjechali tu na pikniki, a prostackie okrzyki, wznoszone przez ich hałaśliwe dzieci, dowodziły, że pochodzą z dzielnic, o jakich w Hampton nawet nie chciano myśleć. Znalazłem ustronne miejsce, rozłożyłem moje białe prześcieradło i położyłem się na plecach w słońcu. Chciałem się upić i pożegnać Harry'ego.

Koń Harry'ego był już na wniosek jego wierzycieli skonfiskowany i zgłoszony do aukcji. Harry został więc obrabowany nawet z szansy odniesienia pośmiertnego zwycięstwa. Czulem na skórze promienie słońca i było mi z tym dobrze. Zapomniałem już, jak miło jest poleżeć na plaży. Myślałem o tym, co dzieje się w klubie. Brock i Daphne wybierali się na konkurs - powiedział mi o tym Brock, którego spotkałem poprzedniego dnia w mieście. Mieli też jechać w tym roku nieco wcześniej do Palm Beach. Postanowili darować sobie cały jesienny, nowojorski sezon towarzyski. Palm Beach mogło być dobrą pralnią dla zbrukanej opinii.

Zasnąłem przy akompaniamencie wrzasków dzieci i histerycznych krzyków mew, które krążyły wokół plaży czekając na resztki z pikników. Kiedy obudziłem się w kilka godzin później, byłem spalony na befsztyk. Jednodniowi wycieczkowicze rozbili już zaimprovizowane namioty z prześcieradeł, a ich nomadyczna osada rozciągała się wzdłuż ekskluzywnego odcinka plaży. Postawili ruszty i nielegalnie piekli mięso. Słońce chowało się już za horyzontem. Moje piwo było ciepłe. Mimo to otworzyłem jedną z puszek i siedziałem patrząc na fale i rozmyślając o Harrym. Niedaleko stąd niemal zdobył to, o czym marzył, by potem znów wszystko stracić. Kiedy zobaczył tę dziewczynę, pomyślał być może, że ma szansę odtworzyć tamtą przygodę sprzed lat, ale tym razem rozegrać wszystko w sposób perfekcyjny.

Myśląc o Prune doszedłem do wniosku, że w życiu można mieć więcej niż jedną szansę, ale nie można cofnąć się w przeszłość. Nie należy tracić czasu na smutne rozważania o tym, co mogłoby się wydarzyć, na czym polegał błąd, albo co by było gdyby...

Wstałem i omijając bawiące się dzieci poszedłem w stronę morza. Woda była zaskakująco chłodna, jakby nawet ocean wiedział, że kolejne kosztowne lato dobiegło końca. Kiedy z niej wyszedłem, zdałem sobie sprawę, że zapomniałem ręcznika. Wytarłem się w prześcieradło i dotarłem do trawników Harry'ego, które sięgały mi już do kostek. Wracając do samochodu przez taras odniosłem wrażenie, że ktoś mnie obserwuje. Ale kiedy spojrzałem w puste okna, zrozumiałem, że to uczucie zrodziło się w moim umyśle, że nosiłem je w sobie od wielu lat, może przez całe życie. Popisywałem się jak zwierzę w cyrku licząc na aplauz ludzi, którzy niewiele mnie obchodzili. I robiąc to, straciłem przyjaźń i szacunek tych, którzy mogli coś dla mnie znaczyć.

Jadąc autostradą, widziałem wracające już z Hampton samochody. Konkurs musiał dobiegać końca. Wiedziałem, jak musi wyglądać klub; konie stały już w swoich boksach, a tłumy ludzi przewalały się beładnie wśród nagromadzonych w ciągu dnia śmieci. Z namiotów wynoszono puste butelki po szampanie. Pracownicy polowych restauracji zbierali szklanki oraz talerze i liczyli srebra stołowe, by przekonać się, ile ukradli ludzie, którzy mieli wstęp do klubu tylko w dniu dzisiejszym.

Nie chciałem wracać do swoich dwóch pokoi nad sklepem z antykami. Nie miałem też ochoty na wizytę w żadnej z moich ulubionych knajp. Więc bez zastanowienia skręciłem w stronę domu Prune. Cała ta historia zaczęła się w pewnym sensie tam, przy kuchennych drzwiach, kiedy po raz pierwszy ujrzałem Harry'ego, wyładowującego właśnie mięso z ciężarówki swego ojca.

Zaparkowałem za domem i stałem przez chwilę na podwórzu, próbując zrekonstruować to wydarzenie sprzed wielu lat. Harry ulatniał się już z mojej pamięci.

Miałem dość tego miejsca. Nie tylko tego miasteczka i ludzi, których tu znałem. Ale duch młodego Harry'ego zdawał się nadal przebywać właśnie tutaj, w świetle mosiężnych lamp.

Minąłem kucharkę zajętą przygotowywaniem kolacji, wszedłem do holu i zawołałem:

- Prune!

- Jestem w sali balowej, Ben! - krzyknęła do mnie.

Idąc przez jej perfekcyjnie urządzonego dom w kierunku tego dziwnego pokoju, usytuowanego na końcu korytarza, przypomniałem sobie, że teraz rzadko już nazywa go salą balową. Tutaj tańczyła samotnie, kiedy była pijana. Tutaj oboje wypiliśmy drinka i tańczyliśmy tamtej nocy, kiedy Tracy odeszła z Harrym. Gdy przestała pić, kazała zappełnić pokój roślinami i kwiatami, wnieść nowe wyplatane meble i portugalskie dywany. Wyglądał

teraz jak odbicie duszy Prune, która niegdyś była pusta i samotna, a teraz pełna światła i barw.

Prune rozmawiała z jakąś starszą kobietą, której w pierwszej chwili nie poznałem. Siedziały naprzeciwko siebie na wyplatanych fotelach z różowo-zielonymi obiciami. Prune, która nalewała właśnie herbatę ze srebrnego czajniczka, podniosła głowę.

- Znasz panią Boetchner, prawda? - spytała.

- Dobry wieczór pani - powiedziałem do matki Harry'ego, która wyglądała tak, jakby nie mogła uwierzyć, że siedzi tu w towarzystwie pani Duke.

- Pańska ciotka okazała mi wiele dobroci - oznajmiła na powitanie.

Pocałowałem Prune, a ona spojrzała na mnie i rzuciła z zaskoczeniem:

- Byłeś na plaży, Ben.

- Słyszałem, że ludzie robią to czasem w lecie, Prune.

- Wyglądasz... wyglądasz... - Popatrzyła na mnie z odnalezionym przez siebie spokojem ducha i powiedziała: - Wyglądasz zdrowo, Ben.

Widziałem, że przerywam jakąś ważną rozmowę, więc spytałem Prune, czy mogę pójść na górę i wziąć prysznic. Ona zrozumiała chyba, że nie mam ochoty wracać do własnego mieszkania. Zostawiłem obie zajęte rozmową panie i poszedłem na górę, do pokoju, w którym spędziłem tamto lato, lato, podczas którego poznałem Harry'ego Boetchnera i Tracy Egan. Wyglądał nadal jak pokój dziecinny, tyle że dzieci już dorosły i wyruszyły w świat, by ułożyć sobie życie.

Po kąpieli zszedłem z powrotem na dół. Prune była w holu. Szukała torebki i kluczyków od samochodu.

- Pani Boetchner zamieszka tu na jakiś czas, Ben - oznajmiła. - Mam nadzieję, że uda mi się jej pomóc.

- Jesteś dobrym człowiekiem, Prune - powiedziałem.

Prune bardzo się zmieniła, ale nadal nie umiała przyjmować komplementów.

Zaczerwieniła się.

- Poszła na chwilę się położyć. Dałam jej dawny pokój Daffy.

Miała już w ręku torebkę i kluczyki. Spojrzała na mnie badawczo.

- Kolacja będzie dopiero za jakieś dwie godziny, Ben - powiedziała. I nadal patrząc na mnie, dodała trochę ciszej: - Jadę teraz na moje spotkanie. Czy chciałbyś wybrać się ze mną?

- Jeszcze nie, Prune - odparłem cicho. - Niedługo, ale jeszcze nie teraz.

- Daj mi znać, kiedy będziesz gotowy, Ben. - Objęła moją rękę swymi delikatnymi jak ptaki dłońmi. - Kocham cię, Ben. Wiesz o tym, prawda?

- Wiem, Prune, i ma to dla mnie wielkie znaczenie.

Nadal trzymała moją rękę, jakby zastanawiając się, czy coś dodać.

- Można wywalczyć sobie nowe życie - powiedziała w końcu. - Trzeba tylko po nie sięgnąć.

RS